

De 51
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 168.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1882.

SERYA V.

Listopad.

TOM IV. — ZESZYT XI.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektoralna, Nr. 14.

— 23 —
Ukończono druk dnia 4 listopada 1882 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Moralisści XVII wieku. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.	161
II. Dramat niemiecki XIX-go wieku. (Studjum literackie). Przez Teodora Jeske-Choińskiego. (Dokończenie).	182
III. Projekta reformy szkół średnich galicyjskich. (Ciąg dalszy).	204
IV. Pod wyrokiem. Opowiadanie z lat 1706—1713. Przez Kajetana Kraszewskiego. (Ciąg dalszy).	232
V. Nasza własność ziemska. Zarysy statystyki rolniczej naszego kraju i ziemiaństwa. Przez R. Buczyńskiego. (Ciąg dalszy).	255
VI. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. „Onarda,” powieść egipska, osnuta na papyrusach i zabytkach archeologicznych, przez Ebersa; przekład na francuzki język pani d'Hermigny.—Napoleon I, jako krytyk literatury i członek Instytutu.—Dziennik z czasów oblężenia zamku krakowskiego w roku 1772, przez G***, francuzkiego oficera, drukowany w Krakowie.—„Wspomnieniu” Armanda Pontmartin: młode lata, czasy romantycznego przełomu.—Studia nad Rossinim i jego szkołą, przez Edwarda Sutherland.—Pamiętniki pani Ackermann.—Charakter Schoppenhauera.—Popiersie Lamartina.—Konservator muzeum Boulaçq w Egipcie.—Nowe Towarzystwo historyczne w Paryżu.	271
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
„Niedrukowane poczye Gawińskiego.” Wydał dr. Wł. Sre- dyński. Przez d-ra Henryka Biegeleisena.	283
„Dzieje literatury powszechnej z ilustracyami,” tom I Dzieje li- teratury starożytnej, opracowane przez J. A. Święcickiego, T. Krasno- sielskiego, J. Radlińskiego, K. Kaszewskiego i F. Łagowskiego. Warszawa, nakład i druk S. Lewentala. (Ciąg dalszy).	298
Jana Łaskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, prymasa, legata urodzonego: „Liber Beneficiorum” archidiecezyi Gnieźnieńskiej, z po- ręki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, podług kodeksów rę- kopiśmiennych Archiwum gnieźnieńskiego i kaliskiego, wydał ks. Jan Łukowski, O. Pr. dr., Seminarjum archidiecezyjalnego profesor, archi- waryusz Konsystorza gnieźnieńskiego; uwagami zaś historycznymi, to- pograficznymi, heraldycznymi i t. d., oraz obszernym „Łaskiego Żywo- tem,” dzieło to ozdobił ks. Jan Korytkowski, Lic. św. Teol., kanonik metropolitalny gnieźnieński, radca konsystorza generalnego, bibliote- karz kapitulny, Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego członek. Gniezno. Nakładem i drukiem J. B. Langiego, 1880, 1881 r. Przez Stanisława Marońskiego. (Dokończenie)	304
„Niedole dziecięco,” wydane staraniem miłośników dziecięcego wieku. Warszawa, 1882, str. 273.	318
VIII. Wiadomości bieżące, literackie, naukowo i artystyczne. — Towarzystwo archeologiczne we Lwowie, tudzież zeszyt 1 „Przeglądu archeologicznego” (str. 321—327).—Matejki „Hold pruski,” złożony	



De. II. 1.

MORALIŚCI XVII-go WIEKU.

PRZEZ

Wojciecha hr. Dźieduszyckiego.

Cnota oparta na chrześcijańskiej nauce, podobnie jak wszelka cnota u wszystkich narodów po wszystkie wieki, jest dążeniem do trwałego szczęścia. Na to, by szczęścia tego dopiąć, trzeba, podług nauki Objawienia, wzgardzić światem i pomyślnością tego świata; ani szczęście najwyższe nie jest ziemskim, ani droga, która do tego szczęścia wiedzie nie jest ziemską. Nawet na to, aby znaleźć tę drogę i aby ją obrać, nie wystarczają środki ziemskie; ścieżka wązka, która wiedzie do nieba, leży poza zakresem tuteczności, i kto po nią stąpa, ten potrzebuje bezustannie nadprzyrodzonej pomocy, bez której chwalebne nawet czyny prowadzą do wiecznej zguby.

Kiedy starożytność klasyczna, szukając szczęścia długo i daremnie to w rozkoszy, to w męztwie, to w mądrości, przekonała się, że go niema nigdzie napewno, kiedy imperatorowie zdobywszy sobie moc, o której wpiery nikt z ludzi nie marzył, znaleźli pośród mocy tej szaleństwo tylko i niewysłowioną nudę, i kiedy mędrzec stoik co nie uznawał cierpienia, nie mógł przemieścić choroby uporczywój małego palca, a mędrzec cynik, który chciał żyć bez potrzeb, uczuł potrzebę ludzkiej pochwały i stał się zrazu próżnym, aby zwrócić na siebie uwagę, a potem wzgardził sobą gdy się przekonał, że ludzie jemu się dziwią, a jego nie chwala, a że on sam bez nich nie może się obejść; kiedy, powiadam, ludzkość zwątpiła i o ziemskim szczęściu i o ziemskiej cnocie, wtedy z radością wielką przyjęła dobrą nowinę, że może istnieć szczęście inne, niezemskie, które Bóg ludziom cudownie ziści, i do którego się dojdzie nie zapomocą własnej zasługi, ale w skutek nadprzyrodzonej łaski Słowa.

I ludzkość odtąd wierzyła w nadprzyrodzoną Cnotę, w nadprzyrodzone Szczęście.

Ale zrazu niezemska cnota usiłowała ziścić na ziemi niezemskie szczęście. Uciekała w pustynie, oddzielała się fizycznie od świa-



ta, żyła w oderwaniu, chciała prawie żyć bez snu, jadła i napoju, chciała już, bawiąc na ziemi pozbyć się ciała, i zaludniła na Wschodzie i Zachodzie niezliczone monastera. Potem śmielsza, nie uchodziła już przed światem a wzięła się ze światem za bary, ze światem stoczyła bój, i myślała że świat podbije; i była chwila, w której stolica Piotrowa nad światem zaciężyła; królowie i cesarzowie klękli przed papieżami; ale wnet okazało się, że świecka wszechwładza papieży i królestwo Chrystusowe to nie jedno i to samo, i że to, co się na ziemi ziemską mocą iści, nie może być tém, o czém Syn Człowieczy powiedział sam, że nie jest królestwem tego świata. Więc świat długo nicznosił wszechwładzy papieży; papieztwo poszło w awiniońską niewolę, a królestwo Boże wzięło rozbrat stanowczy z królestwami tego świata; kto chciał wiecznego doznać szczęścia, ten szukał w niedostępnej celi zachwytyłów mistycznej miłości, a świat, niezważając na modlitwy i proroctwa świętych i kacerzy, stosował się do praw pogańskich honoru, szukał królewskiej potęgi, rycerskich zaszczytów, romantycznej miłości, kupieckiego bogactwa, i zabronionej wiedzy; aż wreszcie, grzebiąc jak czarodziej jaki wśród zgłiszczów i popiołów zapadłych cmentarzy, spotkał cudowną marę, spotkał duchy Romy i Hellady nad opis piękne, piękne nad sennie marzenie; i zapominając o królestwie Bożém, wbrew królestwu temu zakochał się w zmarłym pogaństwie, albo Kościół Chrystusów uczynił przybytkiem starogreckiego piękna. Doktor Faust zakochał się w widnie argiwskiej Heleny, a mistycy słyszeli jak aniołowie w niebie opłakiwali zdrożności nowego Babilonu, papieżkiego Rzymu zakochanego w nagiej, namacalnej, niechrześcijańskiej piękności odkopanych marmurowych Apolinów i Wener. I z tego zgorszenia powstał wielki rozłam w Kościele; a z rozłamu tego powstało dwoiste: protestanckie i katolickie Chrześcijaństwa odnowienie.

Wstyd było nauczycielom wiary, że przez chwilę byli sługami staropogańskiego piękna; przypomnieli sobie, że nie w oglądaniu cudownego obrazu, i nawet nie w czytaniu tragedji Eurypidesa i dyalogów Platona, obowiązek chrześcianina i przyobiecane szczęście; przypomnieli sobie, że wiekuiste szczęście czeka wiernych w innym świecie, i że nie wiedza, i niestworzone piękno, i nieklasyczne używanie, drogą do szczęścia tego, że do szczęścia tego prowadzi tylko łaska nadprzyrodzona, nie dobytą żadną ludzką zasługą. Więc katolicy powrócili do sakramentalnych obrzędów, a protestanci oczekiwali chwili, w której Bóg w niepojętej madrości swojej wznieci w umyśle ludzkim wiare, której nikt nie zdoła mieć bez cudu Bożego, i bez której nikt nie uniknie piekielnej otchłani. I jedni i drudzy nie na tym świecie szukali królestwa nie tego świata; i jedni i drudzy żyjąc wśród starój już i doświadczonój ludzkości, nie marzyli o tém, by wśród świata ziścić królestwo Boże. Dość im było, gdy mogli w sercu swoim stworzyć mały przybytek modlitwy, wiary i nadprzyrodzonej pociechy. Zamykali drzwi tego przybytku szczelnie, i modląc się o nadprzyrodzoną łaskę co poprowadzi do zbawienia, szli w świat żyć w świecie podług woli świata, i zbyt czę-

sto wśród świata zapomnąć o owym skarbie wiary, ukrytym gdzieś w niedostępnym zakątku duszy. Więc nadprzyrodzone nauki nie były już drogowskazem wśród zwyczajnego życia, i trzeba było myśleć każdemu o prawach, wedle których będzie działał w doczesnym życiu, pełniąc te czyny, które zawisły od jego własnej woli, a nie od nadprzyrodzonych wpływów. Nie myśleli już ludzie o tém, jakby to być świętym, bo to nie od nich zależało; myśleli o tém jakby być porządnymi ludźmi (*des honnêtes gens*) podług świata; bo to jedynie było w ich mocy.

A jeśli wiara gdzieś się cofnęła w głąb duszy cywilizowanego człowieka, niemniej pobladły dotychczasowe świeckie ideały ludzkości. Owa wiara w zmartwychwstałe starożytne piękno przemienęła tak rychło jak rychło powstała; skoro Chrześcijaństwo sobie przypominało, że ubóstwiając piękno zmysłowe staje się bałwochwalcą, nie mogło już tworzyć z naiwnym zachwyceniem pierwszych lat odrodzenia, nie mogło już robić sobie celu dziejów z odnowienia wszelkiej sztuki; odtąd malarz i budowniczy starali się tylko wyrazić dewocją katolicką i powagę możnych téj ziemi; odtąd poeta stał się sceptykiem albo psychologiem, odtąd wszystko straciło na pierwszej świeżości i mocy, i sztuka XVII wieku nabrała pewnej powagi, co czasem może i starość przypomina.

A czy dawny średniowieczny honor rycerski mógł wystarczyć późnym pokoleniom? Wszak trudno! Wszak i ten honor bywał w związku z wiarą, co chciała przekuć wszystkie ludy Europy w jedną rzeszpospolitą Chrześcijańską, a dziś ani katolicyzm ani protestantyzm o tém nie marzyły, więc rycerstwo nie mogło zmartwychwstać urzędowo do służby Boga, króla i dam. Jeśli kto je wskrzeszał, wskrzeszał rzecz umarłą; podobnie jak umarła starożytność owa, o której marzono daremnie w XVI wieku, że zmartwychwstanie. Bo i cóż miał rycerz dawnego kroju począć wśród nowego świata dyplomatów i kupców i prawników? Pocóż miał prawdę mówić niezłomnie, gdy nowe królestwa stały na szepitaném dyplomatyczném kłamstwie? Pocóż miał krzywdy prostować orężnie, kiedy sędziowie i adwokaci i złoczyńców i niezłoczyńców sądzili siedząc za stołami, co jęczały pod ciężarem papierów, i zamykali zarówno do turmy i tego co krzywdę czynił, i tego co się opierał krzywdzie samowolnie bez pozwolenia i bez wyraźnego rozkazu króla jegomości? I jakież można było gonić za idealnemi czyniami, by dogodzić nieskalanéj kochance, gdy wszystkie sprawy świata obracały się około wcale innych przygód kupców i żeglarzy, co płynęły do Indyi i Ameryki po złoto, i po złoto tylko i jeszcze raz po złoto—rzecz obojętna czy je wykopywali bezpośrednio z wnętrzości ziemi, czy je dostawali w zamian za bawełnę, pióra, kość słoniową, i że bezbożny a najdroższy towar, za niewolników czarnych, o których, wmawiano w siebie, że nie są ludźmi?

Niejeden i zamarzył o życiu poświęconém wyłącznie rycerskiemu

honorowi, ale czasy nie były potem, by błędni rycerze zmartwych-wstawali, i Cervantes di Saavedra, ubogi poeta hiszpański, przekonał się po niedługiej żołnierce, że waryatem ten, co za rycerską cnotą goni w praktycznym XVII wieku, i napisał najzabawniejszą i najsmutniejszą może zarazem książkę, jaką kiedy skreślił duch ludzki: podręcznik czasów nowszych i zwierciadło, w którym każdy kochanek ideału w późnych wiekach dzisiejszych ujrzy własne „smutne oblicze.” Ludzkość gorączkowo rozkupiła książkę i rozśmiała się do rozpuku, i odtąd wie każdy o tém, jak biedny hidalgo z Manszy przezwiał się rycerzem Don Kiszotem, aby wskreszyć dawnych bohaterów i naprawiać ludzkie krzywdy; jak rycerz ów postanowił obrać sobie idealną kochankę, a ta kochanka była naprawdę tylko nicokrzesaną dziewczką i jak wyjechał w świat wraz z giermkim Sancho - Panszą, który dośłownie brał wszystkie Don Kiszota manery i który wierzył święcie w każdy poetyczny wytwór wyobraźni czytanego hidalgi. I każdy wie jako rycerz Don Kiszot rozprawiał jakby jaka mądra książka o literaturze i sztuce, o filozofii i o polityce; jak był filantropem, jak w wielu rzeczach sięgał wzrokiem i rozumem poza swój wiek, i jak mimo to stał się ludzkim pośmiewiskiem. Wierzył, że tak jest naprawdę jak w książce stoi, wierzył, że wiatraki to olbrzymy, a szynkarki to królewny zaczarowane; wierzył, że dosiadł konia latającego, i dotrzymywał święcie danego słowa. Kpili przeto z niego i książęta i furmani, bili go nielitościwie ci, którym chciał uczynić przysługę, i wszyscy słusznie mieli go za waryata, ponieważ nie tylko sam wierzył w poezję i ideały, ale był tak niedorzecznym, że nie wiedział o tém, że inni ludzie dawno w takie rzeczy nie wierzą. A giermek Don Kiszota, chłop nie głupi, czuł jednak wyższość pana-poety, i tém tylko się różnił od niego, że wierząc w jego mrzonki, spodziewał się z tych mrzonek poziomój osobistej korzyści. Wieczny to i prawdziwy obraz tego, co się dzieje, gdy gmin usłuchają głosu wyniosłego marzyciela, i pójdzie za nim tam, dokąd idzie, szukając ideału. Ideał marzyciela okaże się mrzonką, a tam gdzie on szukał zbawienia przyszłych pokoleń, tam gmin znajdzie zysk pospolitego, albo przynajmniej pospolitego zysku ułudną nadzieję.

Więc wielki śmiech Cervantesa odpłoszył widma średniowieczne. A starożytnę wierze w ziemskie szczęście zapóźno było wrócić; kto chrześcijańskie księgi czytał i w chrześcijańskie księgi wierzył, ten nie mógł wierzyć wraz z wcześniejszą Grecją w to, że siła i piękność szczęściem już, ten nie mógł się łądzić wraz ze starym Rzymem, że kto sobie powie niezłomnie, że chce być szczęśliwym, szczęśliwym będzie.

Już w przeszłym wieku, gdy jeszcze odrodzenie nie zewszyskiem przeminęło, rozmyślał długo szlachcic, Franciszek Montaigne, nad tém wszystkim, co mędracy pogaństwa i Ojcowie kościoła popisali o szczęściu i cnocie. Naczytawszy się moc, namyślawszy niemało, przyszedł wreszcie do przekonania, że o tych rzeczach jak o wszystkich rzeczach zgoła, człowiek rozumny tylko w ten sposób może się wyrazić, że się spyta sam siebie, i tych co chcą wysłuchać spowiedzi jego wątplenia:

„Cóż ja wiem?” To nawet nadto śmiałym będzie powiedzeniem, jeśli kto oświadczy i stwierdzi stanowczo, że nic nie wie. A kto wie? może przecież wie? Może się mu tylko zdaje, że nie wie? Wierście ludzie staremu Montaigne'owi; najrozumnięj zrobi ten co powie poprostu: „Cóż ja wiem?”

Gdy niedouk powstanie wśród ludzi i zacznie głośno drukiem dowodzić, że wiara chrześcijańska nie jest prawdziwą, Montaigne go zbije. Darmo go będą zbijać uczeni Dominikanie i Jezuiti; darmo będą piętrzyć sylogizmy i dowody, bo każdy dowód ludzki da się obalić, bo każdemu pewnemu napozór twierdzeniu, da się przeciwstawić równie pewne napozór przeczenie, bo nauka niedowiarka da się bronić taksamo i nie inaczej jak nauka chrześcijanina. Ale Montaigne z niedowiarkiem da sobie radę i nakaze mu milczenie. Niedowiarek musi jedno z dwojga czynić. Albo twierdzi wprost: że chrześcijaństwo jest niezgodne z prawdą, albo ostrożnięj: twierdzi tylko, że chrześcijaństwo nie daje się dowieść, i że przeto nie może być obowiązkiem rozumnego człowieka wierzyć chrześcijaństwu. W pierwszym razie, rzecz oczywista, że niedowiarek się myli i że jest nawet w grubym błędzie; bo jeśli twierdzi że chrześcijaństwo jest niezgodne z prawdą, musi chyba twierdzić że sam zna prawdę. A to być nie może, bo nikt z ludzi nigdy prawdy znać nie będzie; będzie mu się zdawać to lub owo, będzie miał wyobrażenia i przekonania wynikłe z wychowania, z otoczenia, z przyzwyczajęj; ale co z téj strony Pireneów będzie prawdą, będzie kłamstwem w Hiszpanii, i nikt a nikt z ludzi nie może powiedziéć by co wiedział naprawdę. Kto o tém wątpi, niech pójdzie za śladem Montaigne'a, i niech przeczyta to, co mędracy mnogich wieków minionych mówili, i niech się sam przekona o tém, jak się zdaje prawdą to, co każdy z nich pisze wbrew co innego od poprzednika swego. A jeśli niedowiarek twierdzi skromnięj, że nikt nie dowiedzie prawdy chrześcijaństwa, twierdzi rzecz słuszną, skoro nikt nigdy żadnej nie dowiedzie prawdy; ale z tego twierdzenia fałszywy wyciąga wniosek, jeśli mu się zdaje, że dlatego nie trzeba być chrześcijaninem, ponieważ chrześcijaństwa dowieść nie można. Wszak coś robić potrzeba, trzeba mieć jakieś mniemania, trzeba nawet na użytek codzienny mieć jakieś przekonania, bo jak się zdaje, trudno i nieprzyjemnie utrzymać się czas dłuższy na wyżynie filozoficznego wątpienia; a jeśli to ostatnie twierdzenie niezewszystkiém pewne, nikt przynajmnięj, jak się zdaje, nie dowiedzie, by nie było prawdziwém. A że nie zgoda nie da się dowieść, przeto każdy człowiek w każdej chwili wierzy w rzeczy, które się dowieść nie dadzą. I dla czego by kto nie miał wierzyć w chrześcijaństwo? Czy dlatego, że się nie daje dowieść? Jakież to dzieciństwo! Wszak sama nauka Kościoła twierdzi, że ludzkie środki nie wystarczą na to, by wzbudzić w kim wiarę, i że do tego potrzeba pomocy nadprzyrodzonej łaski! Gdyby tedy można było dowieść, że chrześcijaństwo jest prawdą, byłoby to dowodem oczywistym, że jest nieprawdą, bo z tego by wynikało, że można bez cudownej pomocy kogoś uczynić chrześcijaninem, co się sprzeciwia jawnie

nauce Kościoła. Niedowiarek, twierdząc tedy, że chrześcijaństwo nie da się dowieść, nie przeczy bynajmniej nauce Kościoła; zdawałoby się nawet raczej, że się zgadza z tą nauką. Mimo jego prawdopodobnie słusznego twierdzenia, może być chrześcijaństwo prawdą. Mimo to, łaska Boża może i nadal nawracać ludzi i utrzymywać ich przy wierze. Cudownie nawróceni będą tak samo przekonani o tém, że stąpają po drodze, wiodącej do zbawienia, jak każdy człowiek jest przekonany, że człowiek z którym rozmawia takim jak on sam człowiekiem, co czuje i myśli, a nie widmem tylko albo maszyną. Więc próżną i daremną rzeczą sprzeczać się o prawdę chrześcijaństwa z tym, który wierzy, że łaska nadprzyrodzona i zasługa Chrystusa, umożliwiły im poznanie najwyższej prawdy.

Czy sam Montaigne należał do tych szczęśliwych co wierzą? Nie wiem, albo raczej: cóż ja wiem? Może o tém i sam Montaigne nie wiedział napewno. Kiedy przyszła chwila łaski wierzył, gdy nie przyszła wątpił; siedział na wsi, czytał zawzięcie księgi łacińskich autorów, obserwował siebie, i ulegał każdemu popędowi, przekonany że nic innego nikt z ludzi zrobić nie potrafi. Fizyczne usposobienie każdego człowieka, i przyzwyczajenia, których nabrał przez wychowanie, są przyczyną konieczną wszystkich jego uczynków, i darmo się sili czełek bezrozumny, co usiłuje działać nie tak jak go do tego zmuszają fizyczny ustrój własnego ciała, przyzwyczajenia nabyte i wpływ otoczenia. Tym szaleńcem przynajmniej Montaigne nie będzie, bo choć z natury został obdarzony słabym umysłem i ociężałym ciałem, otrzymał wychowanie doskonałe, które pozostawiło w nim nietkniętą naturę ludzką i ochroniło go przeto od trudów, od walki i mgki zrodzonych przez mnogie przesady tego, co ludzie zwą cywilizacją. Wychowany został w największej prostocie, nie nabrał sztucznych potrzeb, ale nie zaznał także srogięj dyscypliny szkolnych pedantów; rósł jak natura chciała i przeto rósł dobrze; nie karano go nigdy w dzieciństwie, nie zmuszano do niczego, ale nie dawano mu też sposobności ani do zawiści ani do zachcianek, a dzięki temu, że nauczył się po łacinie bez trudu, w dzieciństwie od otoczenia swego, mógł tak dokładnie poznać literaturę klasyczną, że wyobrażenia pogańskie zwalczyły w jego umyśle współczesne jemu przesady, nie tak silnie, żeby je zastąpiły, ale tak, że umysł Montaigne'a posiadał wolność zupełną sądzenia wszystkiego i wątpienia o wszystkiém. Jedyną jego wiarą były słowa „que scai-je” i nie namiętnemu Montaigne'owi było dobrze z tém.

Wielką dlań i krotochwilną zabawą było przetrząsanie rozmaitych wyobrażeń o cnocie i przyzwoitości u różnych ludów. Ze sprzeczności ich mógł wnioskować, że wszystkie były zarówno fałszywe i śmieszne, że wszystkie zarówno bezpotrzebnie dręczyły ludzkość, nakładając na nią pęta przeciwnie naturze, i że obyczaj i zasady ludów chrześcijańskich, że przesady honoru, ceremoniał dworów i obrzędy kościoła nie stanowiły w tym względzie wyjątku. Z tém większem zadowolnieniem mógł się Montaigne wywyższać ponad te wszystkie rze-

czy, i żyć tak jak jemu się chciało, niedbając o nic i o nikogo, nie myśląc o jutrze i nie lękając się śmierci.

Gdy widział współczesnych spierających się o subtelne dogmata, wyrrywających sobie konwencyonalne honory, trudzących się całe życie o to, by obrzędami i modlitwami odwrócić trwogę pośmiertną, niezgodnych w rodzinie, zakłopotanych o chleb powszedni, a przecie sadzących się przez próżność na niedorzeczne zbytki, zdawało mu się, że o wiele najrozsudniejszym narodem dzicy owi o czerwonej skórze, których portugalscy żeglarze odkryli byli za morzem w dalekiej Brazylii. Ludzie ci domów nie murowali z wielkim kosztem i kłopotem, nie łożyli sum bajecznych na jedwabie i złotogłowie, nie kłaniali się aż do ziemi przed królami świata i nie odmawiali nudnych pacierzy ze strachu przed śmiercią. Kilka słupów wbił chłop tęgi do ziemi i pokrył szaląs liśćmi palmowemi i tak powstał pałac, ponad który niczego sobie nie życzyło pokolenie; mieściło się w nim kilkadziesiąt ludzi, i nie było im ciasno, bo wiatr zewsząd przewiewał i dęszc niebieski padał na nagie ich ciała przyrodziane w pióra i muszle, i ozdobione głębokimi ranami, które dzicy sobie zadali dobrowolnie, niedbając o ból, przed którym się lęka żałośnie i chroni troskliwie człowiek biały, nieszczęśliwy niewolnik własnej wygody. I rodziny nie znają ci brazylikańscy szczęśliwcy, ani państwa, ani rządu, i nie znają przeto sporów małżeńskich, fałszowanych testamentów, nieznośnych procesów i długiej etykiety dworów. Wojnę znają, wojną się szczyca, ale wojna dla nich to przednia zabawa; wojna to tylko dzielne, najszlachetniejsze polowanie; gdy ułowią mieszkańca innego szalasu, karmią go dobrze, a karmiony śpiewa pieśni, w których urąga sobie z wrogów; potem gdy jeniec dojdzie do wymaganiej tuszy, tną go zwycięzcy, śpiewając, żywcem na sztuki, i on do ostatniego tchu śpiewa i urąga zwycięzcom i śmierci; wreszcie gdy skona, upieką go na wielkim ogniu, tańcząc dookoła ludzkiej pieczeni, i zjedzą potem radośnie, pewni, że żaden z nich nie dozna hańby innej śmierci i innego pogrzebu. Powtarzając taką opowieść żeglarzy, podziwiał dzikich Montaigne, i twierdził, że dlatego chyba nazywamy ich dzikimi, ponieważ nie noszą spodni takim krojem jak Francuzi. Ale że Montaigne znał dobrze naturę ludzką i moc przyzwyczajenia, nie spodziewał się bynajmniej, by biali mogli wrócić do szczęśliwego stanu ludów amerykańskich, i wcale nie namawiał rodaków swych do tego, by odmienili swoje obyczaje, wiedząc naprzód, że wszelkie namowy musiałyby pozostać bez skutku.

To też ludzie, którzy przyszli po Montaigne'u i we Francji i w całej Europie, żyli życiem dworskiem i konwencyonalnym, jeśli należeli do owych warstw wyższych, co wyrosły z wyobrażeń średniowiecznych i co nie szukały już ani dawniej świętości, ani tego honoru pracy, co stał się honorem mieszczaństwa u schyłku wieków średnich; a o tyle tylko ludzie ci szli za przykładem i nauką Montaigne'a, że niekamali sobie głowy nad metafizyczną jakąś cnotą, i że żyli poprostu tak, jak im

się zdawało że będzie najprzyjemniej żyć, na tym tu świecie, na jedynym świecie, który można znać dokładnie.

Ideałem wieku był król francuzki Ludwik XIV. Nadewszystko lubił panowanie i wszystko miało mu przypominać nieustannie, że panuje, że stoi powyżej tłumów jak posąg na kolumnie; więc we wszystkim różnił się od zwyczajnej śmiertelnej trzody i chciał, by otoczenie blizkie króla różniło się podobnie od tłumu. Ani król, ani dworzanie nie miał tak wyglądać, jak człowiek pospolity; mieli być wykwinutymi, ogładzonymi tak, jak marmur pałacowych schodów; głowa mężka miała być, o ile to być mogło, podobną do niewieściej; ogromna peruka zastępowała niewieście kędziory; wstążek i koronek co niemiara stroiło dworzanina; ręka jego nie wychodziła nigdy z rękawiczki, a rozmowa pana i pani dworskiej była zazwyczaj mieszaniną wymuszoną conceptów i madrygałów. Król sam madrygałów nie używał: było to poniżej jego godności; i rozumniejsi na dworze poeci i pisarze dworscy unikali także migotliwych wykrętasów makaronicznej mowy zwyczajnych światowców; ale i oni mową różnili się od narodu; małą tylko ilość słów używali i bodaj czy to, że nie przepuszczali przez usta innych, jak tylko dworskie wyrazy, nie było główną ich cnotą, czyli raczej używając stosowniejszego i współczesnego wyrazu, główną ich przyzwoitością; bo na dworze Ludwika XIV nie chodziło ani o to, by ludzie byli cnotliwymi, jak za starożytności, ani o to, aby byli świętymi lub rycerskimi, jak za średnich wieków; chodziło jedynie o to, aby byli przyzwoitymi.

Człowiek przyzwoity przedewszystkiem winien był nikogo nie nudzić i dobrze tańczyć menueta; zlekka kpił z bliźniego swego poza plecyma jego, by towarzystwo bawić; ale nie roznosił plotek i nie mówił nikomu nie przyjemnego w oczy; nie dysputował, nie wpadał w ferwor, nie unosił się. Człowiek przyzwoity żenił się wprawdzie, ale nie ważył romans z cudzą żoną; przyzwoita dama musiała mieć amanta; chodziło o to tylko, by zachowała zawsze owe znamiona wstydu, które wzmagają urok niewieści i chodziło o to, by zbytkiem kokieteryi nie niecić sporów, nie zawodzić nadziei, nie mącić salonowego pokoju; jeśli niewiasta obok tego rozinawiała dowcipnie i nie nadto wymuszenie, jeśli pisała zręczne listy, jeśli się ubierała dobrze i jeśli w dewocy zachowywała właściwą miarę, była wzorem dworskiej damy.

Z tą bo dewocją była rzecz trudna, był bo kłopot istotny. Należało się być we Francyi dobrym katolikiem, tak jak w Anglii było rzeczą jedynie przyzwoitą należeć do kościoła episkopalnego. Król sam chadzał na mszę pilnie i wtedy klęczał na ozdobnym klęczniku pośrodku nadwornej kaplicy w Wersalu, twarzą obrócony do wielkiego ołtarza, a dworzanie otaczali go półkolem, twarzą zwrócony do króla, plecami obrócony do przenajświętszych Tajemnic; król sam miał spowiednika i chętnie słuchał potocznych i potężnych kazań księdza biskupa z Meaux, Bossueta, więc i kawaler każdy i dama każda winni byli codzień chodzić do kościoła, winni byli mieć nietylko spowiednika, ale

prócz tego domowego „dyrektora,” gładkiego księdza, co napominał niezbyt natarczywie, winni byli nawet odbywać od czasu do czasu re-kolekcyę w jakimś eleganckim i bogatym klasztorze. Ale zbytek gorliwości w wierze był rzeczą wielce nieprzyzwoitą; kto z nabożeństwa nie podzielał zabaw współczesnych, kto z nabożeństwa nie miał miłośnej intrygi, kto z nabożeństwa ganił świata obyczaje, kto się strojem różnił nabożnie od innych i nudnie dnie całe przepędzał w kościele, kto nie brał udziału w szepтанej rozmowie, w której dworzanie stwierdzali, że Bossuet człowiekiem wymownym, że po klasztorach bywają doskonałe obiady, że katolicyzm rzeczą świętą i przyzwoitą; ale że jednak zupełnej pewności niema, czy wszelka religia nie jest ludzkim wymysłem, ułożonym na to, aby tłumi utrzymać w posłuszeństwie przed możnymi: kto to wszystko czynił, ten nie był wcale człowiekiem przyzwoitym, ten był dewotem, bardzo zniechęconą i śmieszoną istotą. Jeśli był mężczyzną, mówiono powszechnie, że udaje gorącą wiarę na to tylko, by zdobyć sobie łaskę króla jegomości i dworzan; jeśli był niewiastą, szepitano sobie na ucho, że dlatego tylko niema żadnego stosunku ze świeckim kawalerem, ponieważ jest z księdzem dyrektorem w nadto wielkiej zażyłości; więc kto dbał o przyzwoitość i o dobrą sławę, ten winien był się jaknajostrożniej obchodzić z nabożeństwem.

Jaśniejszą sprawą to, że kawaler dworski winien być biegłym w wojennej sztuce. Wszak król sam, niezrównany Ludwik, lubił wojnę i w niej upatrywał główne źródło chwały. Nie była to wojna dawniejszych i późniejszych czasów, nie była to straszna wojna, w której cały naród staje do boju pro aris et focis, a była to wojna uczona, etykietalna, co nie wzywała całego narodu do broni, co powoli wysysała soki narodu tego, zabierając coraz nowe daniny na mundury i broń; było to mądre manewrowanie żołnierzy z zawodu pod wodzą oficerów z rodu; było to umiejętne obleganie fortec i staczanie krwawych, uczonych i wcale nie stanowczych bitw. Wodzowie nie szli nigdy śmiało naprzód, oficerowie przez zimę spoczywali w domu wśród rodzin po dworach wiejskich, król zrzadka w złoconej kolasie, wraz z metresą, bez której się nie mógł obejść majestat królewski, przyjeżdżał do wojska; po wielu latach państwo nabyło kilka fortec granicznych, a naród zostawał w dawnym stanie, natraciwszy tylko wiele mienia; ale kaznodzieje królewscy i królewscy poeci mogli głośno wynosić królewską chwałę, a kawaler każdy mógł dodać do annatów rodzinnych kilka wspomnień o czynach wojennych.

Więc na to, by się przypodobać królowi i na to, by uczynić własny ród świetniejszym, służył kawaler każdy, jako oficer, wojskowo. Prócz tego popychał go do tego wzgląd ważniejszy; tylko służbą orężną odróżniał się kawaler stanowczo od adwokata, od dzierżawcy dochodów państwa i od członka francuzkiego sądowego parlamentu; tylko różnica między mieczem i togą oddzielała dwór od owego miasta, co się pięło do góry, co łaknęło władzy, znaczenia i równości z rodową szlachtą. Więc tak jak zamożne mieszczaństwo usiłowało być we wszystkiem

równie przyzwoitóm jak szlachta, tak szlachta lgnęła témbardziej do miecza, chcąc się odróżnić od mieszczaństwa.

Świat ten opisał najlepiej może La Bruyèr, życie to naśladowały wszystkie dwory Europy, a filozofią życia tego wypowiedział La Rochefoucauld. Według niego nikt nie działał z innych przyczyn, jak tylko dla używania, albo dla próżności; a może z tych dwu sprężyn próżność była najsilniejszą. Poświęcenie, honor, miłość bliźniego, wszystko to były tylko frazesa ludzi żądnych pochwały; dla pochwały, dla rzeczywistego lub urojonego poklasku był każdy człowiek gotów wszelką poświęcić wygodę i nawet ponieść śmierć; gdzie nie było nadziei pochwały, albo obawy nagany, tam każdy żył tak, jak mu najwygodniej było. Każdy tak żył, powiadam, i nieinaczej żył ten, co był dla wszystkich wzorem, król Ludwik XIV. Wygodne pokoje, cieniste ogrody, piękne metresy, to rzeczy, których nikt nie ganił i nie chwalił u kogo innego, jak u króla Francyi, więc rzeczy te pozwalał sobie król dla rozkoszy; zresztą dla chwały słuchał poetów, kupował obrazy, prowadził wojny. Dla chwały żądał król, by narody wiedziały, że nie jego woli się nie oprze. Palatynat niemiecki kazał spalić i spustoszyć do szczętu, by wzbudzić w Niemczech i postrach i podziw; a gdy mieszkający gór Seweńskich nie chcieli się tak samo modlić, jak król Francyi, kazał wylać drzewa ich domów, kazał porwać ich dzieci, kazał ich bić i więzić, a wreszcie zabrawszy ich mienie, kazał ich wyrzucić poza granice kraju. I to winno było ludziom XVII wieku posłużyć za dowód oczywisty, że rzeczą zdrową i nieprzyzwoitą nie słuchać woli królów, których Bóg przełożył ponad narody tój ziemi. Rzecz tę wyłożył zresztą uczenie myśliciel angielski Hobbes. Człowiek dla człowieka, rzekł, wielkim jest. Stan wojny wszystkich ze wszystkimi naturalnym stanem rodzaju ludzkiego. Każdy człowiek czycha na zgubę bliźniego swego, pewny, że korzystać będzie ze zguby tój. Że tak, a nie inaczej jest, dowodem środki ostrożności, któremi każdy człowiek się otacza na to, by nie uleść przemocy i podstępowi bliźnich. Miasto każde było za dni Hobbes'a otoczone murem na dowód tego, że się spodziewa wciąż najazdu nieprzyjaciela. Gdy noc zachodzi i gdy się rodzina i domownicy do snu układają, głowa rodu zamyka drzwi na klucz, na dowód oczywisty, że i pośród utwierdzonego miasta oczekuje co chwila napadu rodzimego wroga, złodziei; i niedość na tém: człowiek nim usnie, kładzie pugilares pod poduszkę, a dobrze i szczelnie zamyka kasę, pewien, że i pośród domowników ma wrogów, co pragną korzystać z jego szkody; a gdy kto się wybierał w drogę, gdy kto choćby tylko wychodził na ulicę, brał z sobą broń i do zaczepki i do obrony.

Takim był stan cywilizowanych już społeczeństw za dni Hobbes'a. Stan ten był już znaczym postępem w porównaniu ze stanem natury; człowiek w stanie dzikim jest zawsze albo zwierzęciem drapieżnym, albo zwierzęciem ściganym; człowiek w stanie nawpół cywilizowanym niema najmniejszej pewności jutra i nie wie, czy ładachwila nie straci życia, mienia, albo wolności; i nie siły martwe natury, i nie bezrozumie

zwierzęta zagrażają wciąż bytowi barbarzyńskiego człowieka; zwierzęta już dawno przezeń pokonane, przed siłami natury martwéj znalazł już ochronę, a tylko najzaciętszy wróg człowieka, człowiek drugi, nastaje wciąż na jego szczęście. Tylko przemocą da się złość ludzka ująć w ryzę; tylko tam, gdzie jest mocarz, przed którym wszyscy drżą, jest pokój, jest szczęście, może powstać cywilizacya.

Taką przemoc posiadli na ziemi królowie. Oni są panami poddanych swych i całego ich mienia, a naród, ziemia i bogactwa ziemi są ich mieniem i ich dobytkiem; więc podobni do dobrych pasterzy, dbając o własne szczęście i własne bogactwo, dbają o dobrobyt i pomyślność dobytku swego, trzody poddanych. Stanowią tedy nad nimi prawa, których nikt nie śmie naruszyć. Rozgraniczają ziemię i pozwalają niektórym uprawiać pewne role, z których biorą dla siebie to, co im się podoba, zostawiając resztę tak zwanemu właścicielowi; innym dają na własność inne dobra, z których uprawy i obrotu ma powstać dobro ogółu. Ale myli się ten, co myśli, że własność poddanych jest prawdziwą własnością, podobnie jak tenby się mylił, ktoby przypuszczał, że poddany, który nie siedzi w więzieniu, jest naprawdę wolnym. Własność zupełną ma tylko król i wszystko w państwie jest jego własnością; wszystko może zabrać, darować, zniszczyć bez niczyjéj krzywdy. Wolność zupełną ma tylko król i prócz niego człowiek dziki, co jest ściganą i nieszczęśliwą zwierzyną wśród lasu; wszyscy ludzie cywilizowani są niewolnikami królewskimi; może ich zabić, może ich umęczyć, może ich sprzedać w niewolę, gdy zechce; nie mają wobec niego żadnych praw, on im nie może wyrządzić krzywdy. To, że żyją, że coś posiadają, że są spokojniejsi i szczęśliwsi od dzikich, jest tylko skutkiem królewskiej łaski i w zamian za tę łaskę winni królowi ślepe posłuszeństwo i to posłuszeństwo jedyną poddanych cnotą. Król nie może nie być cnotliwym, skoro pełnienie jego woli zawsze cnotą i to tylko cnotą. Niema innego dobra, niema innéj cnoty, niema innéj możności szczęścia.

Myliłby się ciężko ten, coby myślał, że mogą zajść wypadki, w których człowiek winien przez posłuszeństwo dla Boga być nieposłusznym wobec króla swego. Żaden człowiek nie może wiedzieć naprawdę i napewno, jaką jest wola Boża i wierząc w jakąkolwiek religią, nie może żaden wiedzieć, czy to łaska Boża, czy błąd przyrodzony, czy ułuda szatańska w nim tę wiarę zrodziła. Żaden tedy człowiek nie może sobie zasłużyć ani na potępienie, ani na zbawienie wieczne i o tych zgoła niedostępnych rzeczach nie powinien żaden człowiek myśleć. Natomiast każdy wie, że sprzeciwiając się woli królewskiej, zasłuży sobie na ciężkie kary; nie chcąc tedy błędzić, winien wyznawać religią tę, którą król ustanowi i winien o tyle tylko wykonywać przykazania téj religii, o ile król tego zażąda. Bo król jest nietylko panem samowładnym ciał i majątków: jest także panem sumienia swoich poddanych. A na to, by nie być źle zrozumianym, muszę tylko dodać, że należy się rozumieć przez króla Hobbes'a nietylko monarchę, ale w o-

góle każdą zwierzchniczą władzę, ustanowioną w państwie jakimś. Podobnie nieomylnym jak król bywa po Rzeczachpospolitych Senat rządzący, bywa nawet demokratyczne Zgromadzenie ludowe, ilekrotnie występuje jako zwierzchnik państwa. Hobbes wprawdzie myślał, że najlepszą formą rządu monarchia; ale główną zasadą, w której obronie występował, było to, że pierwszym i jedynym obowiązkiem każdego obywatela bezwzględne i ślepe posłuszeństwo dla ustanowionej władzy.

Hobbes mówił tylko, że rzeczą obojętną, mówiąc po ludzku, jaką religią król w państwie swoim ustanowi, skoro nikt nie może nigdy wiedzieć, jaka religia jest najlepszą. Żyd holenderski Spinoza twierdził przeciwnie, że można napewno znać najwyższą religijną prawdę, nie uciekając się do żadnej dogmatyki i do żadnego objawienia i że ta prawda nas poucza o tém, że można i trzeba tylko szczęśliwie, spokojnie i cnotliwie żyć na ziemi, nie myśląc o kwestiach metafizycznych i trzymając się drogi, którejby i Hobbes nie zganił.

Od niedawna postawił był Descartes filozoficzną i ostateczną granicę powszechnemu wątpieniu Montaigne'a. Stwierdził istnienie pewności, o której Montaigne także nie wątpił; stwierdził, że każdy człowiek wie o sobie i o własnych wrażeniach, myślach i uczuciach. Ta samowiedza jednak nie jest znajomością dokładną całego człowieka, o którym każdy z nas w potocznej rozmowie mawia: ja. Możemy śnić o tém, żeśmy przystożeni w drzewa, albo w zwierzęta i że mamy wtedy roślinne, lub zwierzęce ciała; któż nam tedy ręczy za to, że kiedy nam się widzi, że mamy ciało ludzkie, nie ulegamy złudzeniu, nie śnimy na jawie? My wiemy naprawdę o tém tylko, że jest w nas coś, co czuje, co poznaje, myśli i wątpi; to coś jest naszą istotą w najściślejszym tego słowa znaczeniu, jest naszą substancją, o której wiemy napewno, a uczucia rozmaite tej substancji są przypadkościami jej, czyli jej akcydencyami. Kto chce świat zewnętrzny znać naprawdę, ten musi sobie zdać sprawę z tego, co jest jego substancją, podobną do substancji naszej o tyle, o ile jest jego istotą, o ile jest podstawą, do której lgną dopióro akcydencya, czyli zjawiska pojedyncze. Taką substancją jest np., jak myślał sam Descartes, przestrzenność, czy, mówiąc może lepiej po polsku, rozległość ciał. Istotą ciał to, że są rozległe, a to, że są ciężkie, barwne, smaczne i t. d., to tylko ich przypadkości, to tylko akcydencya tej substancji.

Descartes i jego bezpośredni uczniowie odróżniali dwie substancje, czyli raczej dwa rodzaje różnorodne substancji: substancje duchowne i substancje materyalne, czyli przestrzenne; a gdy chodziło o definicyą słowa: substancja, mówili: substancją jest to, co jest przyczyną własną i przyczyną wszystkich atrybutów swoich; a gdy kto, chcąc zrozumieć tę niejasną definicyą, pytał się dalej o to, co oni rozumieją przez przyczynę? odpowiadali, że przyczyną to, co skutek tłómaczy.

Definicje to niejasne, niedostateczne, bałamutne, fałszywe; ale żadną miarą nie możemy tu się wdawać w zbijanie tych definiicy. To tylko musimy zaznaczyć, że niepodobieństwem było wytłómaczyć zwią-

zek wzajemny między mnogimi i to poczęści różnorodnemi substancjami zapomocą tych definicyi; niepodobieństwem było np. wytłómaczenie powstawania naszych pojęć wskutek wrażeń zmysłowych; niepodobieństwem było zrozumienie powstania naszych wyobrażeń o rzeczach zewnętrznych, zmysłowych, inateryalnych; niepodobieństwem było zrozumienie władzy, którą posiada owa wewnętrzna istota nasza, gdy rozkazuje ciału i gdy ruchy ciała wywołuje i powoduje. Jeśli bo wyobrażenia nasze o świecie zewnętrznym są wyobrażeniami o rzeczach rzeczywistych, powstałami wskutek oddziaływania tych rzeczy na zmysły nasze, przyczyną powstania tych wyobrażeń w wewnętrznej duchownej naszej substancji nietylko ta substancja, ale zarazem także i rzecz zewnętrzna, substancja obca, która na naszą substancją oddziałuje. Stan naszej substancji tedy, to jest substancja nasza w danej chwili, nie jest wyłącznym skutkiem naszej substancji, tylko jest poczęści skutkiem obcej substancji; nasza substancja tedy w danej chwili nie jest substancją naprawdę, a co najmniej, nie jest substancją własnych atrybutów.

Aby tę trudność rozwiązać, musiano się uciekać do najdziwniejszych teorii; kazano Bogu robić co chwila nowe cuda na to, aby dusze odczuwały obce im zupełnie zmiany ciał i mimo to nie usuwano trudności. Zdrowy rozsądek ludzi XVII wieku nie dawał im przeczyć rzeczywistości zewnętrznego świata, a filozofia Descartes'a, która się wnet stała powszechnie modną, nie dawała sposobu zrozumienia tego, jakim my sposobom możemy wiedzieć o rzeczywistości tego świata.

Baruch de Spinoza postanowił wydobyć się z filozoficznej matni, przyjmując istnienie jednej tylko substancji wszechrzeczy. I skoro tylko kto przyjmuje definicyą Kartezyańską substancji, musi wraz ze Spinozą przyznać, że jedna może być tylko wszechrzeczy substancja, albo że wcale niema substancji. Ostatnie twierdzenie byłoby się Spinozie wydało zaprzeczeniem rzeczywistości świata i absolutnym nonsensem; musiał tedy uwierzyć, że cały wszechświat da się wytłómaczyć zapomocą jednej formułki, tak jak można wszystkie własności trójkąta wywnioskować z jego definicyi. Definicji téj, co jest wszechrzeczy podstawą i istotą, nie znał wprawdzie Spinoza; ale zbudował cały system filozofii na tém tylko przypuszczeniu, że taka definicya istnieje i system ten arcykonsekwentny nazwał etyką, to jest nauką o cnocie i występku. Sądząc z tytułu, powiunibyśmy cały system tu wyłożyć; tak nie jest jednak, skoro większa część systematu jest przeciwieście czysto metafizycznej natury; wyjmiemy z nauki Spinozy to tylko, co tłómaczy stanowisko człowieka wśród natury, jego przeznaczenie i zadanie jego życia.

Ową definicyą najwyższą świata, to coś, z czego świat cały wynikiem, to coś, co wszystkich rzeczy substancją i czego wynikiem tylko i znamionami tylko wszystkie rzeczy na świecie, nazwał Spinoza Bogiem. Człowiek tedy, według Spinozy, nie jest niczém inném, jak tylko wynikiem, czyli znamieniem Boga, jest własnością istoty Bożej.

Z gry koniecznej sił ukrytych w Bogu wynikł także człowiek; powstały uczucia pewne, pojęcia, wyobrażenia, powstały namiętności i hucie, powstały siły, które w połączeniu swoim są człowiekiem; człowiek, to skomplikowany wynik gry koniecznych sił; myśl każda człowieka, uczucie jego, ruch jego każdy, jest nieubłagane koniecznym wynikiem istoty wszechświata; człowiek działa tak, jak działać musi i wierzy w to, w co wierzyć musi; przekonanie nasze o tём, że mamy wolną wolę, jest tylko koniecznym złudzeniem; soki nasze krążą podług praw niezmiennych matematyki wszechświata, a uczucia nasze, myśli nasze i pragnienia nasze powstają i ustępują w miarę krążenia soków tych.

Ale tём różni się człowiek od innych rzeczy, że on sam jeden jest atrybutem Bożym, w którym powstaje miłość Boga. Sam jeden tylko człowiek poznaje świat, rozumie świat ten i rozumiejąc, staje się sam podobny do świata tego; nie ciało jego staje się do świata podobnym, ale umysł jego przybiera postać Boga; w niём odzwierciedla się coraz to większa część tego wszechświata, co jest Bogiem; on się staje coraz większą częścią wszechświata tego, gdyż umysł nie jest niczём innym, jak tylko sumą własnych pojęć; on coraz bardziej umie mnożąc pojęcia wytkómaczy jednём pojęciem wyższём; on coraz to więcéj zbliża się do stanu tego, w którym posiadzie Boga i w którym wszechświat cały jedną prostą myślą wytkómaczy. Nie z własnej zasługi, z konieczności powstają myśli i pojęcia w człowieku i miłość Boga powstaje w człowieku z konieczności; ale w miarę tego, jak wiedza wzrasta, wzrasta i pragnienie dalszej wiedzy, wzrasta miłość Boga, wzrasta cnota. Cnotą jest najpierw owa miłość Boga; tu zgadza się Spinoza z teologami chrześcijańskiego, muzułmańskiego i żydowskiego świata, jeśli chodzi tylko o brzmienie słów; ale jeśli chodzi o rzecz samą, różni się od nich stanowczo, skoro tą miłością Bożą, o której mówi, nie jest poświęcanie się ciągle dla bliźnich, albo dla nadziemskich istot, a jest naturalne, mimowolne, spokojne poznawanie świata i jego natury.

Gdy człowiek dojdzie do wysokiego stopnia miłości Boga, potrafi być szczęśliwym, co więcéj, będzie koniecznie szczęśliwym; znając naturę świata, będzie stosował czyny swoje i myśli do téj świata natury; nie nastąpi tedy nigdy sprzeczność między jego wolą, a tём, co na świecie stać się musi; ominie przeciwności, nie będzie pragnął niepodobieństw, nie narazi się na niepowodzenia i w spokoju będzie żył tak, jak na człowieka żyć przystało, badając, poznawając i obcując z ludźmi wśród niezamąconego spokoju. Będzie szukał przyjaciół, których jednak nie ukocha zbydt namiętną miłością, ale z którymi będzie spokojnie i przyjemnie spędzał chwile wolne od pracy; niemniej jednak postara się o to, by stał na własnych nogach i nie potrzebował się oglądać na cudzą pomoc, co często zawodzi i którą nieraz trzeba upokorzeniem okupywać; więcéj jeśli kto nie odziedziczył dostatecznego majątku, winien się nauczyć jakiegoś rzemiosła, które mu zapewni byt i umożliwi w chwilach wolnych od pracy chlebobójną badanie spokojne prawdy, nakazane przez miłość Boga; w interesach będzie człowiek rozumny

punktualnym i uczciwym, bo ten tylko, kto jest punktualny i uczciwy, znajdzie wiarę niezbędną do powodzenia; w ogóle na to, by mózdz działać bezpiecznie wśród ludzi i posiadać ich zaufanie, należy się zawsze prawdę mówić; kiedy można, trzeba ludziom robić przysługi, obowiązując ich przezto do wzajemności; nigdy nie trzeba się mścić za doznaną krzywdę, bo zemsta na nic się nie przyda, bo będzie kosztowała niemało nieużytecznego trudu i niemało straty czasu, bo nie wzmoże w niczém wiedzy, bo zrodzi nową zemstę i bój ciągły, co zniszczy zewszystkiem nasz spokój. A przedewszystkiem, a nadewszystko trzeba się we wszystkiem stosować do praw państwa, w którém się mieszka, bo człowiek pojedynczy nie zdoła przemódz społeczeństwa i musi sprowadzić nieszczęście na swoją głowę, gdy się społeczeństwu sprzeciwi. Będzie tedy uważał za cnotę to, co zwierzchność cnotą nazwie, a nazwie występkiem to, czemu zwierzchność to imię nada; będzie wykonywał te obrzędy religijne, których się będzie zwierzchność domagać i będąc tak posłusznym, będzie rozumnym, będzie naprawdę kochał Boga i będzie szczęśliwym.

Wiek XVII, o ile nie był ściśle chrześcijańskim i kościelnym, wierzył, że wcale nie trudną było rzeczą być szczęśliwym; aby być szczęśliwym, dość było żyć podług natury, dość było żyć rozumnie, a jeśli kto się skarżył na to, że przecie ciężko na świecie, dowodził tylko zaślepienia i nieuctwa. Posłuchajmy tylko Niemca Leibniza, a dowiedzie nam wyraźnie i biało na czarném, że nieszczęścia niema wcale na świecie, że wszystko jest najlepszym w najlepszym możliwym świecie i że to nawet jest obłudem, gdy kto przypuszcza, że jest na świecie moralna złość. Niema nic złego ani w świecie moralnym, ani w świecie fizycznym i wszystko, co jest, dobrém jest. Wszak dobrém być musi, skoro wszystko, co jest, urządził Bóg, nie Bóg Spinozy, bo któż zechce uczynić z Boga matematyczny aksyomat, a z siebie formułkę wynikłą z tego aksyomatu? ale Bóg osobisty, co jest królem i panem osobistych duchów bez liku, duchów takich, jak my, substancjami rozmaitych i mnogich, substancjami prawdziwych, podobnych do tej, co jest naszą istotą i o której samęj jednę tylko możemy napewno wiedzieć, jak to dowiódł Descartes. Każdy duch, każda istota, każda substancja istnieje osobno i istnieje sama dla siebie, bez styczności jakiegokolwiek z jakąkolwiek inną substancją. Mimo to Leibnitz wierzył tak, jak my wszyscy wierzymy, że to, co my uważamy za świat rzeczywisty, jest istotnie rzeczywistym światem i że te wyobrażenia, które powstają w naszej istocie umysłowej bez wpływu innych istot, są wyobrażeniami, którym odpowiada rzeczywistość; wierzył, że wyobrażenia, które same przez się powstają w innych istotach, są współcześnie zgodne z wyobrażeniami naszymi; wierzył, że istnieje jakaś tajemna i odwieczna harmonia, ustanowiona od początku i w sposób nam niepojęty narzucona wszystkim istotom przez Boga, według której myśli i pojęcia wszystkich istot rozwijają się zupełnie zgodnie. A harmonia przez Boga ustanowiona,

to koniecznie wszechpięknio i wszechdobro, a że wszystko, co jest, tą harmonią tylko, przeto wszystko, co jest, jest boskie, piękne i dobre.

Cierpisz, umierasz, bolejesz! Czyż myślisz, że to wszystko jest czémś niedobrem? Jeśli tak myślisz, mylisz się oczywiście, bo bez bólu i śmierci nie mogłoby być życia i rozkoszy, warunków szczęścia. Wszak bez cienia światłoby się na nic nie przydało, byłoby niewidomym, jednostajnym, byłoby blaskiem, w którym niemasz żadnego kształtu; cień dopiero czyni światło widomym; cień dopiero światło umożliwia; cień dopiero czyni światło światłem naprawdę i źródłem poznania ciał kształtnych i barwnych; światło pełne, to białość bezkształtna i ćmiąca; cień dopiero rysuje postacie, ubytek światła tworzy dopiero barwy. To samo da się powiedzieć o zimnie i ciepłe; wszak wiész, że czujesz ciepło wtedy tylko, gdy się twoje ciało ogrzewa, to jest gdy staje się mniej zimnym; gdyby tedy wszystkie ciała były absolutnie i jednakowo gorącemi, byłby tylko skwar martwy; niktby nie czuł ciepła i gdyby zimna wcale nie było, nie mogłoby być i ciepła na świecie.

Chcieć, aby wszystko było życiem i aby nie było rzeczy martwych, to oczywiście znaczy tyle, co chcieć, aby życia nie było wcale; bo życie jest przecie tylko wcielaniem cząstek martwych do organizmu i wydzielaniem tychże cząstek z organizmu. Tak samo zupełnie nie byłoby bez bólu żadnej radości, żadnej przyjemności, żadnej rozkoszy; rzecz na oko wydaje się paradoksalną, ale gdy się jej bliżej przypatrzemy, przekonamy się, że rzecz nietylko jest prawdziwą, że jest oczywistą. Bo czémże radość? Oto uczuciem, które nas opanuje, gdy stan ciężki, smutny i nieszczęśliwy przemienie, albo gdy stanie się zadość dłuższej i bolesnej tęsknocie, albo gdy się okaże, że obawa jakaś była daremną; słowem, radość jest to uczucie, które zawsze wtedy tylko następuje, gdy długa boleść przemienie i czém większą i czém dłuższą była boleść, tém większą będzie radość; Bóg tedy, chcąc mieć na świecie wiele radości i wielkie radości, ustanowił wiele boleści i wielkie boleści, upragnionych radości konieczne przyczyny. A gdy się spytamy: czém rozkosz? przekonamy się, że bywa tylko ukojeniem bólu, albo nasyceciem chuci. A że chuć także cierpieniem, więc rozkosz ciała byłaby tak samo niemożliwą bez cielesnej boleści i choroby, jak radość duszy byłaby niemożliwą bez duchowego cierpienia. Przypomnij sobie wszystkie możliwe rozkosze cielesne, a przekonasz się, że są rozkoszami tylko, kiedy następują po silniejszym lub słabszym cierpieniu.

Jedynym napozór wyjątkiem używanie, które sprawia widok piękną. Zdaje się, że to używanie, częstokroć bardzo wielkie, nie poprzedzone żadnym cierpieniem; ale tak zapewne naprawdę nie jest i gdybyśmy tylko najtajniejsze sprężyny duszy naszej znali, wiedzielibyśmy, że pewne poczucie brzydoty gniecie nas w sposób bolesny i że przyjemność, którą sprawia widok piękna, jest tylko uwolnieniem od téj boleści.

Podobnie i dobro moralne jest tylko możliwem w skutek tego, że istnieje zło moralne; grzech poprzedza koniecznie dobry uczynek.

Cnoty nie byłoby, gdyby nie było występku. Czémby się mogła jawić sprawiedliwość, gdyby nie ukrócała krzywd zrodzonych przez tysiączne niesprawiedliwości ludzkie? Czémby była wspaniałość, gdyby nie była ławtem przebaczeniem nędznych uraz? Czémby się objawiała miłość chrześcijańska, gdyby nie goiła ran zadanych przez występki? Czyż mądrość nie jaśnieje tylko dzięki istnieniu bezrozumu? I czyż pobożność prawdziwa nie objawia się przezwyciężaniem własnych złych popędów?

Świat jest tedy najlepszym możliwym światem. Zło jest tylko ogniwem koniecznym w łańcuchu przyczyn i skutków, z którego powstała wszechrzeczy harmonia; i kto żyje rozumnie wedle praw natury, ten nie potrzebuje się obawiać grzechu i cierpienia; bo grzech i cierpienie staną się dla niego tylko środkiem do szczęścia i cnoty.

Takim-to optymizmem pocieszał Leibnitz tych, którzy znajdowali w XVII wieku, że i ten co prawa szanuje i żyje wedle natury swęj, przecieź jeszcze szczęśliwym nie będzie; i tak to Leibnitz dowodzi, że nawet występki wypływający koniecznie z natury ludzkiej, nie jest złem i jest tylko umożliwieniem moralnego dobra, to jest cnoty. Inaczej uniewinniał występki Holender Mandeville, który zasłynął w pierwszych latach XVIII wieku.

Według niego nie było wcale występku w tym najlepszym świecie pośród wszystkich światów; stare to tylko przesady przeżywały występkiem pewne czyny, niemniej konieczne i niemniej dobre od innych czynów, przewanych dobrmi uczynkami; można to było twierdzić ze stanowiska religijnego, skoro czyny czysto ludzkie były same przez się obojętne, a tylko łaska Boża, albo bez naszej zasługi przez Boga w nas zbudzona wiara, same jedne miały jakąś wartość moralną. Ale zważywszy, że ludzkim rozumem i bez cudu Boskiego zmiłowania, nikt nie znajdzie prawdziwej wiary, więc Mandeville wcale nie z teologicznego stanowiska bronił swojej zuchwałej tezy; podobnie jak wszyscy współcześni, badał rzecz zupełnie po ludzku, tylko zapomocą przyrodzonego światła rozumu ludzkiego i tak jak gdyby niewyznawano wcale chrześcijańskiej religii w Europie. Otóż według niego, wszystkie występki tak zwane, były użytecznymi czynami, które się przyczyniały bezpośrednio do tego, by się społeczeństwu, jako całości, dobrze działo, a wszelka krytyka moralistów była tylko drobnostkowym sarkaniem małych i nieoświeconych umysłów.

A najpierw purytanin i katolik, zarówno potępiają w zaślepieniu swém człowieka, co nie dba o żadną religię, co dogmatom objawionym przeczy, i nie uznaje Boga, nie wierzy w nieśmiertelność i bezcielesność duszy. A przecieź dla nieprzesadnego umysłu, człowiek taki niemniej użytecznym od swoich przeciwników. Oni budząc obawy i nadzieje dotyczące się życia pośmiertnego, dopomagają prawodawcy, co karami ziemskimi utrzymuje lud w ryzach i przeskadza wojnie wszystkim ze wszystkimi; on zaś pobudza umysły, każe ludziom badać samoistnie,

nie daje im usnąć w dogmatycznój drzémce, zmusza ludzkość do nowych argumentów i tém samém popycha ją naprzód.

Małoduszni patrzą się z niechęcią na człowieka, co mając groź swój i swoje mienie, żyje wesoło i używa wszelkich rozkoszy świata; mówią, że to rozpustnik i człowiek wielce lekkomyślny i stronią od niego, a nie wiedzą najpierw że jego czyny podobnie jak ich czyny są mimowolnym wpływem koniecznój gry nerwów i soków w ciele ludzkim; i nie wiedzą dalej, że czyny marnotrawcy są równie użytecznymi w społeczeństwie, jak i przeciwne a również potępiane czyny łakomego skąpca, co nie dba o to, jakim sposobem przychodzi do pieniędzy, byleby pieniądze zbierał i posiadał. Bez skąpca nie gromadziłyby się, nie wznagałyby się bogactwa narodu; bez marnotrawcy nie szłyby w obieg i leżałyby nieużytecznie po skrzyniach i szafach: więc jeden i drugi są oczywiście zarówno użytecznymi i niezbędnymi w zdrowém społeczeństwie.

Co się dziwniejszém wyda, to to, że nawet oszust, złodziej i rozbójnik, nie są wcale winowajcami i są wielce użytecznymi i nawet niezbędnymi członkami każdego zdrowego społeczeństwa. Wyobraźmy sobie bowiem na chwilę, społeczeństwo, w którém są sami tylko ludzie o nieposzlakowanój i skrupulatnój uczciwości, sami obywatele postuszni prawom, spokojni i nieżądni nieprawych zysków. Będzie niezawodnie spokój głęboki w tém społeczeństwie, ale nie będzie życia; powoli opamięta wszystkich obojętność zupełna, usną wszyscy w zbytniém bezpieczeństwie, i kraj się stanie podobnym do kałuży stojącój wody. Więc niech się ludzie tém cieszą, że są między nimi współobywatele, których natura zmusza do tego by oszukiwali, kradli i rozbijali; bo tylko dzięki istnieniu takich obywateli, może być społeczeństwo czujném, sprężystém i tak zupełném i szczęśliwém, jakim jest każde rzeczywiste społeczeństwo na świecie.

Tak mówił Mandeville; nauka jego podobnie jak nauki Spinozy i Leibnitza, była zgorszeniem dla duchownych wszystkich wyznań chrześcijańskich: odrzucali ją wraz z oburzeniem; twierdzili wraz, że świat ten nie jest dziś ani najlepszym, ani nawet dobrym światem, i że natura ludzka jest zepsutą i wcale nie doskonałą w skutek grzechu pierworodnego; przypominali wraz, że czyny ludzkie nie są skutkiem konieczności, że są owocem wolnój woli, i nawet chcą zwalczać zgubne nowiny przechodzili wszyscy, tak protestanci jak katolicy, nieznaczenie na stanowisko Moliny i Jezuitów, i nie mówiąc już wiele ani o przeznaczeniu, ani o nadprzyrodzonój łasce, twierdzili jednoznacznie, że człowiek jest sam twórcą swego przeznaczenia, że może sam zasłużyć, czyto na wieczne zbawienie, czyto na potępienie wieczne, i że od jego woli jedynie zależy, czy będzie pełnił dobre czy złe uczynki. I ogromna większość ludzi wierząca zawsze poprostu w nauki swoich przełożonych, potrzasała głową ze zgorszeniem, gdy słyszała o zabronionych naukach, których treści nie znała. A jednak nie omylimy się, gdy powiemy, że te właśnie potępione nauki były sygnaturą XVII wieku, i że

niemi się kierowała ta garstka ludzi wykształconych, która sama jedna samoistnie myśli i działa, i której myśli i czyny naśladowają zawsze tłumy, choć te tłumy nie zdają sobie sprawy ani z tego co chcą, ani z przyczyn i z konsekwencji swych własnych rozmów i czynów. Życie ludzkie stało się nawskroś świeckiem, najnabożniejsi nawet królowie uważali właściwie religią za podporę swych państw, a nie uważali już siebie za podpory religii; ogół ludzi myślał tylko o tém, jakby żyć spokojnie i zarabiać niewchodząc w kolizyą ani z władzą królewską, ani z władzą Kościoła, ustanowionego przez państwo; a panicze modni chwaili nawet zuchwale przesadne teorye Mandeville'a; marzyciele i młodzież unosili się nad idealizmem Leibniza, a ludzie rozważni, stąpając po ścieżkach wyznaczonych przez Spinozę, uzupełniali tylko jego etykę uwagami i wskazówkami czyto Locke'a czy Shaftesburey'a.

Zapewne kto będzie rozumnym, ten będzie działał dobrze i ten będzie szczęśliwym. Ale jakżeż ma się człowiek wziąć do tego, aby był szczęśliwym? I jakież są prawa działania rozumnego, a przeto cnotliwego? Shaftesbury na to odpowie, że praw tych nie można wyrazić słowami, że one się tylko czuć dają. Jest dany człowiekowi zmysł wewnętrzny, którego jednak nie nazwiemy sumieniem; zmysł, który nazwiemy raczej dobrym smakiem. Sumienie bywa w nas wniówione: jest to najczęściej przykre uczucie, które powstaje gdy działamy nie tak jak nas za dzieciństwa uczono, gdy działamy wbrew przesądom, wbrew zasadom nie wrodzonym wcale, a sztucznie wpojonym. Sumienie może nieraz obałamucić, może porwać do czynów nierozważnych, zaślepionych, fanatycznych. Co innego dobry smak: zmysł to wrodzony człowiekowi, zapomocą którego odróżnia to, co jest zgodnem z planem wszechrzeczy, od tego, co się z tym planem nie godzi; sztuczne i przesądne wychowanie nieraz ten zmysł zagłuszy, i wbrew naturalnemu i zdrowemu rozsądkowi człowieka, Hindus uwierzy że czyni dobrze, gdy się da rozjechać przez ciężki rydwan indyjskiego bóstwa, a Turek będzie uważał za występłą tę kobietę, co nie zasłoni lica, które winna przecie, wedle praw piękna okazywać oczom mężczyzn. Ale prawdziwa nauka, ale krytyka filozoficzna rozpędzą niebawem przesady i człowiek wykształcony pozna zapomocą smaku dobrego instynktowo, jaki czyn jest piękny a przeto i dozwolony, a jaki jest brzydki i przeto występny.

Locke miał umysł nadzwyczaj ścisły; nie wydały mu się przeto dostatecznie jasnymi, i uchwytными takie teorye, jak późniejsze zresztą nieco teorye Shaftesburey'a. Daleko jaśniej i dobitniej oznaczył i określił to, co było dobrem, i nadzwyczaj rozumnie odróżnił dobro od złego, i od chwilowo przyjemnego; bo to oczywiście nie wystarczało, gdy kto twierdził, że ten działa dobrze, co działa w sposób pomnażający jego szczęście. Trzeba było, na wzór starożytnych, zbadać najpierw, jakimem ma być to szczęście? Jesliby kto nazwał szczęściem każdą przyjemność, popadłby w ciężki błąd i przeczyłby koniecznym wyobrażeniom o cnotcie i występku. Paradoksalny filozof będzie może twierdził, że pijak, który nadużywa wina przy biesiadzie, czyni dobrze, skoro słu-

cha instynktów natury i skoro rozkoszuje. Powieć to może płochy Mandeville, nie powieć tego poważny Locke. Ludzkość słusnie nazwie czyn pijaka i bezrozumnym i występny, a Locke wytłómaczy ludzkości, dlaczego to taki a nie inny sąd wyda? Otóż jest rzeczą niezawodną, że każdą przyjemność okupuje się albo poprzedzającym, albo następującym po niej trudem. Po przyjemności natychmiastowej, po używaniu, do którego osiągnięcia nie potrzeba już w danej chwili trudu, może łatwo nastąpić cierpienie, albo tak gwałtowne, albo tak długotrwałe, że nie warto się na to cierpienie narażać, używając chwilowej rozkoszy. I tak właśnie, po pijanej biesiadzie nastąpi natychmiast gwałtowny ból głowy, nastąpią nieznośne nudności, a potem przez parę dni czczość i ociężałość, które się mogą łatwo zamienić w trwałą chorobę. Pijatyki często powtarzane mogą stale zniszczyć zdrowie i ukrócić życie; człowiek pijany będzie mówił nierozważnie, będzie się narażał na śmieszność, może sobie nazawsze zrazić potrzebnego przyjaciela, może zdradzić ważną tajemnicę, i w skutek tego narazić się potem na tysiączne straty i przykrości: słowem, suma przykrości która nastąpi po pijanej biesiadzie, jest o tyle większą od sumy przyjemności, którą biesiada ta nastęrczy, że człowiek rozumny powstrzyma się od zbytniego użycia wina, albo innych upajających napojów, i że ludzkość nazwie słusnie pijaka człowiekiem występny.

Człowiekiem rozumnym i cnotliwym jest ten tylko, co umie terazniejsze i przyszłe, bliskie i dalekie przyjemności i przykrości tak porównać i zważyć, że zaniecha bliską przyjemność dla dalekiej lecz większej przykrości, że podejmie się przykrości natychmiastowej na to, by się przed większą ochronić, że nie sprowadzi na siebie pewnej kłęski dla niepewnej nadziei, i że nie zaniecha niewątpliwiej rozkoszy, dla wątpliwiej i o wiele mniejszej, albo wcale urojonej przykrości. Że jednak boleść jest dotkliwszą od rozkoszy, przeto człowiek rozumny i cnotliwy będzie się raczej tak zachowywał, aby nieucierpieć kłęski, a nie tak aby nie doznać rozkoszy. Kto się wedle tych praw rozsądku i rozwagi nie zachowuje, ten jest głupcem i człowiekiem występny.

Taki sąd o nim wydać można; nie można go jednak potępić, nie można go winić, bo przy danym stanie jego rozumu, jego nerwów i jego woli, nie może działać ani rozumnie ani cnotliwie. Działanie człowieka zawsze stosuje się do jego wyobrażenia o tém, co mu większą, a co mniejszą przyjemność sprawi, albo co go ochroni od większej lub mniejszej przykrości. Każdy człowiek działa nieodmiennie tak, aby mógł się cieszyć jak największém szczęściem, i jeśli kto błądzi, to tylko dlatego, że ma, że tak rzekę krótki umysłowy wzrok i że dalekich cierpień nie widzi tak wyraźnie, by mógł osądzić ich wagę, i by zaniechał z obawy przed niemi, chwilowej, choćby najmniejszej rozkoszy, zadowolenia ślepej a przeto występnej chuci.

Ktoby tedy chciał sumę występku na świecie zmniejszyć, ten winien umysł ludzki tak przysposobić, aby niemiłe skutki występnego czynu poznawał, ilekroćby o takim czynie pomyślał; do tego postuży

zapewne i nauka, ale do tego przedewszystkiem posłuży, czy to naturalne, czy to sztuczne doświadczenie. Kto poniósł już ciężką karę za chwilowo przyjemny czyn, albo kto się przekonał, że skutek zdaleka ułudny, długich trudów tych nie wart, ten nie łatwo już ulegnie bliżkiej a rozkosznej pokusie, ten się nie podejmie drugi raz jałowego trudu. Ale doświadczenie po spełnionym występku przychodzi nieco nadto późno, i bywa nadto drogo okupione. Rzeczą ludzi dbających o panowanie cnoty, występki uprzedzić sztucznem doświadczeniem, a cel ten da się osiągnąć przez rozumne wychowanie dzieci.

Trzeba przez rozumne postępowanie z dziećmi sprawić, aby wspomnienie cierpienia łączyło się ze wspomnieniem każdego czynu podobnego do występku; należy się tedy karać każde czynne przestępstwo dziecinne, a wynagradzać każdy czyn pochwały godny dziecka; przez to łączy się wspomnienie kary ze wspomnieniem zresztą może zabawnem albo miłym niedobrego czynu, i czyni na przyszłość wstrętnem wszystko, coby do tego czynu było podobnem; a przeciwnie, wspomnienie nagrody uczciwie poniesionego trudu zachęci i w późniejszym wieku do podjęcia podobnych ale ważniejszych prac. Błędnie natomiast postępuje ten, kto karze dzieci za niedość dokładne spełnienie obowiązku, albo kto przemocą zmusza dzieci do pracy lub nauki. Do tych rzeczy trzeba dzieci zachęcać, nie trzeba ich do nich zrażać, a wspomnieniem przymusu i kary, zrazi na wieki od cnotliwych i chwalebnych czynów, do których spełnienia trzeba i tak trudu i przewyciężenia siebie.

Dramat niemiecki XIX-go wieku *).

(STUDYUM LITERACKIE).

PRZEZ

Teodora Jeske-Choińskiego.

Już za czasów romantyzmu uprawiało dwóch braci tragedya jambiczną: Józef von Collin (1772 — 1811 rok) i Mateusz von Collin (1779—1824 rok) ¹⁾. I Grillparzer należy po części do tego kierunku. Patosem szylerowym posługują się także wszyscy fabrykanci fatalizmu: Müllner, von Houwald, von Zedlitz i t. d. Epoka przejściowa, będąca właśnie dlatego przejściową, że nie miała nad sobą słońca jakiegokolwiek wiary, a w sobie ani odrobiny prawdziwego uczucia, tej wiary dziecięca, wydała cały szereg sztuk mistrzów-patetycznych, głośnych i pustych jak wielki dzwon. Należy tu: Edward von Schenk (1788—1841 r.), minister bawarski; Fryderyk von Uechtritz (1800—1875 r.); Józef baron von Auffenberg (1798—1857 r.); Münch baron von Bellinghausen (Halm, urodzony w roku 1806 w Krakowie † 1871) i przedwczesnie zmarły Michał Beer (1800—1833 r.).

Pobieżny rozbiór którejkolwiek z tragedyi patetycznych, wystarczy do scharakteryzowania całego rodzaju, gdyż wszyscy przedstawiciele „szumnych jambów“ pracowali na jedno kopyto z drobną odmianą w pomysle, lub w tonie, stosownie do osobistego usposobienia tego lub owego autora. Zasadniczych różnic nie widzimy u żadnego z wymienionych autorów. Weźmy np. najlepszą tragedya Edwarda Schenk'a p. t.: „Belizar“ (1826 r.). Osnową dramatu jest znana niedola Beliza-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za lipiec r. b.

¹⁾ Pominęliśmy w swoim czasie braci von Collin'ów, jako autorów mniej ważnych. Dzieła starszego, Józefa, wydał młodszy brat, Mateusz: H. J. Edler von Collin sämtliche Werke nebst Biographie (von seinem Bruder); 6 tomów, Wiedeń 1814. Mateusza utwory dramatyczne wyszły w Peszcie w r. 1815 i następnych: M. von Collin's Sammlung dramatischer Dichtungen. 4 tomy.

ra, wielkiego wodza kohort rzymskich za panowania Justyniana. Pogromca Afryki, sława i puklerz cesarstwa Bizantyjskiego, waleczny a szlachetny Belizar, idzie na wygnanie, majątku pozbawiony i oczu, odarty z zaszczytów i z czci obywatelskiej. On poświęcił wszystko dla ojczyzny, a zmienne Bizancyum zapłaciło mu hańbą. Została mu tylko miłość córki, serdecznej Ireny, która idzie z starym ojcem między obcych ludzi. Wielki wódz padł ofiarą podejrzliwości Cezara, którą zazdrośni wyzyskali. Zdarzenie to historyczne odpycha odrazą, zaśmuca straszliwą tragiką, lecz stoi poza ramami dramatu. Konieczna bowiem w takich razach bierność bohatera, nie dopuszcza czynności dramatycznej. Czuł to Schenk i dlatego wplótł do prawdy historycznej tragikę rodzinną. Belizar miał syna; lecz gdy dziecie rośło dopiero w łonie matki, przeraziło ojca nocne widzenie. Śniło się Belizarowi, że z jego łoża małżeńskiego wyszedł rycerz, który zniszczy sławę Bizancyum, a następnie sam niewolnikiem zostanie. Żona twoja porodzi syna, tłumaczą astrolodzy, a ten będzie walczył przeciw tobie i Bizancyum. Belizar, obywatel rzymski, *civis romanus* dawnego autoremantu, postanawia własne dziecko poświęcić dla dobra ojczyzny, jak to niegdyś Grek Agamemnon uczynił. Gdy się chłopczyk urodził, każe go jednemu z niewolników zabić. Sługa niesie dziecko na brzeg morza, chce je tam zamordować, lituje się jednak nad niemowlęciem i zostawia je nad wodami Bosforu. Umierając, opowiada tajemnicę żonie Belizarowej, matronie Antoninie, wierzącej dotąd, że synek jej naturalną skołał śmiercią.

Akt I. Belizar wraca z wyprawy: pobił barbarzyńców afrykańskich, więc odbywa wjazd tryumfalny do Bizancyum. Cieszy się miasto i kto żyje, rzuca wieńce pod stopy zwycięzcy; jedyna Antonina nie weseli się powrotem małżonka. Ona zapłonęła straszną zemstą do mordercy swego pierworodnego i dlatego połączyła się z wrogami Belizara: z Rufinem i Eutropem, aby go wspólnie z zazdrośnymi zniszczyć. To zemsta matki, równie uprawniona, jak miłość małżonki. W ósmiej scenie występuje Belizar. Otacza go tłum niewolników, młodzieńców afrykańskich, których mu Cezar darował. Wspaniałomyślny wódz wraca zwyciężonym wolność, zatrzymując przy sobie tylko Alami-
ra, który nie chce dobrodzieja opuścić. Poprzednio układa Antonia z wrogami męża knowaną oddawna zemstę.

Akt II. W akcie tym odbywa się sąd na Belizara. Bohatera oskarżają: Rufinus i Eutropius, w końcu staje przed senatem Antonina. Podrobili listy, świadczące przeciw Belizarowi.

W pierwszej odsłonie III aktu łągodzi Justynian wyrok senatu, skazujący Belizara na śmierć. Cezar ułaskawia wprawdzie swego wodza, lecz nie chce go więcej widzieć. W drugiej odsłonie błądzi Antonina nocą między filarami pałacu. W trzeciej widzimy Irenę, przebraną za chłopca, proszącą stróżów więziennych, aby jej pozwolili towarzyszyć Belizarowi. W czwartej wychodzi oślepiiony wódz z więzienia.

Akt IV. W pierwszej odsłonie opędza się Justynian wyrzutom sumienia. W drugiej widzimy Belizara wśród odludnych skał. Lecz pustkowie zaludnia się niebawem. Oto występuje Alamir, który postanowił się zemścić na Bizancyum, za krzywdy Belizara. Stanął na czele barbarzyńców i ciągnie z nimi przeciw złocistej Cezarów stolicy. Belizar, dowiedziawszy się o tém, zaklina młodzieńca, aby tego nie czynił. W ciągu rozmowy wydaje się, że Alamir jest owym przez niewolnika na brzeg Bosforu wysadzonym chłopczykiem, czyli Aleksis'em, synem wodza bizanckiego. Octar, wódz Alamów, zwalnia teraz Alamira-Alexis'a z przysięgi, którą tenże chorągwi barbarzyńców złożył. Alaniowie ciągną pod wodzą samego Octara przeciw kohortom Cezara, a Alexis zostaje przy ojcu.

Akt V. W pierwszej odsłonie wydaje się kłamstwo Rufina i Eutropa; współników zdradziła sama Antonina, miotana zgryzotami sumienia. Cezar wtrąca oszczerców do więzienia. W drugiej odsłonie staje Belizar na scenie. Właśnie ciągnie wojsko rzymskie przeciw barbarzyńcom. Dowódcy: Nikanor i Leon, poznawszy starego wodza, oddają mu buławę. Ociemniały hetman staje na czele kohort i zwycięża, bo dość imienia jego, aby dzikie hordy rozpedzić. Na plac boju przybywa przy końcu Justynian. Belizar zwyciężył, lecz zginął; żołnierze przynoszą go na tarczach. Przebaczywszy Cezarowi, polciwszy łasce jego swoje dzieci, umiera Belizar spokojnie.

W dramacie Immermanna, „Andrzej Hofer,“ odpowiadały dwie części warunkom scenicznym: ekspozycya i katastrofa. Tu jest tylko pierwszy akt dramatem, reszta zaś epopeją. Sąd w akcie II, wyrok w ak. III, wyświecenie tajemnicy Alamira w akcie IV, bitwa i zgon Belizara w akcie V, są scenami epicznymi, nie należącymi wcale do czynności głównych. Zwichnięta kompozycya jest skutkiem prawdy historycznej i pomysłu autora. Prawda historyczna, przeznaczająca Belizarowi, jak się wyżej powiedziało, stanowisko bierne od początku do końca, niszczy wszelką czynność samodzielną bohatera. Występują dramatycznie i to tylko w pierwszych dwóch aktach: Rufinus, Eutropius i Antonina, czyli piechury całości. Akt III, IV i V rozwijają się epicznie, rozpluwając się w końcu w skodkięj liryce; dałoby się wprawdzie i z tego przedmiotu coś wykuć, lecz wtedy powinien był autor przerobić postać Belizara. Niedawno potężny, wielbiony i oklaskiwany wódz, pan bitew i kohort, może przecież, gdy go nagle drobna zazdrość z wyżyn tych strąci, zakląć po ludzku, mścić się i szumieć. Żal, na widok nieszczęść ojczyzny, może go ocucić, a wtedy będzie zgon jego rzeczywiście tragiczny. Tak pojął np. Szekspir swego Koriolana, więc stworzył charakter dramatyczny. Lecz Belizar, umiejący się tylko cicho skarżyć, nie płonący ani przez chwilę nienawiścią do niewdzięcznej ojczyzny, robi wrazenie zdzieciniałego, słabego starca. I Scipion był wielkim obywatelem, a jednak umiał zawołać: *ingrata patria, ne ossa quidem habebis*. Mężki to głos, wołanie to natury i dlatego wzrusza. Choć historia potwierdza kompozycją Schenka, należy jednak wątpić, czy się

prawda psychologiczna zgadza z podaniem ksiąg. Schiller mówił słusznie, że artysta nie powinien się zbyt kłopotować zapiskami dziejów, które nie uwzględniają psychologii. Lecz Schenk, epigon epigonów, nie umiał stworzyć zwartego, męskiego charakteru. Zkąd też siła w owych czasach? Potęgą indywidualną była zbrodnia, a cnotą jedynie niemoc, niewolniczość.

I w tym dramacie widzimy brak uwzględnienia warunków scenicznych. Akt I ma 2 odskony, II-gi także 2, III-ci, domagający się największego ześrodkowania czynności i efektów aż 4, IV-ty znów 2, tak samo V-ty, razem 12 odskón. Takie rozdrobnienie czynności utrudnia niezmiernie wystawę teatralną, nużąc umysł widza, a w skutek tego osłabia wrażenie całości.

Główną zaś zaletą, a równocześnie i wadą tragedyi patetycznej, jest duma jój, jest wspaniały wiersz i podniosły koloryt dykcji. Zaletą, bo i najzacieklejszy filolog nie odkryłby w jambach i trocheach Schenka i towarzyszków jego, choćby cień wadliwego wierszowania. Jamby suną poważnie, niby pyszny paw, trochee dzwonią miluchno, srebrzysto, jak krople deszczu, spadające z rynny cynowej, a tu i owdzie rozżali się nadzwyczaj pięściwy ton piosenkowy, robiąc wrażenie gwiazdki, rzuconej na tajemnicze błękity nocnego nieba. Wszystko poprawne i wycackane, a jednak męczące.

Np.: Seit mich der Orient als Herrscher grüsst
 Und um mein Haupt die Kaiserkrone funkelt,
 Ward mir der Glanz, der blendend sie umfließt,
 Durch manche düstre Wolke schon verdunkelt.
 Verrathen ward ich oft von undankbaren,
 Die ich im Staub fand und an's Licht gezogen;
 Bedroht von frechen Prätorianer-Schaaren,
 Um donnert ringsum von empörten Wogen
 Stand oft mein Thron i t. d.

(Belizar, akt III, scena 3).

albo:

Sei gegrüsst mir, heil'ge Sonne!
 Täglich über dieses Haus
 Breitest du die Flügel aus,
 Doch mir barg sich keine Wonne
 Unter deinen goldnen Schwingen.
 Wenn du Licht der Welt gebracht
 Konnte meiner Sorgen Nacht
 Nie dein heitrer Strahl durch dringen,
 Ach! wie oft in bangem Sehnen
 Liessest du zurück Irenen... i t. d.

(tamże, akt I, scena 1).

albo:

Treue Seelen sind wie Sterne,
 Die am dunkeln Himmel gehn;
 Aber nicht, wie diese, stehn
 Sie getrennt in ewiger Ferne.
 Niemals nahen sich die Sterne,
 Jeder wandelt seine Bahn,
 Freut sich nur am eigenem Schimmer,
 Doch des Menschen Herz schliesst immer
 Gern sich an ein andres an.

(tamże, akt II, scena 4) ¹⁾.

Lecz właśnie to mistrzostwo techniczne, stanowiące główną zaletę tragedyi patetycznej, stało się jej kłutwą. Niezdolni do kompozycji silnej, nieobdarzeni darem twórczym w kierunku myślowym, zamienili się autorowie bardzo rychło na „sumiennych“ wierszopisów, śpiewających tylko dla wiersza. Pomysł, będący zawsze główną dźwignią każdego utworu literackiego, zstępuje na drugi plan, tak samo kompozycja i charakterystyka, bo teraz nie pisze nikt wierszów dla tragedyi, lecz tragedya dla wiersza. Zwarta forma dramatu rozpada się, bo autorowi udał się w tém a w tém miejscu miluchny wierszyk liryczny, więc trzeba go wsunąć. Dyalog staje się ciężki, rozwlekły, nużący, bo osoby nie mówią dlatego, że muszą, lecz deklamują z woli autora, który pragnie się pochwalić sztuką rymowania. Dyalog przestaje być żywotną częścią dramatu, a zamienia się na czece wylewy deklamatorskie, tém lepsze, im dłuższe, im więcej w nich słów i zgrabnych a dźwięcznych rymów. Namietność, sprężyna charakterów dramatycznych i krew, że tak powiemy, tragedyi, milknie, bo „wybryki“ jej mogłyby „piękności wiersza“ zaszkodzić. Gwałtownych wybuchów nie znają towarzysze Schenka. Mowa: zazdrości, dumy, pychy, nienawiści, łagodnieje, stając się żalem, niemocną skargą, której szepcząca liryka sprzyja miłutkim wierszykom. I ta dykcya, tak wspaniała w ustach Schillera, podobna do wylewów wrzącej lawy, dziwaczna, lecz mimo to silna u romantyków, zamienia się u epigonów w czczą deklamacyą, nastrzępioną tu i owdzie szumnemi frazesami, zapożyczonemi u klasyków. Uszedł duch z tragedyi, a z nim owe ciepło, które ogrzeje i technicznie mniej poprawny utwór, dając mu nieśmiertelne życie. Tragedya epigonów była ciałem bez duszy, była w końcu tylko formą, tylko „ładną mową“ (schöne Rede), więc konała powoli na starość, zapadając się bez łoskotu.

Już w „Belizarze“ Schenka widzimy początki upadku „pięknej mowy.“ Zaraz w pierwszym akcie wysuwa się deklamacya tak wstrę-

¹⁾ Dźwięk wiersza i słowa wystarcza do scharakteryzowania dykcyi tragiców patetycznych. Przetłómaczenie treści, o którą tu nie chodzi, byłoby zbyt czyste.

tnie naprzód, iż musi na samym wstępie znużyć. Zofia, opowiadając Irenie o powrocie ojca, wygłasza 30 wierszy; Antonina skarży się przed córką przez 41 wierszy. Eudora opisuje Irenie powrót ojca w 74 wierszach, a po przerwie słuchającej: mój ojciec! (Mein Vater), wygłasza znów 42 wiersze. Tak samo odkrywa Antonina spiskowcom tajemnicę swą rozwlekle w 125 wierszach, lubując się widocznie dźwięcznym spadkiem i wzorowym rymem. Bardzo to ładne, nawet pożądane, ale tylko w epopei, a nie w dramacie.

Mowę namiętności zastąpiła w tragedyi patetycznej liryka. Pieściwa ona zrazu i miła, więc dla ucha przyjemna, lecz stopniowo rozwadnia się, słabnie, mdleje i staje się kliwą retoryką. W „Belizarze” znajduje się siedm monologów, z których środkowy (w III akcie, Justyniana) zawiera aż 99 posuwistych jambów. Niesłusznie wyklucza się zwykle lirykę z dramatu (głównie w Francyi), bo bez niéj niema w ogóle poezyi, jednak i ona musi pośrednio, czy bezpośrednio czynić, bądź jako wybuch rozpacz lub postanowienia, popychającego akcyę naprzód, bądź jako wypadkowa pewnej epoki w życiu bohatera. Monologi Schenk'a nie są wcale żywotną częścią całości, czynność bowiem obyłaby się bez nich bardzo dobrze. I ślady upadku samej sztuki wierszowania znajdują się już w „Belizarze.” Patos słabnie bardzo często, lub wpada w monotonią, pięknem ją mieniać.

Hört es! diese Briefe sprechen
 Von Verrath, auf den ich sinne,
 Von Gewalt, nach der ich strebe,
 Von Enthronung meines Kaiser's,
 Von dem Beistand der Vandalen
 Von dem ganzen Plan, den eben
 Ihr gehört.

(Akt II, scena 6).

albo na inném miejscu i m m e r:

Immer hör ich seinen Namen,
 Immer hör ich seine Stimme,
 Immer seh ich seine Züge,
 Immer fühl ich von dem Blitze
 Seiner Augen mich getroffen.

Trzy razy wysłucha jeszcze ucho: v o n i i m m e r, lecz już po czwartym razie męczy się i zniechęca do wiersza. Monotonia ta przeszła niebawem w manierę, stając się plagą słuchaczy, bo wiersz dzwonił teraz rzeczywiście jak krople deszczowe, spadające z cynowej rynny na chodnik. Immer, immer, immer, immer, immer... Nie wesołe to dźwięki! Gdy dodamy do monotonii dykeyi sentymentalność, w której się w końcu sztuczny patos rozpułnął, domyślimy się łatwo, jaka z téj mieszaniny powstała polówka ¹⁾.

¹⁾ Dzieła dramatyczne Edwarda von Schenk'a, wyszły w 3-ch tomach, od r. 1829—1835.

Szczegółowy rozbiór wszystkich wymienionych tragików jambicznych, przekraczałyby granice niniejszój pracy. Trzebaby zresztą przy każdym autorze powtórzyć to samo, co się powiedziało o „Belizarze,” Schenk’a. Oryginalnością nie odznaczał się żaden z przedstawicieli tego kierunku, choćby w ujemném znaczeniu. Pomysły czerpali albo z historyi, albo z spuścizny romantyzmu, a forma nie zmieniała się wcale. Stosownie do osobistego usposobienia tego lub owego autora, wyrażały się lekkie odcienia, lecz w zasadzie pozostał koloryt u wszystkich ten sam. I tak odznaczał się baron von Auffenberg większą siłą dykcji, aniżeli Schenk, a zadziwił współczesnych niezwykłą płodnością. Baron von Bellinghausen (Halm), znany autor znanych łamańców psychologicznych (Griseldis, 1834; Der Sohn der Wildniss, 1842); grynych z upodobaniem i w Polsce, głównie za przyczyną aktorki Parznickiej, jest sybarytą w pomysłach, a cukierkiem formie. Zaczyna się już u niego ton melodramatyczny. Najwięcej siły posiadał przedwcześnie zgasły Michał Beer, autor sławionój przez Heine’go tragedyi jednoaktowej: „Der Paria“ (1823) i dramatu historycznego: „Struensee“ (1829). Ton pierwszego utworu jest rzeczywiście świeży, naturalniejszy, lecz czynność rozplywa się i tu w opowiadaniu, w eposie. „Struensee“ zaś upadł natychmiast. Dramatowi nie pomogła nawet muzyka, dorobiona przez brata autora, sławnego naówczas kompozytora (Meyerbeer) ¹⁾.

Własnych pomysłów nie znali tragicy jambiczni. Czepiali się oni każdej mody chwilowej, uprawiając wszystkie kierunki swego czasu. Widzimy w olbrzymiej spuściznie „patosu“ fatalizm, legendę, sentymentalizm, płaczliwość, grozę i wyrafinowane uczucia, słowem wszystkie motywa romantyzmu. Głównie jednak rzucili się mistrzowie „pięknej mowy“ na pole historyczne, gdyż szumnym frazesem potrzeba było wspaniałej dekoracyi i koturnowego kroku bohaterów. Łatwiej bowiem przebacza się Belizarom, Brutusom, Regulusom i t. d. trochę przesady, niż ludziom współczesnym.

A właśnie odpowiadał dramat historyczny najmniej prądom swego czasu. Niema tragedyi historycznej bez politycznej swobody. Artysta nie może się liczyć z kłamstwem dyplomacyi i z poddańczością urzędników, bo dla niego jest Cezar tylko człowiekiem, a czyny jego skutkiem danych, tworzących charakter. Artysta musi mieć prawo do rozkrycia serc mocarzów, do odstonięcia sprężyn psychologicznych, działających za kulisami urzędowej historyi. Gdy nie wolno mówić, co oko ujrzęło, co serce odczuło, wtedy przestaje być prawdopodobieństwo artystyczne odbiciem rzeczywistości, wtedy nie ma dramat gruntu pod stopami. Sztuka nie znosi kagańca.

¹⁾ Dzieła Auffenberga wyszły między r. 1843—1847: „Joseph Freiherr von Auffenberg’s sämtliche Werke,“ tomów 22.—Dzieła Michała Bee’ra wydał po śmierci autora przyjaciel, dobrodziej jego i towarzyszy, Edward von Schenk: „Beer’s Werke,“ 1835.

Powtóre, tylko mężki, hartowny umysł może stworzyć prawdziwie wielki charakter. *Sana mens in corpore sano*, bohaterские pomysły w sercu bohatera. Pisarz, siadający do pracy, musi się umieć zapalić, jak żołnierz, zapominający wśród bomb i granatów o drobnych troskach białego dnia. Znakomity artysta byłby i znakomitym junakiem bitew, bo i tu i tam potrzeba odwagi, natchnienia i bohaterstwa. Nie ma rycerza bez wiary, nie ma i poety bez miłości do idei. A pierś epigonów była rozbitym narzędziem. Pełno w niej popiołów spoczywało i gruzów; płuca ich oddychały suchotniczo, a serca były słabiotko, podsycane bladą, chorobliwą krwią. Nie umieli się też zapalić. Groza ich tragiczna była wynikiem mozolnej, potniejącej pracy. Słońce nie świeci dla niewolników—woła Teodor Körner z żalem—a sztuka jest niemożliwa bez ojczyzny.

Für die Knechte giebt es keine Sonnen,
Und die Kunst verlangt ein Vaterland.

Niemcy nie mieli wówczas ojczyzny.

Po trzecie. Rozwodnioną treść ubezwładniło rozprzężenie kompozycji. Lessing zniczył wpływ tragedii francuskiej, lecz na miejsce jej nie postawił teatru narodowego, jak zamierzał. Zabrał się gorąco do stworzenia samodzielnego dramatu, ale już po roku niemiłych doświadczeń w Hamburgu, zwątpił, mówiąc: nie możemy mieć własnej sceny, bo nie jesteśmy jeszcze narodem. Więc, nie mogąc czerpać z ojczystych źródeł, a nie pragnąc powrotu klasyków francuskich, polecił Niemcom Szekspira. Odtąd był król poetów albiońskich alfą i omegą dramaturgów niemieckich. Co pochodziło od Szekspira, było bezwzględnie dobre, znakomite, nie znoszące krytyki. Fetyszczym taki trwał do 1840 r., panując głównie między epigonami romantyzmu (1820—1840). Lecz i Szekspir, choć już w pierwszych swych dziełach genialnie przemawia, był człowiekiem, a jako taki, musiał przechodzić trzy odmiany talentu śmiertelnego: rozwój, rozkwit i upadek. Dziś wiemy, że jego dramata historyczne, osnute na tle dziejów angielskich, pochodzą z młodości autora, a dopiero tragedie rzymskie są dojrzałym owocem ukojonego talentu. Bohaterowie powstali w młodości Szekspira, podejmują straszliwe wojny, niecać pożary walki domowej, a czynią to jedynie z pobudek samolubnych. Egoizm potyka się z egoizmem, zemsta z zemstą; krew płynie obficie, świecą łuny pożogi—tragedie szumią i łomocą, jak młody, przetrawiający się geniusz. A właśnie podobały się te hurtowne mordy, te wspaniałe, lecz chorobliwe sceny epigonom romantyzmu najwięcej. Synowie zwątpienia potrzebują grozy, efektów, niezwykłości.

Więcej jednakże, aniżeli przesadnie wyrazisty rysunek postaci szekspirowskich (z pierwszej epoki), zaszkodziła Niemcom bezładna kompozycja młodego tragika. Nie ma dramatu bez walki dwóch wybitnych, a wrogich sobie pierwiastków. Starcie się przeciwieństw, kończące się zwycięstwem jednej strony a zupełną zagładą drugiej, stano-

wi to, co nazywamy czynnością i katastrofą tragiczną. Tę walki, warunkującej dramat, nie mają tragedye, pochodzące z młodości Szekspira. Są one kronikami w dyalogach, opowiadaniem epicznym, przysposobionem dla sceny. Jednolitość ich nie wynika z czynności samej, lecz jest skutkiem tego samego zawsze interesu jednego bohatera, stojącego w środku tragedyi. Niedostatek ten widział już A. W. Schlegel, kiedy nazwał cały szereg tak zwanych dramatów angielskich Szekspira „epopeą w formie dramatycznej.“ Sam nawet autor określił zgóry ich znaczenie, dając im tytuł „Chronicle histories.“ Za czasów młodości Szekspira komponowali w ten sam sposób: Jerzy Peele, Marlowe, Tomasz Heywood, Robert Greene i inni. Nie bliższego nad domysł, że młody pisarz, zanim sobie własny wyrobił programat, starszych naśladował. Tak się przecież zawsze dzieje. Dopiero tragedye rzymskie: „Coriolanus“, „Antonius“ i Kleopatra, „Juliusz Cezar“ i owoce dojrzałego talentu; „Król Lear“, „Makbet“, „Otello“ i „Romeo i Julia“, są prawidłowo zbudowanymi dramata mi. Wszakże za czasów bezwzględnej szekspiromanii nie wolno było cośkolwiek zganić, naprawić, usunąć. Co Szekspir napisał, jest arcydziełem ¹⁾. Epigoni naśladowali właśnie „dramata angielskie“ jako poemata narodowe, pomijając z nienawiścią romantyczną cyklus tragedyi rzymskich, jako utwory klasyczne, Helladą trącające i Romą. Omyłka ta sprowadziła wkońcu niesłychany bezład formy, zupełne bezkrólestwo techniczne ²⁾.

I z tragedyi patetycznej wyszedł „rzemieślnik.“ Był nim Ernest Raupach (1784—1852), który opanował teatr niemiecki po śmierci Müllner'a i Houwald'a. Raupach sypał tragedye i komedye tak szybko z rogu swęj muzy poetyckiej, jak dziennikarz zwykłe artykuły gazeciarskie. Tagedyą „Hohenstaufen“, dramat szerszych rozmiarów, napisał np. w dwóch tygodniach. Niezmiernie to płodny i zręczny pisarz, pracujący łatwo i wiele bez względu na gatunek. Humor, tragika, wszystko to jedno, bo można wszystko sfabrykować. Między rokiem 1830 a 1840, był Raupach samowładnym tyranem teatrów Północnych Niemiec. Obok niego nie ostał się nikt. Padali wszyscy na scenie, on jeden przetrwał całe lat dziesięć, jak Müllner, i również płodny Kotzebue. Dziś oczywiście przeminęło znaczenie jego prac, któ-

¹⁾ Dzieła, zajmujące się Szekspirem, stanowią w Niemczech obszerną bibliotekę. Historją wpływu Szekspira na teatr niemiecki napisał dr. Rudolf Genée: „Geschichte der Shakespeare'schen Dramen in Deutschland von Rudolf Genée,“ Leipzig, 1870. — Genée wlicza od str. 163—334 wszystkie przekłady i wystawy Szekspira, dokonane w Niemczech od r. 1611 do czasów najnowszych.

²⁾ Jednym z pierwszych Niemców, który zwrócił uwagę na bezładną kompozycyą w dramatach angielskich Szekspira, jest Herman Hettner: „das moderne Drama, aesthetische Untersuchungen,“ Braunschweig, 1852, od str. 18—59.

rych próżnią zdemaskowała głównie przednia straż ruchu młodoniemieckiego: Heine i Börne. Wycieczki Heine'go przeciw Raupach'owi są znane. Ogniem i mieczem, sztyletem i trucizną zjadliwej satyry uderzał młody junak na Raupach'a. Niebawem zaczęła cała drużyna postępowa wołać zajadle: precz z nim! I spadł tyran teatru z tronu, połykając jeszcze za życia gorzkie pigułki poniżenia i samotności. A przecież nie był Raupach gorszym od wszystkich tragików patetycznych. Pisał tylko więcej i łatwiej od współtowarzyszów i nagiął się chętnie do wymagań sceny. W drugiej połowie życia stał się rzeczywiście uniżonym służką teatru, tworząc role dla tego lub owego aktora (Rollen auf den Leib schreiben), dopasowując charakter do tego lub owego teatru, a nawet do garderoby i dekoracji, znajdujących się w komorze panów dyrektorów. Lecz miał i on chwile gorętsze, godziny myśli i natchnienia, a co najgłośniejsza, umiał trafiać w ton mężki, kruszcowy, brzydząc się słodyczą sztucznego patosu. Należą tu tragedye, napisane między r. 1818 a 1830: „Die Fürsten Chawansky“ (1818, Książęta Chawańscy); „Die Erdennacht“ (1820); „Die Gefesselten“ (1821, Skrępowani); „Die Königinnen“ (1822, Królowe); „Der Liebe Zauberkreis“ (1824, Zaczarowane koło miłości); „Die Freunde“ (1825, Przyjaciele); „Isidor und Olga“ (1826), i „Rafaele“ (1828). Od roku 1828 pisał dramata historyczne, wyzyskując głównie tragikę rodu Hohenstaufów ¹⁾.

Raupach nie jest znakomitym pisarzem, lecz w pierwszej połowie swęj działalności literackiej nie był najgorszym między współczesnymi. Ze się młoda drużyna głównie na nim zaprawiała do polemiki, zawinił po części sam, drażniąc młodzież pychą i wyszydzeniem teoryi postępowych. Zbyt ostry wyrok, jaki go dotknął przy końcu życia, złagodził już Teodor Mundt ²⁾ a zupełnej rehabilitacji, o ile oczywiście była możliwą, dokonał Rudolf Gottschall ³⁾.

Na przelomie dwóch epok stoi dziwaczna, rogata, genialna i ordynaryjna postać wielkiego rozbitka. Jest nim Krystyan Dytrych Grabbe (1801—1836). Jeden to z tych pisarzy, których rysunek niezmiernie trudno uchwycić. Sądy też o nim są najrozmaitsze, chwając się między bezwzględniem uznaniem a zupełniem potępieniem.

Urodził się w Detmold z ubogich rodziców. Aż do najnowszych czasów krzywdziła historia jego matkę, robiąc z nięj pijaczkę i gorszycielkę syna. Bo oto pisano, że Grabbowa nietylko się sama upijała, lecz zatrula i dziecko swe już w kołysce alkoholem. Ilekroć bowiem chłopczyk zakwilił, usypiała go matka wódką, a na noc stawiała zawsze przed łóżeczkiem jego lampkę okowity. Tak wierzone do najnow-

¹⁾ Tragedye Raupacha wyszły między r. 1830—1844: „Dramatische Werke ernster Gattung,“ tomów 18. Komedye zaś między r. 1828—1834: „Dramatische Werke komischer Gattung,“ tomów 3.

²⁾ Teodor Mundt, jak wyżej, od str. 719—721.

³⁾ Rudolf Gottschall, jak wyżej, od str. 398—414, tom 2.

szych czasów. Zkąd wyszedł początek téj wiadomości, nie wiadomo, dość że przeszła ona do wszystkich historii literatury niemieckiej i do dawniejszych poety biografii. Dopiero najnowsze badania odkryły fałsz, krzywdzący tak dotkliwie pamięć matki Grabbe'go. Być może, że się podobny wypadek kilka razy zdarzył, bo usypianie dzieci zapomocą wódki, jest w niższych warstwach społeczeństwa znanym środkiem zmęczonych krzykiem niemowląt matek. Ludzie ubodzy nie mają czasu do pieszczenia swego potomstwa... Lecz systematyczne upajanie przyszłego poety należy dziś do wcale niesmacznych wymysłów chciwych plotek biografów.

Nie wesołe było życie Grabbe'go. Skończywszy zapomocą radcy Clostermeier'a nauki gimnazyalne, słuował prawa i kameraliów w Lipsku i w Berlinie (1820—1823). Pracował olbrzymio, a hulał jeszcze więcej. Lecz rozpusta nie była owém rafinowaném szukaniem wrażeń, jak u Werner'a i większej części romantyków, nie miała wcale cech swawoli i fantazyi artystycznej, pragnącej odurzenia bezwiednej, szamocącej się myśli. Grabbe walał się i pił po szynkach jak dorozkarz, jak ordynaryjny plebejusz. Zdawszy egzamina krajowe i odbywszy zwykłą praktykę przedwstępną, został w rodzinném mieście audytorem wojskowym. Tu ożenił się z córką swego dobrodzieja, z panną Clostermeier. Wkrótce zniechęcił do siebie bezładném życiem, brakiem poczucia obowiązkowości i bezdennym cynizmem przełożonych w urzędzie. Odbierał np. jako audytor przysięgi od oficerów, idących na wojnę, na śmierć, w spodniém ubraniu i z butelką pod mundurem. Pełniąc czynność poważną, drwił sobie z przysięgi i częstował interesentów wódką. Akta jego były zawsze w nieporządku, sprawy bieżące zalegały przez całe miesiące. Małe państwo czyniło wszystko, aby wpłynąć na audytora, lecz starania przełożonych nie odniosły żadnego skutku. Dano mu w końcu dymisyą z pensyą i z pozostawieniem tytułu. Grabbe postanowił teraz żyć z pióra. Udał się do Düsseldorfu, gdzie właśnie Immermann kierował sceną „wzorową.“ Lecz i tu nie znalazł powodzenia. Cynik, pijak, nie umiejący i nie chcący się podporządkować pod jakiegokolwiek prawidła czy towarzyskie, czy społeczne, czy w końcu artystyczne, zraził do siebie wszystkich, a na scenie był niemożliwym. Usiadł więc w „knaipie“ i pił, pisząc zapalną kł na brudnym świstku. W r. 1835 wrócił do Detmoldu i umarł tu na suchoty żołądkowe, spowodowane nadmierném używaniem alkoholów. Skonał marnie, jak żył. Nie wiele ludzi poszło za jego trumną, ozdobioną tylko jednym wieńcem laurowym, złożonym przez żonę, przez tę żonę, którą za życia maltretował ¹⁾.

¹⁾ Obszerniejszą biografią Grabbe'go napisał Edward Duller w roku 1838. Umieszczono ją na czele czwartego tomu dzieł poety, wydanych przez Schreiber'a, w Düsseldorfie 1838 r.—Obszerniejszą jeszcze biografią napisał Ziegler, 1854 r.—Niektóre szczegóły podał także C. Willkomm („Jahrbücher für Drama, Dramaturgie und Theater,“ tom I, 1 i 2 zeszyt i następne.—

Biografowie jego skarżą się płacziwie na „macoszy los,” prześladowający „biedaka.” Los natur artystycznych bywa inny, niż dole zwykłych filistrów; zapewne; bardzo często zawinają niesprzyjające okoliczności, druzgocząc przedwcześnie wrażliwą pieśniarza duszę; bezwątlenia; lecz zwykle wywalcza sobie zdolniejszy autor po smutkach i żalach młodości, stanowisko mniej lub więcej niezależne. Doszedł do tego Schiller, zaprawdę nie ukochany w pierwszych latach przez los, doszli wszyscy przywoici, celem swój misji przejęci pisarze, pominąwszy Goethe'go, który był pieczochoem fortuny, i Kleist'a, paryasa życia społecznego. Na łożu boleści skarżący się Heine, nie wzrusza nikogo, kto zna powód tej niemocy. Biegałeś za każdym fartuszkim, kochanie; używałeś wiele, zawiele, więc nie lamentuj, bo jesteś sam winą swego niedołęztwa. Możeż pijany Grabbe, przeklinający w knajpie cały świat, nastroić kogokolwiek do liryki serdecznój? Jest dość takich biedaków, co zmarnieli bez winy. Tym należą się łyzy historyka literatury. Lecz sentymentalne skargi na „zawistny los“ były w modzie, między epigonami romantyzmu. „Zmienna fortuna“ stała się kozłem ofiarnym wszystkich rozbitków i niedobitków, niedołęgów i cyników. Trzeźwiejsze nasze czasy nie rozczulają się już wcale nad „osobistościami zagadkowemi.” Pracuj, czekaj, bo jesteśmy wszyscy robotnikami w tartaku historycznym, począwszy od króla, skończywszy na ostatnim żydku, co woła: „handełes!” Miałżebyś ty „rozczochrany wieszczu“ być jedynym wyjątkiem? Grabbe'mu zdawało się, że się ludzkość powinna ukorzyć przed jego dziwactwami. Ludzkość stoi dotąd, a on zniszczał w kwiecie młodości.

A przecież był to wielki talent, największy, jakiego wydały Niemcy między rokiem 1820—1840. Już pierwsze jego dzieło „Theodor von Gothland“ byłoby nieśmiertelnym pomnikiem literackim, gdyby było powstało w czterdzieści lat przedtém, lub pięćdziesiąt później.

Akt I. „Oto wichrzy burza nad brzegami Szwecyi. Biją pioruny, stękają skały, jęczą fale, a wśród tego łoskotu słyhać za sceną donośny głos komendy wojskowej. To flota Finów zbliża się do wybrzeży, a na czele jój stoi Berdoa, dziki murzyn, chciwy krwi europejskiej. Góry lodowe uderzają na okręty. Jeszcze chwilę, a pójdzie flota na dno morza. „Pałasze w zęby i marsz za mnie do wody!—rozkazuje czarny wódz. Porzućcie statki, zanim one was opuszczą.” Walcząc z potęgą burzy, dopłynęła wojsko Finów do brzegu. Lecz jedna z oderwanych belek uderzyła Berdoę w pierś. Krwią zbroczony, staje murzyn na scenie. „Zapalcie dwanaście wsi, aby mi jasno było wśród tej straszliwej nocy!”—woła. Żołnierze rozbiegają się i zapalają dwanaście wsi. Wtém nadchodzą posłowie Olafa, króla Szwecyi. „Czego chcesz murzynie w naszym kraju?”—pytają. „Zburzyć wasze sioła i zniszczyć wasze miasta, bo zaprzysiągłem Europejczykom zemstę.”—Butnie mó-

W najnowszych czasach zajmował się Grabbe'm wielki jego wielbiciel, Oskar Blumenthal.

wisz, poganinie, lecz i w naszym kraju znajdują się junacy, co potrafią złamać siłę twego ramienia.—Cha, cha, cha, któryż Europejczyk śmiałby Berdoi stawić opór? — Któż? — Zapomniałeś o księciu Teodorze z Gotlandu, który cię kazał osmagać i jak psa z dziedzica swego wypędzić?—Berdoa blednie, pieni się na to wspomnienie i woła: „zapalcie mi jeszcze dwanaście wsi!” Oto jego odpowiedź, dana posłom króla Olafa.”

„Teodor Gotlandzki! Zemszczę się na tobie, psie europejski!—grozi Berdoa. I zakrada się nocą do zamku gotlandzkiego, aby wybadać, w jaki sposób może księcia jak najdotkliwiej zranić. Pomaga mu przypadek. Równocześnie bowiem przybywa do zamku Rolf, postaniec z Upsali. Przynosi on smutną wieść o nagłej śmierci księcia Manfreda, młodszego brata Teodora. Na wiadomości tej buduje Berdoa swój plan.—Kto był przy śmierci Manfreda?—pyta.—Ja i trzeci brat Teodora, książe Fryderyk, kanclerz państwa. — Słuchaj mnie, jeżeli uczynisz, co rozkażę, obypię cię złotem, a jeśli powiesz niepotrzebne słowo, zamknę pysk twój na wieki tym oto sztyłem. Ja chcę, aby Fryderyk był zabójcą Manfreda. Rozumiesz? — Rolf zrozumiał bardzo dobrze, a znając Berdogę, nie miał odwagi sprzeciwić się jego woli. Na scenę wchodzi książe Teodor. Dowiedziawszy się o śmierci brata, którego bardzo kochał, mówi do siebie: to nie słowa, to pioruny! Wszystko przemija, i wiosna i lato uchodzą, a gdy jesień zawita, choruje cała przyroda na żółta czkę (scena 2). Umarł rażony apopleksją? Apopleksya? To rozbójnicza sprawka śmierci. I niebo morduje (scena 2. Schlagfluss? Banditenstreich des Todes sag'vielmehr. Auch der Himmel mordet). Plan murzyna udaje się, bo wszystkie okoliczności stwierdzają podejrzenie. Teodor, chcąc się przekonać o rodzaju śmierci brata, śpieszy do kościoła, w którym umarłego pochowano. Wyprzedził go jednak Berdoa. Murzyn wpada do grobowca, odrywa wieko i rozbija toporem głowę nieboszczyka. Gdy książe nadszedł, uwierzył w bratobójstwo, bo ujrzał nie kłamujące zbrodni świadectwo. Rozwściekliwszy się, wtrącił Rolfa, którego ma za współnika morderstwa, do grobowca, zamykając za nim żelazne podwoje.“

„Akt II. Książe Teodor Gotlandzki staje przed królem Olafem i oskarża kanclerza, brata swego, o bratobójstwo, doraźnego domagając się sądu. Gdy się monarcha do tego żądania przychylić nie chce, wymierza sobie oskarżyciel sam sprawiedliwość. Zabija bowiem kanclerza w obliczu króla i całego dworu. Dokonawszy zemsty, ucieka z Berdcem do obozu finlandzkiego. Jest teraz bratobójcą i zdrajcą.”

„Akt III. Brzeg morski—burza—pioruny! Książe Teodor stoi wśród namiotów finlandzkich, a do niego zbliża się jakiś obdarty, wynędzniały człowiek. To Rolf, nieszczęсна sprężyna szeregu zbrodni. Noc jedną przebył w grobowcu, aż go ztamtąd jakiś ksiądz, posłyszawszy nad ranem głośne skargi, uwolnił, a kilka tych godzin wystarczyło do skruszenia duszy kłamcy. Straszliwie opisuje nędznik noc tę Teodorowi (scena I). Teodorze Gotlandzki, mówi Rolf, Fryderyk nie zabił twego i swego brata; skłamałem, wystraszywszy się groźby Ber-

doi.— To nie prawda! odpowiada książę.— Wierz mi, książę.— Powiedz, że i teraz kłamiesz.— Nie, nie mogę. Teodor zakrywa oblicze swe płaszczem i skarży się: ptaki niebieskie niech wydziobią me oczy, ciało me niech zgnije na otwartym gościńcu, krew ma niech przedymi pod szubienicą, a mózg mój niech konie rozdepczą.— Módl się, książę! radzi Rolf.— Modlić się? to żebrać.— Pokutuj, Gotlandzie, pokutuj!— Pokutować? Żal za czyn spełniony niema żadnej wartości. Teodor Gotlandzki, najdzielniejszy Szwecyi rycerz, będzie się mścił na rodzim ludzkim, zaczynając od ciebie. Giń, nikczemny! I strąca Rolfa w rozlukane fale morza między szkopyły i lody.— Co się stało, nie może się odstać, filozofuje książę. Widzę teraz jasno, czém jest człowiek. Czém? Marną kreaturą z ograniczonym umysłem i sercem, niewolnikiem chorobliwie odczuwającego serca, nędzném stworzeniem, niezdolném nawet do rozróżnienia zbrodni od cnoty. Człowiek szlachetny broni się, aby nie upadł. Daremny trud! Musi znikczemnieć, bo jest człowiekiem, bo nawet czyste jego czyny zamieniają się na zbrodnie za przyczyną losu... Biada nam, których ziemia zrodziła! Kogo wyrzucono na ten szkopuł w oceanie światów (scena III, monolog), ten jest straceńcem. Samo słońce wypaliło na ziemi piętno jój, Saharę, aby świadczyło na wieczne czasy o nikczemności jój (An diese Klippe in dem Ocean der Welten—Zum Brandmale für ewige Zeit hat ihr die Sonne die Sahara eingebrannt). Czytając dzieje ludzkości, dorabia sobie człowiek dobre strony, nie mając odwagi uwierzyć w straszliwą prawdę. Nie, niema Boga, chcę wierzyć, że go niema, choćby dlatego, aby cześć jego ocalić. (Biją pioruny). Proszę, jak te stonogi hałasują! (Ei, wie die Ohrwürmer rumoren). Bo gdyby był Bóg, nie mogłoby być bratobójców. Wierzę, że istnieją pantery, wierzę, że są niedźwiedzie, wierzę, że zmije posiadają jad, ale w istnienie Boga nie wierzę. (Powtórne pioruny). Uciszyć się, przekłete stonogi! W głowie człowieka gnieźdzą się orły, a stopy jego tkwią w błocie. Któż ulepił ludzkość z oślich uszów i z lwich zębów? Jestże coś szaleńszego nad życie, nad świat? Wszecchpotężny obłąd stworzył świat. Obłąd? Nie, nie, bo i szaleństwo nie mogłoby być takim okrutnikiem. (Pioruny). Słuchajcie, słuchajcie! To są kopnięcia losu! (Das sind die Fusstritte des Schicksal's). Teraz dopiero rozumiem was, niebo szturmujących tytanów. Z wichrów splata los swój bat i smaga nim konie swego wozu, wlokąc za sobą cały świat, jak jeździec podłego jeńca, przytroczonego do ogona. Sklepienia niebieskie są skrzywionemi robakami, które się kurczowo pod stopami losu zwijają. A serca ludzkie, to proch, po którym koła przechodzą. Obłąd? Nie, wszecchpotężna złość stworzyła świat, aby go zniszczyć. (Pioruny). Hu, jak słowiki swiergoczą! (Hu, wie die Nachtigallen zwitschern). (Zrywa się większa burza; odzywa się muzyka wojskowa). Na to stworzono stworzenie, aby je zniszczyć. Dlatego to odczuwa każdy nerw człowieka najlżejszą boleść, dlatego są nasze członki tak kruche, dlatego rodzimy się nagi-

mi, abyśmy mogli uleść pokusie; wyposażono nas głupotą. Nieśmiertelnymi jesteśmy tylko dlatego, abyśmy mogli wiecznie cierpieć w piekle (Unsterblich sind wir für die Höllestrafen). Rozgwiazdzone niebo? To odwieczne karykatury przyrody. Błyskawice? Jesteście podpalaczami, rozumiecie? (Za sceną bitwa, muzyka). Jestem wprawdzie mordercą, lecz mordowanie nie należy wcale do rzeczy najgorszych. Z mordu wykwita całe życie i t. d.”

„Przez scenę uciekają Finowie, pobici przez Szwedów. Ocal nas! błagają księcia.—Dobrze, ale zróbcie mnie swym królem, abym miał do tego prawo. Obwołują go panem, więc zgromadza rozproszone wojsko, stacza powtórna bitwę ze Szwedami i zwycięża. Weseli się, bo zamordował tysiące. Chcę być królem, abym mógł tysiące mordować...”

„Akt IV. Nocą rzuca się król Teodor po madejowém łożu, naspilkowaném igłami rozpaczy i sumienia i filozofuje na temat: czy jest Bóg nad nami, który karze zbrodnie tej ziemi? Lecz gdy jasny dzień nocne mury rozproszył, morduje. Naczelnny generał wojsk jego, Arboga, wchodzi i donosi: „przyprawdzono w tej chwili 5000 jeńców. Co z nimi zrobić, królu?—Powiedz mi, pyta Teodor, jaka jest różnica między bohaterem a mordercą?—Morderca, królu, zabija jednego człowieka, a bohater tysiące.—Bardzo dobrze; każ, generale, wyciąć jeńców do nogi. Ha, ha, ha, niema piekła, a gdyby było, można by się i do niego przyzwyczaić. Król zemściłby się chętnie i na podłym murzynie, lecz stronnictwo Berdoi jest jeszcze zbyt silne. Zaczekam więc. Były wódz mści się tymczasem na współzawodniku, ucząc syna królewskiego, młodzieniaszka, rozwiozłego życia. Spragniony krwi, postanawia nareszcie Teodor zniszczyć zwolenników Berdoi przemocą. Idź, Arbogo, i występ mi wszystkich Finów. Lecz spodlony rozpustą syn królewski zdradza zamiary ojca wrogom jego. Bunt—murzynu wpada do namiotu króla, każe go związać i wtrąca go do polowego więzienia, rzucając go na barłóg obok podłego zbrodniarza.”

Akt V. Stronnicy Berdoi walczą z zwolennikami skrupowanego króla, a w namiocie, służącym za polowe więzienie, miota się Teodor Gotlandzki. Nie, ty nie możesz tak polowe więzienie, miota się Teodor Gotlandzki. Nie, ty nie możesz tak marnie zginać, ty byłeś zawsze, nawet w zbrodni zanadto rycerskim, abyś miał zniszczyć na podłym barłogu. Murzynie, wszystko mi wzięłeś: sławę, rodzinę, spokój duszy i serca, a jeszcze mi urągasz? To być nie może, nie powinno być! woła spętany król, który osiwił w jednej nocy. I dźwiga się na barłogu i dobywa wszystkich sił... sił rozpaczy... pryskają kajdany. Teodor wypada z namiotu, wyrывa strażnikowi kopią z rąk i rzuca się z wściekłością rannego tygrysa między walczących. On musi się zemścić na podłym murzynie. Na widok króla opuszczają wojska broń, czekając w przerażeném milczeniu na wypadek pojedynku. Śmiertelna trwoga ogarnia Berdogę. Ucieka, król za nim; wojska przypatrują się w niemém osłupieniu dziwnemu temu polowaniu. Teodor dopędza wroga i wlecze go za włosy do samotnej jaskini, aby się tam nasycić widokiem

strachu i śmiertelnych kurczów nikczemnika. Gdy Berdoa skończył, kładzie się król spokojnie na murawie i zasypia. Teraz mu już cały świat obojętny. Zemścił się nareszcie, widział przedśmiertne drgania, miotające sprawcą jego niedoli, więc nie troszczy się wcale o resztę. Właśnie wrócił król Olaf z nowemi posiłkami do Szwecyi. Rozpoczyna się bitwa, którą prawowity monarcha wygrywa. Finowie uciekają. Arboga, ujrawszy wśród odwrotu śpiącego na ziemi króla, przebijają go szpadą. Teodor umiera, mówiąc: jeśli myślisz, że mnie pchnięciem swęj szpady „gniewasz” (ärgerst), mylisz się bardzo.”

Inaczej wygląda ta dzika, potworna osnowa, jak słodkie, poddańcze ramoty tragiczków jambicznych. Tam byli bohaterowie płacziwymi niedołączkami, tu są hyenami; tam nie zadziwiła żadna postać oryginalnością, tu odpycha nawet zwyczajny piechur nienaturalną grozą. Bohaterowie upadłego patosu przemawiali gładko i poprawnie, ruszali się przyzwoicie w zakreślonych przez konwenans granicach; wytwory fantazyi Grabbowej rzucają się, jak wściekłe tygrysy w żelaznej klatce. Tam było wszystko sztuczną; tu dziką, rozkiełznaną, przesadnie naturalną naturą. Oto różnica.

Rudolf Gottschall, zajmujący się między historykami literatury niemieckiej najobszerniej dramatem XIX wieku, nazywa Grabbe'go twórcą nowego gatunku, głową odrębnej szkoły ¹⁾. Uczynił to zapewne dlatego, gdyż, będąc sam dramaturgiem, zaczął w młodości teatralną karierę swoją od podobnych dziwactw. Zdala stojącemu przedstawia się jednak rzecz zupełnie inaczej. Grabbe nie był twórcą nowej szkoły, lecz ostatnim epigonem klasycyzmu i romantyzmu, ostatnim wyrazem rozbicia wszystkich ideałów i celów, w które wierzone przy końcu XVIII wieku. „Oświecenie” zaczęło od przesady fantastycznej i skończyło w przesadzie. Albo może są „Zbójcy” Schiller'a owocem spokojnej, rozważnej twórczości? I w tej tragedyi szumi wyobraźnia i wspina się, jak w „Teodorze Gotlandzkim,” i w niej pełno paradoksów, głośno brzmiących a czczych frazesów i groźnych a trywialnych zwrotów i obrazów. Gdy zaś porównamy pierwiosnek talentu Grabbowego z utworami podrzędnych, mniej znanych „tytanów“ z epoki „Sturm und Drang,” z czasów pierwszej fermentacji, posłyszemy i tu i tam te same akorda. Im więcej grozy, im więcej potworności, tém więcej geniuszu... Cała różnica między tytanami a Grabbe'm, że synowie rozwidniającego się dnia „oświecenia” wykrzykiwali po szatańsku, bo wierzyli, że wołanie ich sprowadzi wolność i światło, a wnuk tego prądu, zrodzony wśród mroków wieczornych, przeklinał cały świat, bo już w nic nie wierzył. Albo może przemawia za pał z monologu Teodora? „Wszepotała złość stworzyła świat, aby go zniszczyć.” „Nawet

¹⁾ R. Gottschall, jak wyżej, tom II, str. 334—347. (Das originelle Kraftdrama).

szlachetne czyny zamienić się muszą w zbrodnię, bo jesteś człowiekiem.“ „Jesteśmy tylko dlatego nieśmiertelnymi, abyśmy mogli wiecznie w piekle cierpieć.“ Zdaje się, że to dość wyraźne wskazówki do zrozumienia czasu, w którym Grabbe tworzył. A trudno posądzić autora „Teodora Gotlandzkiego” o rozmyślną złość, bo pomysł do tej tragedyi powstał w szkołach, a dojrzewał w uniwersytecie, czyli w epoce twórczości, w której żaden oryginalny pisarz nie rozważa, lecz idzie bezwiednie za instynktem swoim. A instynkt talentów, to głos czasu, to zapal lub przekleństwo epoki, z której poeta wyrosł. Czytając monolog „Teodora Gotlandzkiego,” zdaje się, że się słyszy głos filozofa Hartmann’a, lub Mainländera. Stworzono świat, aby go zniszczyć! I „tytani szturmu i drangu” nie liczyli się z słowami, kochając się w przekleństwach i paradoksach, od których czytelnikowi włosy na głowie stawają, lecz druzgotali, aby na nowo budować. Ale Grabbe chce niszczenia dla samego niszczenia, śmierci dla samej śmierci, chce nicości, czyli tego, czego się pesymiści filozofii niedługo po nim domagać zaczęli, uzasadniając naukowo, co poeta przeczuł.

„Teodor Gotlandzki“ spadł jak bomba między jamby, trochee i niestrawioną historią dramatu między rokiem 1820—40. Nikt nie pomyślał wówczas, że i człowiek wraca na starość do kochań i wierzeń swjej młodości. Że za czasów Grabbe’go nie wytlómaczono w ten sposób niezwykłego zjawiska, nie można się dziwić, bo któryż czas chciałby się przyznać do zdziecinnienia? lecz że się dotąd żaden z historyków niemieckich nie zdobył na filozoficzne ogarnięcie całego ruchu, zastanawia rzeczywistość. Rudolf Gottschall, jak się wyżej powiedziało, robi Grabbe’go naczelnikiem nowej szkoły, stawiając go w środku osobnego rozdziału; inni: Mundt, Schmidt i t. d., pozbywają się „dziwaka” szorstką krytyką, a są i tacy, jak Blumenthal, którzy go do znakomitości zaliczają. Ostatni twierdzi np., że „potworności“ Grabbe’go mają poprzedników u wszystkich klasyków. Krytyka niemiecka oburzyła się na to śmiałe twierdzenie, a przecież nie pisał Blumenthal słów tych na wietrze. Znajdziemy rzeczywistość te same jędrne, ordynaryjne myśli i zwroty wśród brzasków „oświecenia,” a właśnie przemawia i ta okoliczność za prawdą naszej dyagnozy. Albo był Grabbe twórcą nowego kierunku, albo ostatnim jego wyrazem. Początkodawcą być nie może, bo jutrzienka bywa zwykle nadzieją różowa, jak rumieniec przeczuwającego szczęścia. W środku także nie stoi, bo pod gorącemi południa promieniami dojrzewają wszystkie owoce. Zwykłym fabrykantem literackim, niezależącym od żadnego prądu, także nie jest, czego świadectwem oryginalność jego talentu. Więc czémże będzie, skoro nie jest ani początkiem, ani środkiem, ani bezbarwnym? Pozostaje tylko jeden wynik: końcem!

Tak, Grabbe jest ostatnim połyskiem wielkiej epoki, zrodzonej w duchu Lessinga, Herdera, Schillera i Goethe’go, która, poczęta

z przeczenia, choć ufnego, natchnionego, skonała w przeczeniu, ale bezwierném, spopieloném. Grabbe podpisał testament „oświecenia“ i romantyzmu, bo nowe czasy, inne pojęcia rosły już w łonie narodu. Zaczęliście od ubóstwienia rozumu. Spójrzcie, dokąd was ta jednostronność zawiodła. Do skrajnego materyalizmu! Postacie Grabbe'go, to nie ludzie, to bydłęta, wściekłe, nieczyste, żyjące tylko ciałem. Gdy zapragną zemsty, to już kąpiącój się w morzu krwi; gdy chcą być ludźmi, stają się zwierzętami. Berdoa woła: będę dziką bestyą! Nie murzyna to słowa, lecz jęk niedobitka wielkiój, niedawno jeszcze świetnej armii.

Krytyka niemiecka nie rozumie, jak można było stworzyć takiego Gotlanda. Nie zastanowiłże się żaden oceniacz nad tém, że nadchodzą w życiu śmiertelnika chwile, w którychby chciał runąć pod gruzami świata? Gdy wszystko a wszystko, co człowiek marzył, kochał, za czém dążył, czego pragnął i pożądał, zblednie i zawiedzie, gdy zgaśnie w mózgu ostatnia iskierka duchowości, a w około ciemności się rozlegną, gdy człowiekowi tylko jedyne ciało pozostanie, wtedy gryzłby i pożarłby naprzód siebie, potem blizkich, w końcu rzuciłby się na ziemię, zlorzecząc światu, pragnąc, aby się sklepienia niebios nad nim zawaliły.

„Teodor Gotlandzki“ w dramacie Grabbe'go jest karykaturą. Sławny rycerz, дума narodu, nie może mieć nie wspólnego z nikczemnym murzynem. Kochający brat nie może uwierzyć wodzowi Finów, bo go zna, bo wie, że Berdoa dyszy zemstą do rodu Gotlandów. A choćby i podejrzewał, nie może dzielny i niedawno szlachetny wojownik postępować tak, jak to czyni Teodor. Nienaturalny rysunek bohatera dramatu nie potrzebuje komentarza. Również usuwa się z pod skalpeli krytycznego postać Berdoi. Dzikie zwierzę, hyena puszczy, pantera stepów amerykańskich, podły kot, czyhający w ukryciu na ofiarę, szaleniec i szatan, należy on do menażeryi, lub do gabinetu psychiatra. To dziwoląg zbrodni. Człowiek, który jeszcze na kilka chwil przed śmiercią, podczas straszliwej gonitwy, ma czas tak sobie, odręcznie, zadusić po drodze syna królewskiego, aby go rzucić pod nogi nieubłaganemu prześladowcy, przestaje człowieka zajmować. A i młodzieńczy synek królewski, zdradzający ojca wrogom bez słusznego, ważnego powodu, należy do patologii. Nieprawdopodobieństwo staje się tém widoczniejsze, im w utworze mniej cieniowania psychologicznego. Grabbe nie bawi się w uzasadnianie. Rzuca paradoks lub cynizm słowa albo czynu i żąda, aby czytelnik poprostu uwierzył. Sama intryga, szatański pomysł Berdoi, nie wytrzymuje krytyki.

Wszakże kochali się i wielcy mistrzowie w okropnościach, wtrącił wielbiciel Grabbe'go. Nie jesteście murzyn Aron w „Tytusie Andronikusie“, albo Franciszek Moor w „Zbójcach“ szatanem od stóp do głowy? Są szatanami, lecz nawet w piekielnej roli odzywają się po ludzku, gdy serce ich z przestrachu zadrży. Berdoa nie drży nigdy. Wcie-

lona to zwierzęca podłość. Teodor zaś Gotlandzki jest tylko wyskokiem chorobliwie rozegraną wyobraźni.

Jako postać tragiczna, niema Teodor żadnej wartości, bo nikczemność i bezmyślna wściekłość nie należą do motywów tragicznych. Lecz księżę Gotlandzki jest wytworem młodego a najzdolniejszego dramaturga owego czasu, jest z namiem epoki, a jako taki, zajmuje obszerniejsze miejsce w historii teatru niemieckiego. Jest on symbolicznie, jako wyraz ostatecznego spodlenia i ostatecznej rozpaczliwej zdetronizowanego na czas niejakiś rozumu, postacią prawdziwą i zajmującą. Niszczy i burzy, burzy i niszczy, aby niszczyć i burzyć. Dlatego morduje Teodor brata, urąga ojcu, poniewiera żonę, zabija tysiące, bywa zdradzonym przez swych generałów, sojuszników, w końcu przez syna; dlatego, zburzywszy wszystko, kładzie się spokojnie na murawie i zasypia, choć w około wre walka, a gdy go Arboga przebija, mówi z bezdennym cynizmem: jeśli sądzisz, że mnie gniewasz, mylisz się. Krytyka niemiecka oceniała dotąd pierwsze dzieło Grabbe'go jako zwyczajny dramat, nie odczuwając jego znaczenia w rozwoju idei literatury. A przecież tylko z tego stanowiska można się Grabbe'm w ogóle zajmować. Inne oświetlenie tej dzikiej, rozkapryszonej fantazyi, jest wprost niemożliwe.

Jako kompozytor dramatyczny drwi sobie Grabbe z wymagań sceny. Burze, pioruny, morza, skały, tysiące ludzi, wojska, bitwy; wszystko to rzuca na deski, nie troszcząc się wcale o możliwość lub niemożliwość wykonania. Prawie każda scena stanowi osobną odsłonę, a osoby mówią bez końca, bez ścisłości dramatycznej. Dykcya odraża szorstkością, a tu i owdzie rozrzucone idee, wyrażone w sposób epigramatyczny (należy to do właściwości Grabbe'go), żartują sobie z rozsądku i zadziwiają czytelnika brutalnym, ordynaryjnym cynizmem.

„Teodor Gotlandzki“ jest potworną kreacją, a mimo to, czyli właśnie dlatego, trzeba go nazwać bękartem wielkiej epoki ¹⁾. Zastanowiliśmy się obszerniej nad pierwiosnkiem talentu Grabbe'go, gdyż maluje on najlepiej autora. Grabbe, nie przetrawiwszy się nigdy, pozostał przez całe życie na stanowisku literackim pierwszej swjej młodości, i dlatego wystarcza do charakterystyki jego talentu rozczłonkowanie któregokolwiek dzieła bez wyboru. Wprawdzie starał się poeta później o szlachetniejszy ton, wprawdzie pozbył się „grubiańskiego,“ plebejuszowskiego, że tak powiemy, sposobu wyrażania się, złagodził nawet rozmyślną w młodości przesadność obrazów, porównań i paradoksów, lecz rzeczywistej równowagi literackiej nie wywalczył sobie nigdy. Nie nauczył się pracować podług planu, gardził ekonomią te-

¹⁾ Tragedyą tę skomponował Grabbe jako gimnazysta, pracował nad nią w uniwersytecie, a poprawił i wydał dopiero w r. 1827 w Frankfurcie u Kettembeil'a.

chniczną, gryzł, kopał i parskął przez całe życie na wsze strony. Rozbitek! Ale rozbitek potężny, bo rozbijający sam do reszty starych Bogów. „Z niczego stwarza Bóg, my budujemy z ruin. Chcąc wiedzieć, czém jesteśmy i co możemy, musimy nasamprzód siebie samych na kawały potrzaskać. Straszliwe przeznaczenie! Niechże jednak będzie! Los padł i na mnie, więc muszę pójść za wskazówką méj gwiazdy. Niemcy, ojczyzno moja, nie dozwolono mi nawet walczyć i zginąć za ciebie“ — woła Grabbe w tragedyi „Don Juan und Faust“ (akt I, scena 2).

Aus Nichts schafft Gott, wir schaffen aus
Ruinen! Erst zu Stücken müssen wir
Uns schlagen, eh' wir wissen, was wir sind
Und was wir können! Schrecklich Loos!

— Doch sei's!
Es fiel auch mir und folg ich meinen Sternen!
Deutschland! Vaterland! Und nicht ein mal
Im Schlachtfeld konnt' ich für dich kämpfend fallen.

Więc Grabbe wiedział o tém, że rozbija, więc druzgotał z samowiedzą. Słodkawy patos epigonów Schiller'a zaczął cuchnąć cynizmem; przyglądzoną naleździe mowę wycackanych motywów, przedrzeźniał dykeją jędrną, epigramatyczną, a prawomysłnym pomysłem „szkoły“ urągał dziwaczniemi osnowami. Znał on nawet bardzo dobrze wady zewnętrzne swego czasu, bo napisał przeciwko szekspiromanii osobną rozprawkę ¹⁾, w której mówi: „tragedya historyczna będzie tylko zwykłą kroniką, gdy autor nie umie zamienić pewnej epoki dziejowej na czynność dramatyczną, ześrodkowaną wprawdzie, lecz mimo to, odtwarzającą prawdę podania. Tego nie umiał Szekspir w młodości, i dlatego są jego tak zwane „dramata angielskie“ tylko w poetyczną szatę przystrojonemi kronikami (sind weiter Nichts als poetisch verzierte Chroniken). A mimo téj samowiedzy w teoryi, pisał Grabbe w praktyce sam takie kroniki dramatyczne (Friedrich Barbarosa, 1829; Heinrich VI, 1830, tragedye historyczne w owoczesném znaczeniu). Rzecz dziwna! Zwykle rozwija się każdy talent poetycki idąc w górę, spadając dopiéro około pięćdziesiątego roku życia, przetrwawszy na wyżynach dojrzałości od r. 30—50. U Grabbe'go zaś widzimy niezwykły objaw, bo najjaśniejszy błysk na progu twórczości. „Teodor Gotlandzki“ świadczy mimo potworności pomysłu, mimo bezładu kompozycyi i mimo ordynaryjnej dykeji o wielkim, oryginalnym talencie, podczas kiedy dzieła, pisane po roku 30 życia (Hannibal, 1835; Herrmann-

¹⁾ Ueber die Sheakspeareomanie, umieszczona w drugim tomie wydania z r. 1827 „Dramatische Dichtungen.“

schlacht, Bitwa Armina, wydana dopiero po śmierci autora r. 1838), czyli w czasie dojrzewających talentów, noszą na sobie ślady zupełnego upadku. Bezwątpienia przyczyniły się do tak szybkiej śmierci talentu Grabbe'go przeróżne, a bez rozumu spożywane alkohole, lecz i mimo brzydkiego nałogu nie byłby się Grabbe tak szybko wypisał, gdyby się nie był urodził ostatnim wielkiej armii straceńcem. Z klątwą przyszedł na świat, klął przez całe życie i z klątwą stoczył się pijany do wczesnego grobu. Straszliwe przeznaczenie, zaprawdę...

Najprawdziwiej zbudowanym dramatem jego jest czteroaktowa tragedia „Don Juan und Faust“ (1829, Don Żuana i Faust). Jedyna to praca Grabbe'go, którąby można na scenie wystawić. Sam pomysł, samo połączenie Fausta i Don Żuana, przedstawiciele dwóch biegunowych celów człowieka (idealizmu i realizmu, żądzy wiedzy i zmysłowości), przemawia za tém, że Grabbe był talentem pierwszego rzędu. Bo budowa, mówi Lessing bardzo słusznie, uda się dziesięciu autorom, a pomysł tylko jednemu. Tylko rzeczywisty talent zdobędzie się na szeroką kompozycją, tylko genialny umysł porwie się na rozwiązanie tak trudnego problemu, jakim jest niezawodnie pogodzenie dwóch odwiecznie w ludzkości płynących prądów, a uchwyconych w powieści ludowej w postaciach: Fausta i Don Żuana. Od należytego rozwiązania tego równania filozoficznego zależy samowiedza ludzkości. Kto pogodzi ciało z myślą, serce z rozumem, krew z fosforem mózgu, ten zbawił ludzkość. Nic dziwnego, że Grabbe nie dokonał téj sztuki. Lecz zabrał się do niéj, a już to samo jest świadectwem jego geniuszu. I ton „Don Juana i Fausta“ jest szlachetniejszy, niż w późniejszych pracach. Sympatya autora stoi po stronie Don Juana, który jest bardzo dobrze narysowany. Famulus Leporello należy do najudatniejszych postaci dramatycznej literatury Niemców.

Inne prace Grabbe'go są na scenie wręcz niemożliwe. W „Bitwie Armina“ każe autor walczyć całym legionem i kohortom z sobą, a w dramacie „Napoleon und die hundert Tage“ (1831, Napoleon i sto dni), rozwinął szyk bojowy bitwy pod Waterloo ¹⁾.

Dramat przestał nareszcie odpowiadać swemu przeznaczeniu. Naśladowcy Grabbe'go nie pisali już wcale dla sceny: nie warto!

W Grabbe'm widzimy ostateczny upadek dramatu oświecono-romantycznego. Pomysł, forma i język dochodzą ad absurdum.

W obec takich rezultatów załamał żyjący jeszcze Goete ręce i zawołał do Eckermann'a: ci ludzie piszą w straszliwej gorączce! a Ger-

¹⁾ Zostały także po Grabbe'm ułamki projektowanej dopiero tragedji p. t.: „Kościszko.“ Ciekawych dokładnego spisu nazwisk całego legionu autorów między r. 1820—1840, odsyłamy do T. Kehrein'a, die dramatische Poesie der Deutschen, 1840, tom I, str. 180—207.

vinus radził, kończąc swą „Historję poezyi niemieckiej“¹⁾: „niech się umysł niemiecki stanie na pewien czas ugorzyskiem, niech sobie wypocznie. Zaorcie go potém, a wyda bezwątienia nowe a zdrowe owoce.“

Lecz ani Goethe ani Gervinus nie przypomniat sobie słów Körnera: „słońce nie świeci dla niewolników, a sztuka potrzebuje ojczyzny.“ A przecież zawierają słowa te najgłówniejszy powód upadku poezyi niemieckiej po roku 1820.

¹⁾ Gervinus Geschichte der deutschen Dichtung; 1874, wydanie piąte tom V, str. 813, (tom V).

PROJEKTA REFORMY SZKÓŁ ŚREDNICH GALICYJSKICH *).

2. Nauka języków.

a) Języki starożytne.

Że języki starożytne muszą pozostać jednym z najwybitniejszych czynników wychowania publicznego, temu nie przeczy żaden z projektów reformy, pomimo dość głośno objawianych zdań przeciwko nauczaniu, przedewszystkiém języka greckiego, zdań tych płytkich umysłów a jednostronnych, któreby pragnęły, aby wychowanek ze szkoły publicznej wyszedł tak usposobiony do zarabiania na chleb jak wyzwolony z terminu rzemieślnik. Projekta, które rozpatrujemy, dotyczą tylko pewnych zmian w szczegółach, zatrzymując w ogóle stanowisko, jakie językom starożytnym w wychowaniu nadała tradycja i pedagogiczna rozważa.

Zasady, na jakich zarys organizacyjny z r. 1849 oparł naukę języków klasycznych w gimnazyach austriackich, a więc i galicyjskich, są ze wszech miar godne uznania. „Głównym celem nauki języków starożytnych, mówi on w uwagach wstępnych, jest, obok formalnego wykształcenia, nabytego przez gramatyczne studia, szczególnie lektura klasycznych autorów, tego niewyczerpanego źródła prawdziwie humanitarnego wykształcenia; gimnazjum ma nietylko tę lekturę umożliwić, ale w obfitój mierze i z wyborem rzeczywiście się nią zająć.“ Nadawszy zaś dosyć przeważającą liczbę godzin tym przedmiotom, dodaje na swoje usprawiedliwienie, że tego cel koniecznie wymagał, chociaż i ta liczba godzin, przeznaczona dla języków klasycznych, jest mniejszą aniżeli sobie tego nawet wielu kompetentnych organizatorów gimnazyów życzyło. „Obecny plan, mówi dalej, odrzucając w tym względzie wszelkie fałszywe pozory, nie umieszcza swego punktu ciężkości w literaturze klasycznej, ale we wzajemném oddziaływaniu wszystkich przedmiotów naukowych.“

W nauczaniu tych przedmiotów, rozróżnia Zarys dwa stopnie: niższy dla niższego gimnazyum, wyższy dla wyższego. Celem nauki

*) Ciąg dalszy — patrz zeszyt za październik r. b.

języka łacińskiego w gimnazyum niższém ma być „znajomość gramatyki języka łacińskiego, wprawa i ćwiczenie w przekładaniu łatwego łacińskiego autora.“ Ku temu celowi przeznaczają Zarys dla klasy I 8 godzin tygodniowo, dla wpojenia w uczniów regularnych form deklinacyjnych i konjugacyjnych, obok koniecznych części nauki o przyjmujących i spójnikach i elementarnych wiadomości ze składni. Nieregularne formy zajmą uczniów klasy II w 6 godzinach tygodniowo, poczem w kl. III można już obok dwu godzin gramatyki, zajmującej się nauką o przypadkach, czytać w 3 godzinach „Żywoty Korneliusza Neposa,“ w klasie zaś IV, obok nauki gramatyki, a mianowicie dalszej części składni o czasach i trybach, czytać w 3 godzinach Cezara Pamiętniki „de bello gallico.“

Celem nauki tego języka w gimnazyum wyższém, jest znajomość rzymskiej literatury w najgłówniejszych objawach, a w niej i rzymskiego życia publicznego; nadto nabycie zmysłu do formy stylistycznej języka łacińskiego, a przez to pośrednio do piękności mowy w ogóle.

Dlatego przeznaczają Zarys dla klasy V w 6 godzinach tygodniowej nauki lekturę Liviusza ks. I i ważne ustępy z walki patrycjuszów z plebejuszami i z walki Rzymu z Hannibalem, na drugie półrocze wybrane ustępy z Przemian Owidyusza, w 5 godzinach; zaś w 1-szém nauka gramatyczno-stylistyczna, na podstawie ćwiczeń w tłumaczeniu z języka ojczystego na język łaciński. Klasa VI, w podobnej ilości godzin, ma się zająć lekturą Salustyusza „de bello Jugurthino“ i „de coniuratione Catilinae,“ Cycerona „Oratio in Catilinam I“ i Caesara „commentarii de bello civili.“ Nadto można czytać niektóre z listów Cycerona, charakteryzujące stosunki ówczesne; z poezyi zaś wybór z Wergillego Eklog i Georgik, i początek Eneidy. Również 1 godzinę zajmują mają gramatyczno-stylistyczne ćwiczenia.

Klasy VII i VIII mają tylko po 5 godzin tygodniowo na naukę tego języka, z których znowu po 1 przypada na gramatyczne ćwiczenia. W pozostałych 4 ma się przeczytać w kl. VII z prozy mowy Cycerona, retorycznie najlepsze i politycznie najważniejsze; z poezyi dalszy ciąg Eneidy; w kl. VIII z prozy Tacyta Agrykolę lub Germanią i grupy z obydwu lub jednego z dzieł historycznych tego autora, z poezyi Horacyusza Ody, wybór z epod, listów i satyr.

Naukę języka greckiego rozpoczyna zarys dopiero w klasie III. Wzgląd, jaki kierował autorami zarysu, iż do téj klasy początki tego języka przeznaczali, nie mógł być inny, tylko ten, iż nauka jego, w obec bogactwa form i syntaktycznych figur, jak również w obec różnorodności i głębokości literatury byłaby prawie niemożliwą, gdyby jej nie popierała z jednej strony nauka języka łacińskiego, z drugiej mniejsza ilość piśmiennych ćwiczeń. To téż, lubo cel obydwu języków jest równy, grecki specjalnie ma o wiele niższy stopień, bo w niższém gimnazyum chodzi o „znajomość gramatyczną nauki o formach attyckiego dyalektu, obok najkonieczniejszych i najistotniejszych punktów ze składni;“ w gimnazyum zaś wyższém o „gruntowną lekturę najznaczniej-

szych rzeczy z literatury greckiej, o ile na ten przedmiot przeznaczony, czas ograniczony, dozwala.“ W tym celu przeznacza Zarys na kl. III, w 5 god. tygodniowo, regularną naukę o formach, z wyjątkiem słów na *μ*, przyczem każe bacznie uważać na akcenty; na kl. IV, w 4 godz. tygod., nieregularności imienia i słowa, nadto główne punkta ze składni trybów, jako części składni greckiej, najbardziej od języka łacińskiego odstępującej. W kl. V rozpoczyna się, w 4 godz. tygod., lekturę Iliady, około 4 księgi, obok koniecznego podniesienia różnicy dyalektu epicznego-jońskiego od attyckiego; w kl. VI przeczytać należy około 6 ksiąg Iliady, a w 2 półroczu z Herodota główne momenta wojen perskich; w kl. VII, w 5 godz. tygodniowo, ma się przeczytać w 1 półroczu jedną tragedję Sofoklesa, w 2 małe mowy polityczne Demosthenesa, a gdy czasu stanie i mowę o wieńcu; w kl. VIII, w 6 godz. tygodniowo, przeczytać w 1 półroczu Platona: Apologję Sokratesa, a potem jeden ze znaczniejszych dyalogów, np. Protagorasa, Gorgiasa, lub Phaedona, w drugim jedną z tragedji Sofoklesa. We wszystkich klasach wyższego gimnazjum przeznacza Zarys co 14 dni jedną godzinę na zachowanie i utrwalenie form gramatycznych, obok dalszych ustępów ze składni greckiej, potrzebnych przy lekturze.

Tak przepisywał Zarys Organizacyjny w r. 1849, nie przesądzając zmian, jakie, w zastosowaniu powyższych zasad i przepisów, okażą się koniecznymi. To też, w ciągu lat trzydziestu następnych, poczyniono tu i owdzie uzupełnienia i poprawki niezawsze szczęśliwe, nieraz wprost błędne, a zawsze prawie, jak to zobaczymy, zbyt znaczne, z czego łatwo poznać możemy, że, byle ściśłem wykonaniem i wyrobioną metodą było poprzec dążenia Zarysu, niewiele ponad to, co do nauki języków klasycznych pozostawało jeszcze do życzenia.

Nie chcąc drobiazgowo przechodzić zmian wszystkich, wskażemy tylko, jak się po nich przedstawia nauka języków klasycznych, podług programów szkolnych, zalecona w roku 1880, a względnie obecnie. A najsamprzód co do liczby godzin, spotykamy z jednej strony podwyższenie, z drugiej niżenie: klasa II otrzymała na naukę języka łacińskiego godzin 8 tygodniowo, podobnie jak I; klasa III godzin 6, równie jak posiada klasa IV. W nauce języka greckiego przeznaczone dla klas V i VI godzin 4, podniesiono na 5; zaś 5 godzin klasy VII i 6 klasy VIII niżono na 4 i 5. Odnośnie do materiału naukowego, wrócono w kl. III, po niedługim panowaniu t. zw. „historia antiqua,“ do żywotów Korneliusza Neposa; jako lekturę grecką, wprowadzono do kl. V chrestomatję z pism Ksenofonta, przed czytaniem Homera Iliady, a za to usunięto z kl. VI lekturę Herodota, stawiając również na jego miejsce w tej klasie Odysseę. Rozszerzono też zakres objaśnień rzeczowych i uznano konieczność dokładnego powtarzania gramatyki obok lektury.

W zadaniach piśmiennych zaprowadzono również zmiany. Zarys Organizacyjny przepisywał dla języka łacińskiego w kl. I tygodniowo jedno zadanie szkolne, dziś, oprócz tego, należy dać dwa domowe, jak

w kl. II chciał mieć Zarys; dla kl. III przeznaczał Zarys co tydzień zadanie domowe, co 14 dni lub co 3 tygodnie szkolne, na całą godzinę, dzisiaj w niektórych gimnazyjach postępują w 1 półroczu téj klasy, jak w kl. II, a w drugiem co tydzień zadanie naprzemian: domowe i szkolne, w innych praktykuje się to przez rok cały, i podobnie w kl. IV. Dla klas wyższego gimnazjum, przepisuje Zarys co 14 dni zadanie domowe, co miesiąc szkolne, co do dzisiaj pozostało.

Co do języka greckiego, wymagania są znacznie mniejsze. Począwszy od klasy III drugiego półrocza, ma się dawać, podług Zarysu, co 14 dni zadanie szkolne, co miesiąc domowe; w gimnazyum wyższém zaś co 4 tygodnie zadanie szkolne lub domowe. Dziś daje się w kl III i IV, jedno zadanie szkolne i jedno domowe miesięcznie, zachowując to i w kl. V i VI, w kl. VII dopiero jest jedno zadanie na 3, a w VIII na 4 tygodnie.

Oto stan nauki języków klasycznych, jaki do dziś dnia panuje w Galicyjskich gimnazyjach, oparty na Zarysie organizacyjnym. W całości niewiele się mu da zarzucić, w szczegółach konieczne są niektóre poprawki, które mniej lub więcej uwzględniają projekta reformy przez nas rozbiegane.

A najpierw przypatrzmy się, jak się zapatruje na naukę języków klasycznych Komisyja rady szkolnej. „W rządzie środków kształcenia umysłu, mówi słowy d-ra Czerkawskiego, zajmuje ona zawsze jeszcze znakomite miejsce; rugując ją z niego, usunięto by niejako z budowy naszej cywilizacji jedno z najważniejszych wiązań i osłabiono by ją w znacznej części, bez możności zasilania jęj na razie innym równoważącym czynnikiem“—a nadto „teraźniejsze nasze powszechne oświecenie, zanadto głęboko tkwi w literaturze starorzymskiej, a przez nią w literaturze starogreckiej, iżby w téj chwili społeczeństwo mogło się całkowicie pozbyć jęj znajomości, jako zbytecznej. Co najmniej ci, co są powołani do moralnego w niem przodownictwa, mają obowiązek i potrzebę utrzymywać tę łączność z naszą przeszłością duchową, czego by bez znajomości języka, literatury i historii, nie zdołali uczynić. Ztąd pochodzi, że do dnia dzisiejszego, żadna jeszcze reforma szkół nie posunęła się aż do zupełnego języków klasycznych z systematu wychowania publicznego uchylenia.“ To téż, porównawszy powyższe zapatrywanie z projektem organizacyi z r. 1849 i znalazłszy jego rozkład odpowiedni, zastanawia się komisyja nad faktem, dlaczego mimo to „od lat prawie trzydziestu powtarzają się bezustanku i to w różnych zwrotach, utyskiwania na niedostateczne rezultaty nauki języków klasycznych?“ Zdaniem komisji tkwią przyczyny tego z jednej strony w braku staranności wykonywania zupełnego i sumiennego programu, z drugiej w postanowieniu za wysokich wymagań w jednym kierunku. I tak np. objęcie składni języka łacińskiego dwuletnim kursem (t. j. kl. III i IV), uważa za niemożliwe i rozkłada ją na klasę III, IV i V, a właściwie i na dalsze klasy gimnazjum wyższego, gdzie, oprócz powtarzania, ma być rozszerzanie pojedynczych działów i nau-

ka o słoworodzie, a w dwu najwyższych klasach koniecznym się wydaje wyłożenie najważniejszych zasad łacińskiej stylistyki. Nabycie wprawy w tłumaczeniu, chociażby łatwiejszego autora łacińskiego w gimnazjum niższym, uważa również komisya za problematyczne i wysokie żądanie. Wprawy tej nabywa się przez wszystkie następne klasy wyższego gimnazjum. „Wykład autorów łacińskich w pierwszym rzędzie powinien mieć na oku, żeby usposobić uczniów do stopniowego pokonywania językowych trudności i uzdatniać do zgłębiania złożonych tam myśli, obznajomić z formą ich należytego wystawiania i umnożyć im ostatecznie zupełne przejęcie się treścią i formą wzorów.“ Komisya rady szkolnej krytykuje wybór i układ autorów, przeznaczonych przez Zarys do czytania w gimnazjum, a upatrując w nim ślad ówczesnych prądów, t. j. wysunięcia naprzód realnej strony w wykładzie klasyków, przychodzi do przekonania, że przy czytaniu autorów należy „przedewszystkiem naukę języka w pierwszym postawić rzędzie, a wiadomości realne, które czerpać można i należy z czytania autorów, uważać wprawdzie za nabytek cenny, ale dodatkowy i pomocniczy, potrzebujący do zapewnienia mu odpowiedniej skuteczności dydaktycznej zaokrąglenie, przez treściwe w tym celu urządzone wykłady nauczyciela.“ Zmienia więc Komisya porządek autorów w lekturze i oświadcza się za ćwiczeniami w wystawieniu łacińskim, tak ustnym jak i piśmiennym.

Projekt jej tedy wygląda jak następuje:

„Nauka języka łacińskiego da uczniom poznać najważniejsze zasady jego gramatyki i na tej podstawie usposobi ich do łatwego rozumienia, jako też według możliwości do biegłego i poprawnego tłumaczenia pism klasycznych autorów łacińskich, niezawierających nieznanym im szczegółów rzeczowych.“

„Przy pomocy takiego przygotowania, obezna ich z utworami najcelniejszych pisarzy złotego wieku, wykazując pokrótce związek tych utworów z innymi pokrewnymi przejawami w literaturze i w życiu starożytnych Rzymian i poda przy tej sposobności niejaki wiadomości o ich wyobrażeniach i zwyczajach lub urządzeniach tak religijnych, jak świeckich.“

„Doprowadzi też uczniów do tego, żeby umieli przetłumaczyć opowiadanie historyczne lub łatwy traktat rozumujący z języka wykładowego na łacinę, jakoteż oddać jaką prostą rzecz, której treść nie byłaby obcą starożytności, własnymi słowy w języku łacińskim, nie popełniając rażących przynajmniej błędów przeciw jego zasadom.“

Zastosowując te zasady, nie różni się Komisya co do kl. I i II od Zarysu; dopiero dla kl. III przewiduje 8 godzin tygodniowej nauki jęz. łac., z których 2 na naukę składni rzędu przypadnie, 2 na ćwiczenia w przekładaniu ustnym i piśmiennym, a 4 na czytanie żywotów Korneliusza Neposa. W kl. IV, oprócz dalszej części nauki składni w 2 god., czyta się w 4 godz. Cezara Pamiętniki o wojnie gallickiej, w V kończy się gramatykę i czyta tegoż autora Pamiętniki o wojnie domowej, z do-

datkiem wyboru z metamorfoz Owidyusza. Naturalnie, że przy lekturze Cezara, muszą być objaśnienia geograficzne, historyczne i ze starożytności wojskowych. W kl. VI 2 godziny poświęca się ćwiczeniom praktycznym i powtarzaniu gramatyki, 4 zaś lekturze Liwiusza, a poetów zaś w 1 półroczu wybór z elegij Owidyusza, a w 2 części Wergillego Eneidy; lektura ma być w części wywodna (stataria), w części potoczna (cursoria). Objasnienia ze starożytności życia publicznego. W VII i VIII klasie, w 5 godzinach tygodniowo, mają uczniowie przeczytać z prozaików w kl. VII Cycerona ważniejsze mowy i łatwiejsze i krótsze traktaty (Cato maior, Laelius), w kl. VIII Tuskulanki lub Księgi o Powinnościach; obok niego w kl. VII Salustyusza, w kl. VIII Tacyta Roczni, przytém w obu klasach Liwiusza kursorycznie; z poetów zaś w kl. VII Wergillego (Eneidę, Bukoliki i nieco z ziemiaństwa), w kl. VIII Horacego w stosownym wyborze. Objasnienia mitologiczne przy Owidyuszu i Wergilliuszu, w kl. VIII historyczny pogląd na przebieg głównych epok rzymskiej literatury. Z ćwiczeń można niekiedy dawać i wolne wypracowania domowe.

Co do języka greckiego, komisya uznawszy, że jego stanowisko w rzędzie nauk gimnazyalnych musi być drugorzędne, bo „oświata grecka nie wpłynęła tak bezpośrednio, jak rzymska, na rozwój umysłowy narodów, co po upadku Rzymu wstąpiły na widownią nowszych dziejów,“ krytykuje plan w Zarysie Organizacyjnym podany, w którym cel nauki tego języka wysoki, a drogi, do niego wiodące niepewne i niejasne. Komisya sądzi przeto: „że nie należy ustawać w nauce gramatyki, a w szczególności, gdy uczniowie nabędą już dostatecznej wprawy w deklinacjach i konjugacjach i przyswoją sobie dostateczną ilość greckich wyrazów, że potrzeba ich obznajmiać ze składnią tego języka.“ Nadto zaprowadza komisya zmiany w lekturze autorów greckich, dodając „Pamiętniki Sokratesa“ Ksenofonta, Życiorysy Plutarcha, ograniczając lekturę Platona do mniejszych jego dyalogów, i wyłączając z tragedji—Sofoklesa chóry. Rozpoczyna naukę tego języka w kl. IV po 5 godzin tygodniowo.

Jako cel jęj stawia w programie, „żeby uczeń, na podstawie dokładnego obeznania się z gramatyką szkolną, umiał dość biegle tłómaczyć łatwego prozaika, z poetów zaś Homera, tudzież łatwy, nie z długich okresów złożony ustęp, przełożyć na piśmie z wykładowego na język grecki, nie popełniając rażących błędów przeciw przepisom gramatyki.“ W kl. IV i V przypadnie wziąć odmianę imienia i słowa; jedną godzinę w tygodniu poświęcić ćwiczeniom w brulionie i na tablicy, a co 3 tygodnie extemporalia. W klasach VI, VII i VIII czytać będą uczniowie dzieła greckich autorów w kl. VI. Ksenofonta „Cyropedya,“ lub „Anabasis, w kl. VII tegoż autora „Pamiętniki Sokratesa,“ w kl. VIII życiorysy Plutarcha, albo mniejsze dyalogi Platona; z poetów, przez wszystkie 3 klasy: Homera Iliadę i Odysseę, a w ostatniem półroczu, według możności, Sofoklesa „Tragedye,“ z pominięciem chórow. Lektura ta poda nauczycielowi sposobność, do obznajomienia u-

czniów ze starożytnościami i literaturą grecką. W 1 god. tygodniowo należy przedsiębrać ćwiczenia w składni greckiej przez wszystkie trzy lata.

Taki jest plan komisji rady szkolnej, co do obudwu języków klasycznych. Zanim do dalszych projektów dla porównania przejdziemy, zauważyć musimy, że nieszczególny wybór uczyniła komisja przez przywrócenie w poczet przedmiotów lektury Pamiętników Cezara „de bello civili.“ Dziełko to nietylko że nie jest w stanie obudzić żywszego interesu, ale stoi nawet znacznie niżej od pamiętników o wojnie gallickiej, zwłaszcza co do języka i stylu. Wielką przewagę i pierwszeństwo daje też komisja pismom filozoficznym Cyncerona, do których korzystnego czytania trzeba znać dokładnie dzieje filozofii greckiej, a tej wiadomości uczniowie posiadać w tym wieku nie mogą. I wybór Życiorysów Plutarcha mniej się nadaje dla gimnazyów. Co do treści nie zawsze wiarogodne, chociaż w nie tchnął autor własną szlachetność i ciepło, co do języka i stylu przedstawiają znaczne trudności, które nie wiem, czy dzisiaj średnich zdolności abiturjent pokonałby zdołał zupełnie.

Nadto nie widzimy potrzeby podnoszenia liczby godzin nauki języka łacińskiego w klasie III z 6 dotychczasowych na 8. W dwu godzinach tygodniowej nauki gramatyki, można najważniejsze rzeczy ze składni rządu, nawet na przykładach przerobić, w 4 godzinach pozostałych przeczyta się znaczną ilość Żywotów Korneliusza. Chyba gdy przywiązując do ćwiczeń piśmiennych nadmierną wagę, będziemy je jak dotąd liczyć na tuziny; w takim bowiem razie, choćby ze względu na konieczne poprawianie zadań i ten czas zaledwo wystarczyć może.

Rzekomo zgodny, w rzeczy zaś samej w wielu razach sprzeczny jest referat ogólny komisji Akademii Umiejętności, a referat poszczególny d-ra Leona Kulczyńskiego w sprawie nauki języków klasycznych. Referent specjalny, widząc w zasadach i przeprowadzeniu Zarysu przeważnie dobrą stronę, wyrzeka się z góry wszelkich reform daleko idących, a mówi tylko o poprawkach i uzupełnieniach. Żąda więc tylko, aby w I i II klasie od 6 miesiąca nauki czytać przynajmniej 1 godzinę w tygodniu bajki i opowiadania łacińskie, zawarte w przykładach Poplińskiego, starać się od początku o dobrą wymowę co do iloczasu, w kl. IV stanowczo tylko 2 god. tygodniowo na naukę gramatyki przeznaczyć (?). Żąda następnie, zupełnie słusznie, jednej dla wszystkich klas gimnazjum gramatyki łacińskiej, tylko dlaczego nią ma być gramatyka Poplińskiego lub Samolewicza, a nie jedynie Samolewicza; nie widzimy powodu. Uwagi co do zatrzymania przepisów Zarysu, odnośnie do ćwiczeń piśmiennych, są również słuszne; od jakiegoś bowiem czasu poczęto całą wagę nauki pokładać w piśmiennych ćwiczeniach i obarczano nimi i uczniów i nauczycieli. Zresztą referent stoi na stanowisku Zarysu, radząc ile możności czytać wiele z Korneliusza i Cezara, Cyncerona dyalog o starości (Cato maior) czytany w niektórych gimnazyach, zastąpić innym, listy Cyncerona nawet w wyjątkach pomi-

nać; z mów czytać te, co prawdziwą retoryczną mają wartość, a unikać pełnych błyskotek i bujnego stylu (pro Roscio Amerino, pro Archia).

Co do języka greckiego, idzie referent również za Zarysem organizacyjnym. Proponuje tylko, aby już w kl IV na drugie półrocze rozpocząć lekturę Ksenofonta i ukończyć ją dopiero w pierwszym półroczu klasy V, poczem miałyby następować lektura Iliady, zajmująca klasy V drugie półrocze i klasę VI. Słusznie wymaga referent, by lepiej czytać to arcydzieło, ile możności w całości, aniżeli coś z Iliady i coś z Odyssei. Trudno tylko, bez próbnego rezultatu, oceniać, czy dobrą była zmiana liczby godzin w kl. VI łaciny na 5, a greckiego na 6 i w VII greckiego na 5, a łacińskiego na 4 godziny, czyli odwrócenie stosunku obecnie istniejącego.

Cenne są uwagi referenta, odnośnie do dydaktycznego traktowania języków klasycznych; podaje on je niejako w uzupełnieniu uwag Zarysu. Oto poleca w nich pomoc nauczyciela, przy rozpoczynaniu lektury, poleca usunięcie książek z komentarzami, bo one rozrywają tylko ucznia uwagę w szkole (w domu mieć sobie może), nie radzi traktować specjalnie historii literatury greckiej i rzymskiej i innych realiów, odnoszących się do starożytnego świata, ale okolicznościowo przy lekturze. Estetyczną stronę lektury poleca uwzględniać o tyle, o ile czas na to pozwala, t. j. zajmować się grupowaniem znanych utworów i podciągając je pod categorye rodzajów poezji lub prozy. Lekturę domową dobrowolną ucznia należy popierać, ale niepodobna nakładać obowiązku uczniom w oddawaniu się jej, nauczycielom w jej pozaszkolnym kontrolowaniu.

Otoby było mniej-więcej wszystko, co specjalny referent komisji Akademii Umiejętności, na podstawie Zarysu, zmienia lub ulepszyć usiłuje. Dziwnego przeto doznaje się wrażenia, czytając potem referat ogólny. Czy referent ogólnego sprawozdania nie mógł, czy nie chciał przeczytać referatu specjalnego, albo, jak referent specjalny, mógł na takie kardynalne zmiany przy dyskusji pozwolić—oto są pytania mimowolnie się nasuwające. Pomijamy punkt 1 twierdzeń referenta głównego, dotyczący zmiany gramatyki Curtiusa i zastąpienia jej inną; i referent bowiem specjalny zwraca uwagę na składnię, która mało uwzględnia właściwości te same w języku ojczystym, co w greckim—pomijamy punkt 2, który może mieć pewne dane za sobą, ale cóż powiedzieć o punkcie 3, a cóż dopiero o 4? W nich-to nie żąda referent nic innego, jak tylko jednej chrestomatyi greckiej, ułożonej na całe wyższe gimnazjum, z wyjątków liryki greckiej, Herodota, z kilku pieśni Iliady i Odyssei, dramatu Sofoklesa, kilku mów Demostenesa, chrestomatyi, poprzedzonej „historyczno-literackimi wiadomościami;“ dalej żąda „książki na wyższe gimnazjum napisanej, mieszczącej faktyczne wiadomości z mitologii starożytności i z historii literatury.“ Najciekawszem zaś jest zakończenie: ze względu na faktyczne stosunki, bez względu na cel nauki tych przedmiotów i ich metodyczne traktowanie, przeznacza referent główny dla języka łacińskiego w kl. I i II

po 5, a w III do VIII po 4 godziny tygodniowo; dla greckiego w kl III i IV po 3, a w V do VIII po 4 godziny!!

Zostawiając sąd o tém światłemu czytelnikowi i oświadczając się stanowczo za ulepszeniami referenta specjalnego téj kwestyi komisyi, przechodzimy do trzeciego projektu, projektu komisyi Towarzystwa Pedagogicznego.

Sądząc z ogólnych zasad, na jakich ta komisya swój projekt oparła, możnaby było wnosić, że naukę języków klasycznych na drugi plan usunie. Tymczasem tak nie jest. Język łaciński ma tam liczbę godzin tygodniowo 46, grecki 27. W całości stanęła komisya, również na stanowisku Zarysu, usuwa tylko znużone preparacye piśmienne w niższych klasach, również i zadania domowe; w lekturze przenosi Liwiusza do VI, a Salustyusza do V klasy (który nie nasunie znacznych trudności, zwłaszcza jeżeli część opisową i opowiadającą szczególnie się uwzględni¹⁾) podobnie i lekturę Horacego do VII klasy w drugim półroczu już przeznaczają, „aby w kl. VIII pozostało więcej czasu na lekturę Tacyta.“

Z języka greckiego przeznaczają jeszcze w kl. V 2 god. tygodniowo na naukę gramatyki, mianowicie składni. Usuwa lekturę Demostenesa, „z powodu zbyt wielkich trudności dykcji i treści,“ lekturę Sofoklesa zatrzymuje warunkowo „jeżeli uczniowie będą mogli przystąpić do niej bez zbyt wielkich trudności.“

W całości zgodzić się można na zasady powtarzania w klasie wyższej materiału klasy niższej, usunięcia, a przynajmniej zmniejszenia wypracowań domowych łacińskich i greckich (w ogóle), trudno tylko przyjąć zasadę, że uczniowie w gimnazjum niższém, przeważnie i tylko gramatyki uczyć się powinni, a w wyższém czas przeznaczony poświęcić lekturze. Niepodobieństwem jest bowiem, a nawet byłoby bezowocném wbiecie uczniowi w gimn. niższém tyle form, ile ich spotka w lekturze gimn. wyższego; choćby się ich zresztą i niejeden nauczył, zanim je spotka, zapomni niezawodnie. Powtarzanie form gramatycznych, naturalnie w miernych granicach, musi koniecznie towarzyszyć lekturze, jeżeli tekst ma być dobrze zrozumiany, a następnie dobrze na język ojczysty przełożony, a jeżeli przekład nie ma być tylko mechaniczném wycuczeniem się tłumaczenia obcego, drukowanego lub przez nauczyciela podanego.

b) Języki nowożytne.

α) JĘZYK POLSKI LUB RUSIŃSKI.

O nauce języka polskiego niewiele nam pozostaje do powiedzenia po tém, cośmy roku zeszłego w tym czasie¹⁾, na podstawie wówczas ogłoszonych sprawozdań powiedzieli. Odsyłając przeto łaskawego czy-

¹⁾ „Bibl. Warsz.“ zeszyt 11 (listopad) r. 1881, str. 226—247.

telnika na właściwe miejsce, dodać tylko musimy, co w tej mierze projektuje komisya rady szkolnej krajowej.

Komisya ta, „polegając na radzie i wnioskach członka swojego, d-ra Antoniego Małeckiego, co do nauki języka polskiego, chociaż pozostała w głównych zarysach na stanowisku podanego w projekcie organizacyjnym planu dla nauki języka ojczystego w ogóle, odstąpiła przecież od niego w niektórych szczegółach, ze względu na potrzeby całości instrukcyi gimnazyalnej i na zrobione dotąd w tej właśnie gałęzi pedagogiczne doświadczenia.” Bo oto plan, podany w Żarysie taki, jakoby się nauka języka ojczystego dopiero w szkole średniej rozpoczynała. „Przeznaczono, że uczniowie ukończyć przedtém winni szkołę początkową, a tam nauka odbywa się głównie na podstawie ojczystego języka. Szkoła średnia nawiązać powinna do nabytków szkoły początkowej, która sprowadzić ma egzamin wstępny, ustalić je przez powtórzenie i prowadzić uczniów dalej w wytkniętym kierunku.“ Otóż projekt komisji rady szkolnej, postawiwszy sobie za cel nauki języka ojczystego (polskiego lub rusińskiego) w gimnazyum niższém, „usposobienie uczniów na wzorach najcelniejszych pisarzy narodowych, do poprawnego, na świadomości zasad gramatyki opartego, a przytém łatwego używania jego w mowie i w piśmie we wszystkich przygodach życia i najpospolitszych rodzajach pisma,“ w tym celu przeznaczają w kl. I i II na naukę języka polskiego lub rusińskiego, jako wykładowego, po 4 godziny na tydzień.

W klasach tych mają uczniowie powtórzyć naukę o deklinacyach i konjugacyach, obeznać się z budową zdania pojedynczego i złożonego i poznać prawidła składni zgody i rzędu. Obok tego będą przedmiotem czytania wyjątki z wzorowych pisarzy, ćwiczenia piśmienne, co dni 14, bądź szkolne, bądź domowe.

W kl. III i IV nauka języka wykładowego ma się odbywać w 3, w V w 2 godzinach tygodniowo. W kl. III, oprócz powtórzenia nabytych z gramatyki wiadomości, uczyć się będą uczniowie nauki o znaczeniu czasów i trybów, o częściach mowy nieodmiennych i o zdaniu złożoném. W kl. IV powtórzą gramatykę i poznają zasady etymologii, w kl. V zasady wierszowania—wszystko to naturalnie, obok czytania wypisów i ćwiczeń piśmiennych.

Nowością, wprowadzoną przez projekta wszystkich komisji, a więc i tej—jest „treściwy i popularny wykład „Teoryi o rodzajach pisania,“ oparty na stosownie ułożonych wypisach,“ które „powinny dać możność wykazania różnic i właściwości najpospolitszych rodzajów pisma, tak w prozie, jak w poezyi.“ Ma to być „dodatkowym“ przedmiotem klasy V, „jako najodpowiedniejsza pomoc do pojmowania utworów pisarskich, w chwili, kiedy umysł młody poczyna się zajmować ich formą, chociaż niezdolny jeszcze dotrzeć do głębi myśli.“ Projektowi temu nadała więc komisya konkretniejszą nieco postać i połączyła go bardzo zřęcznie z nauką wierszowania.

Co do historyi języka i literatury, ich zakresu i sposobu uczenia

w gimnazjum wyższém, zajęła komisya Rady szkolnej odrębne stanowisko. W zasadzie przyznała słusność zarzutom, jakie czyniono planowi podanemu w Zarysie: na jego podstawie uczono w kl. V form staropolskich języka i czytano zabytki.“ „Badać zabytki dawnego piśmiennictwa, odświeżać zapomniane dziś już formy języka, jest raczej zadaniem specjalnej nauki; dla oświecenia zaś ogólnego, lub raczej średniego, takie badania nie mogą mieć bezpośredniego znaczenia.“ Odroczenie więc tego działu do ostatnich klas gimnazjum, nie odniosłoby, zdaniem komisyi, również żadnego pożytku, i dlatego usuwa go zupełnie z nauki gimnazyalnej. Nadto, rozpoczynając pozostałe dzieje literatury okresu Zygmunto-wskiego, nie idzie komisya porządkiem chronologicznym, ale, ze względów dydaktycznych, przeznaczają na kl. VI czytanie i rozbiór dzieł epoki Stanisławowskiej i następnej, aż do roku 1830; na kl. VII epokę Zygmunto-wską i panegiryczno-makaroniczną i dzieła pisarzy po roku 1830. W kl. VIII będą uczniowie czytać „dłuższe utwory z którejkolwiek epoki, a za pomocą uwag analityczno-estetycznej natury będą mieć sposobność poznawania ich budowy i bogactwa myśli.“ Na kl. VI przeznaczają projekt 2 godziny, na VII i VIII po 3 godziny tygodniowo. „Treściwe wiadomości historyczno-krytyczne, o każdym z czytanych autorów, podawane w sposób odpowiedni, mogą się stać zawiązkiem poglądu na historią literatury, której wykład w gimnazjum nie powinienby przekraczać tej granicy.“

„Gdzie miejsce języka polskiego zajmuje język rusiński (także małoruskim lub halicko-ruskim zwany), nauka w tym samym duchu winna postępować. W klasie szóstej materiały do czytania miałyby być czerpnięte z autorów okresu, których szereg zaczyna Kotlarewski, w klasie siódmej należałoby uwzględnić literaturę starorusińską i najnowszą, w klasie VIII przejść do czytania większych i rozleglejszych utworów.“

Trudno dyskutować, czy ten porządek epok, z których projekt utwory pisarzy czytać poleca, byłby odpowiednim i zupełnie stosownym; doświadczenie tylko kilkuletnie mogłoby o tym stanowcze wypowiedzieć zdanie; że atoli czas, wymierzony na ten przedmiot, przedewszystkiém w klasie VI, jest więcej niż zaszczupły, może orzec każdy nauczyciel, który, choć raz, uczył w tej klasie języka polskiego i to w 3 godzinach. Wszak na tych samych godzinach należy omawiać tematy do ćwiczeń piśmiennych, które projekt co miesiąc zadawać poleca, na tych samych godzinach musi nauczyciel omawiać popełnione błędy rzeczowe, a nawet językowe, przyczém uczniowie niemałą odnośną korzyść. Komisya albo o tém nie pomyślała, albo wymyśliła inny jaki sposób, którego niestety nie podała.

β) JĘZYK NIEMIECKI.

Może żadnego języka nauka nie wywołała i nie wywołuje tyle najsprzeczniejszych zdań i głosów ludzi fachowych, dziennikarstwa i publiczności, ile nauka języka niemieckiego. W ostatnich osobliwie la-

tach poczęto powoli zwracać uwagę, że ta generacja, która od początków elementarnej nauki wszystkie zresztą w języku ojczystym czerpała, że ta generacja nie posiada takiej znajomości tego języka, jakiej wymaga stanowisko Galicyanina w stosunku do monarchii rakuskiej i każdego oświeconego Polaka w stosunku do Zachodu. Narzekali wojskowi, że młodzież uniwersytecka wstąpiwszy do służby jako jednorocznicy ochotnicy, nie może sobie dać rady z prelekcyami fachowemi, w języku niemieckim wykładanemi, i z tego najczęściej powodu, albo zniechęcona egzaminu oficerskiego nie składa, lub go składa mniej dobrze; narzekali i narzekają zwierzchnicy urzędów publicznych a przede wszystkim sądów i urzędów politycznych, że wstępujący nowi prawnicy najprostszego referatu w języku niemieckim nie są w stanie poprawnie wypracować. Głosy te coraz częstsze i liczniejsze znalazły wyrzaz w dziennikarstwie, nie zawsze dość umiarkowanem i jasno na rzeczy patrzącem, a ztąd sprawę tę pochwycili centraliści wiedeńscy i ich organa i poczęli dzwonić na alarm o polonizacyi całkowitej Galicyi.

Mniej zapewne istotną potrzebą i jasnem przeświadczeniem o rzeczywistym stanie rzeczy, a najwięcej „głosami z Wiednia“ powodowana rada szkolna krajowa, wydała w r. 1880 do dyrekcji wszystkich szkół średnich w Galicyi okólnik zawierający kwestyonarz, czy i w jakim stopniu dałoby się w poszczególnych przedmiotach zaprowadzić repetytorya w języku niemieckim. Wywołało to naturalnie znowu krzyk w dziennikarstwie, a zdaje się i same grona nauczycielskie były temu przeciwne, skoro rada szkolna tę sprawę *ad acta* złożyła, a zwróciła tylko uwagę nauczycieli matematyki i fizyki, by ile możności, przy wykładzie obznajamiali uczniów z terminologią niemiecką, o tyle, iżby ci na zadane im pytania przy egzaminie dojrzałości, przynajmniej na jedno w języku niemieckim odpowiedzieć byli w stanie.

Cała ta rzecz o tyle przynajmniej była korzystną dla sprawy nauczania, że w obec podejmowanych projektów reformy, mogła baczniejszą na siebie komisji zwrócić uwagę, i przyczynić się do łatwiejszego zajęcia stanowiska należytego. To też nie można zaprzeczyć, że prawie wyczerpującemi są referaty, jakie odnośnie do nauki tego języka komisye poczyniły.

Dr. Euzebiusz Czerkawski wziął na siebie obowiązek przedstawienia projektu nauczania tego języka, jako radzca szkolny i członek komisji przy tej radzie zwołanej. Swoje „Uwagi o nauce języka niemieckiego w gimnazyjach i szkołach realnych, z językiem wykładowym polskim i ruskim,“ drukowane w r. 1880 w „Przewodniku naukowym i literackim,“ rozszerzył i w osobnych odblakach, aby ułatwić nauczycielom wglądnięcie w metodę proponowaną i uwzględnienie jej możliwej już w istniejących nawet stosunkach.

Na wstępie zaznacza stanowisko i cel języka niemieckiego w programie nauk szkół średnich: stanowisko jego, ze względu na udział Galicyi w sprawach publicznych państwa austriackiego i w obec potrzeby utrzymania między nami a ościennym Zachodem naukowej łącz-

ności, musi być pośrednie między nauką języka ojczystego a nauką języków klasycznych, celem zaś poprawnie władania w mowie i piśmie, oparte na znajomości gramatycznej budowy i połączone ze znajomością najcenniejszych płodów literatury. Jeżeli nie wszędzie dotychczas osiągnięto pomyślny rezultat, przyczyna leży w błędnej metodzie, której się nie zastąpi nawet wprowadzeniem języka niemieckiego jako wykładowego w pewnych przedmiotach gimnazjalnej instrukcji. „Są to bezsprzecznie same połowiczne środki, zdolne w każdym razie zwichnąć główny cel umysłowego wychowania, bo przeszkadzają wszechstronnemu rozwinięciu się myśli, a nie osiągną nigdy w zupełności podrzędnego celu wyuczania obcego języka, bo nie przygotowując właściwej świadomości jego, budują w głównej rzeczy na samym tylko mechanizmie naśladownictwa i oczekują od tak zwaney wprawy nie wspartej rozumieniem ducha mowy, rozwiązania najtrudniejszej może części dydaktycznego zadania.“ Ustalenie przeto stosownej metody, któraby wyczerpywała wszystkie środki pedagogiczne i dydaktyczne, nakazane istotą rzeczy, a oparte na doświadczeniu, uważa dr. Czerkawski za jedyny sposób zapewnienia w Galicyi nauce języka niemieckiego odpowiedniego skutku.

Ze stanowiska i celu tego języka w naukach szkół średnich wynika, że sposoby nauczania powinny trzymać się pośredniej drogi, polegającej na zręcznej kombinacji środków metodycznych, jakie z jednej strony długoletnia praktyka zdobyła w poszczególnych działach nauki języków starożytnych, z drugiej zaś, jakie wskazuje nauka języka ojczystego pod względem praktycznego używania. W ten sposób częścią przez teorią gramatyczną i przez lekturę, częścią przez rozmowy praktyczne osiągnie się cel pożądaný.

To stanowisko dr. Czerkawskiego przyjęła komisya rady szkolnej i wzięła je za podstawę do ułożenia programu nauki języka niemieckiego w gimnazyum. Podług tego programu, „nauka języka niemieckiego ma zadanie przedewszystkiem usposobić ucznia do czytania i dokładnego rozumienia ksiązek tak potocznej, jakoteż nadobnej i ściśle naukowej treści po niemiecku pisanych; a nadto do poprawnego, na zasadzie znajomości prawideł gramatycznych i o ile możności łatwego i właściwego wyrażania się w tym języku, tak pismem jak i słowem; a nareszcie obznajomić go z celniejszymi dziełami pisarzy, uważanych za twórców nowszej literatury niemieckiej.“

W I i II kl. tedy, w sześciu godzinach tygodniowo, mają uczniowie w nawiązaniu do wiadomości, jakich nabyli w szkołach początkowych, obznajomić się z resztą odmian słów i głównymi zasadami składni rządu w sposób praktyczny, bez subtelných definicyi i podziałów. Ćwiczenia wszelkie podejmowane na podstawie języka wykładowego, mają dążyć do poprawnego przetłómaczenia zdań łatwych z języka wykładowego na niemiecki.

Na stopniu drugim, t. j. w klasie III, IV i V obejmie nauka tego języka w klasie III godzin 6, w IV i V po 4 tygodniowo; odtąd nietyl-

ko gramatyczna poprawność lecz i właściwość wyrażenia i stylistyczne zaokrąglenie będzie przedmiotem szczególnej uwagi. Ze składni niemieckiej uzupełni się naukę w klasie III rzeczą o znaczeniu i użyciu czasów i trybów, o budowie okresów i o zwrotach stylu, zwanych gramatycznymi postaciami; w klasie IV zajmie oprócz ćwiczeń resztę czasu synonimika; w V rzecz o rodzajach pisma w prozie i poezji. W ustnych ćwiczeniach, postępując od opowiadania ustępów czytanych sposobem konwersacyi ucznia z nauczycielem, dojdzie się w klasie V do wciągnięcia w ten przedmiot stosownych ustępów z innych części gimnazyalnej instrukcyi; ćwiczenia piśmienne, zrazu reprodukcyę, posuną się do łatwiejszych utworów własnej koncepcyi.

W klasie VI, VII i VIII, odbywać się ma nauka języka niemieckiego w czterech godzinach tygodniowo. Jedynym przedmiotem będzie tu lektura dzieł poszczególnych klasyków nowszej niemieckiej literatury jak Lessinga, Göthego i Schillera, z rozbiorem formy i treści i z uwagami objaśniającemi bądź utwory same, bądź epokę literacką w której powstały. Ćwiczenia ustne i piśmienne będą coraz obszerniejszemi rozprawkami i próbkami krasomówczemi, w dziedzinie przedmiotów uczniom znanych.

Gdzie jest językiem wykładowym język niemiecki, (np. we Lwowie w gimnazyum niemieckim, w Brodach w realnem gimnazyum), tam ten program również ma być zastosowany, tylko z odpowiedniami zmianami, na podstawie wniosków zgromadzeń nauczycielskich.

Przedstawiając powyższy projekt, pominięliśmy przecież z potrzeby choćby tylko streszczenie tych uwag, na których komisya swe wnioski oparła. Uwagi te, stanowiące same w sobie dość spore dziełko (8^o mai., str. 114) napisane ze znajomością przedmiotu, na podstawie gruntownej pedagogiki zasługują, jako r a r a a v i s w naszej literaturze pedagogicznej, na obszerny rozbiór, czego tutaj uczynić nie mogliśmy.

Nie o wiele niżej stoi referat d-ra Karola Petelenza, docenta historii literatury niemieckiej na uniwersytecie Jagiellońskim, jaki w tym przedmiocie komisji Akademii umiejętności przedłożył ¹⁾. I dr. Petelenz stara się jasno sformułować cel nauki języka niemieckiego w gimnazyum, i stosowną do tego celu przedstawia metodę, i o tyle chyba jest wszechstronniejszym, że baczniejszą uwagę zwraca na lekturę domową i na kształcenie sił nauczycielskich.

Opierając się na rozporządzeniu rady szkolnej krajowej, z d. 22 sierpnia 1868 r. l. 5371, w którym wskazany jest cel nauki tego języka jako niewykładowego, i wyciągnąwszy wniosek, że główny nacisk w tém rozporządzeniu leży w biegłości i poprawności w władaniu językiem, widzi przeto jedynie cel praktycznej natury, i dlatego

¹⁾ Nawiasowo tylko zauważyć musimy, że cały referat razi szorstkością języka, w wielu miejscach niepoprawnością wyrażen a w całości brakiem jasnego przedstawienia.

modyfikuje go dokładniej słowy: „nauka języka niemieckiego powinna w ostatecznym rezultacie, na podstawie przepisanych środków i metody, doprowadzić do biegłości i poprawności w władaniu nim ustnie i pisemnie (l) w poniżej podanym zakresie.“ „Język niemiecki bowiem— są dalsze słowa referenta—w organizmie gimnazyalnym nie tyle jest zdaniem naszym czynnikiem wychowawczym, o ile środkiem dla młodzieńca humanitarnie wychowanego i wykształconego do dalszych studiów i do życia publicznego. Język niemiecki, jak w ogólności wszystkie języki żyjące, których się uczymy, stanowi na targu światowym tylko (?) zdawkową monetę, i jest środkiem, jakim się człowiek znający swoje zadanie w obec ludzkości i narodu, posługuje do urzeczywistnienia i ułatwienia swego zadania.“ Radzi przeto referent nieco za jednostronnie tylko czysto praktyczny cel mieć na względzie przez cały czas nauki gimnazyalnej, i literaturę, estetykę, gramatykę i t. p., czyni służebnicami tego jedyne go celu. „Jeżeli gimnazyum—mówi na to dr. Z. Samolewicz we wspomnianej powyżej broszurze—nie ma być zlepkiem luźnych wiadomości, nie połączonych żadną wyższą myślą, to wszystkie przedmioty mają spełniać zgodnie to samo zadanie, a język niemiecki obok właściwego celu, ma także w doborze materyi i środków dydaktycznych iść ręką w rękę z innymi przedmiotami. To wszelako wcale nie przeszkadza, aby nauka owego przedmiotu, wstąpiła na tory praktyczne a posługiwała się metodą prędszej do celu wiodącą.“ Znaczy to nie co innego, tylko: *in medio veritas*.

Do tego celu wytkniętego zastosował dr. Petelenz i metodę, żądając, aby jakakolwiek została zastosowaną stale i powszechnie, jako jedynie obowiązująca a wykluczająca indywidualne środki. Zarys organizacyjny w innych czasach pisany, nie mógł do takiej nauki języka niemieckiego żadnej podać metody, rada szkolna nie wytknęła ścisłych i określonych wskazań metodycznych, któreby wszystkich i wszędzie obowiązywały. Kazuistyka więc panująca obecnie nie jest wcale metodą. Metoda, według pojęcia referenta, podług której należy uczyć języka niemieckiego, nie może być ani taką, jak przy nauce języków klasycznych, ani taką, jak przy nauce języka ojczystego, „musi stanowić koniecznie odrębną dla siebie grupę pod względem metody.“ Zakres przedmiotu musi być jasno postawiony, a jest nim dla niższego gimnazyum nabycie zasobu wyrazów niezbędnych dla władania językiem potocznym; dla wyższego: zasób ogólnych, zasadniczych terminów i zwrotów naukowych których dostarczy w zupełności analiza gramatyczna i rzeczowa, skoro systematycznie zostanie przeprowadzona. Piérwsze dwie klasy mają głównie gromadzić słownikowy materyał „w codzienném życiu przychodzących (sic!) realiów i abstraktów;“ w następnych dwóch klasach „treść ustąpi miejsca formie,“ praca będzie tu sortująca i przekształcająca. Następne klasy zajmą się synonimiką, i nabytkiem zwrotów z języka filozoficznego, „przez co chcemy oznaczyć wszystko, co ze względu na przyszłą pracę naukową ucznia w uniwersytecie i na sto-

sunek jego do warstwy ludzi wszechstronnie wykształconych, za konieczne uważamy.“

Sposób akroamatyczny, dyalogiczny i heurystyczny „w artystycznym połączeniu“ ma prowadzić do biegłego i poprawnego władania nabytym materiałem. Trzeba działać na ucho ucznia zapomocą zdań krótko lecz pięknie ułożonych, przez pytania i odpowiedzi nagiąć jego organa mowne i przyzwycząić go do używania nabytego materiału, a potem dopiero pozwolić mu samodzielnie szukać stosownych wyrazów do wyrażenia swój myśli. „Każdy przeto ustęp od najmniejszego do największego, powinien być jaknajdokładniej wygłoszony, zapomocą szczegółowego rozbioru zrozumiany i przerobiony tak, że może zupełnie służyć za podstawę do dalszej instrukcji.“

Radzi referent zaczynać naukę od ustępów niemieckich małych zaokrąglonych, na podstawie których można wiele z uczniem rozmawiać. W objaśnieniu postępować od przedmiotów zmysłowych do myślnych, jaknajpóźniej pozwolić uczniowi puszczać się na opowiadania własnymi słowy, i działać ile się da na pamięć jego przedewszystkiém lokalną.

Środkami nauki są: gramatyka, lektura i ćwiczenia piśmienne. Referent nie radzi uczyć gramatyki z książki w pierwszych dwóch klasach, ale bez gramatyki w ręku uczniów, przez ciągłą rozmowę każe mu podać odmianę rzeczownikową, kilka czasowników w regularnej odmianie, słówko „haben,“ potem „werden“ i t. d., aż do najelementarniejszych rzeczy ze składni. W trzeciej klasie dopiéro trzeba ten materiał „na podstawie osobnej gramatycznej czytanki“ (sic!) oddać w ręce uczniów i powtarzać w wyznaczonych na to godzinach. W klasie IV przerobić materiał jeszcze raz „aby uczeń opuszczający z dobrym postępem tę klasę, zdołał się rozmówić w zakresie zwyczajnej konwersacji bez popełniania usterek gramatycznych.“

Dopiéro w wyższych klasach ma się dobrać koniecznie do ortografii partye z głosowni praktycznym sposobem. W ogóle kieruje się referent niezupełnie słuszną maksymą: „piérwój ćwiczenie a potem uświadomienie,“ albo raczej mechaniczną formułką: „zapomocą mowy należy uczyć prawidłowego jej używania, nie odwrotnie zapomocą prawideł mowy.“

Lektura naturalnie wzorowa co do języka i przystępna co do treści dla wieku uczniów, musiałaby uwzględniać okresy rozwoju ucznia i dlatego na pierwszym stopniu (klasa I—III) podawać przeważnie w ustępach prozaicznych rzeczy najbliżej otaczające ucznia, przechodzić do opisów z życia codziennego i natury. Na stopniu drugim ma panować równowaga między prozą a wierszem; ustępy liryczne łatwiejsze obok biografii, zajmujących scen dziejowych i opisy natury; na trzecim poglądy na dzieje, literaturę, naturę a z poezyi dramat. W zastosowaniu do tego ma być podręcznik nie za obszerny, uwzględniać przedewszystkiém język a nie nabycie pozytywnych wiadomości, unikać zbyt moralizujących lub rozumujących ustępów; ustępy podawać zao-

krąglone, nawet przeistoczone o ile tego szkoła wymaga, a co do języka, wolne od archaizmów i prowincjonalizmów. Ortografia ma być naturalnie jednolita we wszystkich książkach całego gimnazjum, a druk musi być czysty, poprawny i wyraźny.

Rada szkolna poleca uczniom lekturę domową. Niema nic przeciwko temu dr. Petelenz, ale słusznie zauważa, że potrzeba najpierw dokładnie ułożonej i usortowanej biblioteki i konstatować, czy uczniowie czytali wypożyczone książki. Ponieważ postępowanie podobne z każdym uczniem z osobna byłoby dla nauczyciela z wielu względów zmuśnionem a nawet niemożliwem, radzi referent, by całej klasie pewne dzieło zalecić, które ma być w oznaczonym przeciągu czasu przeczytane, poczem je nauczyciel z uczniami w klasie specjalnie omówi. Będzie się w ten sposób czytać mało ale z korzyścią. Co do ćwiczeń piśmiennych, powiada krótko referent, że one powinny iść ręką w rękę z instrukcją ustną i obejmować całą skalę od ćwiczeń ortograficznych, aż do wolnych kompozycji na pewien temat.

Zasługą referenta наконец jest zwrócenie uwagi na kształcenie sił nauczycielskich. „Ponieważ pierwszym i najważniejszym warunkiem nauczyciela jest, ażeby władał pięknie i poprawnie językiem, co w naszych warunkach coraz trudniejszym staje się zadaniem, przeto należałoby kandydatów drogą stypendyów wysyłać na uniwersytet do prowincyi niemieckich, ażeby należytej wprawy w języku nabrali. Jesteśmy bowiem tego zdania, że krajowe siły należy wyrabiać, nie zaś, jak to kilkakrotnie zostało poruszone przy rozmaitych okolicznościach, obce siły do kraju sprowadzać. Byłoby do życzenia, ażeby każde gimnazjum miało dwóch nauczycieli do tego przedmiotu, mianowicie jednego dla klas niższych, zaś drugiego dla klas wyższych; w takim razie możnaby za wspólnem porozumieniem się z pewnym artystem przeprowadzać naukę, z którąby się przez ciągłe udzielanie jej żyło. Dzisiejszy sposób narzucania siłom nauczycielskim wbrew ich woli i kwalifikacyi przedmiotu, szczególnie w klasach niższych, zanadto jaskrawo objawia się w skutkach, ażeby bliższego potrzeba uzasadnienia.

Zamykając swój referat, umieścił dr. Petelenz plan ogólny, którego tu powtarzać nie będziemy i wynotujemy tylko te interesujące szczegóły, że w klasie VII poleca czytać jedno dzieło Göthego i jedno Schillera, w klasie VIII rozbiierać ustępy z Lessinga (Laokoona i Hamburger Dramaturgie), wybór ustępów z Göthego i Schillera i jedną komedję. Co do liczby godzin, przeznaczają na klasę I i II po 5, na III — VIII po 4 tygodniowo.

Referat ogólny komisji Akademii umiejętności zgadza się prawie zupełnie (o dziwo!) z referatem specjalnym powyższym streszczonym. Tylko w celu utrzymania wprawy w języku potocznym, radzi w kl. V i VI czytać obok zajęć i lektury innej, w jednej godzinie tygodniowo komedję i nowelle (Benedixa lub Kotzebue'go, Chamissa lub Auerbacha). Zwraca nadto uwagę na dążenie w klasach wyższych do artystycznj

deklamacyi, na domową lekturę i życzy sobie dla kl. VII i VIII „historyi literatury w chrestomatyi, mieszczącęj przeglądy epok, biografiją autorów, mniejsze i większe wyjątki z ich dzieł, oraz całości dramatów, epopei, mów, opowiadań historycznych. Co do liczby godzin tylko, posuwa się w żądaniach dalej od referenta specjalnego, proponując i dla klasy I i IV po 5 godzin tygodniowo, podobnie jak dla klasy I i II.

Nakoniec przedstawiamy projekt nauki języka niemieckiego komisji Towarzystwa pedagogicznego. Jest on zwięzły, jak wszystkie do poszczególnych przedmiotów ułożone przez tę komisją.

Co do liczby godzin, przeznaczonych tygodniowo na naukę języka niemieckiego, stoi projekt komisji Towarzystwa Pedagogicznego, najniżej, przeznaczając w całym gimnazjum tylko 33 god. w obec 38 komisji Rady szkolnej i 36 komisji Akad. Umiejętności. Nie stawiając osobno celu nauce tego języka, zdaje się przecieź ta komisya przechylać ku żądaniu referenta Akad. Umiejęt., jak się o tém z dydaktycznych wskazówek przekonujemy.

Oto w klasie I (w 6 god. tyg.) należałoby podług tego projektu, wziąć naukę o imionach, ze składni zdanie nagie i rozwinięte, przy czém zwracać uwagę na szyk i ćwiczyć w gramatycznej wprawie, na podstawie zdań pod względem języka i treści stosownie dobranych. „Z wypisów łatwiejsze powiastki, bajeczki, opisy. Na podstawie lektury, rozpoczyna się z uczniami stosowne rozmówki, za pomocą pytań i odpowiedzi (całemi zdaniami), przyzwyczajają się ich do mówienia ile możności jaknajwięcej po niemiecku. Oprócz tego ma się działać na pamięć, przez uczenie się odpowiednich ustępów z prozy i poezyi. Co tydzień zadanie, częste dyktaty ortograficzne.

W kl. II (w 6 godz.) powtarza się materiał kl. I, rozszerza go nauką o czasowniki i nauką o partykułach, ze składni o zdaniu złożonym. Z wypisów postępowanie od rzeczy łatwiejszych do trudniejszych. Zresztą postępowanie jak w kl. I.

Składnia zgody i rzędu zajmie klasę III, łącznie z powtórzeniem rzeczy, wziętych w klasach poprzednich. Za pomocą konwersacyi, opowiadają uczniowie wszechstronnie objaśnione ustępy, łatwiejsze zaś w związku. Ćwiczeń piśmiennych miesięcznie 3, a mianowicie: tłómaczenie lub reprodukcye dokładnie w szkole przerobionych ustępów. Godzin tygodniowo 4, równie jak w kl. IV, która powtarzaniem materiału, nabytego i stopniowo trudniejszymi zajmuje się ustępami do czytania przy podobnych ćwiczeniach ustnych i piśmiennych, jak w klasie III.

Na klasę V, w 3 god. tygodniowo, przeznaczają komisya powtarzanie gramatyki, „czytanie ustępów z wypisów, wyjaśnianie rzeczy i formy, zawiązywanie na ich podstawie rozmów, w których się baczy na poprawność gramatyczną i na ścisłość logiczną, wciąganie w zakres tych rozmów przedmiotów pokrewnych z innęj dziedziny nauki szkolnej. Uczenie się na pamięć pięknych ustępów prozaicznych i poetycznych.

Co dwa tygodnie przeznaczoną jest jedna godzina na tłumaczenie z polskiego na niemieckie. Zadanie co 3 tygodnie naprzemian: domowe i szkolne. Opowiadania, opisy, porównania. Zachęcanie do lektury domowej, rozsądne nią kierowanie i wskazywanie dzieł stosownych. Klasa VI w 4 god. tygodniowo (dlaczego tu 4?) zajmuje się tém samém, nadto historyczno-literackimi wiadomościami.

Klasa VII, w 3 godzinach tygodniowo, zajmie się „lekturą dłuższych pouczających ustępów prozaicznych, mianowicie z dziedziny historii powszechnéj i nauk przyrodniczych. Większe utwory poetyczne: Lessinga, Schillera, Götthego. Niektóre najgłówniejsze daty z historii literatury, aż do Klopstocka. Co 3 tygodnie wolne wypracowania domowe i szkolne.

W kl. VIII również w 3 godz. tygodniowo, czyta się „trudniejsze ustępy prozaiczne, mianowicie z dziedziny historii powszechnéj i nauk przyrodniczych. Większe utwory poetyczne Schillera i Götthego. Główne daty z historii literatury od Klopstocka aż do chwili obecnej. Co miesiąc wolne wypracowanie domowe lub szkolne.“

W porównaniu z programatami powyższych komisji, jest ten program słaby i zbyt ogólnikowy. Na stopniu niższym stoi wprawdzie na tym samym punkcie ciągłej konwersacyi, ale niestosownie przewiduje dla kl. I nieco fonologii („brzmienia mowne w języku ojczystym niemieckim, szczególnie dwugłoski“ ?). Na stopniu wyższym (w kl. V) chce wciągnąć w zakres rozmów przedmioty pokrewne „z innej dziedziny nauki szkolnej,“ żąda nieokreślonej lektury domowej tylko w klasie V i zanadto identyfikuje klasę VII i VIII. Bez ujmę dla szczerych intencji, można powiedzieć, że poprzednie projekta stoją nierównie wyżej, i że z nich jedynie, wzięwszy je razem, możnaby stworzyć nietylko plan dobry, ale i niepoślednią instrukcją, zawierającą cenne metodyczne wskazówki.

γ) JĘZYK FRANCUZKI (lub angielski).

Prawdziwie dziwić się wypada, jakim sposobem komisya Tow. Pedag., ona jedna, która stanowczo występuje za wspólną (jedną) szkołą średnią i która, ile możności, starała się pogodzić nauki humanitarne z realnymi, jak ta komisya mogła nawet jedném słówkiem nie wspomnieć o nauce języka francuzkiego lub angielskiego, choćby tylko jako nadobowiązkowych ¹⁾. Wszak ich nauka figuruje w planie szkół realnych, tylko, że francuzkiego udziela się nadobowiązkowo w kilku, dwu lub trzech oddziałach, po 2 godziny tygodniowo, a język angielski, prócz szkoły realnej lwowskiej, gdzie np. w r. 1882, w dwu oddziałach po 3 god. tygodniowo uczono (również 3 god. i francuzkiego), zupełnie zostaje na boku.

¹⁾ A wszak Lwów posiada p. J. Amborskiego, który, sądzimy, byłby się należycie z referatu wywiązał.

Komisyja Akademii Umiejętności nie powierzyła referatu nad tym przedmiotem żadnemu specjalistcie, ale mówiąc prawie nawiasowo i o tém, poświęca kilka słów téj sprawie, które w całości przytaczamy.

„W obec potrzeb dzisiejszjéj nauki i życia, niezmiernie pożądaną byłoby rzeczą, aby oprócz języka niemieckiego, także francuzki lub angielski, jako drugi język naukowego świata, znalazł stanowisko obowiązkowego przedmiotu. Mógłby on w takim razie liczyć tylko na dwie godziny tygodniowo, we środę i sobotę po jednój. Nie wątpimy, że nawet przy tak małym wymiarze czasu mógłby być drogą praktyczną nabyty w ciągu lat czterech przy pomocy, jaką daje znajomość łaciny i niemieckiego. Należałoby przenieść go wyłącznie do gimnazyum wyższego, poprzestając na obeznaniu z językiem potocznym i lekturą łatwiejszą. Na stanowisku nadobowiązkowego nie przyniesie on żadnej korzyści; należałoby tylko wybór angielszczyzny lub francuszczyzny zostawić woli uczniów.“

W skutek tego ubocznego słowa o tym przedmiocie, powstaje sprzeczność między ogólną uchwałą komisji co do wysokości godzin tygodniowjéj nauki; w wyższém gimnazyum bowiem podnieśćby się musiała ta liczba o 2 godziny i dosięgnąć nawet w VIII klasie 30, wbrew uchwale komisji co do maximum 26 godzin.

Komisyja rady szkolnój traktuje naukę języka francuzkiego równorzędnie z innemi, jako naukę obowiązkową. Dlaczego francuzki i obowiązkowy — motywa proste. U nas wszystko przemawia za językiem francuzkim. „Wiadomy jest wpływ, jaki ten język, łącznie ze swą literaturą, wywierał na rozwój umysłowy w Polsce. Jak w całej Europie, tak i u nas, bywa on zwykłym środkiem porozumiewania się, nietylko w stosunkach międzynarodowych, ale także towarzyskich. W sprawach publicznych rzadko obejść się można bez jego znajomości.“

Obowiązkową musi być jego nauka, a to raz dlatego, że z powodu dowolności, jaką nadobowiązkowość ze sobą przynosi, z początku oddają się jego nauce uczniowie jak każdjéj nowości, poczem łącno znużeni, wymawiając się brakiem czasu, porzucają; powtóre, że tylko jako obowiązkowy, otoczony pedagogiczną starannością, musi się obracać metodycznie w obrębie zasad całkowitego wychowania.

Kierując się zasadami miary, możliwój pedagogicznjéj i dydaktycznej, komisya musiała żądania swe w tym kierunku ograniczyć. Przeznacza przeto naukę tego języka tylko do czterech klas najwyższych, w każdjéj po 2 godziny tygodniowo i stosownie do tego stawia za cel całej nauki, „iżby uczniowie, po ukończeniu kursu gimnazyalnego, mogli, bez wielkiéj trudności i z zamiłowaniem, czytywać i rozumieć przynajmniej łatwiejsze dzieła w tym języku pisane i wyrażać w nim swe myśli o dostępnym dla nich materyach w piśmie i słowie, nie popełniając rażących językowych usterków.“

A zatém: „w kl. V poznają uczniowie praktycznie na systematycznie ułożonych przykładach formy regularne, tak deklinacyi jako téż

i konjugacyi, w szczególności w zastosowaniu ich do składni szyku w zdaniu pojedynczém i przyswoją sobie odpowiednią ilość francuzkich wyrazów w życiu pospolitém używanych.“

W kl. VI nauka o formach nieregularnych uzupełni naukę klasy poprzedniej o formach w ogóle; nauka o składni rzędu poda sposobność zastosowania jój praktycznego w budowie zdań. Prztém czytać i tłómaczyć będą uczniowie wypisy z celniejszych autorów francuzkich i odbywać ćwiczenia tak ustne, jako téż piśmienne, postępując od łatwiejszych do trudniejszych, dla przyswojenia sobie stopniowo potrzebnej w używaniu mowy francuzkiej wprawy.

W kl. VII podane będą prawidła składni czasów i trybów, jakoteż konstrukcyi imiesłowowych, a w książce do czytania obszerniejsze wypisy z pisarzy francuzkich, które formą i treścią odpowiedzą potrzebom i siłom uczniów tego stopnia. W miarę tych potrzeb i sił postępować mają także ćwiczenia ustne i piśmienne.

W kl. VIII będzie powtórzona gramatyka w najtrudniejszych częściach, z uwzględnieniem właściwości języka francuzkiego, czyli t. zw. galicyzmów. Czytać będą uczniowie jakie większe dzieło, którego z celniejszych pisarzy nowszego okresu i ćwiczyć się w mowie i stylu, w miarę swych wiadomości i uzyskanj w języku biegłości.“

Praktyka byłaby tylko w stanie wykazać, czy w ten sposób osiągnie się cel wytknięty i czyby w szczegółach nie potrzeba było zmian jakich.

3. Nauka przedmiotów nadobowiązkowych.

a) G i m n a s t y k a.

Że ciało, aby żyć i rozwijać się, potrzebuje ruchu, oprócz odżywiania przez pokarmy, i że one tylko wtedy obracają się na jegożytek, gdy je ruch ciągły wspiera, rzecz to równie znana, jak i to przysłowie starożytnych *mens sana in corpore sano*, dążące do owj równowagi, która jedynie w życiu większości przynosi zadowolenie, szczęściem zwane. Myśmy tę *καλοκαγαθία* Greka, odnoszącą się do ciała i do ducha, pojęli zbyt jednostronnie i usiłowaliśmy nadać przewagę duchowi, nie tę, która świecić powinna każdemu człowiekowi piętnem inteligencyi na czole, ale która, skarliwszy ciało, daje duchowi jedno skrzydło i wzlatywać mu w błękity każe.

Czas, abyśmy się obliczyli ściśle i z potrzebami naszego organizmu, a wtedy i duch swobodniej się rozwinie, a snąc przychodzimy do tego poznania, skoro dziś rzadkie między publicznością wyjątki, któreby sobie nie życzyły dla swych dzieci ćwiczeń gimnastycznych, obok nauki szkolnej. Stosunki się zmieniły i co dawniej dawało harcowanie na koniu z kopia lub szablą w rękę, to dzisiaj czynić musi ćwiczenie gimnastyczne. W szkołach galicyjskich do niedawna nie było w programie wychowania nauki gimnastyki. Zarys organizacyjny nie

o niej nie mówił, nie podnoszono tej potrzeby, a więc nie było i powodu wprowadzać nowości.

Dopiero rada szkolna krajowa w r. 1870 zaprowadziła stanowczo w gimnazyach i szkołach realnych naukę gimnastyki, jako przedmiotu nadobowiązkowego, w tym atoli stopniu, że nie obowiązywał on tylko tych, co albo świadectwem lekarskiem, albo wolą rodziców przeciwną, od tego uchylić się mogli. Ale któż miał uczyć tej gimnastyki? W miastach większych znaleźli się ludzie kompetentni, a nawet uzdolnieni, którzy, lubo za skromném wynagrodzeniem, spełnienia tego obowiązku się podjęli; ale w miastach prowincjonalnych? Naturalnie, szukano między gronem nauczycieli, czyby się na to który nie odważył; nie znalazłszy i poza gronem nikogo, przedstawiano przecież którego śmielszej natury, i ten, niby poinformowawszy i obznajmiwszy się z przedmiotem, udzielać począł tego, czego sam nigdy nie umiał. Nie przesądza to jednak o wyjątkach; znamy kilku nauczycieli, którzy z wielką korzyścią dla młodzieży, ćwiczenia te nader skrupulatnie i instruktywnie urządzają, ale mówimy „kilku.” Nie wszędzie też było i odpowiednie ku temu miejsce; gdzieniegdzie postawiono szopy, zresztą zadowolono się postawieniem słupa, umieszczeniem drążków, drabin i bar pod gołem niebem, na podwórzu. Dość, że „zrobiono” gimnastykę. Zabawka bawiła początkowo; wypadek jeden i drugi, pochodzący jużto z braku należytego nadzoru, jużto z braku posłuszeństwa i karności, jakim się odznaczają uczniowie w obec osób poza gronem nauczycieli stojących, spowodowały wielu rodziców do wzbronienia dzieciom uczęszczania na gimnastykę, z obawy, by nie poniosły tam jakiego szwanku, czyniącego je kalekami, może na całe życie. Poczęli więc rodzice z coraz większą obawą posyłać dzieci na naukę gimnastyki i starali się, ile się to dało, uwalniać je od niej, nie wiedząc, że należyte wykonywana, jest niezbędnie potrzebna dla dzieci, prawie jeszcze zmuszonych siedzieć przeciętnie do ośmiu godzin dziennie w ławce, lub przy stole w domu.

Jest więc nauka tego przedmiotu wadliwą, bo albo nie przez uzdolnionych udzielaną, albo nie przez członków grona nauczycielskiego, a ztąd niema przy niej tej karności, jakiejby się wymagać powinno. Na te i inne wady atoli, żadna z komisji nie zwróciła uwagi, traktując w ogóle przedmioty nadobowiązkowe pobieżnie. Nie mamy nic przeciwko postawieniu ich na drugim planie, ale gimnastyka przede wszystkim zasługiwała na kilka słów więcej.

Komisya rady szkolnej przepisuje tylko, aby ćwiczenia gimnastyczne według układu szwedzkiego odbywały się w każdym gimnazjum. „Postęp uczniów w ciągu tych ćwiczeń niema wpływać na promocyą, wszelako odbywać je powinien trzy razy na tydzień każdy uczeń, chyba że na podstawie orzeczenia lekarskiego zostanie zwolniony z tego obowiązku. Szczegółowe o tych ćwiczeniach przepisy wydawać będzie rada szkolna krajowa.”

W komisji Akademii Umiejętności podnoszono ważność nauki

gimnastyki i wyrażono zdanie, że „należałoby ją uczynić obowiązkową dla wszystkich, którzy nie udowodnią, że pobierają lekcye gimnastyki, lub że względy zdrowia tego im wzbraniają,” ogranicza atoli ćwiczenia te tylko do gimnastyki szwedzkiej. A dalej mówi: „Jeżeli kiedy gimnastyka mogłaby znaleźć zastosowanie, to w czasie pauz między godzinami rano (10—11), wypełnianych zwyczajnie krzykiem i bijatyką, któreby z pożytkiem zastąpić mogły ćwiczenia gimnastyczne, połączone z ewolucjami wojskowemi. Możliwoby te pauzy przedłużyć, godzinę następującą po nich stosownie przeciągnąć, aby nauce szkody nie czynić. Zwrócenie uwagi w tę stronę, postaranie się, aby przy gimnazyach znajdował się obszerny plac ćwiczeń na lato i na dniemniej zimne zimowe, jest tém konieczniejszém, że młodzież naszą (nb. galicyjską) czeka wojskowa służba jednoroczna, która z pomiędzy wywiedłych i nierozwiniętych młodzieńców, uczniów tegoczesnych, dosyć często przysparza ofiar śmierci przedwczesnej. Trudno i żądać, aby odnany przez lat ośm pracy sedentaryjnej, z nierozwiniętymi piersiami i słabą muskulaturą chłopiec, podołać mógł, po wyjściu z gimnazjum, forsownym marszom przy ćwiczeniach, lub nużącej służbie w konnicy.”

Aby nauka gimnastyki była przedmiotem obowiązkowym, żąda z naciskiem komisya Towarzystwa pedagogicznego. Uwolnieni mają być tylko ci, którym lekarze udziału w tej nauce nie pozwalają. „Przytém wyraża komisya życzenie, iż nauka ta ze względów pedagogicznych powinna, ile możności, oddaną być w ręce nauczycieli zakładu.”

Zestawiliśmy umyślnie wszystkich komisji życzenia, aby wykazać, jak wszystkie dopiero nawzajem poniekąd się uzupełniają tak tu, jak i w poprzednio przedstawionych przedmiotach, obowiązkowych przynajmniej w większej części. Na tém tle niech nam wolno będzie osnuć parę indywidualnych zapatrywań, o ile sądzimy, korzystnych dla samego przedmiotu.

Poruszano już od lat kilku w pismach publicznych sprawę umundurowania młodzieży, którą tak komisya Akademii Umiej., jak i Tow. pedagogicznego gorąco popiera, najpierw dlatego, że mundurek będzie wstrzymywał ucznia od wykroczeń poza szkolnych, a potóm, że wyrobi się duch korporacyjny (ésprit de corps), a ztąd większa równość i koleżeństwo. W ostatnim roku przez przykład Francyi odezwało się parę głosów w dziennikach galicyjskich, zalecających i u nas utworzenie batalionów szkolnych. Bez względu na głosy przeciwników, których nigdzie nie braknie, oświadczamy się stanowczo i za jedném i za drugim i sądzimy, że to stoi w ścisłym związku z należytą nauką gimnastyki. Bo oto umundurowanie jest pierwszym krokiem utworzenia batalionu, a jego istnienie umożliwi regularne i ściśle przestrzeganie ćwiczeń gimnastycznych, wyrobi karność nietylko przy tych ćwiczeniach, ale w ogóle przy nauce szkolnej.

Młodzieży gimnazyalnej, umundurowanej i sformowanej w batalion (w miarę przepelnienia gimnazyów, jak dzisiaj i we dwa), należałoby udzielać nauki gimnastyki obowiązkowo. Rozpadałaby się ona

zaś na dwie grupy: pierwszą objęłyby ruchy, zwroty i ewolucye wojskowe, któreby można wykonywać podług projektu komisji Akad. Umiej., podczas przedłużonej pauzy przedpołudniowej; drugą stanowi gimnastyka szwedzka i na przyrządach pojedynczych, w godzinach osobnych. Gimnastyka szwedzka sama wystarczyć nie może do dobrego rozwinięcia muszkułów wszystkich; rzeczy proste, wykonywane na pojedynczych przyrządach, choćby dwa razy tygodniowo tylko, większą przyniosą korzyść, niż codzienna gimnastyka szwedzka.

Chodzi jeszcze o to, kto i gdzie miałyby udzielać gimnastyki. Ze względów pedagogicznych, bardzo wielki w tym razie wpływ mających, widzimy jedną tylko możebność, t. j. aby gimnastyki udzielali nauczyciele zakładu. Osiągnąć to zaś można w ten sposób, że albo się znajdzie w samém gronie nauczyciel uzdolniony, lub chcący uzyskać uzdolnienie, albo też przepisaną kwalifikacją złożony, powinien się stać nauczyciel gimnastyki, jako przedmiotu obowiązkowego, zwyczajnym członkiem grona, równym co do praw i pensji. Mógłby on jeszcze przytém udzielać np. języka francuzkiego albo angielskiego.

Ponieważ ewolucye wojskowe odbywałyby się wśród przerwanéj nauki umysłowéj, powinni by niemi kierować nauczyciele zakładu. Nie ma prawie dziś żadnej szkoły średniéj w Galicyi, któraby w gronie swych nauczycieli nie liczyła co najmniej dwóch oficerów, lub podoficerów rezerwy. Nie byłoby najstosowniejszém powierzenie im téj części ćwiczeń ciała? W tym punkcie znajdujemy również usunięcie projektu, aby do ćwiczeń wojskowych wzywać oficerów obrony krajowéj. Nie mówiąc już o tém, że w takim razie musielibyśmy odstąpić od zasady zatrzymania tylko nauczycieli zakładu, nie można przecież zapominać, że oficerowie czynni obrony krajowéj, właśnie na wiosnę i w lecie, kiedyby się te ćwiczenia odbywać mogły w gimnazjum, są zajęci w polu na ćwiczeniach własnych żołnierzy i dwóm obowiązkom w tym samym czasie, z pewnością by zadosyć uczynić nie mogli.

Pozostawałoby jeszcze do roztrząśnienia pytanie, gdzie podobne ćwiczenia odbywać. Jesteśmy prawie pewni, że to zawsze w Galicyi tylko ideałem pozostanie, a jednak nie możemy sobie inaczej wyobrazić przyzwolonego, warunkom higienicznym i potrzebom szkoły odpowiadającego gmachu szkolnego, jak tylko przy cichéj ulicy, w głębi dużego podwórza, posiadającego zaś w tyle duży ogród botaniczny, aby na żywych, nie zasuszonych, a częstokroć i nie do poznania zmienionych tworach przyrody, młodzież uczyła się je poznawać. Otóż nic naturalniejszego, jak aby owo podwórze, odłączone od ulicy murem i zamknięte bramą, stanowiło plac ćwiczeń wojskowych. W jednym kącie mogłyby się też znajdować przyrządy w celu ćwiczenia się na nich w lecie; na zimę powinien posiadać gmach szkolny na parterze dużą i dobrze ogrzewaną salę, zaopatrzoną również we wszystkie przyrządy. Podczas pogody więc w lecie odbywałyby się ćwiczenia wojskowe i gimnastyczne na wolném powietrzu, podczas słoty zaś i w zimie w sali rzeczonéj.

Tak pojmujemy naukę gimnastyki, jeżeli ona ma odpowiedzieć

celowi i być nawet niepoślednim czynnikiem w wychowaniu. Utworzenie batalionów szkolnych nie powinno przerażać przeciwników militarizmu, bo i my absolutnymi jego przyjaciółmi nie jesteśmy; ale to pewna, że życie w rygorze, życie rycerskie, do którego Polak z natury tak usposobion, przyczynia się wielce do wyrobienia dzielności charakteru i hartu duszy, jak na to tysiące przykładów znaleźć można w dziejach minionej przeszłości.

b) Ś p i é w.

Celem nauki śpiewu w gimnazyum nie może być wyrobienie śpiewaków, przyszłych podpór opery lub teatrów, ale wytworzenie dobrego chóru, któryby w pierwszym rzędzie wykonywaniem łatwiejszych kompozycji muzyki kościelnej, wspólne nabożeństwa i uroczystości szkolne uświetniał. Na drugim planie stoi wyrobienie słuchu i zmysłu muzycznego, tak nieraz potrzebnego w życiu i podanie sposobności młodzieży na wycieczkach, uprzyjemnienia sobie śpiewem pieśni stosownych, tych chwil wieku młodocianego, które raz tylko istnieją. Z natury rzeczy więc wynika, że nie mogłaby ta nauka być obowiązkową, boć nie każdy potrzebny posiada organ; ale po wypróbowaniu, raz przyjęty, powinien obowiązkowo tej nauce się poświęcać, chyba, że mutacja głosu, lub dłuższa słabość, stanowczo mu tego wzbroni.

O nauce tego przedmiotu nie wspominają nic komisye Akad. Um. i Tow. pedagog.; komisya rady szkolnej zaś, czyniąc go przedmiotem nadobowiązkowym, wspomina, że program nauki ma być przez zgromadzenie nauczycieli ułożonym i radzie szkolnej przesłanym.

Zwrócić się przedewszystkiém musimy znowu do obecnego stanu i wyznać z żalem, że oprócz niewielu gimnazyjów, nauka śpiewu w oślakanyam znajduje się stanie. Nawet w Krakowie nie można nieraz przebyć tej półgodzinnej mszy studenckiej, aby nie usłyszeć takich dysharmonii, które nawet w mniej czułym przykre muszą wywołać wrażenie i do nabożeństwa wcale nie usposabiają.

Należałoby więc stanowczo naukę tę ująć w pewne modły, oddać ją ile możności w ręce nauczyciela zakładu, a jeśli takiego niema, to lepiej niechaj uczniowie unisono pieśni zwykłe kościelne śpiewają. Wszak ludu nikt nie uczy, a potrafi nieraz zaśpiewać przejmujący hymn na cześć Stwórcy, drżący tysiącem serc wzruszonych i przejętych...

c) Kaligrafia i stenografia.

Ponieważ nie zawsze uczniowie ze szkół ludowych przychodzą z tak wyrobioném pismem, aby dalsze ćwiczenie się w tym kierunku było zbyteczném, zaprowadzono przeto nadobowiązkowe godziny nauki kaligrafii, na które atoli każdy uczeń z I, II, a często i z III klasy, którego pismo gospodarz klasy zbada, bezwarunkowo uczęszczać powi-

nien. Komisya rady szkolnej wspominając o tój nauce, nie pragnie téz niczego ponad to, co się dotąd wykonywa; inne komisye nic nie wspominają. Nam się zdaje, że we wspólnej szkole średniej, jaką przedewszystkiém nasze projekta mają na myśli, kurs kaligrafii na tém ograniczać się nie powinien; ale wciągnąwszy obowiązkowo i uczniów klasy III i IV, posunął się do rzeczywistego *τὸ καλὸν γράφειν*, t. j. do pisma rondowego, antykwy, inicjałów i t. p., które dziś w szkołach realnych uczniowie bardzo pięknie wykonywają. Łączyłoby się to poniekąd z rysunkami, któreby były obowiązkowemi i niemało byłoby przydatném.

O stenografii nie mówi nic żaden projekt. W rzeczy samej, lubo oczywistój korzyści w posiadaniu biegłości szybkiego pisania nikt nie zaprzeczy i lubo nieraz ta zręczność stać się może jedynym zarobku celem, nie potrzebujemy nic zmieniać w dotychczasowej praktyce. Uczniowie, przedewszystkiém klas wyższych, którzy objawiają życzenie pobierania nauki tego przedmiotu, uczęszczają dwa razy w tygodniu, we wskazanych godzinach i zwykle pilnie się ćwiczą, mając nieraz sposobność zastosowania praktycznego dziś tych środków, które im wczoraj podano.

Ukończyliśmy w ten sposób przegląd projektowanych reform co do poszczególnych przedmiotów nauki obowiązkowej i nadobowiązkowej. Zanim ten ustęp zamkniemy koroną średniego wychowania, rzeczą o egzaminach dojrzałości, sądzimy, że nie obojętném będzie dla szanownych czytelników zyskanie jasnego przeglądu w rozkładzie godzin, jaki na przeciąg tygodnia projektują wspomniane trzy komisye i dlatego każdy z osobna poniżej zamieszczamy.

Rozkład godzin tygodniowy według projektu:

a) Komisji Rady szkolnej krajowej.

Klasa	Religia	Jęz. łac.	Jęz. grec.	Jęz. polsk. (rusin.)	Jęz. niem.	Jęz. franc.	Geografia	Historja	Arytmetyka i algebra	Geometria i rysunki wzajemne	Nauki przyrodn.	Chemia	Fizyka	Proped. filozoficz.	Razem
I pro- gimn.	2	8	—	4	6	—	3	—	2	1	—	—	—	—	26
	2	8	—	4	6	—	3	—	2	1	—	—	—	—	26
III gimn. niższe	2	8	—	3	6	—	3	—	2	1	3	—	—	—	28
	2	6	5	3	4	—	—	3	2	2	2	—	—	—	29
V gimn. niższe	2	6	5	2	4	2	—	3	2	2	(II półr.) (I półr.) (II półr.) (I półr.)	3	—	—	31
	2	6	5	2	4	2	—	4	2	2	(somał.) 1	—	2	—	32
VI gimn. wyższe (liceum)	2	5	5	3	4	2	—	3	2	2	—	—	3	2	33
	2	5	5	3	4	2	—	3	2	2	—	—	3	2	32
VIII	2	5	5	3	4	2	—	3	1	2	—	—	3	2	32
	16	52	25	24	38	8	9	16	15	13	9	3	8	4	237

b) Komisji Akademii umiejętności.

Klasa	Religia	Jęz. łac.	Jęz. grec.	Jęz. polsk.	Jęz. niem.	Jęz. franc. (ang.)	Historia	Matemat.	Fizyka i n. przyr.	Proped. filozof.	Hist. lit. powsz.	R a z e m
gim. niż. I II III IV	2	5	—	4	5	—	2	3	2	—	—	23
	2	5	—	4	5	—	3	3	2	—	—	24
	2	4	3	4	5	—	3	3	2	—	—	26
	2	4	3	4	5	—	3	3	2	—	—	26
gim. wyż. V VI VII VIII	2	4	4	3	4	2	3	3	3	—	—	28
	2	4	4	3	4	2	3	3	3	—	—	28
	2	4	4	3	4	2	3	3	3	—	—	28
	2	4	4	*)	4	2	3	3	3	2	*)3	30
.	16	34	22	25	36	8	23	24	20	2	3	213

c) Komisji Towarzystwa pedagogicznego.

Klasa	Religia	Jęz. łac.	Jęz. grec.	Jęz. pol.	Jęz. niem.	Geografia	Historia	Matemat.	Nauki przyrod.	Fizyka i chemia	Proped. filozof.	Geometr. wykreślna	Rysunki odręczne	Nadobow. gimnast.	Razem
I	1	8	—	4	6	2	—	3	—	—	—	—	2	(1)	26
II	1	8	—	4	6	2	—	3	—	—	—	—	2	(1)	26
III	1	7	6	2	4	—	2	3	—	—	—	—	2	(1)	27
IV	1	7	6	2	4	—	2	3	—	—	—	—	2	(1)	27
V	1	4	4	2	3	—	4	3	3	2	—	—	2	(1)	28
VI	1	4	4	2	4	2	3	3	2	3	—	—	2	(1)	28
VII	1	4	4	2	3	2	3	3	2	2	2	—	—	(1)	28
VIII	1	4	3	2	3	2	2	1	2	2	2	4	—	(1)	28
	8	46	27	20	33	10	16	22	9	9	4	4	10	(8)	218

(Dokończenie nastąpi).

*) Godziny nauki języka polskiego w kl. VIII, mają być poświęcono wykładowi historii literatury powszechnej.

Pod Wyrokiem.

OPOWIADANIE Z LAT 1706—1713 *).

PRZEZ

Kajetana Kraszewskiego.

X.

Po sławnej bitwie pod Połtawą, dwa lata minęło; w kraju, mimo upadku króla szwedzkiego, porządku nie było; wrócił wprawdzie król August, nie wszyscy jednak stronę jego trzymali. Sieniawski marzył jeszcze, że mu car Piotr do osiągnięcia korony pomoże; ten znów rachował na Sieniawskiego w wyniesieniu na tron własnego syna Aleksego, którego wziął nawet z sobą do Polski, wkracząc znowu z licznymi wojskami, co się na cały kraj rozlały i gospodarowały po sąsiedzku tak, jakgdyby go przyszyły zdobywać, nie bacząc, że i w takim razie, prócz nieba i ziemi, coś przecie i na gruncie zostawić potrzeba. Trzymał się jeszcze i król Stanisław czas jakiś i resztki wojsk szwedzkich i niektóre polskie chorągwie, co podjętej raz sprawy opuszcząć nie chciały. Każdy więc chodził samopas, ładu nie było i burzą rozkołysane namiętności ludzkie długo się jeszcze uspokoić nie mogły.

Z tych, co byli przy Karolu XII w bitwie pod Połtawą, kto zginął, kto uszedł na turecką ziemię, kto dostał się do niewoli? nie wiadzą prawie; mało o kim dobiegła wieść jakaś niepewna, a o Stefanie Russyanowiczu ani słychu nie było. Opłakano go już poraz drugi, jak po owej bitwie pod Kaliszem; Laszkowski zaś, zrzuciwszy wreszcie maskę, którą się do tej pory okrywał, a zagarnąwszy i kamienicę i folwark Stefana, rozpoczął kroki prawne, aby się w tej nowej umocnić własności. Stosunki przeto wszelkie z panem Jakóbem zostały zerwane; bronił on bowiem naprzód dziedzictwa brata, jako, być może, żyją-

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za październik r. b.

cego jeszcze; powtóre zaś, gdyby się i dowody śmierci znalazły, należało obliczyć, co na braci, a co na posag siostry, pierwszej żony Laszkowskiego, przypadają; tu znów Laszkowski zastawiał się jakimiś kwitami z pożyczanych niby Stefanowi kwot rozmaitych, w różnych czasach i nagłych potrzebach; gdy jednak w kraju wszystko jeszcze było w zamieszaniu, i sprawy przeto wszelkiego rodzaju ciągnęły się całemi latami. Przykład, jak zwykle, szedł zgóry; kiedy monarchowie siłą dobijali się o posiadanie tych lub owych prowincyi, w reszcie kraju całego i tronu, mniejsi, którym nie zawadzało sumienie, a o cześć nie dbali, zadawalając się też mniejszemi zyskami, korzystali również z zamieszania i sprzyjających okoliczności, a znalazłszy pozór najinniejszy, podejściem, zdradą, czy zbrojną ręką nareszcie, wdzierali się do dóbr, lasów, folwarków i sadowili się w zdobyczy, jakby w ojcowiznie.

Dla sprawiedliwości dodać trzeba, że na owych posesyach, za nadzieją pokoju, mało kto się utrzymał, a nie jeden na grube nawiązki stracił i to, co pierwój posiadał; niemniej jednak łakomstwo ludzkie, gdzie jakie było, jak fusy i męty w zmieszonym płynie, na wierzch się dostawało. Trafilo się nawet, że wdowa pewna, nie młoda już, zamężne córki mająca, posesorka Sadtowa w ziemi Dobrzyńskiej, mając do sąsiada pretensyą o kilkanaście tysięcy złotych, których jęj nie oddawał, przebrawszy się po mężku, najechała go i odebrała pieniądze. Zważywszy na obowiązujące naówczas prawa i przyjęty obyczaj, posiadając dekret, miała prawo i w ten sposób własności swojej dochodzić; zajazd w tym razie był rzeczą prawną i na témby się wszystko skończyło z jęj niewątpliwą wygraną; co jest jednak ciekawem, że, jak to u białogłówników wszystko idzie nad miarę, gdy tęj zabawki zakosztowała, chciała ją zastosować i do tych, którzy jęj nic winni nie byli; ale tu już się sztuka nie udała, bo choć natenczas, w 1712 r., w kraju jeszcze zupełnego ładu nie było, złapano ją przecież i oddano do trybunału. Nic przeto dziwnego, że i Laszkowski dorabiał się w ten sposób fortuny; podstępem, chytrością i wytrwałym uporem do skutku doprowadziwszy zamierzone małżeństwo z wnuczką pani klucznikowej, zanim dojsć miał do zagarnięcia owych grubych jęj kapitałów, o których mówiono, wymógł na pani Paparowej zapis połowy kamienicy, której druga połowa należała do Stefana i tę więc zabrać mu wypadało koniecznie, również jak folwark pod samem miastem położony, wygodny i dający dobre dochody.

Zaczęły się więc harce sądowe, na których, jak zwykle, najlepiej wychodzili mecenasi i juryści... biorąc a nie dając nic; nieźle Laszkowski, gdyż lubo dawał, ale że wedle przysłowia: „*beatus qui tenet,*” trzymał w procesie będącą fortunę, więc z niej i dochody czerpał; najgorzej zaś pan Jakób, który na karb dochodu mógł jedynie zaliczać nadzieję wygranej, tymczasem zaś, o ile się bronił, na każdym kroku opłacać się musiał. Sprawa już się od roku niby toczyła, ale na podobieństwo owego wozu po osie zagrzęzłego w błocie, około którego wszyscy tupeczą wprawdzie, ale się on niemniej wcale z miejsca nie ru-

sza. Pan Jakób nie tyle się martwił sprawą, ile myślą o nieszczęśliwym bracie; w śmierć jego wierzyć nie chciał, pocieszał się jeszcze jakąś nadzieją, ale przychodzić już zaczynały i chwile zwątpienia. Los, jak to często bywa na świecie, zdawał się oczekiwać, aby cierpliwość jego i wiara wyczerpały się niemal do dna, a gdy ten kres już się zbliżał, najniespodziewaniej doszedł go list... na którym poznał rękę Stefana. Oczom własnym nie wierzył; rozłamał pieczęć: pismo było istotnie od brata, datowane za zamku w Brańsku; donosił on, że już tam od dwóch lat trzymany jest wraz z wielu innymi, że do tej pory pisać nie mógł, teraz zaś sposobność potemu znalazłszy, zawiadamia, iż wkrótce ma być przeprowadzonym do zamku Siewskiego, a zapewne i dalej gdzieś, do stolicy; dopytuje się o narzeczoną, którą z utęsknieniem wspomina; daje niejakię względem majątku swego rozporządzenia i prosi wreszcie o zasiłek pieniężny dla zapewnienia sobie choć cokolwiek lepszego bytu i utrzymania.

List ten wlał jakby życie nowe w dom Russyanowiczów, dla Laszkowskiego tylko był on ciosem wcale niespodziewanym; szukał więc za to mściwego odwetu na nieszczęśliwej żonie. Niedosć mu było tysiącznych udręczeń, które jęj od pierwszych dni prawie ożenienia, na każdym kroku zadawał; teraz miał nową sposobność rozkrwawiania ran niezabliźnionych; co chwila więc jęj przypominał Stefana zostającego w niewoli, pędzonego w okowach w dalekie i nieznane kraje, z których powrotu jego spodziewać się nie może; żartował i naigrawał się z oporu jęj, który przełamał i z nadziei, jaką przedtém miała. W milezeniu znosiła to wszystko nieszczęśliwa ofiara, jednak lżej to jęj teraz przychodziło, gdyż i biédnej staruszce klucznikowej otworzyły się wreszcie oczy na Laszkowskiego, a ujrzawszy, w jaką otchłań cierpień dobrowolnie pograżyła wnuczkę, dzielając jęj udręczenia i bóle, starała się również i życie to ciężkie, o ile możności, osłodzić. Ale Laszkowski był właśnie w swoim żywiole; miał on ową tyrańską naturę dzikiego i drapieżnego zwierzęcia, które karmi się krwawą pastwą jedynie i dla którego jedynym téż warunkiem życia jest nieustanna wojna... ze słabszymi.

O znacznych pieniądzach, znajdujących się w posiadaniu pani Paparowej, mówiono oddawna; wspomniano o kapitałach, które nigdy po śmierci męża poodbierała, a że ich na prowizyą nie oddawała i do prostoty przywykła, niewystawne prowadziła życie, powszechnie przeto mniemano, iż grube sumy trzymać musiały w ukryciu. Rachował na nie Laszkowski przed ożenieniem; po ślubie więc niezwłocznie wszelkich sposobów i zabiegów użył, aby się dowiedzieć, co mieć może pani klucznikowa i... wyciągnąć, coby się dało. Ale tu omyliły go wszelkie nadzieje; napróżno badał podstępnie, przymawiał się, obmyślał jakieś nagłe niby i gwałtowne potrzeby: wszystko się na nic nie zdało. JMPani Paparowa utrzymywała, że ma ledwie paręset dukatów na jęj ostatnią posługę, to jest pogrzeb, przeznaczonych oddawna; ani podejść się żadnym podstępem, ani żadnemi prośbami ubłagać nie dała. Zniechęcony, niecierpliwy, zły i zajadły Laszkowski, począł

wreszcie grozić i dokuczać: był to już środek ostatni, ale razem najgorszy; tu zjednoczyły się domowe troski i babki i wnuczki, z kąd dla obu jednak ta korzyść wynikła, że życie ich stało się o wiele znośniej- szém: obie już rozumiały się wzajemnie; starszka zaś, mając większą powagę i swobodę słowa, skuteczniej poskramiać mogła dzikie wybryki Laszkowskiego, który téż w domu coraz mniej przesiadując, coraz więcej chwil swobodniejszych zostawiał udręczonym niewiastom. Te jednak ciche godziny drogo opłacały one po powrocie gospodarza, czę- sto jeszcze z humorem podnieconym w winiarni Kasperka; tu już nie- tylko w słowach nie było wyboru, ale obawiać się należało, ażeby kie- dy za komentarz nie użył... i ręki.

Babka i wnuczka nie chcąc się na ludzkie mowy narażać, posta- nowiły sobie znosić to gorzkie życie do ostatniej chwili możliwéj i żyły tak z dnia na dzień bez nadziei szczęśliwszego jutra. Położenie to je- dnak stawało się coraz cięższém dla wnuczki z powodu upadającej na siłach pani klucznikowej, która w ostatnich czasach téj walki i zgry- zot domowych, coraz częściej i niebezpieczniej zapadała na zdrowiu.

Wkrótce po pierwszym liście Stefana nadszedł i drugi, już z zam- ku w Siewsku pisany; donosił w nim bratu, że przeprowadzeni tam z Brańska zostawać mają nie dłużej nad parę tygodni, poczem za inny- mi jeńcami, którzy ich poprzedzili, będą wysłani do stolicy w Moskwie i ztamtąd dalej zapewne.

Upadły więc wszelkie złudzenia co do powrotu Stefana; zape- wniano bowiem pierwéj, że car Jegomość, jako Rzeczypospolitej sprzy- mierzeniec i przyjaciel, który się jój obrońcą głosił, na mocy pactów w Żółkwi uczynionych i solennie zawartych, nie zechce przecież po skończonej wojnie więzić i w jassyr pędzić jój obywateli; ale te rachy- by zawiodły. Nietylko bowiem nie wypuszczano z jeńców nikogo, ale wszystkich stronników szwedzkich wyszukiwano, łapano i wysyłano, nie bacząc i na to, że wielu z nich przeszło było dobrowolnie, albo skłaniało się już na stronę Augusta. Tak np. Michał książę Wi- śniowiecki, hetman wielki W. Ks. Litewsk., który rzuciwszy Szweda, wracał do Sasa i w tym celu z submisyą jechał, mając pass wyrobiony na osobę swoją przez Ogińskiego i Pocieja, z własnym cara Jegomości podpisem, a jednak i to go nawet nie uchroniło. Na popasie w Sko- morochach, pod Sokalem, pokojowy księcia wymówił się, z kim jedzie, przed kowalem, co oderwaną podkową przybijał koniowi, a że tam stał jeden carski regiment, doniesiono o tém dowódcy, który téż wpadł na- tychmiast i mimo wszelkich protestacyi i ukazywania podpisu wolnego przejazdu, nie dbając na pass, porwał hetmana, jak swego, dodał konwój silny i wprost do Kijowa wyprawił. Nie pomogły żadne na- wet instancye, posłano go ztamtąd do stolicy, z kąd po roku zawieziono za Dniepr do fortecy w Głuchowie i gdyby się ztamtąd w końcu 1711 roku i to w zimowój porze, nie ratował ucieczką, byłby zapewne w niewoli i życia dokonał, jako i czcigodny arcybiskup Zieliński, o któ- rym świeżo dochodziły wieści, że zmarł uwięziony w stolicy. Cóż tedy

myśleć było o uwolnieniu innych jeńców, jeśli na największych dygnitarzy i ministrów Rzeczypospolitej żadnego nie miano względu.

Pan Jakób jednak dla uspokojenia własnego sumienia postanowił sobie zrobić wszystko, co było w sile jego i możności i wszelkie środki dla uwolnienia brata wyczerpać. Po niejakiem przeto namyśle postanowił szukać protekcyi u hetmana Ludwika Pociēja, który wziął był buławę po niedawno zmarłym Ogińskim, a fawory miał nietylko u króla Augusta, ale i u cara Jegomości Piotra, który Pociēja do swój szczególnej przyjaźni przyjął, bankietował z nim i bawić się lubił, na stolicę do siebie zapraszał, a ile razy do Polski przybywał, zawsze go rad był mieć przy swoim boku, dni i noce przepędzając razem. Monarchowie bowiem i naówczas lubili się bawić wesoło; mimo wojen i wszelkich klęsk nieopisanych, uczty, pijatyki i bachanalie wyprawiano takie, o jakich nikt dzisiaj nie słyszy. Obyczaj ten był powszechnym i zgóry téż od potentatów i magnatów rozchodził się po społeczeństwie całym. Mieli przeto monarchowie współtowarzyszów i ulubieńców swych poufałych, z którymi, jako prości z ciała i krwi śmiertelnicy, współ, po koleżeńsku, do pohulanki wszelkiej stawali, przuciwszy do podróży sepetów purpury, berła i korony, które przed tłumami dopióro, w uroczystych potrzebach majestatu im dodawać miały. Pociěj, przedtém podskarbi, a natenczas już hetman W. Ks. Lit., umiał sobie dawać rady na świecie; protegował go król August, lubiący wszystko, co piękne; a chociaż hetman nie był Antinousem, ani August cesarzem Adryanem, ale druga żona Pociēja, Warszyccka z domu, wielce urodziwa i wesoła kobiétką, umiała dla siebie, a przez to i dla męża pozyskać względy króla Jegomości, na którego dworze prawie ciągle przesiadywała, stała pobierając alimenty. Jakie było źródło i jaka podstawa łaski a przyjaźni cara Piotra dla Pociēja, niewiadomo; to pewna jednak, że przyjaźń była serdeczną, gdyż nietylko, że monarcha ten odwiedzał go sam po wielekroć w folwarku Susznie pod Włodawą, ale nawet w upominku przyjaźni kazał budować własnym kosztem swoim wspaniały pałac w Pociėjowskich dobrach Rożance, nad Bugiem; o czém świadczy współczesna marmurowa tablica, umieszczona w ścianie budynku, która się do dzisiejszego dnia przechowała. Mógł przeto hetman wyprosić u cara Jegomości kogo chciał, może skuteczniej nawet, aniżeli prześwietne stany Rzeczypospolitej, które mimo zawartego sojuszu, nadaremnie jednak o uwolnienie najdostojniejszych więźniów kołatały. Żeby wszelako trafić do hetmana, trzeba było szukać jakiejś drogi pośredniej, co właśnie najtrudniejszym się okazywało zadaniem dla pana Jakóba. Z tych trosk swoich i kłopotów zwierzył się on kiedyś w poufałej gawędce, bez żadnej myśli nawet, przyjacielowi swemu, księdzu Domaniewskiemu, owemu upartemu kanonikowi, który to w konsystorzu stawiał ciągle przeszkody pięknej podstolinie do uznania jój opłakanego wdowieństwa, a teraz często z tego powodu żarty sobie stroił z JMPana Jakóba, że się za nią naówczas tak gorąco ujmował.

Ksiądz kanonik usłyszawszy, że do Pocięja udać się chciał Ruszjanowicz, zamyślił się nieco, zażył tabaczkę, obtarł nos regularnie i kładąc potężną tabakierę wraz z kraciastą chustką na stole, rzekł wreszcie powoli:

— Do Pocięja trafić? nie wielka to sztuka; czemuż mi aspan, t a n d e m tego, pierwój o t e m nie mówiłeś: byłbyś już i pojechał i powrócił.

— Zlituj się, kanoniku dobrodzieju—przerwał żywo pan Jakób—jakim sposobem? jeśli możesz mi pomódz, Bóg ci to nagrodi; ja dnia i nocy spokojnej nie mam.

— No, no, czekaj-że aspan—mówił kanonik—nie gorączkuj się, powoli, to się łatwo zrobi. Bo trzeba, żebyś wiedział, że Pocię, dzisiejszy hetman, kiedy był jeszcze podskarbin, sprowadził z Częstochowy Paulinów do dóbr swoich i wymurował im własnym sumptem klasztor we Włodawie, nawet dosyć ozdobny, a to jedynie z afektu przyjaźni dla terazniejszego przeora, który jest mi powinowatym i nieco nawet... devinctus, ale to do materyi nie należy; więc, t a n d e m tego—ciągnął kanonik, wskazując palcem na pana Jakóba—ja aspanu dam karteluszek do przeora, a ten ci już wszystko, co sam zechce, u Pocięja wyrobi.

Skoczył więc Ruszjanowicz dziękować kanonikowi, który i sam także rad był z tego pomysłu; należało tylko upewnić się, czy Pocięja obecnie zastać można w domu, bo go po świecie trudno było gonić. Pan Jakób cały dzień następny po znajomych biegając, dowiedział się wreszcie z wielką uciechą, że Hetman teraz właśnie bawił w dobrach swoich, gdzie jako w późnej jesieni walne urządzano polowania w ogromnych lasach tamtejszych, które się od Włodawy aż pod Sawin ciągnęły po lewym brzegu Buga, z prawego zaś sięgały na Polesie. Z wiadomości jednak otrzymanych okazało się, że chcąc zastać jeszcze we Włodawskich dobrach Hetmana, należało z wyjazdem pospieszać, albowiem w styczniu już następnego 1712 roku, na dzień dwunasty naznaczonóm zostało otwarcie trybunału skarbowego w Wilnie. A że wojsko upominało się o lenungi i opłaty, województwa o rachunki z pobranych podatków i swawole niepłatnego żołnierza, jako t e ż o nieprawnie wydawane palety, o krzywdy różne, a urojone lub prawdziwe nadużycia i Hetman miał być pociągniętym do odpowiedzi, o czém już głośno mówiono; Pocię przeto nie mógł długo w domu zalegać i należało się spodziewać, że lada dzień dla zażegnania zawczasu owych grozących a groźących spraw, będzie musiał do Wilna pospieszyć.

Nie marudząc tedy ani odkładając, choć to już było w listopadzie, i drogi się psuły haniebnie, wybrał się Ruszjanowicz natychmiast do Włodawy. Skromnie, najętą bryką w trzy konie, z wyrostkiem, sierotą wychowanym w domu a do usługi wziętym, zaopatrzony w niejakie zapasy żywności, puścił się J M Pan Jakób w drogę na Sokal, Hrubieszów, Chełm i Sawicz do rezydencyi hetmana. Pięć dni wlokąc się po obszłitych groblach, wyboistych gościńcach, piaskach i gruzłowatych

w lesie korzeniach, dobił się wreszcie późnym już wieczorem do Włodawy, a przenocowawszy w żydowskiej gospodzie, tuż przy Paulińskich murach, nazajutrz skoro tylko na primarię zadzwoniono, pośpieszył do kościoła.

Obszerne gmachy klasztoru oraz kościoła, nie całkiem jeszcze skończone i w części tylko obwiedzione murem, położone na wysokim wybrzeżu nad Bugiem, wymownie za hojnością fundatora przemawiały; musiał on być człowiekiem pobożnym, jeśli na chwałę Bożą nie skąpił, a kto pobożny, ludzkim być musi, litościwym i czułym na bliźnich strapienia: ta myśl nie mało dodawała otuchy panu Jakóbowi. Po mszy na intencją brata wysłuchanej, poprzedzony przez jednego z braci-szków, udał się nasz podróżny szerokimi wschodami na obszerne korytarze górne, gdzie do wskazanych drzwi mieszkania JMksiedza przeora zapukał.

— Ingrede! — dał się słyszeć głos ze środka.

W szczupłej celi, która bynajmniej dostojeństwu przełożonego nie odpowiadała, zarzuconej księgami i papierami, zastał Russyanowicz przeora z dużym jakimś na kolanach folialem, siedzącego u okna przed stolikiem, na którym widać było ślady skromnego śniadania, kufel i suchy grzanki kawałek. Składając księgę wstał na powitanie przybyłego przeora, mężczyzna słuszny, barczysty, chudy i wyżółkły; cała postać jego odznaczała się wielką powagą, w oczach świecił rozum, w twarzy nie surowość się malowała, ale raczej smutek jakiś i zamyślenie.

Przedstawił się Russyanowicz i oddał list od kanonika, po którego przeczytaniu objaśniwszy, na zapytanie przeora, o co rzecz chodzi, prosił o pomoc i wstawienie się do hetmana.

Książd przeor pokiwał głową.

— Pocziwy kanonik, jak uważam — ozwał się ze smutnym uśmiechem — wierzy wraz z innymi, że ja co zechcę, mogę u hetmana wyrobić! Oj, ciężka to, ciężka sprawa z naszymi panami; zrobić można wiele, nie przeczę, ale się to okupuje drogo... trzeba się z nimi weselić, pić bez miary, czas marnować a gębę plugawić, żeby coś na chwałę Bożą albo na pożytek ludzki uzyskać. Ha! — dodał — ale cóż robić?! Pan Bóg widzi intencje i cele a środki, ile godziwe, wszystkie przyjąć trzeba!

Zamyślił się i skłonił głowę.

— Że hetman może u cara Piotra wyprosić kogo chce — ozwał się po chwili — to rzecz pewna; w dobrej są komitywie i przyjaźni statecznej. Postaramy się; JW-ny hetman, mam nadzieję, że pomódz zechce, ale... jak to powiadają: „vox, vox, praeterea nihil,“ obiecanka cacanka; przyrzec... przyrzecze, i z pamięci mu to nazajutrz wyleci!

— A cóż na to poradzić? — spytał pan Jakób.

— Sposób jest — odrzekł przeor, kiwnąwszy głową z uśmiechem — ale — dodał, rozstawiając ręce — ludzka rzecz, trzeba na to kilka dukatów poświęcić.

— I owszem — przerwał żywo pan Jakób — z największą ochotą, byle skutecznie; ale gdzie? komu dać?

— Otóż właśnie — mówił gospodarz — zaraz waćpanu objaśnię rzecz. JW-ny hetman tysiące spraw mając na głowie, nie rusza się bez swego sekretarza IMpana chorążego Wendeńskiego, Protasowicza; ten ma całą kancelaryę pod sobą i wszystko w garści trzyma; ale też... i garścią zbiera; a choć to niby pokornie się kłania i submituje, na nim wszystko leży, on jest prawą ręką, a może i czemś więcej jeszcze u hetmana: hetman obieca, ale jak mu Protasowicz w swoim czasie nie przypomni, nie będzie nic... ergo, że takiej sprawy *fatto per mittere* nie można, zatem trzeba JMpanu sekretarzowi łapę posmarować, a natenczas rzecz będzie zrobiona bez ochyby.

— Najmocniej dziękuję — rzekł pan Jakób — za tę wiadomość, byle tylko za łaskawą pomocą przewielebnego przeora dobrodzieja, uprosić W-go hetmana, to już ja później trafiać będę do Protasowicza; ale, ileż mu tu dać?

— Za przypomnienie — odparł przeor — pięć dukatów, to taksa najmniejsza, jeśli więcej dla ważności sprawy nie zażąda; ale i to wszelako dodać muszę, że jak Protasowicz weźmie, to już dopilnuje na pewno.

— A to bardzo dobrze—zauważył pan Jakób—warto i dać, byle tylko JW-ny hetman do prośby się przychylił.

— No, ja myślę, że nie odmówi—rzekł przeor—i dobrze waćpan dobrodziej traficieś, bo to się załatwić może niebawem. Dziś jest właśnie wielkie polowanie, dużo osób sproszonych, wieczorem obiad dla wszystkich gości kazał JW-ny hetman przygotować w naszym refektarzu, bo w Susznie dwór ciasny. Oj! ciężkie to dla mnie te hetmańskie obiady—westchnął przeor—psuje się cały porządek klasztorny, i z naszą regułą zakonną nie licuje to zgoła; ale cóż robić? póki się pałac w Różance nie skończy, musimy każdej jesieni przebyć takich kilka obiadów; trudna rada! fundatorowi nie godzi się odmawiać. Zawsze przynajmniej — mówił przeor z uśmiechem — korzystam z tych okazji i co mogę do klasztoru ciągnę. Dziś zatem jak tu hetman przybędzie zagaimy sprawę, będzie też i Protasowicz niechybnie, bo myśliwy zawołany.

Wśród téj rozmowy nadeszło kilku starszych zakonników i Rusyanowicz, przez gościnych Paulinów zaproszony na obiad, pozostał u nich dzień cały; ku wieczorowi zaś, przebrawszy się „honeste“ oczekiwiał na przybycie dygnitarza.

Tymczasem w przestronnym, sklepionym na dole refektarzu uwiijała się liczna służba hetmańska: zapalano światła, zastawiano stoły, nakrywano ławy kóbiercami, znoszono antałki, gąsiorki i omszałe butelki, ustawiano różnej miary kielichy; z księży nie pokazywał się nigdzie żaden, wszyscy musieli na ten czas z rozkazu przeora siedzieć po swoich celach, prócz starego kanafarza, co się snuł jak mara pilnując porządku i... wyjątkowo jednego braciszka Pawła, którego hetman

zawsze chciał mieć przy takich obiadach dla humoru i, prawdę rzekłszy, bezdennego gardła. Mógł on bowiem na rozkaz pić... ile dano, byle w pewnych odstępach, a rzeczą było niepraktykowaną, żeby mu jakkolwiek trunek głowę kiedy zawrócił. Mówiono, że sekret jakiś posiadał i wielu zaklinało go o wyjawienie tej sztuki, ale śmiał się z tego Pawełek i wskazywał tylko na swoją błyszczącą a spoconą tonsurę, z której się w pośród wieńca gęstych włosów, jak z krateru kurzyło. Że pobożny i wielce surowych obyczajów ksiądz przeor temi ekscesami się brzydził, wątpić nie można; byli jednak tacy, którzy utrzymywali, iż braciszka Pawła wziął do klasztoru Włodawskiego umyślnie, aby mieć na przypadek, takiego, co by w potrzebie hetmanowi placu dotrzymał i w dobry go tym sposobem humor wprowadził, z kąd łatwiej było łaskę i nieustającą hojność fundatora dla konwentu utrzymać.

Już więc z nadejściem wieczora wszelkie uczyniono do obiadu przygotowania, od kuchni jakby z młyna dochodził odgłos nieustającej siekaniny a po korytarzach ciągnęły przeróżne wonie smażonych, gotowanych i pieczonych przysmaków, gdy w dziedzińcu rozległ się turkot bryk i kolasek, hałas i głośne rozmowy wracających z polowania gości. Jmpan Sipajło marszałek dworu JW-go hetmana, jeszcze raz rzuciwszy okiem po refektarzu, posunął się na przyjęcie pana, postąpił za nim i przeor wraz z Russyanowiczem. Drzwi się otworzyły raptownie, ale w progu rozpoczęły się ceremonie, albowiem hetman nie chciał wejść pierwój, zapraszając przed sobą sędziwego Jmpana miecznika chełmskiego, Kunickiego Mikołaja, którego zwano Bernatkiem; ten zaś submitował się i wzbraniał wziąć kroku przed JW-nym hetmanem. Trwałyby te ceremonie długo, gdyby im nie zapobiegła przytomność marszałka Sipajły, który poskoczywszy, drugą połowę drzwi otworzył, i tak, zapraszając się wzajemnie, weszli oba razem. Grzeczność ta JW-go Pocięja nie była bez racy; pan miecznik bowiem, naówczas dziedzic Hańska, żonaty z Liniewską, córką Stanisława łowczego kijowskiego z Joanny Stępkowskiej, był jakoby patriarchy całej ziemi chełmskiej, a u braci szlachty miał wielki mir i zachowanie; przyjął więc jego, dla utrwalenia własnej popularności starał się hetman wszelkimi sposobami pozyskać. Nawiasem zaś dodać musimy, że Jmpan miecznik trzymał w ciągłej czujności te zabiegi Pocięja, zachowując się ze wszelką atencją, ale, niejako odpornie; jakoż później się to okazało, że nie bez słuszności posądzano go, iż więcej sprzyjał Leszczyńskiemu niżli Augustowi, gdyż po nastącej pacyfikacyi, oddał był Jmpan miecznik syna swego Jana, później starostę czużczyckiego zwanego Chruścielem, do Luuevilu, gdzie na dworze króla Stanisława, w sławnej jego chorągwi muskieterów służył. Jmpan miecznik niewielkiego był wzrostu i nieco otyły, przy nim też majestatycznie wyglądał sam hetman, statury dość pięknej i kształtnej, z ciemnym wąsem zakręconym butnie do góry ¹⁾; miał zaś na sobie krótką z zielone-

¹⁾ Hetman Pocięj spoczywa w podziemiach kościoła Paulinów we Włodawie.

go aksamitu bekieszę rysiami podbitą a złotemi pętlcami ozdobną i buty, szwedzką modą, długie za kolana, co mu nadawało postawę marsową, zgoła jak na hetmana przystało. Za Jmpanem miecznikiem i Pociemem, hurmem wtłoczyli się myśliwi, goście z bliższych i dalszych zaproszeni okolic, a między nimi przedniejsi, jako: Jmpan Ołędzki starosta, Liniewski z Lejna, Suchodolski, Kamienicki z Kamienia, Wereszczyński z Wereszczyna, Gałęzowski, Serebryski z Serebryszcz, Ciemniowski z Radzanowa, Swirski cześnik krasnostawski, Sługocki: wszystko chełmianie i wielu z szlachty pomniejszej oraz hetmańskich dworzan i domowników. Gwar się zrobił pod sklepieniami refektarza jak w ulu; ksiądz przeor, witając dobrodzieja klasztoru, przedstawił mu Russyanowicza, jako gościa swego, nie wspominając nic o sprawie, którą do sposobniejszej odłożył chwili.

Zaraz tedy podano wódkę i zakąski, runęły odsuwane ławy, nastąpiły krótkie jeszcze komplementa i certacye, przy zajmowaniu miejsc u stołu; rozdano zupełną i wnet, jakby kto zaklął jedném słowem, nastąpiła taka cisza, że gdyby nie chlipnięcie jakie lub brzęk łyżki o talerz, w drugiej izbie będąc możnaby pomyśleć, iż w refektarzu żywej duszy nie było. W miarę jednak dań następujących i gęściejszych kielichów, ze szmeru początkowego rósł i potęgniał gwar coraz głośniejszy, aż znów jednym nieustającym już chórem ożywił salę i pośród owego jakoby jednobrzmiącego mnogą liczbą głosów drgającego tonu, który się falą w ścieśnionych murach przelewał, słyhać było jedynie, od czasu do czasu, czyjś wyraźniejszy śmiech głośny, pojedyncze, wybitniej rzucone słowa i wykrzykniki. JW-ny hetman był w wysmienitym humorze, polowanie się powiodło szczęśliwie, ubito dzików kilkanaście, dwa łosie i niedźwiadka bartnika; sypały się uwagi, rozprawy myśliwskie i opowiadania przygód niezwykłych, częstokroć niebываłych wcale. W tych celował szczególnie Jmpan Skępski, łowczy chełmski, ile zaś razy zaczął on, jak to mówią po myśliwsku „pływać,” wnet mu pospieszał gorąco potakiwać i świadczyć skarbnik Wereszczyński, przytaczając z miną najpoważniejszą, na poparcie niby owych dziwnych zdarzeń pana Skępskiego, inne wypadki, stokroć jeszcze bardziej zadziwiające, które już zgoła chyba we śnie gorączkowym mogły się komu wymarzyć. Pan łowczy jednak nie zrażał się tém wcale, a przez wesołych współbiesiadników wyciągany na słowa, coraz osobliwsze opowiadał przygody, odwołując się zawsze, co mu już i w przysłowiu poszło, do świadectwa jakiego Wasyla, leśniczego swego, któryby je potwierdzał był, bezwątpienia na nieszczęście jednak przy hetmańskim stole nie zasiadał.

— No, ale dzisiaj — ozwał się Jmp. Ciemniowski z Radzanowa, cześnik różański — waszmość, panie łowczy, spudłowałeś haniebnie do tego niedźwiadka.

dawie, jako fundator, ale ciało jego tak się zachowało, że dziś po latach 150-u ma pozór niemal taki, jakby go wczoraj pochowano.

Prz. Aut.

— Co? ja spudłowałem? — zawołał Skepski — uchowaj Boże! niech Wasyl powie; trafiłem w sam łeb, ale muszkiet gałgan, słabo bije, kula odskoczyła, widziałem na własne oczy; niedźwiedź tylko głową strząsnął. Ju-uż teraz paneńku, moje myślistwo przepadło! jak mnie ci rabusie szwedy mój stary gardłacz zabrali; takiego drugiego na świecie niema; można w nim było proso jak w stepie tłuc; bywało, wysypię pół garnca glotu albo loftek... wygarrnie, panie, jak z mózdzierza! to była rzecz!! Ile ja nim niedźwiedzi położył?!... niech Wasyl powie.

Tu uśmiechnął się łowczy.

— A raz, paneńku, miałem osobliwsze zdarzenie! Stałem pod sosną słuchając jak się psy doławiają; w lesie cicho, ani się listek nie ruszy; słucham... coś skrobie po sośnie; myślałem że dzieciół; patrzę... aż tu nademną siedzi, maleńki prawda, nieduży niedźwiadek i miód z barci wydziera! prościuteńko nad moją głową! Co tu robić? Nie wiele myśląc, jak stałem, nie ruszając się wycelowałem dobrze... bbuch! Dym się rozszedł; patrzę... niedźwiadka na drzewie nie ma; oglądam się pod nogi, naokoło, ani śladu! Kat go wie gdzie się podział! Ha, no, myślę sobie, przepadło; biorę tedy mój gardłacz, żeby nabić na nowo, patrzę! coś mi tam w lufie kosmacieje, jak czapka; biorę, paneńku, ciągnę, ciągnę... widzę,.. aż to mój niedźwiadek! prościuteńko w lufę wleciał!

— Hm, to wypadek rzadki — przerwał skarbnik Wereszczyński — ale w nim nie ma nic nadzwyczajnego; ja asaństwu casus daleko osobliwszy opowiem. Był tu w Łowczy u Kuničkih, przed kilkudziesięciu laty żyd, szynkarz, który przy karczynie gorzałkę pędził w małym browarze; otóż, podróżny jakiś zajechawszy w nocy, wpuścił konia do browaru, podrzucił mu siana, a sam poszedł do karczmy; konisko, że był więcej spragniony niż głodny, dorwał się do stawnicy z gorzałką a opiwszy się, kiedy go omroczyło, padł i jak zdechły leżał: podróżny, rozumiejąc że zdechł, zdjął z niego skórę i poszedł. Koń wypawszy się od pory do pory, wstał; a żyd nie chcąc go trzymać wyгнаł w pole; gdy tedy szkapie ból i świerzb dokuczał, począł się tarzać po zasiewie gryczaném, bo to było na wiosnę, gryka się więc oczywiście na nim powgniatała, a po niej jakim czasie weszła i wybornie rosła; żyd tedy spostrzegłszy, że na onęj gryce na koniu często cietrzewie siadają i skubią, wpadł na pomysł dowcipny, zrobił dwie kolebki, zawiesił je koniowi po dwóch bokach a do ogona uwiązał siekierkę...

Tu rumor się zrobił w górnym końcu stołu, wniesiono właśnie zdrowie JW-go gospodarza, przerywając tym sposobem improwizacją skarbnika, której ciąg dalszy zginął już dla potomności bezpowrotnie, albowiem uwagę powszechną zwrócił na siebie JW-ny starosta Ołędzki, opisując zajazd uczyniony niedawno właśnie przez Jmpana Andrzeja Miączynskiego, rotmistrza Jkr. m-ci na wieś Krassowkę pod Radzyniem, będącą w zastawie Jmp. Tomasza Ostrowskiego; na co że się niektórzy oburzać zaczęli, ozwał się szanowny Jmp. miecznik Kunicki.

— Rzecz to wiadoma, że żadnego bezprawia pochwalać nie mo-

zna, ale i to wiedzieć potrzeba, że u nas zajazd, nawet *vi et armis* uczyniony, rzeczą jest w zupełności prawną, jeśli kto *legitime* i *sprawiedliwie* dobra zajmuje. Zajazd bowiem, w takim razie, staje się jakoby prostym aktem *intromisyi*, *nulla intercedente violentia*; i owszem, ktoby tu opór stawił, ten właśnie staje się *oppressorem*. Bo gdy my sami na sejmach stanowimy prawa dla siebie i konstytucye, do których wykonania nie ma u nas, jako w innych krajach, żadnej siły osobnej, my téż praw tych sami stróżami i egzekutorami być mamy. Dlatego mało nie codzień to widzimy, że ktoś, bodaj na wieżę i *fund* do osądzony, przecie nie ucieka i nikt go nie szuka, ale on sam szanując prawo, do odsiedzenia swego czasu przychodzi i tém właśnie na szacunek zasługuje, a w razie przeciwnym niktby mu ręki nie podał; byli téż i tacy, co nawet na gardło osądzeni, przecieź uczynili toż samo. Prawo jest rzeczą świętą, każdy je szanować i strzedz powinien, aby i dla siebie *sprawiedliwości* mógł poszukiwać.

Uśmiechnął się na to hetman wdzięcznie i rzekł do JMPana Kurnickiego:

— Bardzoś to nam *sprawiedliwie*, panie mieczniku *dobrodzieju*, *wyluszczył*, a ja dodam, że najlepszą *gwarancją* praw i porządku w ojczyźnie, jest dobry przykład i powaga tak szanownych obywateli, jako jesteś sam *waszmość* *dobrodziej*.

Tu wstał hetman i *kielich* pełny *podnosząc*, *zawołał*:

— A zatem, *mości panowie*, *wnoszę* *zdrowie* JMPana *miecznika* *chełmskiego*!

Na tém się i *obiad* *zakończył*; wkrótce téż wiele osób *poczęło* się *żegnać*, *pośpieszając* z *odjazdem*. Niektórzy *zaproszeni* przez *gospodarka* do *Suszna* *pozostawali* się *jeszcze*; *ksiądz* *przeor* zaś, który właśnie z *hetmanem* *wiódł* *jakąś* *cichą* na *boku* *rozmowę*, *mrugnął* na *Russyanowicza*, a *gdy* *ten* się *przybliżył*, *rzekł* z *wesołym* *uśmiechem*:

— No, *chwała* *Bogu*, JW. *hetman* tak *łaskaw*, że *obiecał* nam *wstawić* się do *cara* *Jegomości* za *bratem*.

Począł *tedy* *pan* *Jakób* *dziękować* *serdecznie*, *ale* *Pociąg* *przerwał* *żywo*:

— Nie ma za co, *mój panie*, owszem, ja sam *radbym* *wszystkich* *więźniów* *wyprosić*; boć *szkoda* *przecie*, żeby się *nasze* *rycerstwo* *marnowało*; a właśnie *jutro* *mam* *wysyłać* *listy* do *kniazia* *Dołgorukowa*, za *kilku* *innymi*, więc się *tam* i *brata* *pańskiego* *domieści*; *proszę* *tylko*—*dodał*, *żegnając* się *już*—*podać* *Protasowiczowi* *nazwisko* *więźnia* i *jakięby* *potrzebne* *były*, *względem* *osoby* *jego*, *objaśnienia*.

Jeszcze *raz* *przeto* *podziękowania* *swoje* *hetmanowi* *złożywszy*, *skoczył* *pan* *Jakób* *szukać* *wszechwładnego* *sekretarza*. *Poznał* się *był* z *nim* *przy* *obiedzie*, *gdyż* *przeor* *szepnął* *marszałkowi* *Sypajle*, *żeby* *ich* *obok* *siebie* *posadził*; *ale* *kiedy* z *hetmanem* *Russyanowicz* *rozma-
wiał*, *tyczasem* *czcigodny* *chorąży* *wendeński*, *któremu* się *po* *cało-
dzienném* *polowaniu* *mile* *uśmiechała* *poduszka*, *wymknął* się z *refektarza* i *już* się *do* *swego* *wózka* *gramolił*, *gdy* *go* *szczęśliwym* *trafem*, *mimo*

ciemnego wieczora, przydybał jeszcze pan Jakób. Dodać tu musimy, że lubo z nim przy obiedzie gawędził, nie wiedząc wszelako jak się sprawa u hetmana powiedzie, ani słowa sekretarzowi o niej nie wspominał.

Nadbiegłszy w sam czas, przytrzymał na stopniu już jedną nogą wsiadającego do bryczki Protasowicza.

— Panie chorąży dobrodzieju—rzekł zadyszany—proszę na jedno słóweczko!

Sekretarz stanął i począł się przyglądać w ciemności.

— A!—zawołał nieco zdziwiony—to pan Russyanowicz?!

Pan Jakób żywo sprawę swoją przekładać począł.

— Prosiłbym tedy szanownego pana dobrodzieja—mówił kończąc—abyś raczył przy pisaniu listów do kniazia Dołgorukowa, o moim bracie pamiętać.

— A! pamiętać!—powtórzył, obojętnie kiwnąwszy głową i nadymając dla powagi usta pan sekretarz — tak! tak! a, a, dobrze, jeżeli JW. hetman powie, rozkaże, no... to się napisze.

— Ale, widzi pan dobrodziej — przerwał spiesznie pan Jakób — JW. hetman ma tyle spraw na głowie, że mógłby zapomnieć...

— Cha!—odparł pan Protasowicz, mrużąc oczy i szeroko rozstawiając ręce—to... trudno...

Tu zrobił ruch, jakby się ciężkiemu losowi poddawał i dorzucił po chwili:

— A może zapomnieć — o, może; ale cóż? ja tam od siebie nic dodać nie mogę... to... panie, trudna rada...

Ale Russyanowicz uprzedzony przez księdza przeora, mając już w garści pięć dukatów gotowych, począł za ręce ścisnąć Protasowicza.

Pan sekretarz w jednej chwili zrobił się niezmiernie czułym i ugrzeczniwym.

— A! panie łaskawy!—zawołał z uśmiechem—bardzo mi... tego... i owszem... toby może należało... tak... tego, lekko napomknąć przy pisaniu listów... przypomnieć JW. hetmanowi.

— Właśnie—mówił pan Jakób—chciałem o to prosić pana dobrodzieja.

— O tak! tak! bardzo dobrze, najchętniej, to się na pewno zrobi, mogę szanownemu panu zaręczyć; tylko proszę, ot zejdziemy do sieni, tam przy świetle podyktuje mi pan dobrodziej nazwisko, wiek et cetera, zapiszę sobie w raptularzyku i rzecz napewno skończona.

Tak w jednym dniu JMPan Jakób załatwiwszy sprawę, pocieszając się choć nadzieją wyswobodzenia brata, podziękował zacnemu przerowi za pomoc skuteczną i po kilkugodzinném przespaniu się w gospodzie, przededniem nazajutrz, puścił się z powrotem do Lwowa.

XI.

Noc była; w obszerniej, jakby korytarz jaki, nad miarę długiej sali, o niskim sklepieniu i małych, u góry umieszczonych a silnie zakra-

towanych okienkach, stało kilkadziesiąt tapczanów; na każdym z nich garść słomy, kawał płótna, koc i worek z sianem, stanowiły szpitalne postanie dla kilkadziesiąciu rozbitków, którym tęsknota, trudy i choroba odebrały siły i resztki zahartowanego zdrowia. Dwie tłuszczone lampki w obu końcach sali, pod okopconém zawieszono sklepieniem, dymiąc i przyskajac a czerwono-żółtém migając światłem, dozwalały, po długim rozpatrzeniu się dopiero, rozeznac bliższe przedmioty. W duszących, pod niskim stropem wyziewach, ścięśnieni choroby, stękali zcicha, czasem głośniejszy jęk lub chrapanie dało się słyszeć, albo szept cichej... może ostatniej modlitwy.

W jednym rogu, u ściany, na zmiętym barłogu, łokciami o poduszkę wsparty, leżał mężczyzna młody jeszcze, barczysty, z rudawymi wąsami i takąż dawno, widać, nie goloną brodą; musiał już do zdrowia przychodzić, bo się niekiedy poruszał żywo, twarz miał dość czerstwą a spojrzenie jasne i pogodne, ile razy się zapomniiał w dumaniu; gdy jednak od czasu do czasu rzucił okiem na towarzysza, nad którym zdawał się czuwać, zasepiął się i niepokoił widocznie. Chory znajdujący się obok, człek średniego wieku, z ciemnym zarostem, wychudzony i błady, leżał na wznak plecami i głową wsparty o wysoko przy ścianie podniesiony worek; oddychał ciężko, oczy miał zamknięte, zdając się spać czy drzymać; drgnął tylko niekiedy lub mu się palce konwulsyjnie ścisnęły. Płynęły tak kwadransy i godziny, i już musiało być około północy, gdy chory otworzył oczy, ruszył się nieco i zwrócił głowę spoglądając na czuwającego towarzysza.

— Panie Hrehory—ozwał się cichym, osłabionym głosem—nie masz tam kropelki wody?

Puzyrowicz chwyciwszy dzban polewany, który stał niedaleko, przytknął go do ust chorego.

— A no—rzekł—widzę, Bogu dzięki, lepij ci, panie Janie? od trzech dni głosu twego nie słyszałem.

Pan Jan, wysiłonym ruchem podniósł się na siedzeniu; oczy mu gorączkowym ogniem pały.

— A!—westchnął, częstym oddechem chwytając powietrze—lepij... lepij; tak... ale to już... koniec, ostatki życia... nie doczekam do rana...

— E, e, co znowu! siląc się na przymuszony uśmiech, przerwał Puzyrowicz—przecie to widoczne, że ci już sił przybywa.

Chory poruszył ręką i głową przecząco.

— Daj pokój—szepnął—ja wiem co mówię; ale posłuchaj co powiem póki mogę, bo czas ucieka i życie z nim... Niech ci Bóg płaci za twoje koło mnie staranie, mogłeś już wyjść ze szpitala, boś zdrów prawie, a dokładałeś starań żeby tu zostać w tym śmiertelnym zaduchu i mnie pilnować. Ach!—jęknął—ciężki mój los! Ty nie wiesz o tém, panie Hrehory, że nimesz ty wszedł do szpitala, ja zostałem oswobodzony i mógłem wracać do domu, gdyby nie ta nieszczęsna choroba!

— Jakto? naprawdę?—spytał zdziwiony Puzyrowicz.

— A tak, tak — mówił ożywiając się chory — matka starosty uświackiego, Ogińskiego, Wojnianka, toć to moja siostra stryjeczna; Ogińscy mi u cara Piotra wyprosilili uwolnienie; ale — mówił zwolna, wzdychając—co mi dziś potem!?

Zadumał się z szeroko rozwartemi oczyma, jakby w dal zapatrzoney.

— Boże! Boże mój miły—wyjąknął smutnie—jak moje lata minęły!.. jak sen! i gdzie przyszło głowę położyć?... na Kitajgrodzie, w monasterskim szpitalu!... a tam u nas, wiosna, nasz dworek w zieleni... i bzy kwitną, i słowiki śpiewają... i bocian na starém gnieździe swoim klekocze... i słoneczko ranne „igra“ o wschodzie jasnym, „rozbiegając się“ we mgłach nad łąkami i „zbiegając na nowo, w wigilią ś. Jana...“ a to mój dzień był niegdyś!... i budziła mię matka droga za dawnych lat, uściskiem i zyczeniami! Tam nasz kościółek na wzgórkę, przy drodze, i mogiły ojca, dziada, pradziada... i brzozy nad nimi płaczą powiewne, i ptaszęta polne kwilą... i podróżny Anioł Pański zmówi... a po mnie... jedna matka staruszka zapłacze... a nad nią... nikt!... Koniec... minęło wszystko!... Boże mój miły! ile tam życia niegdyś w naszym dworku bywało! jak ludno! ile wesela, śmiechów, zabawy... każde drzewko, kamień, łąwka, ścieżyna... to historia rodziny... skarby nasze... pamiątkil... Zginęło wszystko jak... jak sen... pułtkowie, gruzy tylko zostały! ni pamięci, ni śladu! ani ludzi, ani wspomnienia... ach! świat ten, świat!

Westchnął ciężko chory; dwie jasne łzy stoczyły się po wyblądłych policzkach.

— Ha, krótkie to ludzkie życie—szepnął zcicha—trudno?! świata nie przeżyjesz... pójdzie sobie dalej i bez nas, jakby nas nigdy nie było... A tam... matka moja biedna, nieszczęśliwa, samotna...

Zamilkł i za chwilę zwrócił się do towarzysza.

— Mój panie Hrehory—mówił dychając ciężko—ja umrę... ale ty oddaj mi ostatnią przysługę, a i tobie to się przyda; tu, pod głową, mam zwitek papieru... list, niedokończony... do matki, sygnet pamiątkowy ojca nieboszczyka, notatki moje, pamiątek kilka... papiéry; weź to wszystko, jak umrę; jest tam i pismo carskie z uwolnieniem. Trochę pieniędzy przysłanych złożyłem u Eliaszewicza, weź to na drogę... podaj się za mnie... jako Jan Wojno; wyjdziesz, będziesz wolny, wrócisz do ojczyzny... oddajże biednej matce mojej te po mnie rupiecie...

Głowa mu w tył opadła na posłanie, zdawał się omdlewać; Puzyrowicz poskoczył żywo, podniósł nieco, poprawił poduszkę. Chory otworzył oczy, spojrzął z niewymownie bolesnym uśmiechem i ledwie dosłyszczanym głosem zaczął przez chwilę niby nucić cichutko jakąś, dawną zapewne, znaną piosenkę... tchu mu zabrakło...

— Boże mój!—westchnął—Boże!... zlituj się nademną!... Ojciec nasz, któryś jest...—począł znowu i szeptał cicho... coraz ciszej; leżał bezwładnie prawie, usta mu się tylko poruszały jeszcze...

Hrehory, wzruszony do głębi, śledził każde tchnienie chorego, który zdawał się usypiać spokojnie; ale po niejakiem czasie drgać zaczął silnie na całym ciele; nastąpiło głośne w gardle chrapanie, usta przymknięte podnosiły się i opadały bezwładne... konał; coraz wolniej, spokojniej; cichy wreszcie i chłodny, jak powiew wieczorny, zaszemrał oddech lekki; ostatnie łyż stoczyły się po twarzy wraz z ostatniem, ledwie dosłyszczanem tchnieniem... ręce i głowa obsunęły się na posłanie.

W sali była cisza, jak w grobie; Hrehory bez ruchu, skamieniały prawie, nie mógł osłupiałego wzroku oderwać od martwego ciała towarzysza... lekki płatek oderwanój od sklepienia pobiały, upadający na posłanie zmarłego, wyrwał go z odrętwienia; podniósł więc bezwładne zwłoki, podsunął, ręce na piersiach ułożył i ukląkł przy tapczanie, cichą szepcząc modlitwę za duszę nieszczęśliwego wygnańca.

Wstał wreszcie po chwili, obejrzał się wkoło; bliżsi chorzy w ciężkim śnie spoczywali; sięgnął ręką pod poduszkę zmarłego i wyjął małą paczkę papierów. Na wierzchu znajdował się właśnie, bujnym ale laskowatym charakterem napisany, rozkaz uwolnienia z niewoli JMPana Jana Wojno, towarzysza chorągwi pancernój JW-go Jana Sapiehy, starosty bobrójskiego, z niedającym się prawie odczytać, ale również i naśladować, całowemi niemal, cienkimi sztrychami, w dwie skośne linie nakreślonym podpisem „Reichsmarszałka Menżykowa.”

Nie namyślał się długo Puzyrowicz, postanowił sobie spełnić ostatnią wolę zmarłego, co lubo rzeczą było trochę ryzykowną, dawało mu za to nadzieję nadspodziewanie rychłego do ojczyzny powrotu. Pocihu więc zrzucił część pościeli ze swego tapczana i złożył na nim nieboszczyka, przeniósłszy go wraz z posłaniem; sprzątnął wszystko porządnie, schował paczkę za nadrę i wreszcie miejsce na tapczanie zmarłego towarzysza zajął.

Ranek już zaświecił przez wążkie okienka; jedna lampka oddawna zagasta, druga pełgała jeszcze bladawym płomykiem, gdy wszedł do sali stróż klasztorny, Timofiej, stary bywalec i służbista, ranny niegdyś w sławnej wyprawie wielkiego monarchy pod Azowem. Człęk to był dobroduszny, pocciwy i litościwy, który przez pobożność przyjąwszy służbę u „Monachów,” sądząc, że tu spokój znajdzie na starość, dziwił się nieco, iż od lat kilku nakazano tu, w braku miejsc innych, urządzić szpital, gdzie mu przyszło chorych i rannych więźniów obsługiwać. Nie skarżył się wszelako; owszem, z pewną nawet usprawiedliwioną dumą, cieszył się z owych widocznych dowodów zwycięstw i wzrastającej ztąd potęgi swojego, po Bogu największego pana. Niemniej jednak w niespaczonym umyśle i prostocie serca, jako żołnierz, ubolewał nad „plennymi” i rannymi, a choć dzieł o polityce, filozofii i socyologii nie czytywał, marzył zawsze o „powszechnym pokoju,” nie mogąc w żaden sposób pojąć, dlaczego ludzie i ludy wojny z sobą prowadzą i utrzymując uparcie, że „mir jest szirok” i nikomu na nim miejsca nie brakuje.

Timofiej, w długim czarnym sarafanie, z rudawą siwiejącą brodą,

minę miał niby poważną, ale dobroduszną; wszedł cicho i ostrożnie, marmocząc pobożnie ranne swoje pacierze. Puzyrowicz, niedaleko drzwi, właśnie na tapczanie siedzący, kiwnął na starego, który téż przysunął się pośpiesznie.

— Ot, patrz, diadia — rzekł Hrehory, wskazując na nieboszczyka — mój towarzysz skończył.

— Co? pomarł? — spytał stary.

— Pomarł nieborak.

Timofiej pokiwał głową smutnie.

— Wieczna pamięć jemu! — westchnął i przeżegnał się trzykrotnie — biédak, na czużynie, daleko od swoich; no, cóż? taka wola Boża!

— Ale, słuchaj-no diadia — ozwał się Puzyrowicz — mój towarzysz pomarł, niech w Bogu spoczywa; siedziałem ja, żeby go pilnować, ale teraz niéma co, a ja sam już pozdrowiałem i ty może nie wiesz, że mnie Carska Miłość pożałował i dał uwolnienie do domu, więc mogę iść...

— Da, da; ja wiem — przerwał Timofiej — u nas jest rozkaz, że „taki to” ma bumagę i uwolnienie i kazali dawno, żeby sobie szedł won, aby tylko mógł, bo tapczanów w szpitalu niedostaje.

— A no — ciągnął spokojnie Puzyrowicz — to idź-że do przełożonego i powiedz, żeby mi bramę otworzyli, bo ja już mogę iść, a jak wrócisz, to dostaniesz odemnie karbowanica na pożegnanie.

Stary uśmiechnął się uradowany.

— No, sława Bohu, dziękuję; dobrze, dobrze; wracajcie szczęśliwie, ja zaraz idę i przybiegnę nazad.

To mówiąc, a tupcząc pośpiesznie w kółko, ruszył wreszcie żywo do przełożonego.

W kilkanaście minut potem otworzyła się zamczysta furta starego monasteru i pan Hrehory, wolny jak ptak, znalazł się na ulicy.

Przy końcu grudnia tegoż 1712 roku, kiedy pan Jakób, po trzy-nastu przeszło miesiącach od czasu bytności swęj u hetmana Pocieja, żadnej nie otrzymując wiadomości od brata, tracił już nadzieję oglądania go kiedykolwiek, najniespodziewaniej, pewnego dnia ujrzał wchodzącego, zawsze z dobrą fantazyą, Puzyrowicza. Zdziwiony, oczom prawie własnym nie wierząc, skoczył na jego powitanie.

— A gdzież Stefan? — spytał żywo.

Pan Hrehory ręce rozstawił.

— Ha, no, został w stolicy.

— Nie uwolniony?

Puzyrowicz potrząsł głową.

— Gdzie? kudy? kogo ztamtąd uwolnił!

— No? a jakżeś sam powrócił? przecież cię uwolnili.

— Mnie? — ozwał się pan Hrehory — ba! proszę ja ciebie; ja się sam uwolniłem; to jest... raczój łaska Boska i... dziwne zdarzenie. Kiedy nas wzięto z arcybiskupem Zielińskim wraz z dworzanami jego,

posłali nas naprzód do Mińska, potem do stolicy moskiewskiej, dalej znów wrócono do Mińska i napowrót do stolicy; tam nasz zacny a szanowny pasterz, trzy lata temu, pożegnał się ze światem, a nas dworzan połączono z innymi niewolnikami, co byli wzięci pod Połtawą „w plen.“ Tu miałem przynajmniej pociechę znaleźć się ze Stefanem Eliaszewiczem i innymi towarzyszami. Trzymali nas, jak śledzi w beczce, na zamku w Kremlinie; chorych rozsyłano po szpitalach: dostałem się tak i ja do monasterskiej „bolnicy” na Kitajgrodzie.

Tu zasmucił się pan Hrehory i westchnął, opowiadając o śmierci Wojny i wyjściu swém ze szpitala.

— A jakem się wy dostał na świat—ciągnął dalej—sam sobie nie wierzyłem, żem wolny; chciałem zaraz zmykać do domu; no, proszę ja ciebie, musiałem zostać dla Stefana, wstęp tam sobie do nich, jako człek wolny, za dobrym datkiem, wyrobiłem i czekaliśmy na sądową rezolucyą.

— Jaką rezolucyą?—spytał pan Jakób.

— A no, sąd miał być na niewolników—mówił Puzyrowicz—wszystkich na gardło dekretowano... więc apelowali do samego monarchy; kuryer do nowój stolicy, do „Peterburka“ pojechał, trzeba było czekać trzy miesiące z górą, nim się sprawa osądziła i wyklarowała.

— Jezus, Marya—westchnął pan Jakób— i cóż?

— No, ja sobie w mieście tymczasem, jako Wojno, najałem kwarterę u jednej młodej wdowy, kupcowej, hożej i grzecznej kobieciny i aż do połowy Septembra czekałem; kuryer tedy powrócił z klemencyą carską i „pożałowaniem“ życia, z tém jednak, iż wszyscy na exilium wysłani zostaną.

— Ależ ja, tu—przerwał pan Jakób—starałem się o uwolnienie Stefana, za instancyą hetmana Pocięja, już rok temu minął; czyż do téj pory nie było o tém żadnej wiadomości? a listów, nie wiem wiele wysłałem!

Machnął ręką Puzyrowicz.

— Ani listów, ani wiadomości żadnych nie było; a jak już dekret stanął i nastąpiła klemencya, nie miałem czego oczekiwać, więc pożegnałem moję gospodynią, bez wielkiego żalu, chociaż baba chciała koniecznie, żebym się z nią żenił i sklepy mi swoje oddawała, bardzo bogate. No, ale jakoś się wykpiłem od niej. Wracając, byłem pod Grodnem u téj nieszczęśliwej matki mego Wojny; nie zastałem jej, bo tam cały dwór mieczem i ogniem zniszczony, tylko gruzy i zgłiszczą zostały. Musiałem się tam jeszcze włóczyć, dopytywać, aż znalazłem staruszkę u JW. chorążego grodzieńskiego, Izaykowskiego, co jest téż przez Ogińskich spokrewniony z Wojnami. Serce mi się krwawiło z taką misyą do matki przybywać... ha, cóż było robić? Tandem, proszę ja ciebie—kończył Puzyrowicz—dostałem się wreszcie z łaski i opatrności Boskiej na swoje śmiecia; a tu masz waszmość—dodał, wyjmując z za nadrza i oddając panu Jakóbowi—listy i rozporządzenie ostatniej woli Stefana.

Russyanowicz, list żywo przebiegłszy oczyma, wziął się do odczytania rozporządzeń Stefana, treści następującej:

„W imię Ojca i Syna i Ducha Ś-go Amen ¹⁾.“

„Ponieważ z woli Boskiej i Jego świętej sprawiedliwości, za grzechy moje takowy mnie dekret na ziemskim padole potkał, zapobiegając tegoż Sędziego sprawiedliwego gorącą prośbą moją, abym wiecznej kary na duszy uszedł, za mile przyjmuję wolę i desygnacją Najjaśniejszego Imperatorskiego Wielichestwa in servitudine manicipium, ale jako i innych ze mną spół służących varii generis hetmanowi zadnieprskiemu Mazepie, któremu służąc, dostałem się w niewolę z drugimi, w której dręczone przez lat cztery, o głodzie i ciężkim chłodzie. Atoli z politowania, za wielkimi instancjami, sprowadzeni będąc na stolicę do sądu synodu, w którym trybunale stanął dekret pod usiecz gardła dać; ależ łaska Boska przystąpiła nad niewinnością naszą, za instancjami do clementii Najjaśniejszego Monarchy, czekając takowej z Peterburku. Gdy tedy w terminie powrócił kuryer od Najjaśniejszego monarchy z clementią, życiem darowani, a póki kresu naszego in exilium na Sibir. Więc ja, będąc przy dobrém zdrowiu i czerstwym umyśle, już czasu więcej nie mając, opuszczony we wszystkiem i od wszystkich, mizerny katannik, przy uproszonych sobie, znajdujących się na ten czas przyjaciółach i świadkach, czynię takową ostatniej woli mojej dyspozycją, którą tym fundamentalnym testamentem moim wyrażam i stwierdzam. A to: Boskiem i naturalnem prawem, mając jedynego rodzzonego brata, JMPana Jakóba Russyanowicza, postanowionego i ojczysto osiadłego daję, daruję, leguję i zapisuję wszystkie moje dobra, stojące i ruchome, wiekuiście jemu i sukcesorom jego...

Tu wylicza wszystko, co posiadał i dalej pisze:

„...na których nie winienem, prócz długu, przypadającego po JMciach panach rodzicach, tysięcy trzy JMPani Ksieni wszystkich Świętych ²⁾, żadnej prowizyi nie będąc winien, bom płacił. Wziąłem u W. JMPani Rosnowskiej niektóre rzeczy, które są wykonotowane JMPanu bratu memu, a szczególnie dla przysługi, abym kamki ³⁾ wywiózł w zamian, więc pod szczerą prawdą zeznaję, że z tego bynajmniej nie korzystał, bo mnie zewszystkiem kamłucy (sic) zabrali; skarbnik czterma końmi, naładowany i wszystką moją aparencyą w rzędach, w orężu, w koniach, dwóch czeladzi moich przy nim zabito, a mnie tylko żywcem w jednym siermiazku do Monarchy przyprawdazono; zostałem się winien i pani ciotce, z domu Russyanowiczównie, Paparowej, złotych kilkadziesiąt, które mi była dała na kamkę, ale tę kamkę ka-

¹⁾ Z oryginału.

Przyp. autora.

²⁾ Klasztor Benedyktynek przy kościele Wszyst. Świętych.

Przyp. autora.

³⁾ Kamka albo kamcha, jedwabna materya turecka lub chińska.

Przyp. autora.

młocy między siebie rozerwali, jako i com był kupił na upominki dla JMPani bratowej i JMPanny Barbary hajzukę jadamaszkową czarną, podszytą ogonkami sobolowemi, bramowaną, drugą, takąż czarną, podszytą gronostajami bramowaną i obrazy w srebro oprawne i inne drobiazgi, co wszystko przepadło. A jakikolwiek miałyby się wynaleźć skrypcik mój de nullitate anihiluję tą ostatnią wolą moją, gdyż w tej niewoli z sumieniem mojem obrachowawszy się, zem nikomu nie winien więcej, ani czyniłem żadnej mojej dyspozycyi, prócz JMPanu bratu memu, w czóm referuję się do listów moich z zamku Siewskiego i Brańskiego. Zawdzięczyć mi niepodobna JMPanu bratu memu, wszelkim staraniom okoł wyswobodzenia mnie z niewoli, tudzież i supplementowania, którego kosztu niepodobna wyrazić i łaski jego, ale kiedy już od wszystkiego niemal umieram, niech Pan Bóg JMPanu bratu memu bonifikuje na zdrowiu i pomyślnych jego sukcesach i temi mojemi dobrami, których totaliter et sincere cedo ¹⁾. A przy odjeździe moim, niepowróconym, żegnaj już wszystkich krwią związanym, os de ossibus ²⁾ znajdujących się, których przepraszam generaliter, polecając się uti defunctus ³⁾ modłom ich i pamięci. JMPanu bratu i całemu domowi jego, przy tej ostatniej mojej dyspozycyi, jeszcze tę zostawuję, sis memor mei ⁴⁾, jako jedynie odrobiny, brata, et parce, parce ⁵⁾, a przy wzdychaniu mojem, vale ⁶⁾, vale." Amen.

Stefan Russyanowicz.

W końcu dopisek był inną ręką uczyniony:

„A że ten testament, przy mojej bytności na stolicy Moskiewskiej stał się dobrowolnie, tedy ja, jako świadek na ten czas tego testamentu, przytomny będąc, ręką własną dla lepszej wiary podpisuję. W Moskwie d. 26 7-bris, A-o 1712.“ *Andrzej Eliaszewicz* mp.

Pan Jakób i żona jego, która nadeszła, popłakali się przy czytaniu owego dokumentu, ostatniego pożegnania człowieka, którego jakoby żywym do grobu kładziono i obecny nawet przy tém Puzyrowicz, choć człek całc rycerski, nie mógł się widać wstrzymać od wzruszenia; miękko mu się także na sercu zrobić musiało, bo lubo wąsy, niby przy muskiwał, ale twarz mu się jakoś przeciągnęła, a oczyma mocno mrużąc, często się do okna odwracał.

Chwila potém nastąpiła milczenia i ciszy.

Pan Jakób pierwszy mruknął, jakby sam do siebie:

— Jednak dziwna rzecz! żeby hetman Pociiej nic nie wyrobił; obiecał mi solennie, rok już przeszło minął i wiem, że wstawiał się i pisał.

1) Całkowicie i szczerze ustępuję.

2) Kość z kości.

3) Jako zmarły.

4) Niech będzie pamięć moja.

5) Przebaczcie.

6) Żegnajcie.

— Co waszmość chcesz?—rzekł Puzyrowicz—w takich czasach wojennych, gdzie im tam myśleć o jakim biédaku między tysiącami wziętym w niewolę.

Pani Jakóbowa nie zaspokojona listem od Stefana, poczęła się jeszcze rozpytywać o szwagra; zatrzymano Puzyrowicza godzin kilka, dowiadując się o różne szczegóły, o sposoby przesyłania pism albo zaśilków jakich, przemyślając, czyby się nie dało więcéj starań jakich o uwolnienie przedsięwziąć.

Russyanowicz, widząc z testamentu brata, że i owe skrypta nawet, które Laszkowski przedstawiał na kwoty różne, zaliczone niby Stefanowi, okazywały się fałszywemi, jakby ze snu zbudzony i do najwyższego stopnia oburzony, postanowił sobie wreszcie wszelkiemi środkami wykazać oszustwa niegodziwego szwagra i wlokącą się sprawę całą siłą popierać.

Tymczasem pani klucznikowa, coraz bardziej zapadając na zdrowiu, już się od kilku miesięcy wcale nawet z łóżka podnosić nie mogła; pilnowała jęj wnuczka dniem i nocą, a nawet pani Jakóbowa zabiegała często, wybierając, o ile możności czas, w którym Laszkowskiego w domu nie było, aby się na grubiaństwa jego nie narażać; nie cofała się jednak, jeśli go i zastała. Ona jedna bowiem miała ten dar, czy przywilej szczególny, że przed nią Laszkowski tracił nieraz całą swoją fantazyą, a szyderski żart, czy złośliwe ucinki jego, krótkiem słowem, albo samém pogardliwém spojrzeniem, umiała niekiedy powstrzymać. Z uciekającym życiem staruszki, tracił on jednak co dzień i nadzieję dowiedzenia się o owych prawdziwych, czy urojonych kapitałach, jakie pani klucznikowa posiadać miała; wszelakoż był prawie pewnym, że one gdzieś schowane być muszą, bo mu to od kilku lat zdawały się wskazywać same wydatki, lubo niewielkie, pani Paparowej i żony, co nic nigdy od niego nie brała; badał on ją téż nieraz, ale widząc, że się nic od nięj nie dowięd, nałajawszy się dowoli, dał jęj pokój nareszcie. Gdy więc próśby i groźby bezskutecznemi się do téj pory okazywały, w ostatnich czasach, nie ujmując sobie rozkoszy złorzeczeń i urągania się, któremi obsypywał obie nieszczęśliwe niewiasty, postanowił użyć jeszcze trzeciego i ostatniego środka, szpiegowania i śledzenia wszystkiego, co się koło staruszki działo i mówiło. Tu liczył z początku na pomoc przyjaciółki swojej pani Kasyanowej; ale się zawiódł zupełnie. Od czasu bowiem, kiedy pani klucznikowa spostrzegła, kim był ów Laszkowski zachwalany przez dawną jęj przyjaciółkę, zmieniła téż i o nięj samęj zdanie; odwiedziny pani Kasyanowej przyjmowała niechętnie; często nawet, składając się cierpieniem, zupełnie jęj odmawiała przyjęcia. W szpiegostwach Laszkowskiego, służące miejscowe, mimo dobrej nawet do tego ochoty, pomódz mu niewiele mogły; staruszki bowiem pilnowała wnuczka sama jedna, gorliwie i nieustannie wszelkie koło nięj wypełniając usługi. Nie miał więc innego sposobu, jak własne oczy i uszy tylko posyłać na wzwiady. W miarę przeto uciekającego zycia, a widocznie już zbliżającego się zgonu pani klucznikowej, La-

szkowski coraz mniej oddalał się z domu, utyskiwał niby na ból w nogach i dniem i nocą w tureckich papuciach snuł się po izbach i korytarzach, a lubo do chorąg rzadko kiedy zaglądał, często jednak zgięty i jak kot przyczajony, podsłuchiwał za drzwiami. Pani Paparowa gasła powoli; wszelako starania i modły wnuczki, zdawały się jej dni przedłużać. Laszkowski, podsycany zajadłą chciwością, wytrwał w swęj ciężkiej służbie przez kilka tygodni; ale cierpliwość jego już dochodziła do kresu: wściekał się czasem i pienił ze złości, nęciła go bowiem włóczęga po mieście i gawędki ze znajomymi, do których się przyzwyczał, a każda chwila poza domem spędzona, zdawała mu się teraz, dla zdobycia jakichś wiadomości, nazawsze straconą. Pewnym był, że staruszka niechybnie musi wnucze przed zgonem wykazać i oddać kapitały, jeśli je posiada, od żony zaś zawsze milczącej, a w wielu razach zgola nieugiętej, nie spodziewał się czegośkolwiek dowiedzieć, jeśliby pani klucznikowa zechciała jej nakazać milczenie. Z każdym dniem przeto, położenie Laszkowskiego stawało się trudniejszym do wytrzymania; już w tém dobrowolném, a raczej chciwością nakazaném więzieniu domowém, nie był w stanie wytrzymać, wybierał więc czas, kiedy chora drzymała i wynikał się pocichu do miasta, a najczęściej do winiarni Kasperka, pocieszając się butelczyną pośpiesznie, i starając, jak wyszedł, tak i powrócił niepostrzeżony: trafiało się to najczęściej w porze popołudniowej. Ale czujna, choć milcząca pani Barbara, o każdym kroku męża doskonale wiedziała, co téz tém trudnym było do odgadnienia, że Laszkowski, lubo powracał ukradkiem, często jednak dobrze podpity, skoro się znalazł w domu i przypomniał sobie wszelkie bezskuteczne zabiegi, wpadał w furę prawie: łajał, hałasował i dokazywał tak, że się kobiety przed nim na klucz zamykać musiały.

Pan Jakób nazajutrz, zaraz po otrzymaniu testamentu Stefana, „oblatował go w grodzie“ i ani chwili nie odkładając, pozwał Laszkowskiego, żądając rachunków, komportacyi wszelkich kwitów i dokumentów, a jeśliby się jakie znalazły, sprawdzenia, czy nie są podrabiane i fałszywe; co gdyby się rzeczywiście okazało, sprawa stawała się kryminalną, a wedle praw i statutów, pociągała za sobą karę gardłową.

Laszkowski wracał właśnie po południu z winiarni Kasperka, chwiejącym się krokiem, z mocno zapruszoną głową, gdy na progu kamienicy zastąpił mu drogę „providus“¹⁾, generał JKMści JMPan Trzebuchowski, wręczając szary półarkusik papieru, we czworo złożony. Był to pozew pana Jakóba, na którego powolność niejako do téj pory rachował Laszkowski, tém pewniej, że od Stefana żadne objaśnienia nie przychodziły, i jak myślał, przyjść wcale nie mogły.

Niespodziewanie wręczony pozew, przebiegłszy błędniemi oczyma, osłupiał; tymczasem, gdy obżałowany, podpity mocno, czerwieniał

¹⁾ „Providus“ albo „opatrzny“ miano zwykle woźnym (generałem) nadawane.
Przyp. autora.

się coraz więcej i ścisnął grubą pałkę w rękę. JmPan Trzebuchowski, jako nie darmo woźnych „opatrznyimi“ zwano, nie czekając następstw dalszych, zwrócił się żywo do dwóch szlachty, świadków z urzędu, co z nim razem byli, manifestował się głośno, jako pozew wręczył i, w gnieniu oka znikł, jakby się ziemia pod nim rozstała.

Laszkowski stał chwilę oniemiały, czerwone oczy jeszcze mu bardziej krwią nabiegły; ruszył się wreszcie, a szczerząc, jak zwykle zęby w złowrogim uśmiechu, rzucił się pędem na wschody.

W domu panowała cisza zupełna; dzieci bowiem, z całym ich otoczeniem, zostawił Laszkowski, po ożenieniu się swoim, na dawniej siedzibie; z pokoju chorąg pani klucznikowej, że w nim duszno było, drzwi do sieni nawpół stały właśnie otworem, pani Barbara, na nie-szczęście, odeszła była na chwilę, staruszka, na wysoko wystaném łóżku, drzymiąc, leżała nieruchoma i mało już do żywej podobna.

Laszkowski, z czapką na tył głowy zsuniętą, wywijając laską, wpadł na górę jak opętany, a spostrzegając drzwi otwarte do pokoju pani Paparowej, wbiegł z łoskotem, hałasem i przekleństwami i stanął nad łóżem.

Chora podniosła ociężałe powieki.

— Ha! — wykrzyknął — łypasz oczyma, nie zdechłaś jeszcze, stara wiedźmo! Cha! cha! ja ci przed śmiercią, czy po śmierci, z gardła wydrę twoje dukaty... ale ci się już niewiele należy, lada dzień cię diabli wezmą! cha! cha! trzeba wziąć miarę na trumnę!

To mówiąc, ze śmiechem szatańskim, laską począł mierzyć długość postania, ale dochodząc do wezgłowa, zatrzymał się nieco i żywo sięgnąwszy pod poduszkę... wyciągnął dwa klucze, związane starym, wyszarzałym rzemykiem; jeden był mały, misterniej roboty, drugi duży i ciężki, z deszczułką, na której widać było niekształtną dwójkę naznaczoną.

— O! o! — zawołał — dobra rzecz, jak Boga kocham! to mi się przyda; coś tam przecie pod temi kluczami być musi! zobaczymy! Cha! cha! cha! — śmiał się — nie darmo się widać baba nazywała klucznikową!

I wzięwszy laskę pod pachę, oglądał niespodzianą zdobycz ciekawie, a nie zważając już na zdreptałą prawie staruszkę, wolnym i ciężkim krokiem wyszedł z pokoju.

(Dokończenie nastąpi).

NASZA WŁASNOŚĆ ZIEMSKA *).

ZARYSY STATYSTYKI ROLNICZEJ NASZEGO KRAJU I ZIEMIAŃSTWA.

(Zbiór wiadomości statystycznych, odnoszących się do dóbr obciążonych pożyczką Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem, wydany staraniem naczelnych władz tegoż Towarzystwa. Warszawa, 1861 str. VII i 247).

PRZEZ

Romana Buczyńskiego.

Zaznaczyć tu wypada, że jak germanizacya własności ziemskiej w Poznańskim, tak rusyfikacya w Guberniach Zachodnich, początkiem sięga czasów o wiele dawniejszych niż te w których powstała myśl prawodawstwa z r. 1865. Zaraz po pierwszym rozbiorze Polski, w nowo utworzonej gubernii Białoruskiej rozdane zostały obszerne dobra wojсковym i urzędnikom rosyjskim. Jak powiada ks. Wasilczykow, system donacyj praktykowany wówczas na wielką skalę oddał w ręce osób zasłużonych rządowi (lub przypisującym sobie taką zasługę) miliony mórg ziemi i setki tysięcy poddanych (dusz) w różnych stronach Cesarstwa ¹⁾. Obok odległych stron właściwej Rosyi, Litwa i Biało-

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za październik r. b.

¹⁾ „Własność ziemska i roln.“ t. I, str. 402 i n. W ciągu XVIII w. do wstąpienia na tron Katarzyny II rozdano 389195 poddanych, za Katarzyny II około 800 tys. W ciągu 4 lat panowania Pawła I, 114896, ogółem w ciągu XVIII w. 1304000 dusz i od 8—10 mil. m. r. gruntu. O szafunku daje wyobrażenie następujące: ks. Potemkin otrzymał 37000 głów poddanych, hr. Zubow dwa powiaty (!) Rosieński i Szawelski (na Żmudzi), hr. Kutaisow na Litwie i w Kurlandyi 36 tys. morg. r. Tak hojnie obdarzeni donataryusze, niemniej byli hojnymi dla swoich klientów. Tak np. hr. Panin otrzymawszy od cesarzowej Katarzyny II, 4000 poddanych w Białej Rusi, rozdał je swoim oficyalistom; ks. Bezborodko uzyskał dla swego sekretarza Troszczyńskiego 1700 poddanych, ks. Potemkin dla swego marszałka dworu 1800 i t. d. Ks. Wasilczykow, z którego wyż wymienionego dzieła przywzodzimy te przykłady, za-czerpnął je z dzieł znanych nam tylko z uczyńskiej przez niego wzmianki:

rus dostarczały niemało materiału dla owych donacyj, bo królewsczyzny, pomimo łupieztwa oligarchów z ostatnich lat Rzeczypospolitej, były jeszcze obszerne i zwiększyły się konfiskatami majątków panów polskich, skompromitowanych w obec Rosyi polityką sejmu czteroletniego i wojną r. 1794. Wówczas w ziemiaństwie nowozdobytych ziem, zajęli miejsce Razumowscy, Potemkinowie, Paninowie, Zubowowie, Bobryńscy, Wasilczykowowie, i t. p. Donacye choć bez specjalnie politycznych celów, mnożyły się za panowania Aleksandra I i Mikołaja I. Po r. 1831 liczba donacyj zrównoważyła co najmniej przybytek skarbu dobrami skonfiskowanymi osób skompromitowanych. W całym szeregu tych posiadaczy ziemskich w Guberniach Zachodnich, osobiwością są tacy, którzy przysli do majątku ziemskiego za własne pieniądze, jeżeli za takich nie będziemy uważać łatwych nabywców z prawa r. 1865. W przybliżeniu liczyć można około 1½ miliona m. r., które w ciągu ostatnich lat 20 wyszły z rąk właścicieli polskich, z tego zaledwie 1/10 (169344) m. r. drogą dobrowolnej sprzedaży albo przez subhastacyą za długi, a liczba takich majątków w ostatnich czasach znacznie się zmniejszyła i zmniejsza z każdym rokiem ¹⁾. Można się dziś spotkać z zdaniem w prasie rosyjskiej, które prawo 22 Grudnia r. 1865 uważają za półśrodek (!), ale wszyscy zgadzają się na to, że cel dodatni tego prawa, ze stanowiska rosyjskiego, został zupełnie chybiomy ²⁾. Nie potrzebujemy lepszego argumentu na korzyść naszej wła-

Romanowicza-Sławatyńskiego „Dworianstwo (Szlachta) w Rosyi. Petersburg 1870 i Karnowicza „Zamieczatielnija bogatstwa (Wielkie fortuny) w Rosii i t. d. 1874.

¹⁾ Np. w gub. Mińskiej r. 1880 wyszło z posiadania osób „pochodzenia polskiego“ 39815 morg r., r. 1881 tylko 21137. W r. 1868 w trzech „guberniach południowo-zachodnich“ wyszło z rąk polskich 116 tys. m. r., r. 1881 tylko 39 tys. Podług „Statystyki licytacji majątków ziemskich w południowo-zachodnim kraju“, od r. 1876 do obecnej chwili, sprzedano w drodze przymusowej lub z powodu działów na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 94 majątków (większych) obejmujących 132604 morg. ros. (dziesiątyn), z tego w gub. Wołyńskiej 48 obszaru 88413 m. r., w Podolskiej 28 obsz. 12603 m. r., Kijowskiej 18 obsz. 21591. W pierwszej połowie siedmioletnia 1876—1879 sprzedano na licytacji w tych trzech guberniach 55 majątków, obszaru 86993, w drugiej r. 1879—1882 39 obsz. 36304 m. r. Cyfry te dają niewątpliwe świadectwo polepszenia ostatnimi laty bytu ekonomicznego ziemian w tej części naszego kraju.

²⁾ O skutkach prawa z r. 1865 czytamy w gazecie rosyjskiej „Nowosti, Nr. 188 r. z. „Prawo zabraniające zakupu ziemi osobom pochodzenia polskiego w guberniach litewskich i południowych, miało wpływ bardzo niekorzystny. Prawo to mające na celu ułatwienie kupna majątków ziemskich w owych guberniach rosyjanom, bardzo mało przyczyniło się do spełnienia tego zadania. Jedni z rosyjan nie znając miejscowych warunków, nie odważyli się ryzykować swoich kapitałów; drudzy jak np. wielu z miejscowych urzędników, otrzymaw-

sności ziemskiej w tej części Cesarstwa. Musi mieć mocne podstawy bytu ta własność, której zniweczenie po 17 latach prawodawstwa

szy ułatwienie w nabywaniu tam majątków, powiększej części nie posiadali żadnych potrzebnych dla rolnika wiadomości, ani środków do prowadzenia gospodarstwa; trzeci uwodząc się uludną łatwością nabycia wielkiego majątku małemi środkami, nabywając dobra nieodpowiednie ich zasobom materyalnym i wymagające wielkich wkładów na zakup inwentarza roboczego, machin, narzędzi i t. p., odrazu byli postawieni w konieczności niszczenia majątku, przez wyrąb lasu, sprzedaż pojedynczych części gospodarstwa, chat i t. p. Łatwo pojąć, dlaczego dobra tych ostatnich nabywców posprzedawano już przez licytacje lub przeszły na własność ludzi bardziej przedsiębiorczych. Wiadomości o niepowodzeniach i ruinie tych nabywców, jeszcze bardziej odstręczyły niedowierzających kapitalistów rosyjskich a w ich miejsce stanęli poszukiwacze łatwego łupu. Owych korsarzy spotkać można całe gromady na licytacjach. Gdy tylko dowiedzą się o sprzedaży jakiego majątku, natychmiast spieszą dać zadatek, następnie zastawiają dobra w banku, wyrąbują las, parcelują, sprzedając grunta włościanom lub kolonistom zagranicznym i zrujnowawszy w ten sposób jeden majątek, spieszą odbyć tę samą operacją na drugim, trzecim i t. d. Sprzedający majątek właściciel ziemski, najczęściej otrzymuje odrazu do rąk tylko zadatek, resztę zaś szacunku wypłacają mu powoli ratami, w miarę wyrębu lasu i rozprzedaży parceli, przyczém w najlepszym razie ma prawo kontrolować dyssekcję swego majątku. Pomimo tak rujnujących warunków sprzedaży, właściciele polacy zmuszeni są przez okoliczności, lub w razie spadku (działów?) do sprzedaży majątku. Wedle bowiem obowiązujących tam praw, po śmierci ojca, jeden syn nie może odziedziczyć majątku z warunkiem spłaty rodzeństwu ich działów, lecz majątek musi być dzielony wedle liczby dzieci, przyczém otrzymują one czasem tak małe części, że spadkobiercy zmuszeni są sprzedawać cały majątek, nie mogąc prowadzić spólnego gospodarstwa. (Nie jest to żadne prawo, gdyż w Guberniach Zachodnich obowiązuje ogólne prawo spadkowe Cesarstwa, ale arbitralnie narzucony przez władze miejscowe przepis, w duchu możebnego rozszerzenia przepisów z 22 Grudnia r. 1865. Sądy nowo zaprowadzone zaczynają uznawać nieprawność takich wymagań, np. wyrok sądu okręgowego w Humanu w sprawie testamentowej Kownackich. (*Przyp. aut.*). Polak dóbr kupić nie może, kapitalistów rosyjskich niema, pozostają więc spekulanci szukający łatwego łupu, niemcy nadbaltyccy również nieodznaczający się bezinteresownością, lub co najgorsza, nasi najserdeczniejsi przyjaciele z nad Sprei. W gub. Kowieńskiej np., pewien Niemiec z Łotysz zaczawszy od 5000 rubli, przy pomocy banku, wyrębu lasu i t. p. nabywając dobra za dobrami, w przeciągu lat siedmiu, ośmiu, stał się bogaczem. Przez jego ręce przeszło już 30 majątków a niedawno nabył jeszcze jeden wielki majątek za 500 tys. rs. Przykład ten charakteryzujący działanie jednego takiego aferzysty w jednej tylko gubernii, może dać pojęcie o rozmiarach szkód wyrządzanych krajowi w tym kierunku. Zresztą pogoń za łupem przynęca nawet miejscowych mieszkańców, występujących pod firmą rosyjan lub niemców. Ostatecznie ukaz zabraniający dawnym obywatelom gubernij litewskich

mającego w zasadzie przymusowe wywłaszczenie, tak małe czyniło postępy.

III.

O stanie ekonomicznym własności ziemskiej.

a) A c t i v a .

Tylko co do Królestwa Polskiego i cokolwiek Galicyi znajdujemy niektóre szczegóły wyróżniające większą a mniejszą własność; zresztą musimy poprzestać na niektórych pobieżnych wiadomościach opisowych.

1. Podział rodzajów uprawy pomiędzy większą a mniejszą własnością.

Zaczynamy od wykazu przestrzeni podług rodzaju uprawy z wyróżnieniem większej a mniejszej własności.

W dobrach należących do Towarzystwa Kredytowego w Królestwie Polskiem, znajdujemy roli 4099443 morg., now. z tego gruntów pszennych 1030873 czyli 26%, żytnich 3098570 czyli 74%, łąk 531358, pastwisk 296920, lasów 2018983, nieużytków 421088 ¹⁾. Biorąc to za podstawę, liczymy że w obszarze większej własności przypada z 1000 roli 555, łąk 71, pastwisk 42, lasów 284, nieużytków 48. Podług Anuczyna, na gruntach włościan, liczy się (w okrągłych liczbach) 6164 tys. mórg roli, łąk i pastwisk 1106 tys., z czego liczą samych łąk 586662,

i ukraińskich nabywać dobra w tych guberniach, ułatwił osiedlenie w tych prowincjach bynajmniej nie ruskiego żywołu, lecz wszelkiego rodzaju gezeftsmanów rujnujących miejscowe rolnictwo i wytrzebających do reszty bogate lasy. Nienormalność tego położenia, brak kapitałów rosyjskich i niski stan waluty wydały w końcu wzmożenie żywołu niemieckiego pośród słowiańszczyzny. Nietylko bowiem Niemcy nadbałtyccy wskutek taniości ziemi wywołanej ograniczeniem prawa konkurencji, śpieszą jako nabywcy majątków, lecz wskutek niskiego stanu waluty, Niemcy zagraniczni coraz większymi massami walą się i coraz więcej zagrabiają nam ziemi. W gazetach niemieckich ciągle okazują się ogromne ogłoszenia zachęcające do nabywania ziemi na Litwie i Ukrainie. Są okolice, gdzie cała połowa powiatu jest już w rękę właścicieli niemieckich sprowadzających za sobą całe czeredy rządców i parobków niemieckich. Jeżeli Niemcy teraz już uważają gubernie nadbałtyckie za część swojej „ojczyzny,” to co będzie z Litwą i Ukrainą, gdy nowy napływ da im przewagę ekonomiczną nad żywiołami miejscowymi.“

¹⁾ Summa tych obszarów wynosi 7386902 mórg, gdy przestrzeń dóbr stowarzyszonych podana jest na 6792133. Ta ostatnia cyfra obejmuje tylko dobra trzech kategorii, których wykazano 6360, z pominięciem 1265 dóbr, które z r. 1881 wyszły z Towarzystwa, co jak sądzićby można było, stanowi niniejszą różnicę około 600 tys. m. Jednakże w wykazie szczegółowym wy-

pastwisk 619540, lasów ma się znajdować tylko 214600 m. ¹⁾ nieużytków zaś 1313 tys. Z 1000 więc wypada roli 685, łąk 65, pastwisk 68, lasów 23, nieużytków 158. W Galicyi, większa własność posiada mógg ziemi ornej 1610084, 475674 łąk, 241555 pastwisk, 3309884 lasów; nieużytki nie są objęte wykazem kadastralnym, w przybliżeniu liczyć ich można 236000 m. Własność mniejsza posiada 4690432 m. ziemi ornej, 1145196 łąk, 1248317 pastwisk, 351073 lasów; na nieużytki wypada blisko 300000 m. W stosunku więc 1000 wypada, ziemi ornej większej własności 274, mniejszej 604, łąk większej 81, mniejszej 147, pastwisk, większej 40, mniejszej 160, lasów większej 559, mniejszej 44. W stosunku do mniejszej własności, większa posiada roli w Królestwie 37%, w Galicyi 27%, łąk 47,₃% i 29,₆%, pastwisk 32,₃₀% i 16%, lasów 80,₁% i 90,₄%. Z czego się pokazuje, że w tutejszym kraju, w porównaniu z Galicyą więcej stosunkowo ziemi ornej, łąk i pastwisk pozostaje w posiadaniu większej własności, która za to w Galicyi posiada więcej lasów i o tyle więcej, że nie są już jak tutejszokrajowe obciążone służebnościami. Lecz zapewne ocalenie ich Galicya zawdzięcza nieprzystępnemu położeniu, w górach, zdala od rzek spławnych i dróg żelaznych.

W ogóle zaś jak w Galicyi tak i w tutejszym kraju, drobna własność odznacza się posiadaniem znacznej stosunkowo przestrzeni gruntów ornych a nader małej, lasów. Łatwo to wytłómaczyć się daje. Przy uwłaszczeniu włościan brano za podstawę faktyczną ich posiadłość w chwili uwłaszczenia; ta składała się prawie wyłącznie z roli, gdyż za patryarchalnego stosunku dawnego włościaństwa względem dworu, las i pastwisko było niejako wspólne, włościanin mając prawo wypasu na dworskich wygonach i w lasach, prawo wrębu i ściółki, starał się grunt dany mu w posiadanie, użytkować w sposób dający jak najwięcej intraty. Usamowolniony i uwłaszczony, nie chciał rozstać się ze swojemi prawami z dawnego stosunku wynikłemi, częścią dla korzyści jakie mu zapewniały, częścią z nałogu; tém bardziej, gdy jak w tutejszym kraju, samo prawo o urządzeniu włościan i zastosowanie jego zmierza do przedłużenia tego anachronicznego stosunku w nieskończoność.

Łuszczającym rodzaje gruntu (Zbiór wiadom. stat. str. 7 i 8) nietylko nie znajdujemy takiej wzmianki, ale nadto, wyraźnie rozróżnione są dobra z taxy i z opisu lit B, więc nawet z pominięciem jeszcze jednej kategorii 197 dóbr, które poprzestały na zamianie dawniej pożyczki na nową a których przestrzeń wynosi 426114 m., czyli o tyle mniej od 6792133. Jestto więc znaczna różnica i niezgodność rachunku, której „Zbiór wiadomości stat.“ nie wyjaśnia.

¹⁾ Niewiadomo czy tą przestrzenią są objęte lasy, które włościanie otrzymali za zniszcione służebności 147834 m. przy ułożeniu tabel likwidacyjnych i 91073 m. na skutek dobrowolnych umów, ogółem 238907. W r. 1873 zaś wykazano 214600. Przypuszczać można, że różnica ten stanowi ubytek obszaru leśnego na gruntach włościan od czasu jak im został wydzielony.

ność. Lasy które dostały się włościanom przy uwłaszczeniu, oraz w drodze dobrowolnej ugody z dawniejszymi dziedzicami, (np. za służebności, przy parcelacyi i t. p.), nikną prawie w oczach. W r. 1873 Anuczyn liczył w posiadaniu drobnej własności w Król. Pol. 214,600 m. Podług wykazu zaś urzędowego, przestrzeni lasów r. 1879, na gruntach włościańskich znajdowało się ich tylko 179,142 m., z tego 155,156 oddanych na służebności. Ponieważ z tej ostatniej ilości 91 tys. m. oddane zostało włościanom przy umowach o zamianę służebności, których powyższa cyfra 214,600 nie obejmuje, z ilości więc 305,600, jaką powinny dziś (albo r. 1879) posiadać, ubyło 125 tys., czyli około 40% stopniało w ciągu lat kilkunastu ¹⁾. Wyniszczenie lasów w obrębie większej własności, jakkolwiek ogarniające znacznie większą przestrzeń, stosunkowo nietyle sprawia ubytku w obszarze leśnym, gdyż ono występuje tu jako wyjątek od reguły; właściciel tej klasy niszczy las z konieczności w jakiej go postawiła ruina majątkowa, bądź z jego własnej winy, bądź zbiegiem okoliczności zaszła. Drobny właściciel który daleko rzadziej jest postawionym w takiej konieczności, niszczy go z dwóch normalnych niejako powodów: 1) z chęci osiągnięcia większego zysku z ziemi i 2) z warunków zwykłego w tej klasie posiadania, wspólnego, bądź z dworem na mocy służebności, bądź z sąsiadami, przy niemożności dzielenia odpadku leśnego wydzielonego gromadzie pomiędzy licznych jej członków. Każda sprzeczka, o którą w takiej wspólności nie trudno, prowadzi za sobą zwykle całkowity wyrąb lasu przez spółposiadaczy zazdrośnych o swój udział. W ten sposób rozdrobnienie własności staje w szeregu licznych przyczyn wyniszczenia lasów, którym się odznacza nasze gospodarstwo wiejskie ostatnimi laty.

Nie mamy wiadomości o podziale między większą a mniejszą własność przestrzeni rodzajów uprawy w Poznańskim i Guberniach Zachodnich, możemy jednak wnosić, że stosunek jej jest podobny do wyżej wskazanego. Zwłaszcza za Bugiem i Niemnem prawo włościan do dworskich pastwisk i lasów, w przekonaniu ludu, bardziej jeszcze niż tutaj jest utrwalone.

Nakoniec, co do nieużytków, tylko cyfra w wykazach dóbr Towarzystwa Kr. Ziemsk. w Królestwie, zasługuje na wiarogodność. Wielka przestrzeń tego rodzaju gruntów, wykazana na obszarze drobnej własności, obudza wątpliwość, czy tą liczbą nie zostały objęte wygony i przestrzenie nieużytkowane, choć do użytku przydatne. Zresztą wia-

¹⁾ Zabawnym jest, gdy w obec tego stanu rzeczy, pp. Gołowaickij (O karpatskiej Rusi, r. 1877) i Simonenko (Srawn. Statist. Car. Pol. i dr. jewr. stran, str. 340) jako wielkie grawamen włościan przywodzi, że w Galicyi ta klasa rolników posiada tylko 10% lasów. Obecnie po wycięciu blisko połowy obszaru leśnego, wydzielonego włościanom za służebności, w Królestwie lasy drobnej własności, stanowią tylko 3,5% ogólnej przestrzeni. A przecież to Królestwo „kraj Nadwiślański,” stawiają za wzór dla Galicyi pod względem uposażenia włościan!

domą jest rzeczą, że z postępem uprawy, zmniejsza się obszar nieużytków przez osuszenie bagien, zalesienie wydym i t. p. Stosunkowo wielka przestrzeń nieużytków na gruncie mniejszej własności, świadczyłaby o niskim stanie jej gospodarstwa.

2. *Niektóre dane o produkcji rolniczej.*

Stan produkcji rolniczej różnych części naszego kraju w najgrubszych rysach tak się przedstawia.

W Królestwie Polskiem, podług danych zebranych ze sprawozdań gubernatorskich, w latach 1870—1875 średnio rocznie wysiano różnych gatunków zboża 13,873,000 korcy, zebrano 66,590,833. W okresie lat 1870—1877 podług wykazów Ministerjum Dóbr Państwa w Petersburgu ¹⁾, średni roczny zasiew wynosił 10,990,900 korcy, średni zbiór 51,123,122. W obec znacznej różnicy jaka okazuje się pomiędzy niniejszemi cyframi, przyjmujemy średnią 12,431,950, albo w okrągłej liczbie 12½ miliona korcy zasiewu, zaś 55,856,927, czyli w okrągłej liczbie 56 mil. korcy zbioru. W Guberniach Zachodnich z okresu 1870—1872 r., podano w tych wykazach okrągłą liczbą 16 milionów korcy zasiewu, 80,194,000 zbioru. Statystyka pruska i austriacka zamiast ilości zasiewu podaje przestrzeń obsianą; z Poznańskiego więc i Galicyi przywodziśmy tylko ilość zbioru. Średni zbiór w Poznańskiem z okresu lat 1872—1879 wynosi 965,470 beczek ziarna i kartofli, wagi 1000 kilogramów; licząc średnio po 100 kilogramów na korzec, wypada okrągłą liczbą 9,700,000 korcy. W Galicyi z okresu lat 1870—1879, średni zbiór wynosi 51,918,000 hektol., czyli przeszło 42 mil. korcy. Przypuszczając że w ziemiach pod panowaniem rosyjskiem stosunek przestrzeni obsianej do ziemi orną jest taki jak w Galicyi, znajdujemy, że z jednego hektara gruntu otrzymuje się średnio w Królestwie kongr. 10,₂²⁾, w Guberniach Zachodnich 7, mianowicie w trzech guberniach „Południowo-Zachodnich“ (Podolu, Wołyniu i Kijowskiem) 9,₂, na Litwie i Białej Rusi 5,₅; w Poznańskiem 11,₅, w Galicyi 11,₄₅; w szczególności, w Galicyi Zachodniej 11,₄, w Galicyi Wschodniej 11,₅. Największą więc wydajność znajdujemy w Poznańskiem, prawie takąż w Galicyi, w części wschodniej zawierającej żyzne niwy Podola i Pokucia, cokolwiek większą niż w zachodniej; najmniejszą na Litwie, na co składają się zarówno fizyczne warunki gleby jak i stan ekonomiczny. Nadmienić wszakże wypada, że w Guberniach Zachodnich gdzie ludność jest znacznie rzadsza niż na zachód od Buga i Zbrucza, obszar gruntów obsianych musi być zapewne stosun-

¹⁾ Sbornik swiedienij po Diepartamentach Ziemledielia i sielskoj promyszlennosti. Petersburg, 1880. Por. Załęski, Niwa, XIX, str. 858 i nast.

²⁾ Ponieważ wydajność kartofli jest znacznie większa niż ziarna, dla porównania przeto z prowincjami, które mało uprawiają tego ziemniaku, jak np. u nas Ukraina, wyłączyliśmy go z niniejszego obliczenia.

kowo mniejszy niż przyjęliśmy w tém obliczeniu; w téj więc proporcji średnia jego wydajność okaże się większą; możnaby liczyć 7—8 korcy z hektara, na Litwie do 6, na Podolu i Ukrainie przeszło 10. W ten sposób różnice pomiędzy wymienionemi tu prowincjami okażą się mniej znaczne, choć w każdym razie ze względu na wielką żyzność Podola rosyjskiego i Kijowszczyzny, zaznaczyć można lepszy stan uprawy zachodnich stron naszego kraju, gdzie urodzajność gruntu jest w ogóle średnia.

W krajach zachodniej Europy znajdujemy średni zbiór z hektara: we Francji (r. 1856—1876) 16,²⁵ hektolitrow, w Prusach (1851—1879) 20,⁶, w Anglii (1866—1879) 23,⁸, z tego w Anglii właściwej 27,⁵, w Belgii 26,⁷, w Niderlandach 28,⁴. Przeciwnie w Rosji europejskiej przypada średnio (1870—1872) 8,² hekt. ¹⁾ Łatwo z tego wnosić, że na wydajność gruntu, daleko więcej niż jego urodzajność wpływa stopień uprawy. Przyczém szczególnie wielka produktyjność roli w krajach przeważnie pastewnego gospodarstwa, jak Anglia, Niderlandy, objaśnia się jeszcze tém, że tam pod rolę obracają grunta wyborowe, gdy np. we Francji, wielce rozmnożona drobna własność, starają się jak najwięcej ziemi zająć pod pług, takiego wyboru czynić nie może. To naprowadza na ważne wnioski pod względem systemu gospodarstwa i wpływu rozdrobnienia własności ziemskiej ²⁾.

Biorąc teraz stosunek produkcji ziemiopłodów do ludności, znajdujemy, że na głowę przypada w Królestwie Polskiem ziemiopłodów (zboża i kartofli) 7,⁹ korcy, samego ziarna 4,³, w Guberniach Zacho-

¹⁾ Por. Schnitzler, Empire des Tzars, vol. IV, p. 170. Legoyt, De l'Etat actuel de l'agriculture dans les principaux Etats de l'Europe, w La France et l'Etranger, vol. II, p. 326 sq. Engel, Zeitschrift des Preus. Stat. Bureau, 1879. Statistische Jahrbücher herausg. v. d. kk. Stat. Commission, 2 h., f. d. Jahr., 1878, Wien, 1880.

²⁾ W sprawozdaniu p. Kazimierza Hempla o stosunkach większej własności w Galicyi (Wiadomości statystyczne wydane przez Krajowe biuro statystyczne, rocznik VII, zeszyt 2, str. 108*) czytamy: „Na uwagę zasługuje jako praktyczna wskazówka, jaki rodzaj gospodarstwa najlepiejby się opłacał w niektórych okolicach kraju, to co piszą z powiatu Liskiego: „W ostatnich latach podniosły się w okolicy ceny dzierżawne, głównie z powodu zadzierżawienia dwóch folwarków w równinach przez jednego Bawarczyka, który siew zboża zupełnie zarzucił a na pastwiska i łąki wszystkie obszary obrócił, fabrykuje sery na sposób szwajcarski, płaci z dzierżawy o 50% wyżej, niżby kto inny płacił i dobrze na tém wszystkiém wychodzi.“ Wprawdzie późniejsze doniesienie prostuje tę wiadomość wzmianką, że z powodu zbyt wygórowanego czynszu, Bawarczyk ów nie wyszedł na swoje, piszący to jednak (hr. Edmund Krasieński) przyznaje mu zasługę, że dał dobry przykład i że w naszym kraju, osebliwie w okolicach podgórskich, droga pośrednia pomiędzy gospodarstwem wyłącznie pastewnem a z upowszechnionem u nas ziemiopłodowem, jest najwłaściwsza.

dnich ziarna 6,6; w Poznańskim ziarna 4,4, ziarna i ziemniaków 6; w Galicyi ziarna 3,7, ziarna i ziemniaków 7. Odrącając $\frac{1}{5}$ na wysiew i licząc po dwa korce na wyżywienie ludności oraz inwentarzy ¹⁾, znajdujemy, że każda z tych ziem w średnim roku posiada pewną ilość do zbycia. Ale ponieważ zbywająca ilość kartofli idzie zwykle na gorzelnie i w takim głównie stanie przerobionym stanowi przedmiot wywozu, nadto produkt ten, główny stanowiący artykuł żywności naszego ludu w zachodnich stronach kraju, od lat 40 podlegając zarazie, często chybia, za stałą tedy podstawę produkcji rolniczej biorąc ziarno, znajdujemy, że Królestwo Polskie i Poznańskie, w średnim stanie posiadają niewielki nadmiar zboża do wywozu zagranicę, zaś Galicya zaledwie pokrywa swoje potrzeby; tylko kraje za Bugiem i Zbruczem mają wielki zapas zboża do zbycia, który w latach urodzajnych jak np. r. z., wynosi około połowy zbioru.

Sianożęcia w Królestwie Polskim średnio rocznie (1867—1870) 22,837,773 centnarów, w okrągłej liczbie blisko 23 mil., w Guberniach Zachodnich (1870—1881) 43,653,300 czyli blisko 44 mil.; w Poznańskim (1872—1878) 7,210,707 ct. metr. (po 100 kil.), czyli 17,782,239 ct. pol.; w Galicyi (1871—1879) 15,965,423, czyli 39,396,775 cet. pol., w okrągłej liczbie 39 $\frac{1}{2}$ mil. Stosunkowo do powierzchni, na miłę kwadratową przypada w Królestwie 10,301 centnarów, w Guberniach Zachodnich 4,465, w Poznańskim 33,179, w Galicyi 27,646. Wielką różnicę jaka się okazuje pomiędzy Poznańskim a Gub. Zach., kompensuje ilość pastwisk stepowych na Ukrainie i leśnych na Litwie. Położenie podgórskie w Galicyi skłania do gospodarstwa pastewnego więcej niż w Kongresówce, która jednak widocznie w produkt ten, stanowiący podstawę inwentarza zwierzęcego, jest ubogą ²⁾. W ściślejszym stosunku sianozbioru do przestrzeni łąk, wypada w Królestwie 372 cn. z hektara, w Guberniach Zach. 145, w Poznańskim 755, w Galicyi 439. Z tego widzimy, że Poznańskie nie tylko przewyższa inne części kraju ilością siana, ale z tej samej przestrzeni otrzymuje takowego znacznie więcej, co świadczy jak w szczególności o lepszej uprawie łąk, tak w ogólności o wyższym stanie kultury.

¹⁾ Liczymy tu minimum podług Ungewittera i Dieterice'go, liczyć wypada na głowę 2 korce ziarna i 2 $\frac{1}{2}$ kartofli. Podług tego rachunku po odrączeniu potrzebnej ilości na wysiew, na gorzelnie i t. d., nie tylko Galicya, ale Poznańskie i Królestwo Polskie, przy średnim urodzaju, nie miałyby już nic na wywóz zagraniczny.

²⁾ Niezadawalniająco brzmią pod tym względem doniesienia o stanie większej własności w Galicyi, otrzymane na skutek lustracji r. 1877/78: była jest za dużo w proporcji do wyprodukowanej paszy, zamało w proporcji obszaru; ilość bydła jest mniejszą niżby potrzeba wymagała a to z powodu zbyt skąpych zbiorów; żaden gospodarz nie jest w stanie siódmej części ze zwykle przyjętej siedmiopolówki pognoić i t. d. (Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, rok VII, zeszyt 2, str. 116 i nast.).

W zależności od tego produktu znajduje się stan inwentarzy żywych. W Królestwie liczą koni 754 tys. (r. 1870), bydła rogatego grubego 2,595,829 (r. 1881), czyli okrągłą liczbą 2,600 tys., owiec 4,180 tys., trzody chlewniej 1,104 tys. W Gub. Zach. koni 1,490 tys., bydła rogatego 3,430 tys., owiec i kóz 4,964 tysięcy, trzody chlewniej 1,810 tys. W Poznańskim koni 160 tys., bydła rogatego 521,903, okr. licz. 522 tys., owiec 2,200 tys., trzody chlewniej 170 tys. W Galicyi podług spisu r. 1870, (spis zeszłoroczny do tej chwili nie ogłoszony), koni 690,240, bydła rogatego 2,070,572, drobnej rog. 1,002,587, nierogacizny 734,572. Na milę kwadratową przypada koni w Królestwie 340, w Gub. Zach. 179, w Poznańskim 300, w Galicyi 485; grubiej rogacizny w Królestwie 1,171, w Gub. Zach. 400, w Poznańskim 1,550, w Galicyi 704; drob. rog. w Królestwie 1,900, w Gub. Zachodn. 580, w Poznańskim 4,104, w Galicyi 709; nierogacizny w Królestwie 453, w Gub. Zach. 223, w Poznańskim 319, w Galicyi 515. Z tego się pokazuje, że najwięcej koni stosunkowo do powierzchni ma Galicya, która też najwięcej posiada trzody chlewniej; Poznańskie góruje ilością bydła rogatego i owiec a w tych dwóch artykułach Kongresówka zamobniejsza jest niż Galicya. Rażące zaś ubóstwo inwentarza w ziemiach za Bugiem i Niemnem, kompensuje się małą ludnością tych stron a przeto mniejszą potrzebą, która pozwala nawet na wywóz tego artykułu z niektórych gubernii zachodnich jak Kijowskiej i Podolskiej, lubo znacznie zmniejszony ostatnimi laty. Co jednak świadczy o bardzo jeszcze zacofanym stanie gospodarstwa rolnego w tych stronach.

3. Przemysł rolniczy.

Obok kultury pastewnej, która u nas bardzo jeszcze wiele zostawia do życzenia, coraz więcej nabiera znaczenia uprawa roślin, służących do przetworów fabrycznych. Z tych pierwsze miejsce w naszym kraju zajmują buraki cukrowe. Jeszcze przed 30-tu laty Tegoborski zwrócił uwagę na użyteczność tej uprawy dla kraju rolniczego ¹⁾.

¹⁾ Elle peut être considérée (powiada ten autor) en quelque sorte comme le premier pas vers un système plus rationnel qui consiste à alterner la culture des grains avec celle des plantes qui épuisent moins le sol et fournissent en même temps des moyens d'alimentation quant au bétail; mais son principal avantage... consiste en ce qu'elle éveille l'activité industrielle des habitants de la campagne, favorise la circulation monétaire et procure aux propriétaires des contrées qui ont très peu de débouchés pour les autres produits du sol, le moyen de faire valoir leurs terres et d'en tirer un revenu certain, en produisant un article d'un débit prompt et facile et dont le transport même lointain ne présente aucune difficulté... En servant à la fabrication d'un produit qui a un prix élevé, la betterave met en circulation des capitaux considérables; elle fournit un moyen d'alimentation au bétail et d'après les nouveaux procédés, les valves peuvent servir après l'extraction de la sub-

Obecnie po uprawie zbożowej drugie zajmuje miejsce w naszym gospodarstwie rolniczym. Jak wiadomo, ma ono dwa wielkie ogniska w naszym kraju: jedno w Królestwie na dolnym Powiślu, szczególnie w Gostyńskim, Płockim i Kujawach; drugie w Cesarstwie: w gub. Kijowskiej i Podolskiej. W roku 1879 liczone w Królestwie 42 cukrowni, w Poznańskim 5 (obecnie 4 są w budowie, a 3 w projekcie), w Galicyi tylko 5, na Litwie 7, na Wołyniu 11, na Podolu rosyjskim 77, w Kijowskim 88 ¹⁾; przerabiał (w kampanię r. 1873/4) 2365678 centnarów produktu w Królestwie, 16003254 centn. w guberniach zachodnich, z czego na samą Kijowską przypada przeszło połowę: 8488720; mączki 385721 centn. w Królestwie, 1255414 w gub. zach. W porównaniu z tem bardzo skromnie wygląda produkcja buraków cukrowych w Galicyi, której przerób liczył w kampanię r. 1873/4 tylko 411927 centn. metr., w następnym roku nawet zmniejszył się do 295284 centnarów, w kampanię r. 1875/6 zwiększył cokolwiek, do 328422. W Poznańskim r. 1878 zbiór buraków cukrowych wynosił 263868 ct. metr. Ile rzeczywiście użyto w cukrowniach, nie mamy wiadomości; ale sądząc z pomysłnego stanu tych fabryk ²⁾, wnosić powinniśmy, że produkcja zwiększyła się ostatnimi laty.

Obok cukrowni, gałęzią przemysłu, najwięcej związaną z rolnictwem, jest gorzelnictwo, upowszechnione we wszystkich stronach kraju, najwięcej, jak się zdaje, w Galicyi wschodniej i „guberniach południowo-zachodnich.” W Królestwie Polskim liczy się ich 946, produkujących około 15 milionów garncy spirytusu; w guberniach zachodn. 665, produkujących około 15 milionów garncy; z tego około 7 milionów w guberniach: Kijowskiej, Podolskiej i Wołyńskiej; w Poznańskim 280 i 172 dystylarni, produkujących około 1300000 garncy; w Galicyi 446 gorzeln, produkujących 12 milionów garncy. Na głowę przypada: w Królestwie Polskim 2,1 garncy; w guberniach zachodnich 1,3 garni;

stance saccharine et avec un mélange de farine de seigle à la préparation d'un pain très bon et très sain; elle n'épuise pas beaucoup le sol et elle s'adapte très avantageusement au système de la culture alternée dont l'extension est si désirable... la culture de la betterave favorise la destruction des mauvaises herbes, tandis que les feuilles de cette plante servent d'engrais. Elle augmente le revenu de la terre et le prix de la main d'oeuvre, surtout dans les contrées où le blé est à bas prix à cause de l'éloignement des marchés. Elle rapporte ordinairement 50 à 100% de plus que la culture des céréales (?). Le débit de la récolte est plus prompt et plus assuré etc. (Etudes s. les forc. product. etc. str. II, 225).

¹⁾ Cyfry te są z r. 1874; odtąd liczba cukrowni na Ukrainie zmniejszyła się, choć produkcja znacznie wzrosła. Według świeżej statystyki kapitana Taranowskiego, w trzech guberniach: Kijowskiej, Podolskiej i Wołyńskiej, liczy się 135 cukrowni, a wartość produkcji 52370162 rs.

²⁾ L. Żychliński: Stan ekonomiczno-społeczny Księstwa Poznańskiego, w zeszytach państwianym Biblioteki Warszawskiej, r. 1881.

w gub. Kijowskiéj i Podolskiéj 2,₁ g.; w Poznańskim 0,₈ g.; w Galicyi 2 g. (w Galicyi wschodniéj przypada około 2½ garnicy). Browarów i miodosytni w Królestwie 560, produkujących około 8 milionów garn.; w gub. zach. 500, produkujących 2 mil.; w Poznańskim 261, produk. 872 mil.; w Galicyi 262, produk. 4,400,000 garnicy. Na głowę przypada: w Królestwie 1,₄ garnicy piwa i miodu; w gub. zach. 0,₂; w Poznańskim 0,₄; w Galicyi 0,₇.

Nie bez znaczenia jest hodowla pszczół, lubo od wielu lat u nas zaniedbana. Zajmują się nią głównie wiejscy plebani, także zamężniejsi włościanie na Ukrainie, Podolu i Wołyniu. W r. 1873 w Król. Pol. liczono 242,071 ulów, w gubernii Wołyńskiéj 147,000, Podolskiéj 120,000, Kijowskiéj 150,000; w ogóle w g. zach. około 650,000. W Poznańskim 102,000, w Galicyi 257,492. Ilość produkcji tylko z gub. Wołyńskiéj wiadoma ¹⁾. Przyjąwszy tę samą proporcją 10 funtów miodu z ula i 1½ f. wosku, otrzymujemy w przybliżeniu: w Król. 24,207 centn. miodu i blisko 3,050 centn. wosku; w gub. zach. 65,000 centn. miodu i 8,200 centn. wosku; w Poznańskim 10,200 c. miodu i 1,200 wosku; w Galicyi 25,750 c. miodu i 3,300 wosku. Na mięg kwadratową przypada ulów w Królestwie 109, w gub. zach. 80, na Wołyniu 113, na Podolu 150, w Kijowskiém 167, w Poznańskim 190, w Galicyi 181. Na 100 mieszkańców przypada miodu funtów: w Król. Pol. 34 f., w gub. zach. 54 f., na Wołyniu 92, na Podolu 63, w Kijowskiém 75, w Poznańskim 60, w Galicyi 44. Produkcya wosku w téjże proporcji.

4. *Wartość produkcji rolniczéj.*

Wartość produkcji rolniczéj: zboże i jego surogaty (podług ostatnich cen) w Król. Pol. w przybliżeniu 205 milionów rubli, w gub. zachodnich 130 mil. rs., w Poznańskim 120 mil. marek, czyli (podług kursu) blisko 60 mil. rs., w Galicyi 150 mil. złr., czyli 100 mil. rs. Inne produkta roślinne, jak: siano, len, konopie, ogrodowizny, chmiel, tytoń i t. d., w Królestwie 70 mil. rs., w gub. zach. 60 mil., w Poznańskim 40 mil. marek, czyli blisko 20 mil. rs., w Galicyi 38 mil. złr., czyli blisko 25 mil. rs. Dochód z lasów w Królestwie (podług obliczeń

¹⁾ O pszczelnictwie na Wołyniu przywodziemy świeżą wiadomość z dzienników, pochodząc mającą ze źródeł urzędowych: ulów w 12 powiatach gubernii wykazano 146130, z tego 2655 Dzierżonowskich i innych udoskonalonéj budowy (Dolinowskiego, Ramoszyńskiego); 15000 pasiek, z tego 12000 należących do włościan, 403 większych właścicieli, 358 duchownych. Średni zbiór z ula 10 funtów miodu i 1½ wosku. Cena za pud (40 funtów) miodu rs. 4 kop. 50, wosku rs 20. Zbiór roczny miodu 40,000 pudów, wosku 5,000. Dochód roczny 255,279, z ula 74 rs. Wartość produkcji 876,680. Podług tego czysty dochód wynosilby 30⁰/₀. Tak znaczny wszakże dochód pszczelnictwo przynosić może tylko w ziemi obfitującéj w lasy, gdzie ten rodzaj gospodarstwa nie wymaga prawie żadnego nakładu.

urzędowych średnio z r. 1860—72) 1,717,778 okrag., licz. 1,720,000 rubli; w gub. zach., przyjmując dochód w takiejże proporcji, wypada 5,550,000 rs.; w Poznańskim 1,360,000 marek, czyli 680,000 rs.; w Galicyi 5,429,000 złr., czyli $3\frac{1}{4}$ mil. rs. (Odpowiednio do obszaru okazuje się wielka dysproporcja intraty z lasów; za kordonem jest stonkowo dwa razy większą, niż pod panowaniem rosyjskiem). Produkcya gorzelnii w Królestwie blisko 15 mil. rs., browarów i miodosytni $3\frac{1}{2}$ mil.; w gub. zach. z obudwóch tych artykułów przeszło 25 milionów ¹⁾; w Poznańskim 3,084,000 marek, czyli $1\frac{1}{2}$ mil. rs.; w Galicyi 19 mil. złr., czyli blisko 12 mil. rs. Cukrownie przynoszą w Król. około 12 mil. rs.; w gub. zach. 56 mil. ²⁾; w Poznańskim około 5 mil. marek, czyli $2\frac{1}{2}$ mil. rs.; w Galicyi 2,800,000 złr., czyli blisko $1\frac{1}{2}$ m. rubli. Produkcya zwierzęca (mięso, skóry, nabiał, jaja i t. d.) w Król. Pol. daje się oszacować na 52 mil. rs.; w gub. zach. na 40 mil.; w Poznańskim 22,800,000 marek, czyli 11,400,000 rs.; w Galicyi 38 mil. złr., czyli blisko 25 mil. rs.

Ogół produkcji rolniczej: w Królestwie 365—370 mil. rs.; w gub. zach. blisko 250 mil.; w Poznańskim 105 mil.; w Galicyi blisko 180 milionów.

5. *Dynamika produkcji rolniczej.*

Jaki postęp uczyniło rolnictwo w naszym kraju, pewne wyobrażenie dają o tém następujące cyfry:

W r. 1822 wysiano w Królestwie Polskiem różnego rodzaju zboża 3,690,000 korcy, zebrano 13,245 tys., średnie ziarno 3,₅. W r. 1857 wysiano 8,270,000 k., zebrano 30,533,750, otrzymano ziarno 3,₇. W r. 1863 wysiano 7,731,700 k., zebrano 37,260,000 k., ziarno 4,₈. W latach 1867—70 średnio roczny wysiew był 13,817,606, zbiór 63,331,930

¹⁾ Sztabs-kapitan Taranowski w swoim topograficzno-statystycznym opisie „południowo-zachodniego kraju” liczy produkcją gorzałczaną w trzech guberniach wartości rs. 21,056,649, z tego w Kijowskiej 14,366,318, Podolskiej 4,475,000, Wołyńskiej 2,215,331.

²⁾ Podług tegoż źródła, cukrownie w trzech guberniach rusko-ukraińskich produkują na 52379162 rs., z tego w samej Kijowskiej 40364928 rs. W ogóle, jak widzimy, Ukraina z Podolem i Wołyniem przeważają nad resztą ziem naszych. Ogółem w tych trzech guberniach kapitan Taranowski liczy 2,179 fabryk, zajmujących 64,421 robotników i produkujących na 86,851,626 rubli. Podług „Russische Revue“ fabryk w Królestwie Polskiem r. 1879 miało być 5,606, zajmujących 77,518 robotników i produkujących na rubli 112,063,900; stosunkowo do ludności przypada na 10,000 głów: fabryk na Ukrainie 3,₆ w Królestwie 8, robotników 170 i 110, produkcji na głowę po 16 rs. Pod względem przemysłu gubernie te dorównują więc Królestwu; ale właściwy przemysł fabryczny, który w tej ostatniej prowincji stanowi przeszło $\frac{2}{3}$ produkcji, w rzeczonych guberniach zaledwie $\frac{1}{10}$.

licz. ziarn 4,₇. W okresie 1870—75 średnio rocznie otrzymano (jak wyżej) około 66 milionów korcy, ziarn 4,₆. Z tego się pokazuje, że produkcyja zbożowa zwiększyła się pięciokrotnie. Ponieważ zbiory w dwóch wyżej przywiedzonych latach były średnie, tylko r. 1863 wyższe od średnich, można więc przyjąć, że wydajność ziarna zwiększyła się przeszło o $\frac{1}{4}$ i że ten rezultat otrzymano głównie w ostatnich 30 latach. W guberniach zachodnich wysiano różnego zboża w okresie 1849—58 r. 13,143,000 korcy, zebrano 46 $\frac{1}{2}$ mil.; w okresie 1860—69 wysiano 14,360,000, zebrano 67,500,000 k.; w okresie 1870—77 wysiano około 16 mil., zebrano przeszło 80 mil. Plon w I okresie 3,₅ ziarn, w II 4,₇ z., w III 5,₀. Postęp tu okazuje się nawet znaczniejszym cokolwiek, niż w Królestwie; zbiór w ciągu lat 30-tu pomnożył się w dwójnasób, wydajność w stosunku 40%. Ten ostatni rezultat przypisać należy może temu, że za Bugiem jest więcej gruntów ornych do wyboru i ziemia nie jest tak wycieńczoną. W ziemiach stanowiących dzisiejsze Księstwo Poznańskie, przed stu laty zbiór wynosił 3,900,000 korcy, zasiew 975,428 k.; w r. 1802 zbiór wynosił blisko 4 mil. ¹⁾ Między r. 1830 a 1840 wynosił około 6 mil., obecnie (jak wyżej) dochodzi 10 mil. Przed laty 50-ciu otrzymywano z hektara zaledwie 6 korcy, obecnie (jak wyżej) przeszło 11. W Galicyi średni zbiór w okresie 1830—40 wynosił około 18 mil. korcy, przed r. 1846 podniósł się do 28; w okresie 1848—57 (po uwłaszczeniu chłopów) spadł do 24, w okresie 1860—69 podniósł się do 32, od r. 1870—79 przecięciowo wynosi 42 mil. Z hektara otrzymywano przed 30-tu laty 6,₆ korcy, obecnie (jak wyżej) przeszło 11.

Ciekawe jest zestawienie produkcyi rolniczej, bardzo starannie na podstawie wszelkich możebnych danych, obliczonych przez p. T. Korzona, w Polsce po II-im rozbiornie z okresu lat 1780—84, z tegoż w odpowiednich ziemiach państw: rosyjskiego i pruskiego ²⁾. Całą produkcyę zbożową w owym okresie p. Korzon oblicza na 76,600,000 korcy, której wartość podług cen ówczesnych wynosiła 383 mil. złp. Produkcyja zbożowa w 7 guberniach zachodnich Cesarstwa rosyjskiego, w Królestwie Polskiem, Poznańskiem (oprócz części regencyi Bydgoskiej) i Gdańsku, w latach 1872/3 wynosiła 110,700,152 korcy; po wytrąceniu zaś obwodu Zamojskiego, zabranego przy pierwszym rozbiornie i obwodu miasta Kijowa, który przestał należeć do Polski od roku 1686, wypada 108,864,339 korcy, wartości 377,519,882 rs., czyli złp. 2,516,798,819. Ponieważ jednak wartość handlowa ówczesnego złotego do dzisiejszej zostaje w stosunku 1 : 3,₇₇, więc wartość produkcyi

¹⁾ G. Plater: Opisanie W. Ks. Poznańskiego, str. 131, cyt. Rieule i Czackiego.

²⁾ Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta; t. I, str. 323—340. Staszic w „Poprawach i przydatkach“ do „Uwag nad życiem J. Zamoyskiego“ oblicza całkowitą produkcyę zbożową Polski około r. 1788 na 179,621,848 korcy. (Por.: Wewnętrzne dzieje i t. d., str. 332).

z owego okresu wynosiła właściwie 1,447,740,000 złp., czyli, że wartość produkcji zbożowej od owego czasu zwiększyła się przeszło o miliard złp. (1,071,922,819), t. j. w stosunku 74⁰/₀. Ponieważ ludność ówczesna Polski, podług obliczenia tegoż autora, wynosiła 8,790,000 głów, obecnie zaś wynosi przeszło 18 mil. (18,042,990 r. 1870—75), zwiększyła się więc w stos. 105⁰/₀, większym przeto o 31⁰/₀, niż wartość produkcji zbożowej. Na głowę przypadało w r. 1780—84 zboża korcy 8,7, obecnie (r. 1870—75) zaledwie 6 korcy. Więcej było przeto chleba w dawniej Polsce, niż dzisiaj. Lecz z drugiej strony gospodarstwu wiejskiemu przybyło kilka nowych rodzajów ziemiopłodu, które nie mało przykładają się do pomnożenia jego wartości, np. buraki cukrowe, zbliżając je do przemysłu; dalej, kraj nasz obecnie nie jest już tak wyłącznie rolniczym, jak przed stu laty, gdy wartość produkcji przemysłowej fabryk i rzemiosł w niektórych okolicach kraju już prawie równoważy się z produkcją rolną ¹⁾. Nakoniec wziąć należy pod uwagę, że siła produkcyjna roli zmniejszać się musi w miarę zajmowania pod pług coraz gorszych gruntów.

Stan inwentarzy żywych: w Królestwie Polskiem koni: r. 1822: 312,000, r. 1857: 520,000, r. 1870: 754,000; bydła rogatego: r. 1822: 1,202,000, r. 1857 blisko 2 miliony (1,951,996), r. 1870 zmniejszyło się do 1,800,000 (1,821,155), r. 1872 doszło znowu do 2 milionów (1,962,472), r. 1878: 2,378,483, r. 1880: 2,503,942, r. 1881: 2,595,829; owiec: r. 1822: 1,526,700 (z tego 102,100 merynosów, 393,000 innych rasy poprawnej), r. 1857 blisko 3½ mil. (3,440,500, z tego 913,300 merynosów i 1,355,500 innych poprawnej rasy), r. 1870: 4,180,000. W gub. zach. w latach 1849—58 liczono koni 1,445,000, w latach 1860—69: 1,490,000; bydła rogatego: w I okresie 3,525,000, w II okr. 3,430,000; owiec zwyczajnych: w I okr. 2,321,000, w II 2,846,000; z cienką wełną: w I 2,179,000, w II 1,964,000; trzody chlewniej: w I 1,994,000, w II 1,810,000 (?) ²⁾. W Poznańskim koni spis r. 1816 wykazał: 134,124, r. 1855: 153,442 (obecnie, jak wyżej, liczą 160,000); bydła rogatego: r. 1816: 312,011, r. 1837: 476,308, r. 1849: 501,869, r. 1873: 521,903; owiec: r. 1819: 996,114, r. 1837: 2,165,020, r. 1855:

¹⁾ Podług wiadomości z urzędowego źródła, wartość produkcji fabrycznej w Królestwie Polskiem r. 1879 wynosiła 112,063,900 rs., w trzech guberniach południowo-zachodnich 86,851,626 rs.; razem więc blisko 200 milionów, więc małego mniej, niż produkcya gospodarstwa wiejskiego, która w tych dwóch dzielnicach z pewnością nie dochodzi 300 milionów.

²⁾ Podług urzędowego wydania: „Historyczno-statystyczny przegląd przemysłu w Rosyji“ (po ros.), od r. 1851—1876 w 6-ciu guberniach północno-zachodnich (t. j. Litwie i Białorusi) ilość koni zwiększyła się w stosunku 153⁰/₀, bydła rogatego w stosunku 124,4⁰/₀, owiec w stosunku 107,00⁰/₀; zaś w 3-ch guberniach południowo-zachodnich (Wołyń, Podole i Kijowskie) zwiększyła się tylko ilość koni w stosunku 148,35⁰/₀; ilość bydła rogatego zmniejszyła się w stos. 83,8⁰/₀; owiec w stos. 93,2⁰/₀.

2,199,977; z tego merynosów: r. 1819: 43,369, r. 1855: 682,645 ¹⁾, r. 1867: 2,922,424; trzody chlewnéj: r. 1837: 222,130, r. 1855 tylko 163,258. W Galicyi spis r. 1857 wykazał koni: 612,222, bydła rogatego: 2,325,650, owiec: 810,832, nierogacizny: 683,567; w porównaniu z tém spis r. 1870 wykazał koni więcej o 78,018, owiec o 155,931, nierogacizny o 51,005, zaś bydła rogatego mniej o 255,078.

Z tych cyfr wnosić wypada, że hodowla inwentarza żywego rozwija się u nas bardzo niejednostajnie, w ogóle zaś jój rozwój nieodpowiada stopniom rozwoju produkcji zbożowej. Lubo zaś stopnie tego rozwoju w różnych naszych ziemiach, dla braku cyfr dokładnych w tych samych datach czasu, należycie porównać się nie dają, wnosić jednak można, że lata przesilenia ekonomicznego rolnictwa, szczególniej więkšej własności, wywarły wpływ niekorzystny na hodowlę inwentarza, spowodowały nawet chwilowo jego upadek; tak np. w ubytku znacznym owiec poprawnej rasy w Gub. Zachodnich, trudno niewidziéć strat więkšej własności, która przeważnie hoduje zwierzęta lepszej rasy ²⁾. Wspólném zjawiskiem w Galicyi i Gub. Zach. od czasu uwłaszczenia, jest ubytek bydła rogatego, które starają się zastępować końmi; okoliczność która téż wpływa na podniesienie cen mięsa bardzo znaczne ostatniemi laty, na głównych targach Królestwa, mianowicie Warszawy, która się zaopatruje najwięcej z ziem położonych za Bugiem. Hodowla bydła rogatego najlepiej zdaje się zapowiadać w Królestwie, gdzie przeciwnie, jak ostatnie doniesienia, cyframi zresztą należycie nieudowodnione, głoszą, hodowla koni ilościowo i gatunkowo nie czyni postępu.

(Dokończenie nastąpi).

¹⁾ Hübner: Jahrbuch der Volkswirtschaft und Statistick. Leipzig, 1857, VII, 2-te Th., str. 45.

²⁾ W samej gubernii Kijowskiej liczono owiec w roku 1872 sztuk 1,434,476, w r. 1881 tylko 981,699. Rezultat ten zostaje w związku z ubytkiem pastwisk stepowych, które obracają pod pług.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Onarda,“ powieść egipska, osnuta na papyrusach i zabytkach archeologicznych, przez Ebersa; przekład na francuzki język pani d'Hermigny.—Napoleon I, jako krytyk literatury i członek Instytutu.—Dziennik z czasów oblężenia zamku krakowskiego w roku 1772, przez G***, francuzkiego oficera, drukowany w Krakowie.—„Wspomnienia“ Armanda Pontmartin: młode lata, czasy romantycznego przełomu.—Studya nad Rossinim i jego szkołą, przez Edwarda Sutherland.—Pamiętniki pani Ackermann.—Charakter Schoppenbauera.—Popiersie Lamartina.—Konservator muzeum Boulaç w Egipcie.—Nowe Towarzystwo historyczne w Paryżu.

Do najwyższych tryumfów, jakie nauka odniosła w ciągu bieżącego stulecia, należy niewątpliwie odkrycie starożytnego Egiptu. Znany był Egipt od wieków Europie, znany z Biblii, z greckich i łacińskich pisarzy, wreszcie z olbrzymich swych pomników, ale znany, jako wypalony krater wulkanu, jak martwa bryła, z której uciekło życie.

Napoleon odczuł pierwszy, że ten Egipt starożytny, ten kraj brył granitowych i martwych mumii, kryje w łonie swoim tak silny ogień, iż iskry jego mogą, nie tylko zapalić umysły uczonych, ale poruszyć i ogół. Ze tak Napoleon odczuwał przeszłość Egiptu, udowodnił to, gdy powołał z sobą na wyprawę, najznakomitszych mężów nauki, a bardziej jeszcze gdy wzmacniał energią rycerstwa swego sławnym okrzykiem:

„Ze szczytu Piramid, czterdzieści wieków patrzy na was!“

Głos ten nie przebrzmiał napróżno: echo jego rozlega się dziś hukiem dział u podnóża piramid; lecz pole to zostawiamy na boku: chcemy wyłącznie trzymać się w obrębie nauki i literatury.

„Czterdzieści wieków patrzy na nas“ powtórzył Champollion, czas i nam spojrzeć w nie do głębi, zbadać ich tajemnice! i z zapalem wziął się do odczytywania zagadkowych zgłosek na kamieniach i papyrusach. Za śladem jego poszedł cały zastęp egiptologów: Marietto, Maspero, Ebers, że pominiemy tylu innych, i z rosnącym w miarę wysiłków żarem, jęli rozwałać góry piasków, nawiane wichrem od pu-

styni i wydobywać z ich głębi niezliczone pałace i świątynie. A co najważniejsza, na ścianach tych odwiecznych gmachów, odkryli już niejakiś tajemnicze sfinksy i amulety, ale życie dawnych pokoleń, schwycone pędzlem i dłutem mistrzów, a tryskające taką potęgą poezyi, taką siłą uczuć religijnych i patriotycznych, taką miłością domowego ogniska, że przy tym ogniu ogrzać się może tysiące serc zakrzepłych w materyalizmie.

Mówiliśmy już o pracach Marietta, w czasie, gdy niezmordowany egiptolog, spoczął pod cieniem owego muzeum Boulacq, którym zbudował sobie wiecznotrwały pomnik nad Nilem; wspominaliśmy też prace profesora Maspero, godnego następcy Marietta. Dziś rzucimy okiem na ostatnie dzieło Ebersa, egiptologa niemieckiego, na piękną powieść p. t. „Onarda,“ świeżo wydaną w przekładzie francuzkim.

Przed laty kilku, Ebers powrócił z naukowej podróży po kraju Faraonów. Owocem długoletnich jego poszukiwań, było pyszne dzieło o Egipcie, objęte w dwóch wielkich tomach in folio, ozdobione mnóstwem artystycznych rycin, dających poznać krajobrazy i starożytne pomniki Egiptu. Wspaniałe to dzieło, tém większą zdobyło w świecie popularność, gdy profesor Maspero wydał je przed rokiem w francuzkiem tłumaczeniu.

Powieść „Onarda“ jest dziwnie piękném dopełnieniem tego pomnikowego dzieła. W tamtém, uczony archeolog, oprowadza nas od Aleksandryi po katarakty, przez ową dolinę Nilową, przemawiającą ze szczytu piramid i ze zwalisk Teb, o wspaniałej przeszłości swojej. W powieści tymczasem, Ebers prowadzi nas do żywego ogniska odwiecznej cywilizacji. Archeolog-poeta musiał odczuć iskry, zakłęte w o-wych freskach, niedawno odkopanych, a odbijających w sobie życie domowe Egipcyan. Pamiętamy, z jakim zajęciem przyglądaliśmy się ich reprodukcjom, na ostatniej wystawie powszechnej. Żaden szczegół życia codziennego nie ukrył się przed nami: widzieliśmy, jak trzy tysiące lat temu, żeńcy ścinali bujne kłosa nad Nilem, jak oracze prowadzili po zagonie woły, uprzężone do prostej sochy, jak gospodynie karmiły gęsi, rozczyniały ciasto, wkładały chleb do pieca; widzieliśmy kowali w kuźniach, stolarzy z heblem, murarzy z kielnią w ręku; widzieliśmy kapłanów składających ofiary, zbrojne hufce, gotowe do boju; poetów z lirą, skrybów pochylonych nad papyrusem, kolchytów zajętych balsamowaniem ciała. W tento świat różnobarwny, wprowadza nas powieść Ebersa, ów dramat, odgrywający się trzy tysiące lat temu, w roku 1352, przed erą naszą, za czasów Ramzesa II, zwanego przez Greków Sezostrysem.

Podczas gdy wspaniała Faraon walczy w Syrii, na czele zwyciężkich zastępów, wrogie mu stronnictwo zapala w Tebach płomień wojny domowej i knuje czarną zdradę. Z pomiędzy tłumu, poeta wyprowadza kilka promienistych postaci; obok córy królewskiej Bent-Anat, z duszą jasną a wolą niezłomną jak kryształ, stawia nam przed oczy śliczną Onardę, córkę branki, ze krwi królów greckich. Niemniej pię-

kna postać głównego bohatera: jest nim poeta Pentaour, istny Homer starożytnego Egiptu, twórca epopei, opiewającej tryumfy wielkiego Ramzesa. Postać to rzeczywista: epopea jego, skreślona na papyrusie, należy do najcenniejszych zabytków, odkrytych pod zgliszczami Teb przez Ebersa.

Pentaour nie występuje w powieści, jako siwowłósy starzec z zagasłym okiem. Szczęśliwszy od Homera, to dorodny młodzian, nieustraszony w boju, niezmordowany w pieśni; snadno też zniewolił sobie serce pięknej Bent-Anat, ulubionej córki królewskiej.

Zostawiamy na boku wątek powieści. Nie wiemy, czy utwór Ebersa przełożony był na polski język, znamy go tylko w przekładzie angielskim, znacznie skróconym i zubożonym, przez usunięcie archeologicznych notat; znamy też przekład francuzki, wykonany z sumienną dokładnością, przez p. d'Hermigny. Pragniemy szczerze widzieć to piękne dzieło i w tłumaczeniu polskim; chociażby nawet z dwóch tomów zredukowaném do jednego.

Co chwila uderzają tu najcudniejsze obrazy: jak pyszny ów obraz Teb, królewskiego grodu, rozsiadłego majestatycznie ponad Nilem, pełnego olbrzymich świątyń, różnobarwnych pałaców i kwiecistych ogrodów! Ileż tu gwaru, ile ruchu i życia! A tam, za rzeką, jaka sprzeczność: milczenie i żałoba! Tam, olbrzymia metropolia, miasto umarłych, smutne, a przecie nie straszne, bo ożywione wiarą w nieśmiertelność!

Głęboko nas także poruszył inny obraz, skreślony po mistrzowsku: to pochód jeńców, pędzonych do kopalni; dajemy go na próbę:

„Wązką doliną Aat-Baba, ku zachodnim krańcom półwyspu Sinaï, ciągnęła wielka gromada ludzi i objuczonych bydła. Było to zimą, przecież słońce paliło ziemię, a promienie jego jaskrawo odbijały o złoty nagich skał. Oddział żołnierzy libijskich otwierał pochód, inny oddział tworzył straż ostatnią. Żołnierze, zbrojni w sztylety, piki, topory i tarcze, pędzili więźniów do kopalni.

Więźnie szli bez tchu, obciążeni ciężarem, napół zgięci ku ziemi. Łańcuch miedziany, przytwierdzony do nogi, opasywał im biodra; wzrok osłupiały wlepił w ziemię. Jeśli który z nich zwolnił cokolwiek kroku, konne straże, cwałując wciąż po bokach, pędziły go naprzód batogiem. Ciężki wybór między umęczeniem nad siły, lub też bolesną chłostą. Nikt nie przemówił słowa, ani więźnie, ani strażnicy. Bici, nie wydawali krzyku: głos zamarł w ich piersi, jak zamarła litość w sercu dozorców, jak wyschła trawa na spalonej opoce. Smutny pochód ciągnął ponury, milczący, istny orszak grobowych wdziadek; zaledwie od czasu do czasu łoskot potraconego stopą kamienia, lub głuchy jęk ofiary, przerwał tę straszną ciszę. Bose nogi nieszczęśliwych, nie wydawały dźwięku. Rzekłby kto, że wierzchołki gór uchylają się przed słońcem, aby odmówić cieniu tym uznojonym głowom: blask dzienny powiększał męczarnie. Nic tam nie pociągało

oka, nie rozrywało myśli: nigdzie listka zielonej trawki, ani robaczka, ani muszki, ani brzęku skrzydełek... wkoło głucho i pusto... nic i nie!“

Z niesłychaną znów potęgą Ebers odmalował zapasy Ramzesa, przeciw zastępom Greków: obraz to godny Iliady. Król na złocistym wozie, uprzężonym w wiatronogie bieguny, w koronie i purpurze, z mieczem i tarczą w rękę, uderza piorunem w szeregi nieprzyjaciół. Przed wozem królewskim suną w poskokach lwy z rozwartą paszczą, z przeraźliwym porykiem. Ale głośniej nad poryk lwów, grzmi głos królewski, wzywający opieki Amona!

Po mistrzowsku Ebers odmalował tę scenę, lecz pierwotnym twórcą obrazu był niegdyś Pentaour: Ebers rozwinął tylko tekst, spisany na papyrusie, w którym Homer egipski opiewał tryumf wielkiego Faraona. Oto ów ustęp z odwiecznej epopei:

„Pełen radości i zapału, strojny do walki, błyszczący pod pancerzem stalowym i łańcuchy złotemi, poważny jak Baal, straszliwy jak Menth, król królów, Ramzes przysposabia się do zapasu.

„Jego pyszne klacze płasają, uprzężone w złociste rzędy. To chwiała Teb, nieujarzmiona i dzika, to Noura, niemniej piękna: obie godne unosić ulubieńca bogów, lecą jak orły przed piorunem!

„Wóz Ramzesowy toczy się na zastępy Ketesa: uderza w szeregi ściśnięte, niezliczone. O nieba! wojska jego pierzchają! Dwa tysiące pięćset wozów porywa go w odmet; wśród lasu szablic i chmary strzał, furkoczących w powietrzu, Ramzes błyszczy jak słońce.

„Uderza na wodzów: zmiata w pień Aradusa, Pataza, Gajonatana a w miarę jak wali straszliwie, wzywa na głos Amona, boskiego ojca swego. Modli się, uderza, znów modli. Hełmy ich kute ze stali, a serca ich ze spizu.

„Wodzowie moi, łucznicy, wszystko pierzchło!—woła król,—jakiż los padnie synowi Twemu? Ja sam jestem przed Tobą! z głębokości nędzy mojej, o wszechpotężny Amonie, błagam Cię i stoję nieugięty!

„To ja, Faraon, którego ręka Twoja obsypała zwycięstwem, ja, którym wszędzie i zawsze uposażał kapłanów, wzbogacał starożytne świątynie, gromadził tysiącami ofiary u stóp pomników świętych!

„Kadzidła ofiarne palą się na wszystkich ołtarzach; każdy okręt przynosi Tobie dary moje. A oto syn Twój opuszczony! zgubiony ulubieniec, o wszechpotężny Boże! wzywa Cię ku pomocy!

„Usuwasz-że przed nim ramię Twoje? Zaprzeczasz-że sam siebie? odwracasz-li wzrok od wielkiego niebezpieczeństwa mego?“

„Potężny głos Ramzesa panował nad wrzawą bojową: echo jego odbzmiewało w Hermontei. Phra gotów spieszyć ku temu kto go błaga, i oto głos odpowiedział z przestrzeni:

* * *

„Ramzesiel przybywam na wezwaniu! Wysłuchane twe modły..! Ręka moja prowadzi wóz twój, odrzucą śmierć! Bóg słoneczny twój ojciec, osłepi wroga twego. Gniewny Baal przesyje go tysiącem gro-tów.

* * *

„I król, jednym zamachem, rozprasza w proch khetasy, wozy druzgocą się z łoskotem; z porąbanych ciał, dusze wybiegają w głąb czarnych, bezdennych otchłani. Łucznicy i konni męże padają przesyżeni żelazem. Nędzne khetasy..! porażka zupełna! Śmierć krąży wam nad głową!”

Tak to trzy tysiące lat temu, śpiewał wieszcz nieśmiertelny, w kraju co wydał Hermesa Trizmigista, najwyższy ideał mądrości ludzkiej, i Ramzesa najwyższy ideał królewskości, w kraju znanym przez wieki z martwych tylko mumii, z olbrzymich sfinksów i pyramid, zanim geniusz Napoleona, odczuł iskrę tlejącą pod popiołem, nim sławnym okrzykiem: „Czterdzieści wieków patrzy na was!” zwrócił uwagę świata ku odwiecznej kolebce cywilizacji!

„Wielkość geniuszu Napoleona objawia się w różnostronnym i głębokim poglądzie na rzeczy. Ci nawet którzy potępiają działania jego, jako polityka, jako wojownika, administratora i przewodawcy, nie mogą przecież ukryć podziwu, patrząc na sądy jego w wydziale krytyki literackiej. W tych czasach dopiero, Napoleon stał się z téj strony przedmiotem szczegółowych badań. Wymowny akademik Legouvé dał w tym względzie inicjatywę, przypominając rozmowy cesarza z Lemercierem o literaturze i literatach współczesnych. Głos Legouvego nie przeszedł bez oddźwięku. Przegląd naukowy wydrukował świeżo rozprawę o działalności Napoleona w wydziale nauk ścisłych. Inni wzięli sobie za cel, zbierać to z pamiętników, to z ustnej tradycji, sądy literackie wielkiego człowieka, który na wszystkiém czego dotknął, musiał wycisnąć piętno geniuszu swego. Przytaczamy kilka tych aforystycznych rysów, zadziwiających poglądem, równie trafnym jak samodzielny.

Ż żywém upodobaniem odczytywał Napoleon wielokrotnie Pawła i Wirginią: w młodości zachwycał się tém dziełem, cenił w niem szczególniej ustępy nacechowane rzewną prostotą; przeciwnie zaś, razity go rozbiory idei abstrakcyjnych: radby je był całkiem usunąć.

W czasach najwyższej potęgi swojej, spotyka razu jednego autora:

— „Panie Bernardzie de St. Pierre, rzecze, kiedyż nam zechcesz dać nowych Pawłów i Wirginie, lub téż Nowe chaty Indyjskie? Powinienbyś obdarzać nas w ten sposób, przynajmniej co pół roku!”

„O Rasyne, wyrażał się, że tworzył arcydzieła, ale że obok najszczytniejszych ustępów, są inne ckiwe i napuszyste. „Wina w tém obyczajów ówczesnych, mówił cesarz, miłość wtedy i długo jeszcze potém, była najgłówniejszą sprawą w życiu każdego: to cecha rozpróznowanych społeczeństw.

Fedre i Athalią, cenił bardzo wysoko, Brytanikus pyszny był, jego zdaniem: uderzył go szczególniej prawy charakter Narcyssa. „Kto chce skłonić monarchów do stanowczego kroku, mawiał, niech ubodzie ich miłość własną.”

W Mitrydacie potępiał zupełnie plan kampanii: „Piękne rymy, powtarzał, ale rymy tylko; co do treści nie ma tam sensu!”

„Wyżej nad Rasyne, cenił cesarz Kornela. Raz wieczorem w St. Cloud rozbiérał obszernie znaczenie tragedyi, nazwał ją szkołą wielkich mężów. „Tragedya, dodał z uniesieniem, zapala duszę, podnosi serce, może i powinna tworzyć bohaterów. Pod tym względem Francya zawdzięcza Kornelowi, pochop do wielkich czynów. To też, panowie, gdyby Kornel żył, mianowałbym go księciem.”

Raziła go napuszystość i przesada w deklamacyi, której tak w owych czasach nadużyto. Razu jednego rozmawiając z Talmą, pokazał mu, że w jego pałacu Tuilleryjskim drgają wszystkie namiętności, jakie artyści wprowadzają w grę na deskach teatralnych! „Ja sam, dodał, jestem niewątpliwie najtragiczniejszą z osobistości tegoczesnych! A czy widzisz nas, dodał, abyśmy podnosili ręce do góry, przybierali pozy, obmyślali gestykulacje? Czy słyszysz nasze wykrzyki? Bynajmniej.. wyrażamy się naturalnie, każdy mówi pod wpływem chwilowego natchnienia, gdy interes lub namiętność dobywa mu z ust słowo. Tak czynili przed nami ci, którzy grali rolę na scenie świata. Oto masz żywe wzory, warto pomyśleć o tém!”

Pogląd to prawdziwie genialny: Napoleon o lat dwadzieścia wyprzedził pierwszych koryfeuszów romantyzmu.

Jakkolwiek nie lubił konwencyonalizmu na scenie, raził go niemniej komizm pomieszany z tragiczną powagą. Goete na wzór Szekspira ułożył tragi-komiczny dramat, w którym groźne sytuacje zaprawne były humorem, poważne słowa przeplatane żartami. „Tak w sztuce, jak w polityce i strategii, rzekł cesarz do Goetego, jestem stronnikiem reguły i porządku, dziwię się że tak potężny umysł jak wasz, nie lubi rodzaju ściśle określonego.”

Szekspir nie znalazł też wielbiciela w cesarzu. Zdaje nam się, że na tę niechęć wpłynęła wiele nienawiść do Anglii, trudno bowiem przypuścić, aby genialny krytyk nie odczuł geniuszu Szekspira, gdyby chciał patrzeć nań okiem nieuprzedzonym. „Pisarz ten, mówi Napoleon, zapomniany był od dwustu lat nawet w Anglii, podobają się Wolterowi, który przebywał w Genewie i widywał wielu anglików, podnosić Szekspira przez pochlebstwo. Inni pochycili to i dalej-że powtarzać, że Szekspir najpierwszym jest pisarzem w świecie. Znam go, nie zbliża się nawet do Kornela ani Rasyne. Niepodobna doczytać do końca

jego sztuki! Co zaś do Miltona, wezwanie tylko słońca i dwa czy trzy inne ustępy godne uwagi, reszta prosta rapsodya! Słowem, Francya nie ma czego pozazdrościć Anglii!"

Dzieła Woltera rozbiierał Napoleon z drobiazgową ścisłością. Badał szczególniej tragedye i doszedł do wniosku, że Wolter nie znał ludzi ani spraw świata, ani wielkich namiętności. W Brutusie odmówił autorowi wszelkiego poczucia prawdy. „Miłość ojczyzny, mówił, pchała do czynu Rzymian, jak nas popycha naprzód pojęcie honoru. Otóż Wolter nie maluje smętnych uczuć Brutusa; gdy ten z sercem rozdartém boleścią poświęca własne dzieci dla zbawienia ojczyzny! czyni go raczej potworem pychy, co depcząc po trupach własnych synów, szuka tylko sławy i wyniesienia!"

Równie ostry sąd wydał na Mahometa: przytaczamy go dosłownie: „Wolter w téj sztuce, mówi cesarz, ubliżył zarówno historii, jak i ludzkiemu sercu; splamił charakter Mahometa niskimi intrygami, przedstawił człowieka, który wstrząsnął światem, i zmienił jego oblicze, jako nędznego zbrodniarza godnego szubienicy. Zmienił również charakter Omara, pokazując w nim prostego bandytę.”

„Błędnie Wolter pojął rzecz, przypisując intrydze, to co było dziełem opinii powszechnéj. Ludzie którzy rządili światem, nie przyszli do tego jednając sobie zwierzchników, ale raczej poruszając massy. Intryga drobne tylko przynosi korzyści; geniusz tymczasem idzie naprzód i zmienia świat do gruntu. Rzecz dziwna jak Wolter traci na czytaniu, kiedy pompatyczna dykcya i urok sceny przestają nas olśniewać, wtedy razi smak i nie zdoła wytrzymać krytyki. Zrozumieć nie mogę, jakim sposobem Wolter, w czasach rewolucyjnych, zdetronizował Kornela i Rasyana!"

Na wyspie Świętej Heleny, Napoleon przerobił całkiem Mahometa, wyrzuciwszy z tragedyi całe sceny.

Niemniej ostro sądził Diderota, najsurowiej schłostał sztukę jego, pod tytułem „Ojciec Rodziny:” „Wszystko tu, rzekł cesarz, fałszywe, wszystko śmieszne. Po co przemawiać do szaleńca w napadzie maligny. Potrzeba mu energicznego lekarstwa, nie próżnych argumentów. Któż nie wie że miłość zwycięża się tylko ucieczką. Kiedy Mentor chce uleczyć Telemaka, rzuca go w morską głębię. Ulysses gdy chce zabezpieczyć się od Syren, zatyka woskiem uszy sobie i towarzyszom, a potem rozkazuje związać się twardą liną.“

Słodki Delille, nie znalazł łaski u cesarza: przeczytawszy poemat jego „Litość,“ rozśmiał się litościwie. „Wiersze gładko napisane, rzekł, język czysty, myśli przyjemnie wpadają w ucho, ale wszystko to bez twórczej iskry, bez zapału. Wersyfikacya lepsza nierównie niż u Woltera, ale jakże tu daleko do wielkich mistrzów naszych!"

Sąd o Chateaubriandzie zarówno bezstronny jak sprawiedliwy. „Chateaubriand, mówi Napoleon, otrzymał w udziale święty płomień. Dzieła świadczą wymownie o tém. Jego styl nie jest wcale stylem Rasyana, ale raczej proroka. Jeśli kiedy stanie u steru spraw rządo-

wych, może zbłąkać się łatwo; tylu innych utonęło przed nim! Ale co pewna, to że geniusz jego ogarnąć zdoła wszystko co wielkie i narodowe!”

W kilka lat potem, (r. 1811), Chateaubriand w mowie akademickiej, osmielił się potrącić o sprawy kraju: Napoleon zakłócił gniewem. „Odkądże-to, zawołał, instytut zmieniał się w zebranie polityczne? Niech poeta pilnuje wierszy, niech akademik cenzuruje błędy języka, ale niech nie wychodzi za progi świątyni Muz; inaczej, będę umiał postawić go na miejscu!”

Wiadoma powszechnie niechęć Napoleona do pani Stael; po odczytaniu jednak dzieł znakomitą autorki, oddał jej sprawiedliwość. „Bądź cobądź, rzekł, potrzeba wyznać, że to kobieta niepospolita, bystrogo umysłu i wielkiego talentu. Jej dzieła pozostaną.”

„Delfina“ jednak wcale go nie zajęła. Krytykował surowo bezład myśli i wyobrażeń panujący w romansie. „Widzę tu, mówię, też same wady, które mnie zawsze oddalały od autorki, pomimo jej pieszczotliwego przymilania.”

Gdy odczytał kilka rozdziałów z „Korynny“, zamknął książkę i nie chciał ciągnąć dalej. „Pani de Stael, rzekł, tak się doskonale odmalowała w swojej bohaterce, że mnie zniechęciła do niej. Widzę ją, słyszę, czuję, radbym uciec daleko, a więc porzucam książkę!”

Listy pani de Sévigné, liczone do klasycznych arcydzieł, nie zachwycały Napoleona: „Co do mnie, mówił, wolę listy pani de Maintenon, mniej w nich formy lecz zato więcej treści. Nie wątpię, że listy pani de Sévigné, pozostaną prawdziwym typem; tyle w nich wdzięku, tyle powabu; ale ta pianka ubita z białek, nie napełni żołądka!”

Bajki Lafontaine'a, podobały się cesarzowi, lecz nie radził, aby dawać je dzieciom, dla których ukryta w nich ironia, całkiem jest niedostępna. Rozbierając bajkę o „Wilku i Jagnięciu“, dodał: „tak wprawdzie czasami bywa, lecz nie należy powstawać na siłę; trzeba tylko gromić jej nadużycie!”

Z pomiędzy starożytnych pisarzy, wielbił przedewszystkiém Homera. Był to zarazem, mówił cesarz, wielki poeta, wielki orator, historyk, prawodawca, geograf i teolog: możnaby nazwać go encyklopedystą swój epoki. Uderza tu szczególniej sprzeczność między grubiaństwem obyczajów, a wytwornością idei. Widać tu, jak bohaterowie zabijają sami woły, przyrządzają ucztę własnymi rękoma, a obok tego przemawiają z niesłychaną sztuką, co świadczy o wysokiej cywilizacji.”

Odczytawszy w „Odyssei“, opis walki Ulyssesa z Irusem, Napoleon zganił ten ustęp, znajdował go nędznym, nieprzyzwoitym, niegodnym powagi królewskiej. „Zgaduję, dodał wreszcie, co mnie tak razi: stawiam się w miejscu Ulissesa, nie chciałbym jak on znosić chłosty z ręki tak nikczemnej. Nie każdemu z książąt ani wodzów przypadały w udziale ramiona, jakimi poszczycą się jego grenadyerowie. Nie każdemu dano dźwigać na plecach ciężary. Poczciwy Homer poradził

na to, czyniąc bohaterów swoich kolosami; ale u nas inaczej rzeczy stoją! Cywilizacja czyni wszystko dla duszy i przez duszę; obdarza ją chojnie kosztem ciała!“

Surowiej Napoleon sądził Wirgilego. „Druga księga Eneidy, mówił, uznana powszechnie za arcydzieło, zasługuje na to ze względu na styl, ale nie na treść rzeczy. Ów koń drewniany, mógł istnieć w tradycji ludowej, lecz ta tradycja przeniesiona do epopei, śmieszna jest i niedorzeczna. Nic podobnego nie spotykamy w Iliadzie; tu wszystko zgodne z prawdą i praktyką wojenną. Ustęp o Junonie prawdziwym jest absurdum. Cała sztuka poety, wymowa jaką kładzie w usta Junonie, nie zmniejsza w niczym niedorzeczności.

„Kiedy czytamy Iliadę, czuć na każdym kroku, że Homer walczył na wojnie, że nie przepędził życia za stołem, w szkołach Chio, jak utrzymują komentatorowie. Kiedy zaś czytamy Eneidę, czuć, że to dzieło napisane przez bakałarza, który nie sam przez się nie uczynił.“

Sam, jak wiadomo, ścisły i lakoniczny w wyrażeniach, Napoleon utyskiwał często na rozwlekłość książek, zwłaszcza historycznych. Cenił on dzieło Vertot'a o „Rewolucyi rzymskiej“, ale zarzucał autorowi zbytek frazesów. Nieraz otwierał tom, wykreślał ołówkiem zbyteczne wyrazy, które spotykał na każdej karcie; potem odczytywał na głos ustęp oczyszczony z tych pasożytów i pokazywał o ile dzieło zyskiwało pod względem ognia i energii. „Byłaby to, mawiał, bardzo pożyteczna praca, gdyby ktoś poświęcił się na podobne zredukowanie głównych dzieł w naszym języku. Z pomiędzy wszystkich, sam tylko Monteskiusz obejść się może bez takiej próby.“

I ten autor nie uszedł jednak surowej krytyki. „Monteskiusz, mówi cesarz, fałszywe dał określenie ducha praw; nie idzie zatem, aby ten słynny człowiek nie umiał go dobrze określić; ale dzieło jego, jak mówi sam, jest prostą analizą tego, co istniało lub istnieje. To zbiór notat kreślonych w podróży lub przy czytaniu książki. Zwracał on głównie oczy na rząd angielski, określił ogólnikowo władzę wykonawczą, władzę prawodawczą, sądową, nie wdając się w szczegółową krytykę.“

Cesarz przeglądał często historią Rollina; znajdował go zbyt rozprężonym i nadto łatwowiernym. Skarżył się nieraz na dzieła szkolne, żałował czasu jaki młodzież marnuje dla braku dobrych książek. „Przyczyna w tém, mawiał, że je piszą retorowie i pedanci. Przedmioty zaś żywotne, główna podstawa wiadomości zastosowanych do życia, powinny być pisane przez mężów stanu lub przez ludzi światowych.“

Historya Francyi, mniej jeszcze zadawała cesarza, nie mógł żadnej doczytać do kresu. „Nasza historia, mawiał, powinna mieścić się w czterech tomach, lub zapełnić sto książek.“

Przechadzając się raz po bibliotece w Saint-Cloud, rzucił okiem na książki, poglądał w nie długo: „Ludzie pióra, rzekł, to istne ko-

kietki w mniemaniu mojem: dobrze popatrzeć na jednych i na drugie, zabawić się, porozmawiać z nimi, ale nie godzi się brać tych za żony, a tamtych za ministrów!“

Ostro Napoleon sądził Tacytą: zarzucał mu stronnicy i zbyt pesymistyczny pogląd. W rozmowie z Goetem, gdy poeta wspomniał historyka rzymskiego, cesarz zawołał żywo: „Czyż sprawiedliwie, malować wszystko w czarnych barwach, jak to zwykł czynić Tacyt? Biegły to malarz bezwątpienia, światły i porywający kolorysta, ale przedewszystkiēm idzie mu o sprawienie efektu. Historia nie chce słuchoać, ona powinna oświecać i nauczać, a nie działać tylko na wyobraźnię opowieścią lub udatnym obrazem!“

„Tacyt, ciągnął dalej krytyk, nie rozwinął dostatecznie przyczyn i wewnętrznych pobudek, nie zbadał tajemnic myśli, z których powstawały fakta. Nie śledził dostatecznie ich związku, aby wydać w obec potomności sąd bezstronny i sprawiedliwy. Historia, jak ją rozumiem, powinna brać jednostki i ludy, w warunkach danēj epoki. Trzeba uwzględniać okoliczności zewnętrzne, które musiały koniecznie wywrzeć wielki wpływ na ludzkie czyny, i widzieć jasno w jakim obrębie ten wpływ oddziaływał. Cesarze rzymscy nie byli tak źli jak ich odmalował Tacyt. Przekładam tēż nad niego Monteskiusza: ten sprawiedliwiej ich sądzi, a krytyka jego zgadza się nierównie lepiej z prawdą.“

Na wyspie Świętēj Heleny, Napoleon czytywał raz po raz Biblię. „Lubiłem zawsze tę książkę, mówi w pamiętniku, to tēż 17 floreal roku VI (6 maja 1797) pisałem do biskupa Como: „Moralność ewangeliczna polega na równości, a ztąd jest najwłaściwsza rządowi republikańskiemu.“ W tymże roku, w liście do biskupa genueńskiego, wyraziłem się temi słowy: „wszechwładztwo ludu, wolność, równość, oto kodeks ewangelii!“

Razu jednego, odczytując na wyspie Świętēj Heleny olbrzymią korespondencją swoję, cesarz powtórzył na głos mowę, którą 5 marca 1800 r. wyrzekł do duchowieństwa w Medyolanie: „Filozofowie nowocześni usiłowali przekonać Francją, że religia katolicka nieprzebiegana jest nieprzyjaciółką wszelkiego systemu demokratycznego; ztąd poszło owo srogie prześladowanie, jakiego Rzeczpospolita dopuszczała się przeciw religii i jēj kapłanom; ztąd wszelkie okropności jakie spełniał lud nieszczęśliwy. Sprzeczność opinii, szarpiąca Francją w epoce rewolucyjnej, była głównym powodem tych bezrządów.“

„Doświadczenie przekonało Francuzów, ciągnął cesarz, że z pomiędzy wszystkich religii, sam tylko katolicyzm odpowiada wszelkim formom ich rządu, że on jeden podpira najdzielniej rząd demokratyczno-republikański, uzasadnia najlepiej jego prawa i rozświeca jego zasady. Ja także jestem filozofem i wiem, że w jakimkolwiek bądź społeczeństwie, człowiek nie może być prawdziwie cnotliwym i sprawiedliwym, jeśli nie wie żkąd idzie, gdzie dąży. Prosty rozum nie wskaże mu drogi stanowczēj; bez religii chodzimy po omacku wśród

ciemności; katolicyzm tylko rozjaśnia przed człowiekiem jego początek i cel życia.“

W innéj okoliczności, generał Bonaparte, podówczas pierwszy konsul, wyrzekł znaczące słowa: „Jestem dziś bardzo potężny, a jednak, gdybym chciał zmienić we Francji jéj odwieczną religią, ta powstałaby przeciw mnie i przygmiotła odrazu. Bądźcie przekonani, że gdybym się okazał wrogiem religii, cały kraj stanąłby po jéj stronie. Zmieniłbym obojętnych, w ludzi wiary, w gorących katolików. Niebezpieczna rzecz stawiać się w miejsce ludu, tworzyć mu nowe zwyczaje, nowe upodobania i pamiątki. Katolicyzm jest religią ojczyzny naszej, ma swój rząd głęboko zakorzeniony. Ten rząd istnieje za obrebem Paryża, bądźmy więc z tego radzi.“

Napoleon, jakkolwiek biegły matematyk, więcej napozór zajmował się literaturą niż naukami ścisłemi. Wysoko przecież oceniał swój tytuł członka Instytutu.

„Kiedy powracałem do armii włoskiej, powiada, i ukazałem się w sekcji Instytutu, złożonej z pięćdziesięciu członków, mogłem się tam uważać za dziesiątego z rzędu: Lagrange, Laplace, Monge, zajmowali pierwsze miejsca. Ciekawy to był widok, młodego generała armii włoskiej, rozprawiającego publicznie z kolegami o przedmiotach bardzo głębokich. Nazwano go wtedy geometrą batalii mechanikiem na polu z wycięztwa!“

W dniu 11 pluviöse r. VI (30 stycznia 1798) pierwsza klasa Instytutu otrzymała memoriał do rozpatrzenia: zapisano to w następujących słowach:

„Sekretarz odczytał notę, złożoną przez obywatela Bonaparte, który otrzymał ją od obywatela Rolanda, dotyczącą wozu poruszanego parą. Obywatele Coulomb, Perrier, Bonaparte i Prony, mają zdać sprawę z téj machiny i zobowiązać wynalazcę jéj obywatela Cugnot, aby był obecny doświadczeniom, i przedstawił zarazem wnioski swoje, o zastosowaniu pary, do przewożenia ciężarów.“

Ów raport nie przyszedł do skutku. Wypadki pchnęły Bonapartego daleko za morza do Egiptu. Model parowozu Cugnota, zachowany po dziś dzień w Muzeum sztuk i rzemiosł, stał się prostym przedmiotem ciekawości.

Jeśli nie daném było Napoleonowi pojąć znaczenia pary i siłą jéj poprzec olbrzymie swe działania, przeczuł zato wielką przyszłość elektryczności. Pod datą 26 prairial, r. V (15 stycznia 1802) pisał do ministra Champagny:

„Mam zamiar, obywatelu ministrze, ustanowić nagrodę (medal wartości 3,000 fr.), za najważniejsze doświadczenia, dokonane w ciągu każdego roku z płynem galwanicznym. W tym celu, sprawozdania z tychże doświadczeń, nadsyłane być mają przed 1 fructidora, do pierwszej klasy Instytutu narodowego. Przeznaczam niemniej sumę 60,000 franków dla uczonego specjalisty, który doświadczeniami i wynalazkami swemi, posunie naukę o galwanizmie i elektryczności o tyle, o ile

posunęli ją Franklin i Wolta. Mam głównie na celu, zwrócić uwagę specjalistów na ten dział nauk fizycznych, który zdaniem mojem, jest drogą do wielkich wynalazków.“

Instytut przysądził nagrodę poddanemu pruskiemu Ermanowi; o nim Champagny tak się wyraża w swym raporcie:

„A zatem Prusacy, podlegli prawom WCMości, traktowani są na równi z Jego poddanymi; a Prusy pokonane orężem, niemniej podbite zostały siłą dobrodziejstw, sypanych im w imieniu Waszém Najjaśniejszy Panie!“

Siedmdziesiąt lat ubiegło od téj doby. Niesłychany rozwój w zastosowaniu elektryczności, świadczy wymownie o przenikliwości Napoleona! Czyliż geniusz jego przeczuł zarówno olbrzymi rozwój potęgi Prus, tak wówczas, upokorzonych pod Jeną i Friedlandem?

(Dokończenie nastąpi).

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Niedrukowane poezye Gawińskiego.“ Wydał dr. Wł. Sere-
dyński.

W II-gim tomie „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce,“ wydanego przez Akademię Umiejętności w Krakowie (Kraków, 1882 r.), znajdujemy cenną pracę p. Wł. Sereudyńskiego o tym sielankopisarzu XVII wieku, wraz z wydaniem pozostałych pism jego.

O Gawińskim mamy bardzo szczupłe wiadomości, które zebrał Żegota Pauli w wydaniu „Poezyi Gawińskiego“ z r. 1843. Pisma, ogłoszone przez Sereudyńskiego, nie dorzucają więcej szczegółów do życia tego wierszopisa, bo „autor nigdzie nie mówi o swojej osobie, nie wplata wypadku swojego żywota w swoje utwory, ani nie zajmuje nas losu swojego kolejną. Do tego samego wniosku doszedł był już dawniej Ossoliński, który, przeglądając niedrukowane poezye Gawińskiego, zostawił następującą notatkę w rękopisie Zakładu Ossolińskich (pod nr. 280, str. 542). „Nie masz wierszopisa, któryby mniej o sobie samym śpiewał, jak Gawiński; dla czego z licznych jego wierszów, ledwo jedna okoliczność (znana już z przedmowy Paulego), do życia i osoby jego ściągająca, wybrać się dała.“ Jeżeli dodamy do tego, że cały „Helikon“ Gawińskiego obejmuje przeważnie wiersze liryczne i okolicznościowe, w których prawdziwy poeta składa „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty,“ będziemy mieli wyobrażenie o wartości poetycznej liryki Gawińskiego.

Wydanie tej puścizny nie przysłużyło się też wcale Gawińskiemu. Jestto, jak się okazuje i z tych niedrukowanych poezyi, mierny wierszopis, obracający się jak w zaczarowanym kole, w wyobrażeniach świata klasycznego, w jego zewnętrznych objawach i formach. Nieustanne nawoływanie przez poetę bożków i półbożków, najdziwniejsze formy wiersza, dowodzącego braku poczucia formy i t. p. Wiersz jego jest ciężki, szorstki, stąpa jak po grudzie. Szyk zdania

i składnia, dodają jeszcze więcej ociężałości tym wierszom, którym zresztą brak rytmiczności, a nieraz i rymu. Cóż bowiem mówić o takim wcale nierzadkiem rymowaniu:

O szczęśliwi i ci,
Których okiem ona swym głodny wzrok nasyci.

albo:

Tuż echo, co z miłością k'tobie je poniesie,
Aż o twe serce z słowy takimi oprze się.

Zresztą używa Gawiński, jak inni klasycy nasi, licznych epitetów, np. zaraz w drugiej pieśni wyd. Sereżyńskiego:

O! co z ło-to-tka-ną jasne bawełnicą
Czoło zawięzujesz z aranna zrzenico
I w dworze gęstookim
Rej wodzisz i t. d.

I to ma wyobrażać jutrzeńkę! W ogóle czuł może Gawiński „wdzięk przyrodzenia,“ ale go nie umiał oddać w poezji. Oto jak np. opisuje poranek (pieśń XXIV, wyd. Sereżyńskiego str. 26):

„Już, już (iam, iam Horacego) z perłowej powstaje łożnice
Wzbudzony Phoebus,
Już, już niebieskie w zarannym powiecoie
Złocieją krańce, już drobniucey kmiecie
Przed świetnym panem chyłkiem umykają
I do świecących chyżo się szpar mają;
A że już potrzeba,
Chyżo mkną do nieba“ i t. d.

Nie można tu, i w poezjach Gawińskiego w ogóle, mówić o ogólnym nastroju poetyckim opisów przyrody, bo ten się objawia w literaturze powszechniej dopiero z pojawieniem się Heloizy Rousseau'a, ale nawet w oddaniu poszczególnych objawów i zjawisk przyrody G. taki jest suchy, taki sztuczny, że dziwi się, jak można o nim powiedzieć, choćby tylko że był „wrażliwy na wpływy spokojnych obrazów życia natury, które „dość wiernie malować umiał.“

Co w jego wierszach najlepszego, to te łagodne, lube obrazki, które czasem umiemy rzeczywiście pięknie malować, jak np. w tym wierszu:

Jeszcze u matki niewiniątkiem była,
Jeszcze cię białą pierś rosą poiła,
A już wdzięczności tchnęła z twego ciała
Iskierka mała i t. p.

Wprawdzie i tutaj wiele jeszcze cnoty i morałów, więcej niż plastycznych obrazów, ale przecież ta dziedzina jest mu, zdaje się, najodpowiedniejszą. Gawiński jest sielanko-pisarzem w całym złém i dobrem znaczeniu tego słowa; wiersze jego, powiada słusznie Sereżyński, „tchną nastrojem sielskiej swobody, zamiłowaniem ciszy życia, na ło-

nie przyrody zadowoleniem, przestawania na małym i praktyczną mądrością korzystania z niewinnych rozkoszy, jakie nastroją spokojne na wsi zajęcie i życie od trosk wolne.“ Tylko że w tej złotej mierności i w tym spokoju i zadowoleniu (wyrażonem najlepiej w XVIII pieśni nowowydanych liryków), jest wiele manieri klasycznej, niecznośnej, jak letnia woda do picia.

Nie zbywa też Gawińskiemu czasem na śmiałości i bujnej twórczości, chociaż jest przeważnie ślepym naśladowcą, nie tylko starożytnych pisarzy, ale nawet Kochanowskiego i Sarbiewskiego, a chociaż pisał w czasach psującego się smaku estetycznego i skażenia języka, odznacza się nadzwyczajną czystością języka, zupełnie wolnego od makaronizmów, co nie wyklucza wcale jego niedbałości wierszowania.

Gawiński jest głęboko religijnym, czasem nawet zabobonnym poetą (dowodem np. *Clipaeus Christianitatis*), ale tego niedość do odтворzenia niezrównanych Psalmów Dawida, w czym, jak widzimy z świeżo wydanych pism, próbował i Gawiński swoich sił niefortunnie.

W ogóle uprawiał on prawie wszystkie rodzaje poezji, wówczas naśladowane w naszej literaturze: sielanki, niegdyś bardzo czytane, jak świadczą liczne wydania; epigramata, które nazywa zwykle dworzankami albo nagrobkami, liryki, anakreontyki, panegiryki i t. p., ale we wszystkich rodzajach był więcej rzemieślnikiem, niż poetą. Świadczy o tym dobitnie jego „fortuna z dawnego wierszem polerowniejszym udarowana,“ wierszowana kabała, używana, zdaje się, w celach praktycznych, albo np. ta okoliczność, że w wierszu p. t.: „Hymn Bachowi w dni i święta jego poświęcony“ (Seredyński, str. 99) rym... „anie“ powtarza się 236 razy!!!

Jestem przekonany, że nie potrafi nikt z uwagą przeczytać tego „Hymnu,“ Wydanie „Tarczy“ (Seredyński, str. 46 ff.), pozwała nam zajrzeć do warsztatu naszego rymopisa. Gawiński bierze wiersz łaciński jakiegoś poety: tutaj „*Oraculum Clipaei*“, który naprzód wiernie tłómaczy na język polski (str. 47), a potem to rozwadnia „szerzej“ na swój sposób (str. 47 i 48) i na tej drodze powstaje oryginalny wiersz Gawińskiego. Takich różnorodnych wierszy na jeden temat, ale nie wariantów, spotykasz w zbiorze Seredyńskiego mnóstwo. Albo np. zamierza (może z polecenia Jana III, który często używał poetów i historyków do swoich celów), zachęcić szlachtę do wojny z Turkami. Robi sobie zatem naprzód excerpta z książek na podobny temat pisanych, a więc np. z Kr. Warszewickiego: *Turcica*; z Burbequina: *Consilium Turcicum*; z ksiąg Twardowskiego: *Legaciy do Turek*; z Kalimacha i t. d. wypisuje sobie frazesy z „*Tuby*“, z „*Apostrophae Wincklevi*“, z Cezara, Cycerona, Liwiusza i t. p. i po takim przygotowaniu pisze swój „*Excytarz albo Tararum na Turczyzna*“, zaczynając „*Trąbę Tararum*“ i t. d., nieznośny i długi wiersz, wymagający nadzwyczajnej cierpliwości, aby go jakotako strawić. Tak powstał drugi „*Hymn Bachowi, poświęcony z łacińskiego*“ (z Kochowskiego), odemnie przetłó-

maczony cum multiplici paraphrasi;“ ten dodatek jest charakterystyczny.

Zresztą nie różni się Gawiński od współczesnych pisarzy: moralizuje jak oni, na wzór starożytnych, ale jego sentencje są płytkie i czepiające się najdrobniejszych przedmiotów; nie nazywa też i on rzeczy po imieniu, Polak nazywa się tu zawsze Sarmatą, Polaninem, Lechem i t. p., tylko nie Polakiem; szlachta polska „rycerzami,“ Turcy „poganami,“ sąd lubelski „areopagiem“ i t. p.

Sielanki Gawińskiego, pisane na wzór Szymonowicza, nie dorównują im wcale, tém mniej ta jedyna pozostała jeszcze w tece autora (Seredyński, str. 73). Niéma tu téj prostoty i naiwności, chociaż słyszysz ciągle tę piosnkę o „przestawianiu na tém, co Bóg daje,“ niéma téj szczeréj „prostoty ducha“, którą się czasem odznacza Szymonowicz; dyalog téj sielanki Gawińskiego rozpada się na kawałki, w skutek przeskakiwania poety z jednego przedmiotu na drugi: w ogóle wszystko tu zewnętrznie, mechanicznie powiązane. Humorystyka „buffo“ na nos Thyrsa i głowę Damona, przeprowadzono tu w porównaniach aż do nudności. W ogóle całość ciężkoekliwa.

Poeta nasz ma upodobanie w krótkich epigramatycznych wierszykach (w zbiorze Seredyńskiego mamy ich do 300!). Wiele jest tłumaczeń z łacińskiego; Alciata Mureta, z greckiego; z Anakreonta Teokryta i t. d., wiele jest pisanych na wzór fraszek Kochanowskiego, ale przeważna ilość, zdaje mi się, jest własnych Gawińskiego, niektóre nawet trafne, czasem bardzo wolne, tak pod względem religijnym, jak i obyczajowym. Oto jak np. odpowiada na „Problema,“ czemu kurka na kościołach stawiają (Seredyński, 107):

Co był Piotr Święty zgrzeszył podczas złej szarwarki,
Męki Pańskiej po trzykroć z powodu kuch...
Kukuryk przez trzykrotne wspomniał mu zapianie
Grzech i wzbudził w nim pamięć i upamiętanie.

Albo ten wierszyk o exorcyzmowaniu koszuli prałata (Seredyński, 110), o „zgoleniu brody“ i „przejażdżce z cudzą żoną“ (Seredyński, 108.), te i tym podobnych, są bardzo lekkie, a nawet sprośne wierszyki, ale nie można, przynajmniej mojem zdaniem, z tego rodzaju żarcików wnioskować, że Gawiński nie był religijnym, albo może obyczajnym człowiekiem. On, psalmista, wierzący w cuda, pieczętujący nawet swoje miłosne pieśni sygnaturą początkowych liter „Ad maiorem Dei gloriam et beatae virginis Mariae,“ wzrosły w tak zabobonnej atmosferze, czy podobna, aby był wolnomyślnym w rzeczach wiary! W porównaniu do epigramatów W. Potockiego, przechodzących w cynizm i rozwiózłość (osobliwie w drugiejj części) wszelkie możliwe granice, w porównaniu do jałowych i niesmacznych żartów Bratkovskiego, Jagodyńskiego et consortes zyskują wiele te „Dworzanki,“ „Nagrobki“ i „Epigramata“ Gawińskiego, odnoszące się do najróżnorodniejszych przedmiotów, pisane w różnych chwilach życia, w to-

nie wesołym i żartobliwym, smutnym i satyrycznym, z rozmaitym skutkiem.

Poezyą jego w ogóle charakteryzuje trafnie Seredyński: „Jest on szczery i prosty—zdaje się, że żywsza namiętność była mu albo całkiem obcą, albo ustąpiła łagodnej wrażliwości; w wielu ustępach nie brak mu przecież podnioslejszego ciepła, zapał ten jednak, obudzony myślą i dumaniem abstrakcyjnej natury, a nie szczególnem jakimś wydarzeniem lub zestawieniem rzeczywistych wypadków, nierzadko ma pozór czegoś, co nie pochodzi wprost ze wzruszonego doświadczeniem lub obserwacją umysłu. Ztąd oderwaną jest jego poezya od ciepła życia, które przecież wrzało naokoło jego osoby najsprzeczniejsemi prądami, a natchnienie jego, nie czerpiąc z téj żywej krynicy właściwych motywów, błąka się tylko w mglistej sferze teoretycznej moralności, ogrzanéj ogólną miłością ojczyzny, prawdziwą i szczerą religijnością, a wreszcie średniowiecznym duchem rycerskości.“

Zanim przystąpię do oceny wydania tych poezyi, muszę tu zebrać i wyliczyć wszystkie wydania, porozrzucane po czasopismach, albo trudno dostępne, aby tym sposobem powiedzieć, ile nowego daje nam niniejszy, wcale okazały zbiór poezyi Gawińskiego.

Gawiński występuje na arenie literackiej w roku 1650, a schodzi z niej, pocichu, nierozgłośnie, przygotowując w latach 1682 i 1683 dla potomności zbiór swoich wierszy.

Do najwcześniejszych prac jego należą następujące:

1) „Threny żałobne na śmierć JMPana Stanisława z Wronowa Xięskiego, pisarza grodzkiego krakowskiego, przez Jana z Wielomowic Gawińskiego grodu tegoż krakowskiego alumna w Krakowie druk, L. Kupisza, 1650, in 4-to, kart nieliczb. 8.

2) „Sielanka (Mopsus) y Różne nagrobki z przydatkiem innych autorów,“ przez J. z Wielomowic Gawińskiego napisane, Kraków, druk Fr. Cezarego, 1650,“ kart 18 nieliczb., in 4-to.

„Genethlia Serenissimo Dei Gratia Poloniae et Sueciae Principi ac. Rev. D. D. Carolo Ferdinando“ i t. d. Domino suo clementissimo Joannes Gawiński, Varsaviae typis Elert 1650“ (diebus primis novembris, przy końcu: finitae, t. j. duae odae) 18 septembr., 1682. Widocznie były te wiersze przeznaczone do druku, ale nie zostały wykończone, albo cofnięte z druku, z nieznanych nam powodów. Są to tylko dwie ody, które poraz pierwszy (zdaje się) wydał Seredyński, bez najmniejszego w tym względzie wyjaśnienia, umieściwszy w takiem miejscu łaciński wstęp albo raczej dedykacją Gawińskiego ks. Karolowi Ferdynandowi, prozą, jakby ona nie należała do tych od.

3) „Dworzanki, t. j. epigramata rozmaitej treści,“ druk w Kazimierzu przy Krakowie u Balcera Smierzkowica, 1664, in 4-to, w III częściach, str. 120 prócz tytułu.

4) „Sielanki J. Gawińskiego nowo-napisane, z których pierwsza żywot wiejski ziemiański a dworski poniekąd reprezentuje r. p. 1668.“ Znajdujemy tu tylko cztery nowe sielanki, do pierwszój, wydanej w r. 1650

(Mopsus): *a*) Żywot ziemiański i dworski; *b*) Pasterze; *c*) Baby; *d*) Spółmikośnicy. Sielanka „do Korynny,” dołączona tu jako własność „bezimiennego autora,” jest przedrukiem z „Dworzanek“ Gawińskiego z r. 1664 (część III, str. 117 i 118). Zdaje się, że z omyłki drukarskiej opuszczono w tym przedruku jedną zwrotkę ze środka, dwie zwrotki bowiem zaczynały się od słów: „Milěj mi z tobą,” mógł więc drukarz łatwo jedną przeoczyć. A zatem wydanie sielanki „do Korynny” w Dworzankach, jest poprawniejsze, ale czy pióra Gawińskiego? to trudno rozstrzygnąć; przedewszystkiem, dlaczego wydał ten wiersz w „Dworzankach,” jako swoje własność, a dopiero w drugim wydaniu podał autorstwo jego w wątpliwość?

O těj wątpliwości, nie wspomina nawet Seredyński, a może dałaby się ta sprawa z autografu Gawińskiego, jeżeli nie rozstrzygnąć, to przynajmniej rozjaśnić.

Sielanki te, razem z Korynną, równie jak i poprzednia p. t.: „Sielanka“ (Mopsus), były po kilkakroć przedrukowane w Warszawie 1769 i 1770 roku, po raz trzeci p. t.: „Sielanki polskie z różnych autorów zebrane, a teraz świeżo dla pożytku i zabawy czytelników, po trzeci raz przedrukowane, kopersztychami ozdobione (sztychy Longucila, rysunek Ch. Eisena), w Warszawie, 1778 r. u Gröllla (gdzie się znajduje charakterystyczna rozprawa o Bukolikach). W tym zbiorze mamy sielanki Szymonowicza, Zimorowicza, Gawińskiego, Minasowicza i Naruszewicza, nadto przekład „Bukolik“ Wergilego, przez Nagurczewskiego; „Sielanki polskie z różnych pisarzy zebrane,” edycja T. Mostowskiego, w Warszawie, druk. p. Nr. 696 Nowolipie, 1805, zawierają również Sielanki Szymonowicza i Zimorowicza, przedrukowane ze zbioru Sielanek Gröllla, tylko w rozprawce o „Bukolikach“ dodano kilka uwag końcowych, w nocie o Gessnerze ¹⁾; ale Sielanki Gawińskiego nie są przedrukiem edycji Grölllowskiej. Dodano tu do Sielanki „Żywot wiejski, ziemiański a dworski,” dwa motto łacińskie i dedykacją wierszem, H. Biankiemu, których niema w wydaniu Grölllowskiem, zato opuszczono ztąd dedykacją sielanki: „Mopsus.“

Biblioteka kieszonkowa Bobrowicza, Lipsk, 1837, tom XXVIII, przedrukowała Poezye Szymonowicza, z biografią przez Odyńca napisaną i Poezye Gawińskiego (od str. 127—272), w ten sposób, że te cztery sielanki z Korynną przedrukowano z Mostowskiego edycji (bo umieszczono przedmowę Biankiemu), a sielankę „Mopsus“ z wydania Gröllla (jest tu więc dedykacja Skarszewskiemu). Oprócz Nagrobków, znajdujących się we wszystkich wymienionych zbiorach, w których później obszerniej przedrukowano tu i „Dworzanki“ część I—III, tak, że jestto najzupełniejszy zbiór główniejszych poezyi Gawińskich, ale cóż z tego, kiedy redakcyja była niedbała. I tak np. opuszczono tu mnóstwo

¹⁾ Przekład „Bukolik“ Wergilego, p. J. Lipińskiego, opatrzony jest również przedmową o sielance.

Dworzanek (Cf. ex. c. editio princeps Dworzaneek, p. 77 i Bobrowicz 246, editio I p. 117, Bobrowicz 268 i t. p.).

W r. 1843 wydał Ż. Pauli w swoim zbiorze p. t.: „Poezye Jana z Wielomowic Gawińskiego,“ jego następujące (dotąd niewydane), Sielanki z rękopisu.“ Naprzód dedykacją Sielanek St. Lubomirskiemu, potem Sielankę p. t.: Thyrsis, Alkon, Korydon; 2) Rocznicą: Liczda Tytyr; 3) Pasterz; 4) Odezwy (Na Simonidesowe Czary odpowiedź), Pani sługa Dirce; 5) Niesforne zaloty: Pasterz Testylis; 6) Silenus (ułamek).

Wskazane powyżej wiadomości bibliograficzne, były konieczne, dla przypomnienia nowemu wydawcy, że powoływanie się jego na wydanie warszawskie z 1778, niema najmniejszej racyi, gdyż jestto trzeci przedruk Sielanek z r. 1668 i Sielanki (Mopsus) z r. 1650, a tylko te pierwsze wydania mogą nas dziś obchodzić. Powtóre i co ważniejsza, tém wyliczeniem wydań Sielanek, doszedłem w porównaniu ze zupełnym zbiorem Sielanek samegoż autora (Seredyński, str. 71) „do rezultatu wprost przeciwnego, niż Ż. Pauli w przedmowie do Poezyi Gawińskiego, że Sielanka „do Korynny“ nie jest pióra Gawińskiego; w przeciwnym razie nie byłby jój w tym zupełnym zbiorze ominął.

Dla zoryentowania się, dodaję tu jeszcze, że Seredyńskiego Sielanka IX p. t.: „Aminta, Menaka“ (recte Menalka), była drukowaną w Sielankach Gawińskiego z r. 1668 p. t. „Spółmłośnicy.“

Wszystkie te sielanki, równie jak sielanka XI „Rozmowa żartoważna,“ poraz pierwszy drukowana przez Seredyńskiego i dedykacja Kochowskiemu (zamiast jak pierwój Biance), sielanki p. t.: „Żywot wiejski, ziemiański a dworski“ (a nie jak podaje mylnie Seredyński „Życia dworskiego, miejskiego a dworskiego paralella“), wszystko to zebrał był nasz, dbały o swoje płody rymopis, w jednę całość „die 23 Septembris anno 1681,“ opatrzywszy je charakterystycznym motto, w którym wyznaje swoją zależność i naśladownictwo od Szymonowicza: „Te sequimur Simonides“ i t. d.

O ile Gawiński zmienił te „Bukolika,“ dawno napisane, a teraz na świat wydane, nie porównał Seredyński. Z rękopiśmiennój notatki Ossolińskiego (Nr. 280), który ten sam rękopis przeglądał, dowiadujemy się o jednym tylko waryancie w pierwszym wierszu sielanki „Mopsus.“ Ossoliński kazał był przepisać niektóre niewydane wiersze Gawińskiego z tego autografu, z którego i Seredyński je wydał; między innemi, także wspomnianą dedykacją do Kochanowskiego. Otóż, porównując tę sumienną kopiją z wydaniem Seredyńskiego, znalazłem, że wydawca opuścił przez omyłkę dwa wiersze, po słowach:

„Wielki poeto, mój Wespasyanie.“

powinny więc nastąpić słowa:

„Nie żebym ci się popisował z cienia,
Cny Apollinów kapłanie fletenką.“

Dostrzegłem też jeden wariant, który mi się wydaje właściwszy nie jest u Seredyńskiego, zamiast:

„Pełni dóbr z ziemi i żyją przy Bogu“
ma być:

„Pełni dóbr z ziemi ufający w Boga.“

Ale to są drobnostki, a potem może ktoś zapytać, z kąd to zbytnie zaufanie do Ossolińskiego, wprowadzie wielkiego erudyty, ale miernego krytyka? czy nie zasługuje na wiarę Seredyński?

Przypatrzmy się zatem bliżej nowemu wydawcy poezji Gawińskiego.

Seredyński wydrukował kilkanaście nagrobków, które przydał był Fr. Cezary do wyd. Gawińskiego „Sielanki (Mopsus) z r. 1650. Z porównania obu tekstów, poznamy najlepiej metodę wydawcy.

w tekście wydania pierwszego „Sielanki i różnych nagrobków,“ Kraków, Fr. Cezary, 1650, str. 26 sq.

w wydaniu Seredyńskiego w „Archiwum,“ tom II, str. 92 sq.

starego szkapy	stare szkapy
z dworá	z dworu
dobra myśl	myśl dobra
od prace	od pracy
braciez	braci
u szyie	u szyi
podrószy	podrószy
zajadły	zjadły ¹⁾
łapką poźmała	swą łapką poźmała ²⁾
wszystkim	wszystkim
żem był <i>wszystkim</i> iadowity	żem był jadowity ³⁾
inszym	innym ⁴⁾
naywiętszy	najwiękwszy
nie chroni	nie uchroni ⁵⁾
udawiły	udławiły
w tajstrę	w tajstry

¹⁾ Ma być „zajadły,“ bo inaczej brak jednej zgłoski w 13 zgłoskowym wierszu.

²⁾ Zmodernizowano „poźmała, w skutek tego dla braku jednej zgłoski w 13 zgł. wierszu dodano „swą!“

³⁾ Żle u Seredyńskiego, bo bez słówka „wszystkim“ brak w wierszu dwóch zgłosek do 13 zgł. wierszu.

⁴⁾ Ale na innym miejscu (np. str. 95) ma „inszemu;“ taką niesystematyczność znajdujemy dosyć często np. u Seredyńskiego.

⁵⁾ Tekst Seredyńskiego jest mylny, bo w takim wypadku miałby wiersz 14 zgłosek, a powinien mieć 13 zgł.

wieczerzę	wieczerzę
zgadnąc	odgaadnąc ¹⁾
cudze <i>obwoływać</i> szkody	cudze <i>upatrywać</i> szkody ²⁾

Uważamy za błąd modernizowanie wszystkich właściwości i form gramatycznych poety XVII wieku, bo taki sposób wydania zaciera wszystkie cechy i znamiona rymopisa i niweczy wszystkie charakterystyczne momenta w rozwoju form gramatycznych naszego języka. A dla nas język Gawińskiego ma może więcej znaczenia i wartości, niż jego cała poezja.

Mając całą puściznę po Gawińskim, który ułożył jeszcze za życia 1682—1683 wydanie zbiorowe swoich pism, wszywając do swoich rękopiśmiennych prac także poezje już drukiem ogłoszone, trzyma się wydawca słusznie tój zasady, aby „drukować materyał w tym porządku, w jakim się w autografie znajduje, a opuszczając to, co znane.”

Szkoda tylko, że nie dotrzymuje słowa. Zapomocą dokładnego spisu tytułów pism Gawińskiego, dokonanego może przez skryptora bibl. hr. Ossolińskiego (znajdującego się w rękop. bibl. Ossolińskich pod nr. 280), z tego samego autografu ³⁾ przekonujemy się, że wydawca zmienił porządek w kilku miejscach. Przedewszystkiém należy początek tak przezwanych przez wydawcę „Dworzanek ks. IV,” t. j. sześć wierszyków (Archiwum, str. 105—107), umieszczonych w autografie na jednej kartce in folio, przy „Gaiku zielonym,” jak to zanotował własnoręcznie Ossoliński (rękopis nr. 280, pag. 526). Na str. 107 po niewłaściwém umieszczeniu tych sześciu wierszy dodaje wydawca: „Tu wtrącono łaćnińskie ody i listy, kart 10, które umieszcza się na końcu.” A zatém autor porządkując swoje własność, wtrąca, a Seredyński umieszcza, czy odwrotnie?! Dedykacya łaćnińska ód i ody następować powinna po tych sześciu wierszykach z „Gaiku zielonego,” albo raczej po „Hymnie Bacha.” Być może, że później (po Ossolińskim) źle zeszyto autograf Gawińskiego i ztąd ta odmiana. Ossoliński ma téż i „Bachica” (trzy ody), inaczéj umieszczone, t. j. przed Hymnem Bachowi, a po odach następują t. z.: „Dworzanek ks. IV.” Po „Wierszu winszującym” (Archiwum, II, 237) następuje 54 epigramatów, które wydawca umieścił razem z t. z. „Dworzankami ks. IV.”

Z porównania wydania p. Seredyńskiego z kopią rękopisu Ossolińskiego okazują się następujące niedostatki wydawnictwa. Na str. 33 Archiwum nie uwydatniono, że na końcu „Liryków” umieścił poeta

¹⁾ To samo co wyżej, wiersz ma o jedną sylabę zawiele.

²⁾ Przez pomyłkę wydrukował tu p. Seredyński: „Lepiej swe przygody *upatrywać*, niż cudze *upatrywać* szkody.”

³⁾ Można się przekonać o tém z opisu Ossolińskiego tych „dwu rękopismów, własności Adama Czapskiego w Krakowie, natenczas, 1810 r., urzędującego.” Zresztą tu i tam te same luki (rękopis, nr. 280, p. 519; Archiwum dla hist. lit., II, 161), białe karty i waryanty. Szkoda, że p. Seredyński nie kazał sobie tego rękopisu do Krakowa przysłać.

łacińską notatkę do nich należąca, zaczynającą się: „Annus 1683.” W notatce tej poprawić trzeba „otia” na „omnia,” po „coelicolarum” ma nastąpić „qui” i t. p. Na końcu pieśni VIII dodać należy po słowach: „die 20 februarii 1683” „compositum et descriptum.” W wierszu: „Droga cnoty” (Archiwum, str. 42) niepotrzebnie dodano jedną zgłoskę „to” w wierszu siedmio-zgłoskowym. W tytule „Tarczy” (str. 46) zamiast „murowanych” ma być: „murowych.” Nie uwydatniono też nagłówka na str. 52: „Ad bellum contra Turcas” i t. d., tak jak na str. 50 i 55. Do Herkulesa dodał Gawiński datę, opuszczoną przez wydawcę: „Describi coeptus diebus ultimis septembris anno 1682,” a taka data, tycząca się powstania poematu, jest nieraz bardzo ważną i nie godzi się jęj pomijać. Tytuł „Tarczy,” który Sereżyński podał tylko w polskim języku, brzmi po łacinie w autografie:

„Clipaeus Christianitatis Reges Princeps Christianos ad bellum contra hostes S. Crucis oraculo sibi inciso et divinitus commonefaciente provocans Cracoviae in antiquis murorum ruderibus capella S. Crucis in basilica cathedrali arcis Cracoviensis ecclesiae die 9 septembris anno 1679 ut infra fusius inventus.”

Wydawca musi nieraz bardzo długie tytuły łacińskie drukować. Cóż robić! Muszę tedy jeszcze przytoczyć opuszczony przez wydawcę ustęp łaciński, następujący w autografie po wierszach (na str. 47 Archiwum):

„Qui clypaeus modo praemisso inventus post tot hominum variae conditionis spiritualis et saecularis inspectionis iussu venerabilis Capituli et Reverendissimi Domini Nicolai Oborski, suffraganei Cracoviensis, episcopi Laodicensis ad Orarium ecclesiae cathedralis Cracoviensis est impositus visendusque eo in loco ad id tempus conservatur.”

Pieśń Gawińskiego p. t.: „Populari aerae non invitendum,” nosząca ogólną datę u Sereżyńskiego, jest „pisaną 18/19 stycznia 1681.” Najwięcej pomyłek spostrzegłem w łacińskim tekście. Str. 11, wiersz 7 od końca: ma być ociosa; tamże wiersz 5 od końca: ma być: T. O. M., a zamiast daty 31 octobr. jest w rękopisie Ossolińskich 3 octobr. Str. 33: zamiast haec otia ma być haec omnia. Str. 158, wiersz 2 z góry: ma być calamo duce... conscriptae. Ale mniejsza o te drukarskie pomyłki.

O „Herkulesie na dwoistój drodze” czytamy ciekawą notatkę Ossolińskiego: „Dzieło nie jest dokończone, po wielu miejscach autor ponotował tylko różnych filozofów zdania i to nawet własnymi ich słowy najczęściej w łacińskim, które dopióro miał kształcić i przerabiać w osnowę polskiego wiersza.” Jestto charakterystyczny szczegół, dający nam przypatrzeć się bliżej genezie twórczości Gawińskiego i jemu podobnych naśladowców świata klasycznego. Od Ossolińskiego dowiadujemy się także, że „nad tém dziełkiem (Herkules) pracował r. 1681 i 1682, ostatni rytm ma ten rok nawet i dzień: 25 października” (rękopis Ossol., nr. 280, p. 518). Skrzątny Ossoliński opisał z większą do-

kładnością cały rękopis w tych słowach: „Pierwszy rękopis in folio pod tyt.: „Helikon Jana Gawińskiego,” zamyka następujące wiersze: „Lyrica,” zawierające 42 pieśni (o śladach XXIII pieśni, o której wspomina Seredyński w Archiwum [str. 26], niema wzmianki w rękopisie Ossolińskiego), podzielone są na dwie księgi. A zatem mamy:

A. Pieśni I ks.: 34 pieśni (a zatem mylnie umieścił Seredyński po XXII pieśni: „finis libri primi lyricorum;” słowa te należy odnieść do str. 33 Archiwum), kart 22 arkuszowych; pieśni II ks.: 8 pieśni, kart 6 ark. Razem pieśni 14 arkuszy.

B. Herkules zawiera 26 ustępów na 25 kartach, czyli razem $12\frac{1}{2}$ ark.

C. Clipeus, Tarcz i t. d., 23 kart, t. j. $11\frac{1}{2}$ ark. Następują wypisy z dzieł i notatki Gawińskiego w następującym porządku: Circumstantiae etc., §§ 7, arkusz 1; An bellum contra Turcas, §§ 17, ark. $1\frac{1}{8}$; Apostrophe Winkleri, 16 wierszy, ark. $\frac{1}{8}$; Aksyomatów za wojną, 24 w., ark. 3; Ex scripto Tuba 1681, ark. 1; Additamenta, ark. $\frac{1}{8}$; Wypisy z poetów polskich, ark. $\frac{3}{4}$; Psalm XX, wierszy 32; Ekscytarz, wierszy 428; Pieśń XVI z Liryków Kochowskiego, wierszy 76. Razem: Clipeus $11\frac{1}{2}$ ark. in folio.

D. Dworzanki, druk. w Kazimierzu przy Krakowie ¹⁾ 1664, in 4-to, str. 120, zajmują tu 30 ark.

E. Sielanki, w liczbie 11, p. 67.

F. Epigramata, t. j. Gaik zielony (u Seredyńskiego Gaj zielony, składający się z a) Nagrobka rozmaitych autorów $5\frac{1}{4}$ ark. in folio; b) Nagrobki różnym, różnego gatunku żyjącym $1\frac{1}{4}$ ark.; c) Nagrobki in-nego autora zbieranej drużyny $2\frac{1}{2}$ ark.; d) Nagrobki rozmaitych autorów. Wszystkich nagrobków razem 84, nie licząc w to nagrobków pod e) (Seredyński pomylił się o jeden, podając 83 nagrobków). Nagrobków pod e), t. j. zbieranej drużyny, jest 28, a nie, jak naliczył Seredyński, 51.

Po Nagrobkach następuje owych sześć wierszy z Gaiku zielonego, o których wyżej; dalej: do M. Chomętowskiego. List Kochowskiego i Responsum Gawińskiego. Mowa ostatnia... Jadwigi z Kolbuszowa. Hymn Bachowi. Prosa Libero Patri Hilaritatis (wiersz Kochowskiego). Serenissimo Poloniae et Sueciae Principi etc. Variae odae i t. d. Odae funebris S. Vladislao IV (w Archiwum, II, 158, przez pomyłkę: „funeralis”). Ode II eidem. Dithyrambus in funus (znów przez pomył-

¹⁾ Do Dworzanek dodaje Ossoliński następującą charakterystyczną notatkę: „Półarkuszyki nadstawione są przyklejonym białym papierem do długości arkusza i to brzegi dopisane różnemi dodatkami, wcale różną ręką i ileby sądzić można, żakowską, która tu i owdzie na manuskrypcie wolne place zapisała oczywiście różnorodnemi wierszykami, nawet brzydkiemi i niedorzecznemi. Przypadek do Dworzanek lepiej przypadającami do materii“ (sic!). O tém ani wzmianki u Seredyńskiego, a to rzuca światło na powstanie tego rodzaju zbiorów, z każdym dniem rosnących.

kę druku: „in funer”) Vladisłai IV. Ode gratulatoria... Vitelio. Genethlia Carolo Ferdinando, Ode I. Genethlia Carolo Ferdinando, Ode II. W końcu epigramatów i wierszy różnych do 250. Rękopis zawiera od Sielanek aż do końca epigramatów arkuszy 24. A zatem razem liczy Helikon Gawińskiego 92 arkuszy.

O Fortunie, druk. 1690 r., której się domyśla Seredyński, a którą widział w tym manuskrypcie Juszyński (Dykcjonarz, I, 85), niema już wzmianki, ani też nie wspomniano, albo nie wciągnął autor do zbioru swego Epithalamium p. t.: Venus polska, druk. 1673 r.

Drugi rękopis, „tą samą ręką, co i pierwszy, pisany, równie z poprawami i przymazaniami,” o czym ani słówkiem nie wspomina wydawca, zawiera: 1) Psalterza Dawidowego cz. I, psalmy I—XXI, 16½ arkuszy in folio; 2) Opisanie miesiący dwunastu, 3 ark. in folio; 3) Wiersz wiuszujący do A. J. Żydowskiego (odtąd zmienia porządek autora wydawca); w autografie następuje: 4) Epigramatów różnych 54; dalej: Bachica, trzy ody wierszem polskim i Hymn Bachowi poświęcony, po łacinie przez Kochowskiego, a po polsku przez Gawińskiego przetłómaczony, w 3 ch częściach. Cały rękopis (drugi) składa się z 24 ark. in folio.

Jak widzimy, odstąpił nieraz wydawca od zasady „drukowania materiału w tym porządku, w jakim się w autografie znajduje,” tudzież drukowania rzeczy dotychczas jeszcze niewydanych, a opuszczania już drukowanych wierszy.

Rozpatrzmy w tym celu Lyrica Gawińskiego.

Seredyński nie znał wydań pieśni Gawińskiego, nie mógł zatem wiedzieć, co ma „opuścić.” Prawda, że te pieśni są porzrucane po czasopismach, ale wydawca mógł się o tém łatwo poinformować.

Z pieśni Gawińskiego umieszczono kilkanaście w czasopiśmie: „Pszczola polska,” pod redakcyą W. Chłędowskiego, we Lwowie (1820, tom I, str. 155, sq.; t. II, 232, sq.; t. III, 110, sq.), po kilka w „Pamiętniku Warszawskim” (1822, t. III, str. 3, sq.) i w „Czasopiśmie zakładu imienia Ossolińskich” (t. III, str. 97, sq.). Czasopisma: „Ziemomysł w Warszawie 1830”, któreby mogło zawierać (według Paulego, wyd. Gawińskiego, w przedmowie nieliczbowanej) pieśni Gawińskiego, nie mogłem we Lwowie znaleźć.

Otóż porównyując te w wymienionych czasopismach pieśni Gawińskiego z nowém wydaniem w Archiwum, znalazłem, że przedrukowano tu, jako „niewydana,” pieśń VIII p. t.: Vaticanium, drukowaną w „Pszczole” (jak wyżej, I, 157); dalej, pieśń XXXII (w Archiwum, str. 29), drukowaną tamże (III, 110, ff.) i poraz wtóry w Czasopiśmie Ossolińskich (III, 97, sq.), jako pieśń XXXI i t. p. Niepotrzebnie też wydrukowano 1, 16 i 41 psalm, wydane już przez Paulego w Poezyach Gawińskiego (p. 161, sq.), motto do Herkulesa tamże (p. 78) umieszczone i t. p. Czy pieśń „w szczęśliwe zawitanie ksiąg: Dziejów rocznych” W. Kochowskiego, drukowana w Czasopiśmie Ossolińskich (1832, t. III, str. 97, ff.), a potem u Paulego (156, ff.), jest pióra Gawińskiego, tru-

dno powiedzieć. Paulego i wydawcę Czasopisma Ossolińskich musimy tu odnieść do jednego źródła, do rękopisu Ossolińskich, którego nie miałem pod ręką; ale tyle mogę powiedzieć, że to z pewnością nie autograf, bo ten nie zawiera tego wiersza.

Zastanawia nas, że autor przygotowujący zbiorowe wydanie swoich pism, nie umieścił kilku swoich wierszy jak np. „Venus polską“ (przedrukowaną u Paulego), a przyłącza do swego zbioru obce wiersze ze świadomością i wyraźnym zanotowaniem, że one są innego autora.

Mam tu na myśli „Nagrobki innego autora zbieraną drużyną“, które umieścił Seredyński jako nieznanne wiersze Gawińskiego, chociaż były już pokilkakroć ¹⁾ drukowane. To samo tyczy się „Nagrobków rozmaitych autorów“ ²⁾, które prawie na pewno nie są własnością Gawińskiego. Pierwsze nagrobki, to jest „Nagrobki innego autora zbieraną drużyną“, nie mogą być jego własnością, gdyż był wówczas dzieckiem, a może go nawet na świecie nie było, kiedy one już krążyły w rękopisach. Marcin Lipski, który te nagrobki po raz pierwszy umieścił przy końcu „Sielanek“ Szymonowicza z r. 1614, przypisuje je Szymonowiczowi, który je pisał „jeszcze w młodości i podobno o nich nie pamięta“ i powiada o rękopisie, że jest u niego „od kilkunastu lat“ (co najmniej od r. 1614 licząc). Zresztą i styl tych krótkich ale treściwych i wcale udatnych epigramatów, chociaż mających przy końcu jak papkę podany morał, jest wcale odmienny od dykcji i traktowania tego przedmiotu przez Gawińskiego. „Nagrobki rozmaitych autorów“ drukowane poraz pierwszy w wydaniu „Sielanek“ Szymonowicza z r. 1629, (a nie jak podaje Seredyński w edycji warszawskiej Grölla, który tylko przedrukował „Nagrobki“ ze zbioru Gawińskiego, p. t.: „Sielanka (Mopsus) i różne nagrobki“), a zatem w owym czasie kiedy Gawiński był zamłody do pisania. (Gawiński zaczyna wydawać w r. 1650).

Te bałamuctwa i pomieszania co do autorstwa, zawdzięczamy głównie księgarzowi krakowskiemu Fr. Cezaremu, który poraz pierwszy w zbiorze p. t.: „Sielanka (Mopsus) i różne nagrobki z przydatkiem innych autorów“, Kraków, u Fr. Cezarego, 1650; zebrał wszystkie wymienione nagrobki w jedno i wydał je pod egidą (ale nie pod imieniem) Gawińskiego. Ale wydawca zaznaczył tu epigramata Gawińskiego jako „Nagrobki tegoż autora“ (to jest tego, który napisał i „Sielankę (Mopsus)“): obejmują one 99 nagrobków. Pierwszy

¹⁾ Naprzód przy końcu „Sielanek“ Szymonowicza z 1614 r., powtórnie 1626 r. przedrukowanych razem z nagrobkami, ale ze zmianami i dodatkiem czterech nowych nagrobków, wątpię, czy pióra Szymonowicza: a) Starego buhaja, b) Starego kiernoza, c) Starego dryganta i d) Wróbla — których nie ma i u Gawińskiego.

²⁾ Dodanych w trzecim wydaniu sielanek Szymonowicza z r. 1629, p. t.: „Nagrobki zielone inszego autora.“

p. t.: „Kościołom na pobojuwisku nie pochowanym,“ ostatni zatytułowany: „Maż żenic.“ Obok tego umieszczono tu: 1) „Nagrobki zbieranéj drużyny,“ obejmujące 28 nagrobków (pierwszy: „Starego Szkapę,“ ostatni „Kruka“), przedrukowanych niepotrzebnie w „Archiwum“ dla „Hist. lit.,“ II, od str. 92—96 i 2) „Nagrobki rozmaitych autorów,“ składające się z 33 epigramatów, (pierwszy p. t.: „Dziecięciu,“ ostatni „Sobkowi,“ a w niektórych wydaniach Szymonowicza p. t.: „Karłowi,“ tylko pierwszy tytuł jest właściwy). Oba te zbiory epigramatów nie są pióra Gawińskiego; pierwszy jest prawdopodobnie pióra Szymonowicza, o ile wnieść można z notatki Lipskiego w pierwszym wydaniu „Sielanek“ Szymonowicza, drugi zbiór który się okazał w trzecim wydaniu tychże „Sielanek“ jako „nagrobki zielone in sz ego autora,“ nie jest pióra Szymonowicza. Nazwa „zielonych nagrobków“ jako pokrewna z gaikiem zielonym,“ naprowadzała a może i przemawiała za autorstwem Gawińskiego, ale sprzeciwia się temu ta okoliczność, że Gawiński zatytułował je w swoim pierwszym wydaniu z 1650 i w tém zbiorowém z 1683, jako „Nagrobki rozmaitych autorów“ a przedewszystkiem ten ważny wzgląd, że epigramata te były już w r. 1629 drukowane.

Zdaje mi się, iż tém uszczupleniem muzy Gawińskiego, udało mi się jakiś porządek zaprowadzić między nagrobkami, przypisywanemi dotychczas jużto Gawińskiemu, już Szymonowiczowi i najrozmaiciéj przerzucanemi, osobliwie w późniejszych wydaniach. Gdyby był ostatni wydawca poezyi Gawińskiego, rozglądnał się w pierwszych jego wydaniach, byłby się ustrzegł kilku błędów w przypiskach do „Nagrobków“ (Archiwum, II, str. 81 i 92).

Aby zakończyć sprawę „Nagrobków,“ dodam jeszcze tylko: że z późniejszych przedruków tych nagrobków, w ogólnych zbiorach „Sielanek polskich,“ jest najracjonalniejsze w „Bibliotece kieszonkowej“ Bobrowicza, tom XXVIII, Lipsk, 1837. Tu umieszczono słusznie jedynie tylko „Nagrobki tegoż autora“ (Gawińskiego), w tym porządku i objętości, co i w pierwszym wydaniu Cezarego z r. 1650.

Mostowski w „Sielankach polskich“ opuścił zupełnie nagrobki, bo te przecież nie należą do rodzaju sielanek.

Gröll w wydaniu „Sielanek polskich po trzeci raz przedrukowanych“ w Warszawie, 1778 r.; słusznie przedrukował „Nagrobki tegoż autora“ z wydania Cezarego 1650 r., w zbiorze pism Gawińskiego, „Nagrobki zbieranéj drużyny“ zaś umieścił przy sielankach Szymonowicza (z wyjątkiem dwóch, to jest „Sroki“ i „Komórka co lwa kąsał,“ które tu niewiedziéć dla czego opuszczono), ale bez przyczyny policzono w poczet poezyi Gawińskiego i dodano do jego sielanek „Nagrobki rozmaitych autorów.“ Dodano téż niepotrzebnie na str. 411 i 412 ośm nagrobków (dwa z francuzkiego i z włoskiego), których nie ma w pierwszym wydaniu „Nagrobków“ Gawińskiego, (Cezarego, 1650), które nas jedynie obowiązują.

Załużemy, że p. Ser. pominął warianty, o których się z notatek

Ossolińskiego dowiadujemy. Np. wariantu dwóch wierszy początkowych epigramatu poświęconego Czarnieckiemu (cf. Archiwum, II, 82 i rękopis Ossolińskich nr. 280, p. 544), Płeszcze (cf. Archiwum, II, 91 i ręk. Ossol. nr. 280, p. 544), „Myszy“, „Szczerowi“ (cf. Archiwum, II, 92 i ręk. Ossolińsk. tamże).

Te drobne odmiany dają najlepsze wyobrażenie o rozwoju pisarza. Albo czy to są dodatki obcą ręką poczynione? Ossoliński opisując manuskrypt Gawińskiego, dodaje: „Pismo jest piękne, czytelne; wszakże przeszło przez jakiegoś żaka ręce, który tu i owdzie zabazgrał wolne palce (widocznie ulubiona forma Ossolińskiego), łatając wcale nieszykowne i nieforemne przydatki. Wszakże to wcale rękopismu nie kazi, ale że jak z rzeczy tak i ze kształtu snadno je rozeznaczyć.“

Oto przykład takiego postępowania.

W nagrobku „Myszy“ powiada mysz przy końcu:

„Kot mię pojął, jam się mu nadobnie prosiła,

On mną tylko trząsnąwszy rzekł: pódz w brzuch mój miła.“

(Seredyński zmienił na: „pójdź w gardło miła“), a jakiś niedyskretny literat poprawił na zwrot bardzo nieestetyczny, prawie wstrętny. (Ręk. Ossol. nr. 280, p. 544). Do wariantów „Miesiący dwunastu“ poraz pierwszy tu umieszczonych, należy dodać w trzeciej zwrotce na str. 227 Archiwum jeden opuszczony wariant:

„Ten wodosiedź z trząskiem lód wrzeszczy i dłużej rozwała.“

Żałujemy, że wydawca nie używał rękopisu biblioteki Ossolińskich nr. 280, według którego skontrolowałem go w niniejszej recenzji.

Drugi rękopis, albo raczej kopia z tego autografu (za taki bowiem uważa i Ossoliński rękopis biblioteki Towarzystwa przyj. nauk, znajdujący się obecnie w Bibliotece uniwersytetu warszawskiego), o której wspomina w przedmowie p. Seredyński, że mu jój udzielił Estreicher, jest ten sam rękopis, który opisał Wisłocki w „Katalogu rękopisów biblioteki Jagiellońskiej“ pod nr. 3,613. (Przy tej sposobności prostuję tu pomyłkę Wisłockiego czy kopisty: Wisłocki, „Katalog,” II, 774, zamiast „varys poematitys,” ma być: „varis poematibus;“ zamiast „quorum conaminibus,” ma być: „quorum iuvaminibus).

Pozostaje tylko odszukać jeszcze rękopis, którego używał Pauli do swego wydania Gawińskiego, (znajduje on się w bibliotece Ossolińskich), który będzie, zdaje się, kopią rękopisu Tow. przyj. nauk, a będziemy mieli wszystkie dotychczas znane rękopisy poezji Gawińskiego. Przyszły wydawca zbiorowego wydania poezji Gawińskiego nie będzie miał wiele pracy, mając i pierwsze częściowe druki (znajdujące się w bibliotece Ossolińskich) i autograf poety, i przedstawi nam historycznie, przez chronologiczne zestawienie jego poezji, cały rozwój i zasób myśli wierszopisa z drugiej połowy XVII wieku.

Dr. Henryk Biegeleisen.

„Dzieje literatury powszechnéj z ilustracyami,“ tom I Dzieje literatury starożytnéj, opracowane przez J. A. Święcickiego, T. Krasnosielskiego, J. Radlińskiego, K. Kaszewskiego i F. Łągowskiego. Warszawa, nakład i druk S. Lewentala *).

P. J. Radlińskiemu przypadło w udziale opracowanie literatury egipskiéj, babilońsko-assyryjskiéj, hebrajskiéj i staroperskiéj.

Literaturę egipską rozpoczyna autor wstępem stosunkowo za długim, o jeografii kraju, wylewach Nilu, wędrownościach Semitów i t. p. rzeczach, które albo są już dobrze znane z historii, albo, jak kwestya pochodzenia egipcyan, nie dadzą się w kilku wierszach apodyktycznie przedstawić i dlatego są w podręczniku do literatury nie na miejscu. Idąc np. za Maspero, na którego „Dziejach Starożytnych“ p. Radliński przeważnie oparł swoją pracę, autor odszukuje na dolinie Nilowej protosemitów z téj przyczyny, „że mowa egipska swym ustrojem gramatycznym zbliża się wielce do języków składających rodzinę semicką.“ A przecież mowa egipska zbliża się równie dobrze i do języków indogermanskich; fakt zaś ten dowodzi tylko, jak słusznie Brugsch utrzymuje, że Egipcyanie pozostawali w ścisłych stosunkach z ludami indogiermańskimi i semickimi ¹⁾. Wprawdzie lingwistyka porównawcza nie potwierdza jednoznacznego przekonania historyków starożytnych o pochodzeniu afrykańskiém Egipcyan, z drugiej strony wszakże nie daje bynajmniej dostatecznych dowodów semityzmu tego ludu. Toż i Maspero, utrzymując, że „wielka liczba (nie $\frac{3}{4}$) pierwiastków egipskich należy do typu hebrajsko-aramejskiego, budowa zaś gramatyczna skłania się do hebrajskiego i syryjskiego“ ²⁾ dodaje w końcu, że język egipski i języki semickie mogły pierwotnie należeć do jednej grupy a następnie rozdzielić się bardzo wczesnie, t. j.: jeszcze w epoce, kiedy system ich gramatyczny był dopiero na drodze kształcenia się ³⁾. Ze tego rodzaju wątpliwej hipotezy nie upoważniają p. Maspero do pozytywnych wniosków, dowodzi ogłędność jego wyrażenia „les egyptiens appartendraient donc aut races proto-semitiques,“ wyrażenia które p. R. za aksyomat przyjmuje. Wreszcie jeżeli semi-

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za Wrzesień r. b.

¹⁾ „Im Gegentheil weisen die Uhrwurzeln und die Bestandtheile des aegyptischen Sprachlehre auf einen so innigen Zusammenhang mit den indogermanischen und semitischen Sprachen hin, dass es beinahe eine Unmöglichkeit ist die engen Beziehungen zu verkennen, welche einst zwischen den Aegyptern und Sogennanten indogermanischen und semitischen Völkern abgewaltet haben, Dr. Heinrich Brugsch bey Geschichte Aegyptens unter den Pharaonen. Leipzig 1877 p.8.

²⁾ Maspero, *histoire ancienne des peuples de l'Orient*. Paris 1875 p. 16.

³⁾ Maspero, *loco cit* 17.

tyzm języka egipskiego ma swoich zwolenników w Lepsiuszu, Benfeyu, Bunsenie a nawet i w tak uczonym egiptologu jak Rougé ¹⁾ to z drugiej strony teoria ta spotkała poważny opór w pracach Potta, Ewalda, Wenrycha, a szczególnie też kategorię odprawę w „Historii języków semickich“ Renana. Oto co mówi ten uczony: „Podobieństwa jakie spotykamy w słownikach koptyjskim i semickim nie stanowią faktu naukowego „ce sont des rencontres plutôt que des analogies organiques: aucune loi déterminée n'y préside.” ²⁾ „Język egipski mówi dalej Renan, właściwie nie należy do fleksyjnych, im bardziej cofamy się do jego stanu pierwotnego, tym więcej spotykamy w nim podobieństwa do języka chińskiego, jednozgłoskowego.” ³⁾

Podawszy próbkę pisma hieroglificznego, zaczerpniętą z „Dziejów“ Maspera (str. 597), p. R. podaje treść tak zwanego napisu Ūny oraz przytacza Nauki Ptahhotepa w wyjątkach (też same i u Maspera) zbyt dowolnie streszczonych, jak to przekonać się można z porównania przekładów Maspera ⁴⁾ i Lautha ⁵⁾. W drugim rozdziale swjej pracy daje nam p. Radl. próbkę pisma hieroglificznego, wziętą równie z Maspera, a będącą wyjątkiem z nauk Ptahhotepa ⁶⁾. Sposobu odczytywania pisma „pospołu z czytelnikiem” nie uważamy za szczęśliwy, gdyż przedewszystkiem jest za rozwlekły, a następnie za chaotyczny i nie dający żadnego wyobrażenia o całokształcie organizmu języka. Czytelnik gubi się tylko w oderwanych zupełnie szczegółach, z których ogólnego pojęcia o budowie i prawach mowy egipskiej wyrobić sobie nie jest w stanie. Naszém zdaniem rezultat byłby lepszy, gdyby autor podał treściwie zasady języka, ujęte w systemat i poparte przykładami. Gramatyk egipskich nie brakuje, są nawet gruntowne monografie w tym przedmiocie, jak np. rozprawa Maspera o „konjugacji egipskiej“ ⁷⁾.

W dalszym ciągu p. Radliński daje w dokładném tłómaczeniu wyjątki z papyrusu berlińskiego przytoczone u Maspero (str. 104, 105) ustępy z „Hymnu do Nilu“, z „Rad króla Amenemhata I“ (u Maspero str. 103) a wreszcie z „zachęty do nauk“ (u Masp. 125). W rozdziale trzecim spotykamy próbki pisma hieratycznego i demotycznego wzięte z Maspera, wyjątki z kroniki Tutmesa III (z tegoż źródła), z listów,

¹⁾ Em. de Rougé Recherche sur les monuments, qu'on peut attribuer aut six premieres dynastie de Manethon. Paris 1866 str. 3.

²⁾ Renan. Histoire générale et système comparé des langues sémitiques Paris 1878 p. 83.

³⁾ loc. cit 87.

⁴⁾ loc. cit p. 86.

⁵⁾ Sitzungsberichte der K. bayr. Akademie der Wissenschaften zu München r. 1870 str. 56 i nast.

⁶⁾ Zdanie przetłómaczone przez Lautha (loc. cit. 7) „bona fiunt mala.“

⁷⁾ Des formes de la conjugaison en égyptien antique en demotique et en copte Paris 1871.

hymnów religijnych, utworów powieściowych i księgi zmarłych. Tu także zaznaczył autor istotę formy poetycznej u Egipcyan, zasadzając się podobnie jak i u Hebreów na paralelizmie zdań, co między innymi wykazał w swój gramatyce Brugsch ¹⁾. W epilogu wreszcie zrobił p. Radliński rzut oka na ostatnią dobę politycznego istnienia Egiptu, na dobę jego upadku, któremu „towarzyszy ciągle jakieś odrętwienie moralne.” Przy rozsnuwaniu kanwy dziejowej autor trzyma się chronologii Brugscha, nie motywując dla czego, co jednak przydałoby się z uwagi na olbrzymie różnice w cyfrach egiptologów. Tak np. wstąpienie na tron Meny, pierwszego faraona egipskiego, odnoszą uczeni Boeckh do r. 5702 przed naszą erą, Unger 5613, Brugsch 4455, Lauth 4157, Lepsius 3892 a Bunsen 3623. Pomiedzy chronologią Boeckha a Bunsena tylko 20 wieków różnicy!...

Że autor w ogólnym układzie swój pracy szedł za Maspero, to dobrze, gdyż do tła dziejowego jest to przewodnik doświadczony; ale dla czegoż p. R. ograniczył się przeważnie i na tych samych przykładach. Wszak Maspero pisząc o historii Egiptu a nie o jego literaturze, miał przed sobą zadanie całkiem inne. Trudno wymagać, żeby w krótkim szkicu autor mógł objąć wszystkie zabytki piśmiennictwa egipskiego przetłómaczone na języki europejskie, w każdym jednak razie wiele utworów zasługiwało chociaż na wzmiankę, że wspomnę tu tylko taki „papyrus de comptabilité“ wydany przez Liebleina w tłómaczeniu Chabasa ²⁾ albo „skargę przeciwko zbrodniarzowi“ ³⁾ „modlitwę o bezstronność sędziów“ ⁴⁾ albo powiastkę o wzięciu miasta Joppe z papirusu Harris Nr. 500 ⁵⁾ lub „du prince predestiné“ ⁶⁾ lub nakoniec ważniejsze zabytki pomieszczone w „Bibliothèque Orientale“ ⁷⁾.

Literaturą assyryjską p. Radliński zajmuje się *con amore*, to też dział ten jego pracy wyszedł najlepiej.

Zaznaczywszy koleje assyriologii i zasługi na jój polu takich uczonych jak de Saulcy, Oppert, Menant, Rawlinson, Sayce, Schrader i inni, autor podał ustęp w piśmie klinowém (ten sam w „Historii Maspera), podług wzmiankowanej przed chwilą metody odcyfrował go „pospołu z czytelnikiem“ a wreszcie rozebrał kwestyą języka akkadzkiego w duchu Akkadystów, nie robiąc żadnej wzmianki o wątpliwościach téj teoryi, mającej wielu przeciwników. Sam twórca akkadyzmu i najżarliwszy jego obrońca Lenormant mówi przecież, że kwestya turańszczyzny języka nieassyryjskiego w zabytkach dwujęzycznych „s'attendait a voir encore discutée et sur laquelle un debat a fond sera tres utile

1) Hierogli. Gramatik. Leipzig 1872 p. 97.

2) Deux papyrus hieratiques du musée de Turin. Christiania 1868.

3) Chabas Melanges egyptol. Paris 1873 t. I. p. 173.

4) loc. cit. II, 59.

5) Maspero, Jour. Asiat Aout—Septembre 1878.

6) Maspero, Jour. Asiat Avril, Mai 1878.

7) Paris 1872 p. 153-197.

a la science“¹⁾). Przeciwnik zaś akkadyzmu uczony filolog Halevy wykazał krytycznie, że „tak pod względem leksykograficznym jak i grammatycznym hipoteza turanizmu języka akkadyjskiego jest błędna w zasadzie i uważać ją trzeba jako fantazją, pozbawioną wszelkiej rzeczywistości“²⁾). Ta dogmatyczność z jaką p. Radliński traktuje bardzo wątpliwą hipotezę naukową nie powinna mieć miejsca w książce poważnej, mającej za zadanie zapoznać czytelników z rzeczywistym obrazem przedmiotu. Co tu mówić o istnieniu języka akkadzkiego i jego mniemanéj turańszczyźnie, kiedy tacy zapaśnicy assyriologii jak Oppert, przed paru jeszcze laty tłómacząc teksty języka assyryjskiego, nie mającego już niby żadnych tajemnic, dopuszczali się herezyj arcyzabawnych: oto próbka. Oppert tłómaczy: „Kiedy księżyc w Tebecie (nazwa miesiąca) widzialny jest jeszcze dnia trzeciego, będzie w Kuburze głód i zimno a język Fenicyi będzie niemym“. Znaczenie zaś ustępu jest takie: „Gdy księżyc jest widzialny trzeciego dnia Tebetu, bytło w Suzyjanie nie będzie miało ani wody ani pokarmu a język ognisty (t. j. ogień) pochłonie Fenicyją“. Takich dziwolągów przytacza sporo Halevy³⁾).

Powiedziawszy o zbiorach zaklęć i hymnów, stanowiących spuściźnię literacką po Akkadach, autor poznał nas z zabytkami epigraficznymi z czasów Sarkina, pierwszego założyciela biblioteki oraz Tuklatpallasara i jego następców a szczególnie Assurbanipala, fundatora biblioteki w Niniwie, o którym przed paru laty p. Radliński drukował w „Bibliotece“ bardzo ciekawą rozprawkę. Rozdział ten wreszcie kończy autor wzmianką o napisach z czasów królów babilońskich i o świeżo odkrytym przez Rassama cylindrze z ziemi palonéj, na którym zawiera się opowiadanie o wzięciu Babilonu przez Cyrusa. W rozdziale ostatnim zajmuje się autor mitologią assyryjską, a w szczególności przytacza wyjątki z arcyciekawych mytów o Izdubarze i Istarze. Wielka szkoda że p. R., kępując się zapewne rozmiarami swéj pracy, nie zebrał mitów i o innych bohaterach jak Xisuthrus, Etanna, Tammuz, dających niezmiernie nauczającą analogię z mytami greckimi⁴⁾ i z Księgą Genesis⁵⁾). Właśnie na to znaczenie assyriologii w porównawczej historii religii położył także szczególny nacisk profesor Tiele⁶⁾). Szkoda również, że autor nie wspomniał wcale o literaturze naukowej Babilończyków, świadczącej o stanie cywilizacji tego ludu. Wiele ciekawych szczegółów w tym względzie spotykamy u Sayce'a w jego odczytach.

1) La langue primitive de la Chaldée. Paris 1875 p. 5.

2) La pretendue langue d'accad. est elle touranienne. Paris 1875 p. 31.

3) La nouvelle evolution de l'accadisme. Paris 1878, 23.

4) Sayce Babylonische Literatur Leipzig 1878 str. 20 i nast.

5) Dr. Scholz. Die Keilschrift-Urkunden und die Genesis. Würzburg 1877 p. 40 i nast.

6) Die Assyriologie und ihre Ergebnisse für die vergleichende Religionsgeschichte. Leipzig.

Przeszedłszy do epigrafiki kananejskiej, p. Radliński zastanawia się bliżej nad najstarszym pomnikiem piśmiennym z Kanaanu, to jest tak zwanym napisem pamiątkowym Meszy, króla moabickiego z IX wieku przed Chr. Dla wzoru przytoczył autor w podobiznie początek tego zabytku, zamieszczony również w „Dziejach“ Maspero i jego transkrypcją, a wreszcie dał charakterystykę tak zwanych napisów sydońskich.

Literaturę hebrajską przedstawia p. Radliński w trzech okresach, odpowiadających „trzem stopniom rozwoju samowiedzy narodowej.“ W okresie pierwszym, rozpoczynającym się wraz z dobą dziejową w Kanaanie, rozbiiera autor podania historyczne przechowane ostatecznie w księgach: Sędziów (Szoftim), Samuela i Królewskich (Melachim). Z księgi Sędziów, zawierającej czasy pierwotne Hebreów, przytacza autor w wyjątkach podania o Jefte i księgę Ruty; z księgi Samuela opowiadania o obiorze Saula na króla, w części zaś trzeciej działu pierwszego, poświęca p. Radliński wiele miejsca przysłowiom Salomona (Miszle), dając wyjątki w tłumaczeniu J. Kramsztyka, zbywa pobieżnie psalmy Dawida (Tehillim) i kończy podaniem treści opowiadań Jehowitty i Elohisty, zamykających „rozwoj myśli narodowej w okresie pierwszym piśmiennictwa.“ W okresie drugim, odzwierciedlającym różnostronną działalność takich proroków, autor zajmuje się przemówieniami Amosa, Hozeasza, Izajasza, Micheasza, poświęca kilka zaledwie wierszy „Pieśni nad pieśniami“ i nie wiele więcej „księdze Joba,“ przytacza wyjątki z Nahuma, Sofonijasza i Habakuka i kończy charakterystyką Jeremiasza i Ezechiela. W okresie trzecim i ostatnim piśmiennictwa hebrajskiego, rozpoczynającym się w drugiej połowie VI stulecia, autor zaznacza działalność Aggeusza i Zacharyasza, Malachiasza i Joela, charakteryzuje księgi Jonasza, Estery i Kohelet i kończy wtajemniczeniem czytelników w księgi Daniela. Taki jest szkielec tój pracy.

Że literatura, będąca odzwierciedleniem duchowego życia narodu, skarbnicą ideałów jego w danój epoce, tylko na tle dziejowém dokładnie przedstawioną być może, to nie ulega wątpliwości; ale że w obrze literatury danego ludu, dzieje polityczne stanowiąc kanwę tylko, powinny zostać na drugim planie, temu także chyba nikt nie zaprzeczy. Otóż mojem zdaniem, p. Radliński, w poważnej zresztą pracy, zapomniawszy o stanowisku swojem historyka literatury, jest wyłącznie opowiadaczem dziejów politycznych, uwzględniającym o tyle pomniki literackie, o ile one mogą mu posłużyć do rozświetlenia tój lub innój doby dziejowój. Autor zapomniał widocznie, że poza tą, że tak powiemy, utylitarną stroną zabytków piśmiennych przeszłości, istnieje także strona ich filozoficzno-estetyczna, która w dziejach literatury musi mieć znaczenie pierwszorzędne. Jak dalece p. Radliński zapomniał o celu swój pracy, dowodzą fakty, że autor nie poświęcił, choćby kilku wierszy charakterystyce poezyi biblijnej, odrębnym, indywidualnym jój cechom, a przytacza w obszer-

nych wyjątkach trojaki opowiadanie o obiorze Saula na króla (!) dlatego tylko, żeby nas zapoznać ze sprzecznościami, dotyczącymi długości jego życia!... Opowiadaniom Elohisty i Jechowisty o stworzeniu świata, poświęca autor kilka stronnic, a „Pieśń nad pieśniami“ zbywa takim frazesem: „tendencya ukryta w tym utworze i satyra na dwór i obyczaje Salomona, niektóre szczegóły językowe, nakoniec nazwa miejscowości, zmuszają szukać autora wśród pokoleń północnych (str. 322). Skrupulatnie opowiada pan Radliński zatargi, wojny, obłączenia i wszelakie stosunki z sąsiadami, ale o Jeremiaszu uczy nas tyle, że był „poetą wielkim, któremu boleść nie pozwoliła wyśpiewać harmonijnie (?) swych pieśni, że był patryotą i że „bieg wypadków za dni jego, przewroty dokonane po śmierci, usprawiedliwiły poglądy jego na rzeczy bieżące, nadzieje na przyszłość“ (str. 329). O psalmach Dawida, które przecież tylu w świecie miały tłumaczy, autor ledwie wspomniał, a prześliczną księgę Hioba zbył nader pobieżnie. A jednak warto było zaznaczyć, o ile poezya hebrajska, wyrosła na gruncie wschodnim, nosi na sobie piętno ogólne poezyi orientalnej, a o ile od tego typu odskakuje; czy się np. kocha w nieskończonościach i nieokreślonościach, w hyperbolizmie i bezmiarach jak indyjska, czy też postacie swoje i obrazy przedstawia w kształtach bardziej określonych i plastycznych. Do charakterystyki tego rodzaju, pomógłby autorowi każdy ze wspomnianych przez niego autorów, a przydałoby się bardzo i tacy pisarze jak Werfer, który poezyi biblijnej obszerne poświęca studyum ¹⁾, lub dr. Kasel, traktujący także dość szeroko poetyczną Hebreów literaturę ²⁾. O formie poezyi hebrajskiej autor prawie nic nie powiedział, a jednak było do powiedzenia bardzo wiele, jak o tém p. Radliński przekonać się może, choćby z rozprawy Meiera, traktującej gruntownie ten przedmiot ³⁾.

W swoim żywiole jest zato p. Radliński, gdy przechodzi do kreślenia obrazu literatury staro-perskiej, zawierającej się w kronikach i księgach religijnych. Podawszy próbkę pisma klinowego perskiego, w którego tajniki pierwszy Grotefend wedrzeć się zdołał, autor przytacza w tłumaczeniu napis Dariusza ze skały bagistańskiej, poczem przechodzi do rozbioru Zenda-Awesty i Korda-Awesty, podając każdej z nich dość obszerne wyjątki. Szkoda jednak, że nam autor nie przedstawił syntezy nauk Zoroastra, chociażby tylko w takich rozmiarach jak to spotykamy u Menante'a ⁴⁾.

¹⁾ Poesie der Bibel. Tübingen, 1875, p. 28—326.

²⁾ Geschichte der jüdischen Literatur. Berlin, 1872, erste Abtheilung, p. 57—322.

³⁾ Ernest Meier, Die Form der hebräischen Poesie, Tübingen, 1853, p. 10—119.

⁴⁾ Zoroaster, essai sur la philosophie religieuse de la perse. Paris, 1857, p. 191—192.

Zresztą tak w tej pracy jak i w poprzednich, złożył p. R. dowody znajomości przedmiotu. Nawet forma, zwykle u p. Radlińskiego bardzo ciężka, w tych pracach przedstawia się daleko lepiej, choć jeszcze nie jest wolna od usterek. Oto próbki: „stać się musiała sfinksem nieodgadnionym, przeto tajemniczym“ (str. 148). Te dwa ostatnie wyrazy są pleonazmem, bo juści, co nieodgadnione, musi być tajemnicze. Albo w inném miejscu: „a że ta epoka być musiała, na to liczne dowody dostarcza pismo samo“ (str. 155); albo: „i my prototypu we wskazanych głóskach znaleźć możemy“ (str. 155), albo tém pożądanszą dla siebie (?) staje się umiejętność sama (str. 173),“ albo: „pokolenia zostali zdumieni“ (str. 147); albo: „cenny témbardziej zapewne w oczach mieszczących go ku ozdobie, niż ku nauce służący napis“ (str. 184); co to znaczy? albo: grupę tą (str. 163) i t. p.

Wyczerpnąwszy tedy Wschód starożytny, zapoznamy się w następnym zeszycie z drugą połową dzieła, to jest z literaturą Greków i Rzymian.

(*Dok. nast.*.)

Jana Łaskiego „Liber beneficiorum.“ Przez Stanisława Marońskiego *).

Rękopism przechowywał się stale w archiwum kapituły gnieźnieńskiej. Składał się zaś z 2-ch tomów i jednego fascykułu. Tom I mieści w sobie opis archidyakonatów: gnieźnieńskiego, uniejowskiego i kurzelowskiego; w tomie II znajduje się opis archidyakonatów: wieluńskiego, łęczyckiego i łowickiego; fascykuł zaś mieści w sobie archidyakoniat kaliski. Gdy rozbiór Polski nowe rozgraniczenie diecezyi polskich spowodował, a gnieźnieńska archidiecezya weszła w granice dwóch państw ościennych, wydany został r. 1822, na żądanie rządu Królestwa Polskiego, tom II do Kalisza, gdzie się w archiwum konsystorskiem dotąd przechowuje. Fascykuł zaś i tom I pozostały przy dawniejszej swej metropolii.

Opisy uposażeń pojedynczych kościołów cechuje jednostajność, monotoność, jak też inaczej być nie może, gdyż zredagowane zostały wedle instrukcyi i szematu pytań, w kancelaryi arcybiskupięj sporządzonych. Szereg pytań tych, na które prymas Łaski żądał odpowiedzi, obejmuje znaczną część tych punktów, których wyświetleniem i opisaniem wizytacye się zajmują. Ks. Łukowski odtworzył szereg ów drogą analizy, jak następuje ¹⁾:

*) Dokończenie— patrz zeszyt za październik r. b.

¹⁾) Liber Beneficiorum Łaskiego, t. II, pag. XXXV.

1. Miejscowość, miasto, czy wieś? kościół murowany, czy drewniany, tytuł kościoła, prawo patronatu; czy podzielne, czy całe, czy alternata; nazwisko patrona lub patronów, nazwisko proboszcza?

2. Wsie do parafii należące, wikaryusz, kościelny, nauczyciel, kto ich opłaca, w jaki sposób?

3. Uposażenie probostwa (dos), role mniejsze (wikarych, szkoły, kościelnego), większa ilość łanów i położenie geograficzne, łąki, jeziora, lasy?

4. Dochody z innych źródeł: czynsz, cła i t. d.?

5. Dziesięcina wytyczna, meszne, kolenda, z jakich wsi, najprzód parafialnych, potem poza-parafialnych?

6. Inne kościoły filialne, kaplice, ołtarze wraz z uposażeniem?

7. Szpitale, uposażenie, zarząd?

8. Ogólna taksacya i kontrybucya?

Mimo niewątpliwie jednej i téj samej informacji, jednych i tych samych w ogóle pytań, komisarzom arcybiskupim przedłożonych, redakcyja opisów w wielu punktach dość znaczne wykazuje różnice, które bądź-to na karb indywidualności odnośnego autora, bądź téż na inne okoliczności zaliczyć trzeba. Opisom brakuje ścisłości, konsekwencyi i dokładności co do wykazu dochodów beneficjalnych. Obszary gruntów, rozmaitych łanów, niw i rozmaitych kawałków roli, po największej części tylko ogólnikowo opisane, wedle położenia granic naturalnych, jak: lasów, błot, jezior, rzek i strug, wedle sąsiedztwa innych gruntów i budynków. Gdzie zaś cyfry podane, to znów po największej części niekompletność ich, (gdyż albo samą tylko długość, albo samą szerokość zaznaczają), stawa w poprzek, by móżdż wyrozumić wielkość odnośnego obszaru. Tak samo czynsze, daniny w pieniądzach i w naturze, dziesięciny, meszne, kolenda przeważnie tylko w ogólnikach, sumarycznie są zapisane. Zwykle powiedziano tylko, że kmieć, zagrodnik, młynarz, karczmarz i t. d., płacą z włości, półwłóczka, domu, tyle a tyle; że z takią i takią wsi przypada kościołowi z ról dworskich, kmiecych, taka a taka dziesięcina; ale nigdy nie jest podana liczba dymów, a tylko bardzo rzadko wyszczególnioną jest liczba kmieci we włości osiadłych, ilość łanów uprawnych. To téż z tego wynika, iż gdzie się nie zna pomiaru gruntów dworskich i kmiecych, gdzie się nie wie, ilu kmieci, zagrodników, chałupników i t. d., wieś zamieszkuje, daremną jest rzeczą o to się kusić, by na podstawie tak niedokładnych danych wytworzyć sobie teraz pewny sąd o dochodach beneficjalnych.

Na dowód tego podajemy objaśniające przykłady, wyjmując z każdego archidyaconatu po jednym streszczonym opisie.

W Sławnie ¹⁾, w archidyaconacie gnieźnieńskim, ma pleban ogród obok kościoła, drugi ogród pod górą, wzdłuż i wszerz dość obszerny. Ma prócz tego trzy inne grunta: jeden z ogrodem dla karczmarza, drugi dla wikarego, trzeci dla kościelnego. Także ma rolę wy-

¹⁾ Liber Beneficiorum Łaskiego, t. I, p. 53—55.

starzającą (sufficientem) w polach, leżącą między jeziorem arcybiskupa i rolami kmieciami przy drodze. Kmiecie płacą z każdej włóki po jednej mierze żyta i jednej owsa; zagrodnicy i karczmarze po jednym wiertelu owsa. We wsi Myszki idzie z ról dworskich dziesięcina snopowa, z kmiecych składają kmiecie meszne, po dwa wiertele owsa i żyta; zagrodnicy i karczmarze po jednym wiertelu owsa. W takich ogólnikach zapisana jest dziesięcina, idąca z reszty wsi parafialnych.

Do uposażenia plebana w Dworszewicach ¹⁾, w archidyakonacie uniejowskim, należą ogrody i role w trzech polach, tak wielkie, jak role kmieci, wzdłuż i wszerz się rozciągając, poza którymi są dwie łąki, a trzecia łąka nad Wartą, między łąkami Witana i Kuczka Jakóba leżąca. Także należy się plebanowi dziesięcina snopowa z gruntów sołtysich, a sołtysi nic więcej nie płacą; kmiecie zaś dają plebanowi meszne, z każdej włóki po dwa wiertele żyta i trzy wiertele owsa miary brzeznickiej. W Gajęcicach z ról folwarcznych królewskich i z ról karczmarzkich dziesięcina się daje snopowa.

W Bukownie ²⁾, w archidyakonacie kurzelowskim, ma pleban grunt z plebania, budynkami gospodarskimi, z sadem i ogrodem; na końcu wsi ma łąkę ogrodzoną, zagrodnika i chałupę zagrodnika, który z łąki ma sobie wydzielony kawał pewien, i który w tygodniu dzień jeden roboczną pieśzo odprawuje, a z kawału owego nic nie płaci. Z reszty łąki ma pleban siana 3 wozy; ma także trzy obszary roli i to po jednym w każdym polu pod wsią Chłodyniami, drugi pod Czarnocinem, trzeci ku Ratoszynowi przy roli kmiecia Prandoty. Z Bukowna i innych wsi dziesięcina snopowa, którą szacują na dwie grzywny i t. d. Kmiecie z tych wsi nic więcej nie płacą, prócz za kolendę z domu każdego po groszu.

Uposażenie kościoła Grodzieskiego ³⁾, w archidyakonacie kaliskim następujące: jedna włóka, położona między rolami kmieciami, na podobę włók kmiecych; ogród obszerny, w którym łąka, sadzawka i stodoła; siedm wsi parafialnych, w których z włóki różnie płacą: to po 1, 2, 14 groszy, to po 1 ćwiertni żyta i po 1 ćwiertni owsa. Kawała zaś oddaje plebanowi dziesięcinę snopową z ról dworskich i kmiecych.

W Łagiewnikach ⁴⁾, w archidyakonacie wieluńskim, ma pleban dom i inne budynki z ogrodami; dwa łany roli z łąkami, dziesięcinę snopową z ról dworskich i od kmieci wolnych pobiera; z ról zaś kmieci osiadłych meszne, po ćwiertni żyta i tyleż owsa; komornicy zaś i zagrodnicy płacą meszne po groszu.

W archidyakonacie łęczyckim, należą się plebanowi w Szczawi-

¹⁾ Lib. beuef., I, 529—530.

²⁾ Tamże, I, 662.

³⁾ Tamże, II, 54.

⁴⁾ Tamże, II, 150.

nie ¹⁾): plebania z ogrodem i sadzawką, dwa place z wikaryjką i szkołą; ma także wystarczające role, w dwóch ma się rozumić polach, z dość wielką łąką; pobiera także dziesięcinę z ról dworskich, wójta i sołtysa. Z wsi Szeligi i t. d., pobiera dziesięcinę snopową.

W Łegonicach ²⁾, w archidyakonacie łowickim, ma pleban plebania z ogrodem i sadem, pomiędzy gruntami kmieciami ma obszar ziemi dla zagrodników; także role w czterech miejscach, podzielone na szczególne obszary, z których jeden leży naprzeciw plebanii i t. d.; ma łąkę i drugi ogród dla potrzeb domowników; ma dziesięcinę snopową z ról dworskich arcybiskupich i wójtowskich, kmiecie płacą meszne, z każdej włóki po 3 wiertele żyta i 3 wiertele owsa dobrej miary rawskiój; z wsi Bieliny i t. d., pobiera pleban z ról dworskich dziesięcinę snopową, kmiecie zaś takową dla stołu arcybiskupiego oddają, a plebanowi płacą tylko kolendę.

Dziwiłoby mogło, że gdy pobudką do założenia *Libri beneficiorum* kontrybucya była, opisy funduszów beneficjalnych w ogóle tak niedokładnie i nie ściśle zredagowane zostały. Ks. Polkowski tkómaczy niedokładność tę przez to, iż autorowie nie sądzili, że piszą dla potomności, lecz dla terażniejszości tylko. Mnie się zdaje, że rzecz właśnie przeciwnie się ma. Jużeśmy powyżej wykazali, że kontrybucya 40,000 florenów, aczkolwiek pobudką była do spisania *Libri beneficiorum*, jednakowoż celem tego bynajmniej nie była. Nie dla momentalnych jakowych przyczyn założoną została księga owa, ale dla przyszłości, ażeby celem usunięcia wątpliwości co do funduszów kościelnych, dowodną téjże przekazać podstawę. Nie chodziło więc o to, by wyliczyć, jakie każdy pleban w tym właśnie czasie z beneficjum swego ciągnął dochody, ale o to, by na zawsze skonstatować, ile i które kościołowi należą się role, grunta, łąki, ogrody, jeziora, stawy, sadzawki, lasy; jakie parafianie, tak szlachta, jak nieszlachta, mieli wobec kościoła prawne obowiązki co do czynszów, dziesięcin, robocizn i t. d. A w tym celu starczyło, gdy powiedziano, że ten a ten kościół tyle a tyle ma włók ogrodów, przymiarek łąk, tam a tam położonych, od tego strumyka pod ów bór się ciągnących i t. p. Weryfikacya takiego opisu na miejscu, poparta żywą tradycją współmieszkańców, zapewniała kościołowi nienaruszalność jego gruntów i nieruchomości. Wziątek zaś z nich zawisł już tylko od konjunktur czasu i od tego, jakim ksiądz jegomość był gospodarzem, dobrym czy nie-dbałym. Tak samo starczyło, gdy zapisano, iż we wsi z tych ról szła dziesięcina snopowa, z owych zaś pieniądze lub zsypy. Ile zaś ona na pieniądze obliczona, razem wynosiła, to znów zawisło od liczby kontrybuentów, która zmienną będąc, to się zmniejszała, to znów powiększała. To téż sam tylko archidyakon Góra, domniemany autor opisu Kurzelowskiego, na miejscu wybadywał plebana, ile on téż szacuje

¹⁾ Lib. benef., II, 390.

²⁾ Tamże, II, 311.

dziesięcinę, którą ze wsi swoich parafialnych pobiera, i cyfrę podaną w tymże opisie stale zamieszczał. Zapewne wielka skrupulatność, a może i żyłka statystyka, była mu pobudką do czynienia tego rodzaju zapisków, które drudzy komisarze arcybiskupi uznali być niepotrzebnymi. Tak samo nie wszyscy z nich zapisywali taksy kontrybucyjne; kontrybucya bowiem już przed rokiem 1516 złożoną była; zapisywanie téjże po owym roku na razie praktycznego nie miało celu. Że księga w sposób powyższy opisana u statystyków wieków późniejszych pewien żal wzbudzi, to już autorów wcale nie obchodziło, boć i o tém nie myśleli.

Pierwszym opisanym archidyakonatem jest archidyakonat gnieźnieński.

Niepodobna wyśledzić, kiedy i przez kogo archidiecezja gnieźnieńska na archidyakonaty podzieloną została; domyśla się jednakowoż ks. K., iż stać się to musiało przynajmniej w końcu XII w. A domysł ten mają popierać „najwyraźniej“ dokumenta XII i XIII wieku. Tymczasem z wieku XII, żadnego nie był w stanie przynależnego podać dokumentu; podnosi tylko przygodę, która arcybiskupa Marcina, przy konsekracji kościoła parafialnego w Spicimirzu, w r. 1107, z powodu niespodzianej napaści Pomorzan, była spotkała, a przy którejto sposobności nasi kronikarze archidyakona jakiegoś wspominają. Szanowny autor powołuje się co do faktu tego na Długosza, który, jak powiada, „obszernie ten wypadek opisuje.“ Krytycznemu jednakowoż znawcy historyografii polskiej nieznanem być nie może, że takowe obszernie Długosza opisy, o ile się do pierwszych wieków Piastowskich odnoszą, są albo poprostu czczym jego wymysłem, albo téż dowolną, retorycznymi ozdoby upstrzoną amplifikacją skromnej notatki, zaczerpniętej z dawniejszych źródeł. Taką téż dowolną amplifikacją jest ów „obszerny opis Długosza,“ co rozdział 43-ci drugiej księgi Gallusowej¹⁾, mający napis: „Miraculum de Pomerania,“ w retoryczny sposób rozszerzył. Tu téż milczeniem pominąć nie możemy uwagi, którą już był recenzent księgi naszej w „Kuryerze Poznańskim“ uczynił, że szanowni autorowie (ks. Korytkowski i ks. Żukowski), „tak gruntownie obeznani z rękopiśmiennymi i drukowanymi źródłami, do historyi polskiej z drugiej połowy średnich wieków, mniej pewnymi i krytycznymi okazują się tam, gdzie chodzi o wiek XI, XII i połowę XIII wieku, i że, zamiast z pierwotnego czerpać źródła, cytują raczej autora, który wiadomość z drugiej już podaje ręki.“ Fakt powyższy stwierdza zdanie to zupełnie. Tak samo z żalem spotykamy w dziele tak poważnem, jakim jest „Liber Beneficiorum“ takie usterki przeciw krytyce historycznej, jak te, iż ks. Korytkowski owego arcybiskupa zwie Marcinem, herbu „Zabawa“²⁾. Herby dziedziczne przed wiekiem XII, czy się je od Adama, czy od Lecha, czy zkądnąd wyprowadza, ścisła,

¹⁾ Bielowski: „Monumenta Poloniae Historica,“ I, 455.

²⁾ „Liber Benef.“ Łaskiego, I, 3.

krytyczna heraldyka pomiędzy bajki zalicza. Wszakżeż ich początek, w znaczeniu rodowych oznak z feudalizmu płynący, nawet w Niemczech dopiero pod koniec wieku XI kładzie ¹⁾, a dziedzicznymi się one dopiero pod koniec wieku XII ukazują ²⁾. W tym też wieku dopiero panowie polscy, na wzór szlachty niemieckiej, herbów przybierać zaczęli, które, jak to Statut Wiślicki stwierdza, za Kazimierza W. jeszcze ustalonymi nie były. To też herb Zabawa, przypisany owemu Marciniowi, uląkł się w wyobraźni Długosza, który, jak wiadomo, i dla innych arcybiskupów i biskupów o wymarzone się postarał herby. Po tej dygresyi wracamy do przerwanej wątku.

Opisanie archidyakonatu poleconém zostało archidyakonowi gnieźnieńskiemu Janowi Łukowskiemu. Ten jednakowoż zadania swego nie dopełnił. Dopiero Kijowski, kanonik gnieźnieński, wykonaniem dzieła się tego zajął, opuściwszy opis prebend katedralnych. Czem się to stało, rzecz niewiadoma, jak niewiadomo jest, dlaczego nie opisał kościołów w Trzemesznie, Trłągu i Strzelcach. Zastanawia też niemała różnica w redakcyi opisu pojedynczych kościołów. Tak kościół w Imielnie ³⁾ obszernie i dość szczegółowo opisano, podczas gdy opis funduszków beneficjalnych w Wójcinie, Wronczynie nader szczupły i ogólnikowy. Zdaje się, że ks. kanonik kijowski robotą się podzielił z dziekanami, albo też, że wystął szemata z przynależnymi pytaniami do plebanów, które ci wypełniwszy, kanonikowi zwracali, wiarogodność i rzetelność sprawozdania swego sumieniem swém (sub conscientia) poręczając, on zaś, wedle tych szematów, odnośne układał opisy. Nie szczególniejsze też budzą zaufanie opisy gnieźnieńskie, gdy czytamy, iż pleban w Kwiatkowicach ⁴⁾, którego beneficium co do kontrybucyi, tylko 20 groszami oszacowane zostało, utrzymuje wikaryusza, podczas gdy pleban białkowskiej parafii, półtrzecia grzywnami otaksowanój, posiadający wieś Marulewo o 2 włókach folwarcznych, a 8 kmieciami osiadłych, nie trzymał wikaryusza, rzekomo „dla szczupłego prowentu, a małej liczby parafian ⁵⁾.“

Opisanych kościołów jest 175. Taksa kontrybucyjna zaznaczoną jest tylko przy 152, a świętopiętrza przy 130 kościołach. Patronatu królewskiego było 16, duchownego 41 kościołów, reszta zaś szlacheckich miała kolatorów. Z pomiędzy tych po nazwisku wymienieni są tylko patronowie 16 parafii, a mianowicie: w Niechanowie: Anna, wdowa po szlachcicu Jerzym Tomickim; w Witkowie: Maciej Korzbok; w Czerniejewie: Łukasz Górka, kasztelan poznański i generał starosta wielkopolski, w Łukowie tenże i Maciej, burgrabia gnieźnieński; w Po-

1) Grote, Gesch. d. Königl. Preuss. Wappens., p. 6, 37, 41.

2) Tamże.

3) „Lib. Benef.“ Łaskiego, I, 45.

4) Tamże, I, 383—385.

5) „Propter proventuum parochianorumque paucitatem.“ Tamże, I,

powie: Budziejowski; w Podlesiu: Jan Szapienski; w Szaradowie: Stanisław Potulicki; w Samokłeskach: Maciej i Sędziwój Czarnkowsy; w Dziewierzewie: Smogulecki, ojciec plebana miejscowego; w Świątkowie: Piotr Świątkowski; w Ostroszcu: Jan Obudziński; w Kierzkowie: Maciej i Jan Pakojscy; w Kleczewie: Mikołaj z Kleczewa; w Kazimierzu: Mikołaj z Lubrańca, wojewoda poznański; w Tuliszkowie: Jan Zaremba, wojewoda kaliski; w Strzałkowie: Stanisław Zapała.

Ks. Korytkowski, z innych źródeł uzupełniając, wyliczył, że z ogólnej liczby kościołów, tylko 25 było murowanych, reszta zaś drewniane. Zapisał on także, że z dawnego archidyaconatu do dzisiejszej archidiecezyi gnieźnieńskiej, tylko 110 kościołów należy; reszta, 65 kościołów, odpadła na mocy buli de salute animarum z r. 1821 do Królestwa kongresowego, a mianowicie 64 do dyecezyi kujawsko-kaliskiej, jeden do nowo utworzonej archidiecezyi warszawskiej. Sz. autor powiada także, że owe 110 kościołów z pod zaboru pruskiego, rozłożone są w 9 powiatach dzisiejszego Wielkiego Księstwa Poznańskiego i wprawdzie w trzech całych powiatach: gnieźnieńskim, wągrowieckim, i mogilnickim. Mylne to twierdzenie prostujemy, nadmienając, że tylko powiat gnieźnieński całkowiec w skład archidyaconatu gnieźnieńskiego wchodził. Z powiatu zaś mogilnickiego należała parafia gembicka, 0,6 mil kwadratowych rozległa, z ludnością tysiąca głów, do dyecezyi kujawskiej; a z powiatu wągrowieckiego odchodziły parafie Prusiec, Potulice, Lechlin, Skoki, rozległości trzech mil kwadratowych, do dyecezyi poznańskiej.

Dzieło, o którym mówimy, zawiera tak obfity materiał historyczny do poznania dziejów wewnętrznych naszego narodu w wieku XVI, że niepodobna go dokładniej zanalizować przy recenzyi samego wydania w dziale „Piśmiennictwa.“ Zamierzając przedstawić w osobnym studyum obraz wewnętrznych stosunków ekonomiczno-społecznych narodu polskiego w wieku XVI, na podstawie tego nowego źródła, zwrócimy tymczasem uwagę czytelnika na znaczenie prawne tej kwestyi, idąc za wskazówkami, przez ks. dr. Łukowskiego we Wstępie do II-go tomu. Ks. Łukowski, zaznaczywszy, że księgę tę błędnie nazywają niektórzy „wizytą de Łasco“ dowodzi, że „Liber beneficiorum“ miało znaczenie księgi erekcyjnej, t. j. że wypis z niej miał moc dokumentu erekcyjnego, i że stanowił dowód w sporach o dziesięciny, o uposażenie probostwa; że księga ta miała charakter publicznego dokumentu, siłę dowodu prawnego, i że nie można jej uważać za pracę prywatną. Już konstytucya Władysława IV-go z r. 1635, która opiewa, że „libris beneficiorum dowodzić na dobra szlacheckie nie będą duchowni, krom poświętnych (t. j. duchownych a nie świeckich) dziesięcin“ (Lib. benef., II, str. XV), uznaje siłę, dowodzącą księgi, aczkolwiek ją do bliżej określonego przedmiotu ogranicza. Zgodnie z tą myślą, miała ona moc dowodu w sądach Królestwa kongresowego, a wyjątki z niej równały się dokumentom erekcyjnym. Tak samo zapatrywały się na nią i sądy pruskie, aż po rok 1828, dowodząc z niej prawomocności różnych danin. Dopiero w pomienio-

nym roku zakwestyjonowano jęj prawne znaczenie, tak, iż sąd apelacyjny pruski przestał uznawać jęj prawomocność, podając za powód, że nie ma pewności, czy księga ta jest oryginalną, lub też przez rozmaite zmiany, podrabiania i dodatki sfałszowaną. Uczony ks. Łukowski, przytacza jednak niezbite argumenta, które stwierdzają tożsamość księgi oryginalnej Łaskiego, przechowywanej w archiwum gnieźnieńskim. Co więcej, nie brak dowodu, że już dawniej przed ks. Łukowskim, bo już roku 1839, znaleźli się prawnicy pruscy, którzy w obronie księgi stanęli, i w prawniczém czasopiśmie: „Juristische Wochenschrift,“ wykazać się starali, jak dalece wyrok ów sądu apelacyjnego, obalający autentyczność księgi, jest nieuzasadniony. Z ciekawej tój pracy przytacza sam autor najważniejsze ustępy, i to dlatego „raz, że pismo to jest dziś rzadkością, powtóre, że w szerszych kołach ściśle jurystyczne pojęcie rozpowszechni.“

W toku argumentacji swęj podnosi ks. Łukowski, iż księgi wizytacyjne daleko późniejsze mają znaczenie w porównaniu z księgą Łaskiego, gdyż owe tylko mają znaczenie historyczne, a w sądach nawet duchownych uważano je tylko za dokumenta prywatne, i przy innych tylko dowodach za znaczące ¹⁾. Powołuje się przytęm na kompetentną w tym względie powagę, bo na prymasa Raczyńskiego ²⁾. Ale tęj powadze przeciwstawić możemy również kompetentną powagę, to jest kancelaryą biskupią w Pelplinie, z której bezpośrednio zacerpnęliśmy wiadomość, że wizytacya dyecezyi chełmińskiej, przez kanonika Strzesza, podług rozporządzenia Olszowskiego, biskupa chełmińskiego, r. 1667—1672 wygotowana, ma w sądach pruskich siłę dowodu, i że takowe na nięj swoje opierają wyroki. Owszem, znamy wypadki procesów z najnowszych czasów, gdzie na podstawie wizytacyi owęj, sprawy rozstrzygnięte zostały. Myli się zatem szan. autor, gdy twierdzi: „Wizytacyjne księgi ani w świeckich, ani w duchownych sądach nigdy nie były uważane za dokumenta dowodne“ ³⁾. Co do wizytacyi Strzesza, która tylko pod względem czasu, bo 150 lat później sporządzona, księdze Łaskiego ustępuje, to nie tylko późniejszą, jak ta ostatnia nie jest, ale nadto daleko wyżęj nam ją stawić trzeba. Pominąwszy, że, jakeśmy co dopięro widzieli, w sądach pruskich się cieszę powagą dokumentu dowodnego, która księdze odmówioną została, cechuje ją dokładność i ścięłość redakcyi, a obfitość i rozmaitość treści, którejsmy w księdze nie znaleźli. Zawiera ona bowiem obszerny, a dokładny opis wszystkich parafialnych i filialnych kościołów, jakotęż kaplic publicznych dawniejszęj dyecezyi chełmińskiej; dodaje ich historię, erekcyę, wplata stare dokumenta, przywileje, wymienia proboszczów, wikarych, dobrodziejów, patronów, podaje groby szlachty, dochody plebanów, wikarych, organistów, nauczycieli z rozlicznych ty-

1) Lib. benef., t. II, str. 8.

2) Tamże, str. 9.

3) Tamże, str. 8.

tułów i t. d. Niemniej dokładne podaje ona szczegóły o szkołach parafialnych, szpitalach, sprzętach, naczyniach, księgach kościelnych; podaje w dokładnym opisie wsie do parafii należące, opisuje moralność tak plebanów, jak panów i kmieci parafią zamieszkujących ¹⁾). Aleć inne znane nam są niemniej dokładne wizytacje, jak wizytacja archidyakonu kamińskiego, przez kanonika Mathego, prawdać dopiero w roku 1766 sporządzona, która wzorową swoją ścisłością i dokładnością, zapisywaniem ciekawych a ważnych szczegółów, między innymi, gdy w każdej wsi notuje liczbę katolików i innowierców, księgę Łaskiego przewyższa. Przyznajemy jednakowoż, że ta wyższość wizytacji owych nad księgą naszą co do rozmaitości treści, płynie z zadania i przeznaczenia tak wizytacyom jak i księgom beneficyalnym określonego. Pierwszych jest rzeczą, wchodzić we wszystkie stosunki parafii, tak zewnętrzne, jak i wewnętrzne, o ile one w związku z kościołem i plebanią stoją; drugich zaś sfera ogranicza się głównie tylko na ekonomiczno-finansowej części zadania, wizytacyom stawionego. Zapiski zatem wychodzące w księdze naszej poza tę sferę ekonomiczno-finansową, to już jeno od dobrej woli poszczególnych zależały autorów.

Co do oświaty, wykazuje ks. Łukowski ²⁾, że księga Łaskiego więcej przynosi wiadomości o szkołach parafialnych w Polsce, niż Długoszowa: gdyż tutaj czytamy tylko siedm zapisków o szkołach w biskupstwie krakowskiem, podczas gdy w Łaskim 225 szkół jest wspomnianych. Szan. autor zdaje się być tego zdania, iż więcej w archidiecezyi w czasie spisowania księgi naszej nie było szkół. My bo innego jesteśmy zdania, na co nas przedewszystkiem naprowadza opis archidyakonu wieluńskiego, gdzie na 42 kościołów parafialnych, o trzech tylko zrobioną jest wzmianka, żeby w ziemi odznaczającej się dobrobytem, mieszczącej w sobie ośm miast, gdzie na jedną milę kwadratową przypada kościół potrzebujący i organistę i ministranta, tylko trzy być miały szkoły. Sądzimy, że gdy komisarze arcybiskupi w instrukcyi swęj nie znaleźli punktu, w wizytach tylko figurującego: „Schola et Rector Scholae. De vita ipsius et diligentia inquirendum et ex ipso etiam de Parocho“ ³⁾, uważali szkołę za rzecz podrzędną, poboczną, i tylko co rozważniejszy autor, skoro zauważył, że to szkoła i uposażenie nauczycielskie z finansami beneficyalnemi się wiąże, to częściej, to rzadziej o niej czynił wzmiankę. Najdokładniejszym w tym względzie jest archidyakon kaliski, Maciej Śliwnicki, bo na 87 kościołów, 57 szkół (65%) zanotował; za nim idzie ks. Kijowski, który w archidyaconacie gnieźnieńskim na 175 kościołów, 81 szkół (46%) zapisał; w kurzelowskim archidyaconacie zaznaczono na 72 kościołów 30

¹⁾ Są widoki, że cenne to źródło drukiem ogłoszone będzie.

²⁾ Lib. benef. Ł., II, str. XXV sq.

³⁾ Constitut. synod. archid. Gnesn. s. Szembek, 1722. Owe „articuli“ opisów archidyaconatów kaliskiego i wieluńskiego, nie mają punktu co do szkół.

szkół (41%), w łęczyckim i łowickim na 141 kościołów 34 szkół (23%), w uniejowskim na 90 kościołów 20 szkół (22%), w wieluńskim na 42 kościoły 3 szkoły (7%). Tego jednakowoż twierdzić nie chcemy, żeby w każdej wsi kościelnej rzeczywiście też i szkoła miała się znajdować. Owszem, księga daje nam dowody, że szkoły, które dawniej istniały, w czasie sporządzania onej już były upadły ¹⁾, że zatem oświata wstecz się cofnęła. Zgadza się to z dążnością czasu owego w Polsce, na nowe tory stosunków prawnospołecznych wchodzącego. Wszakżeż to teraz właśnie szeroką drogą zmierza szlachta do identyfikowania idei państwa z ideą własnych, stanowych interesów, gdzie urzędy i prawo obywatelskie tylko dla siebie zagarnia, stan plebejuszów od nich namiętnie wykluczając. To też i oświata temu stanowi miała pozostać nieprzystępną; dlatego nieprzychylną będąc szkołom ludowym, w postępie dalszych czasów do tego doszła idyotyzmu, iż uznawała być w porządku, gdy w dobrach swoich stare szkoły burzyła, a zakładanie nowych zabraniała ²⁾. Większe było staranie o szkołę w dobrach królewskich i duchownych; w znaczniejszych zaś miastach, jak np. w Gnieźnie, Sieradzu, wyższe zakładano szkoły, gwoili przysposobienia uczeni do stanu duchownego, do których powoływano nauczycieli z Akademii krakowskiej ³⁾. Uposażenie nauczyciela zasadało się zwykle na meszmem, na częścce kwesty kościelnej i dziesięciny wytycznej. Ogród, kęs roli, ale i pieniądz, przez plebana płacony, wchodził również często w dotację jego. W wielu miastach było obowiązkiem mieszczan utrzymywać budynki szkolne, jak np. w Chęcinach ⁴⁾, Kazimierzu ⁵⁾. Zwykle, a głównie po wsiach organista sprawował też urząd nauczyciela i często też kościelnego.

Co do duchowieństwa, już nam przyszło było powyżej zaznaczyć, że za czasu Łaskiego, do stanu duchownego daleko więcej się garnięto, jak teraz. Ten pojaw, nad którym zresztą ks. Żukowski się nie zastanawia, stwierdzamy następującemi cyframi: Wikaryuszy było wedle księgi wówczas w archidyakonacie łęczycko-łowickim 188, w gnieźnieńskim 134, w uniejowskim 74, razem 396; dziś jest ich tam względnie 47, 35, 25, razem 107; liczby proporcjonalne zatem: 3, 7 i 1. Gdy zaś wedle obliczeń naszych w tychże archidyakonatach było około 526000

1) Tak czytamy w opisie Klwowa: „ubi antea fuit schola.“ Lib. benef. Łask., I, 657.

2) Tak np.: Stolińscy w dobrach swoich Wałdowo, Bleszyńscy w Głuczynie zakazali uczyć dzieci czytania. Wizytacya archidyakonatu kamieńskiego z r. 1747 zapisuje co do pierwszych: „Pueri non frequentant scholam non discount scribere, legere, quia Domini illis non cedunt doctrinam;“ co do drugich zaś: „quia ob caristiam et summam miseriam hominum et haeredum interdictionem adire organarium nequeunt.“

3) Lib. benef. Łask., I, 429, n. II, str. XXVI.

4) Tamże, I, 585.

5) Tamże, I, 234.

katolików, a wedle nowszych rubryceli, ludność ta około 848000 dusz wynosi, z czego stosunek 1,6 : 1 wypada, stanowią ogólną proporcycę liczby: 6 : 1. Stosunkowo zatem sześć razy większą była liczba ówczesnych wikaryuszy, jak terażniejsza w terytoryach powyższych. Ten tak znaczny natłok do stanu duchownego tłómaczy się tém, że stanowi nieszlacheckiemu sama tylko teologia jedyną otwierała karyerę, która indywiduum plebejuszowskie ponad gmin wynosząc, pomiędzy inteligencyą stawiała iże kmiecy syn, poświęciwszy się stanowi duchownemu, ścierał z siebie ohydne piętno poddaństwa, wolnym stając się człowiekiem. W dobrach wolnych królewskich i duchownych, aspirantom do stanu tego żadnych nie czyniono trudności; tylko chłop szlachecki musiał mieć pozwolenie od dziedzica; ale i ten za czasów Łaskiego dość jeszcze w tym względzie był powolnym; boć w ogóle nie zabrnęła była szlachta ówczesna w brutalstwie wobec kmiecia tak dalece, żeby się miała dopuścić takich czynów hańby, jak ów wojewoda bractawski, Lanckoroński, co odebrawszy chłopą swego, subdyakona, z seminaryum akademickiego w Krakowie, kazał z sukni zwlec, ochłostać i na forysia obrócić. Co do stanu, z którego niższe duchowieństwo się składało, daje nam wskazówkę opis archidyakonu kurzelowskiego, gdzie jako pochodzenia szlacheckiego jest wymienionych 23, stanu miejskiego 20, a stanu kmiecego 28 plebanów. Z tych ostatnich napewno pochodzi ze wsi szlacheckich 9: Piotr z Bogusławic, Jan z Chwalibogowa, Mikołaj z Rączna, Eliasz ze Smogorzewa, Jakób z Libiszewa, Leonard z Wilczy, Jan z Wojciechowic, Jan z Dębów, Stanisław Sukno z Drzewicy. Ale i ta karyera duchowna została dla plebejuszów ścięcioną. Już za Kazimierza Jagiellończyka, samolubna szlachta, co ani krzywd innym stanom wyrządzonych do serca, ani szkody kraju do rozumu nie brała, upominała się, żeby nieszlachtę od zajmowania wyższych stanowisk w hierarchii kościelnej wykluczyć. Za Jana Olbrachta zaś dokazała tego, iż słaby ten król w r. 1496 ogłosił prawa, zastrzegające prelatury i kanonikaty dla niej, z wyjątkiem doktorałnych, do których i plebejuszom przystęp dozwolonym został ¹⁾. Lecz stolica apostolska nie dała była jeszcze swęj sankcyi nieszczęsnym owym prawom, co dopiero, jakęśny to już powyżej byli powiedzieli, papież Leon X w r. 1515 uczynił.

Co do organizacyi probostw, liczne w księdze przypadki, gdzie z jednéj i téj saméj wsi dwór do jednéj, a kmiecie do drugiéj należeli parafii. Tak np. w Chorzepiniu, pasterstwo dusz dworu poddane jest plebanowi w Chwalborzycach, a kmiecie plebanowi w Świniach ²⁾; dwory szlacheckie w Boczkach i Sempułkach podlegały co do prawa parafialnego plebanowi w Niewieżu, a kmiecie plebanowi w Uniejo-wie ³⁾; kmiecie w Żydówku należeli do parafii w Dziekanowicach,

¹⁾ Korytkowski: Żywot Łaskiego, str. 26, 27.

²⁾ Liber Beneficiorum Łaskiego, t. I, str. 364.

³⁾ Tamże, I, 369.

a dziedzice do Żubowa ¹⁾; we wsi szlacheckiej Życzewie należał jeden dwór do mąkoleńskiejk, a drugi do osieckiejk parafii ²⁾; kmiecie wsi kościelnéj Budziszawia i wsi Kozuszkowa, należącék do parafii siedlimowskiejk, oddawali dziesięcinę plebanowi w Jankowie ³⁾. Przyczyna téj dwoistości jednéj i téj saméj wsi pod względem prawa parafialnego (jus parochiale) leżała co do szlachty w prawie zwaném: jus militare, prawo włodzicze, szlachetne, przysługujące od dawien dawna szlachcie, nad którém w przynależném miejscu przyjdzie nam się zastanowić. U kmieci nienormalność ta przez to powstała, iż arcybiskup dziesięciną stołu swojego dowolnie rozmaite uposażał beneficya. Tak arcybiskup Jarosław Skotnicki dał na próby Bodzanty, biskupa krakowskiego, a dziedzica Jankowa, plebanowi jankowskiemu dziesięcinę kmiecią stołu swojego w powyżéj wymienionych wsiach ⁴⁾.

Ks. Łukowski ⁵⁾ podnosi, że księga daje odpowiedź na pytanie, dotyczące stosunków plebanii do dworu. Nie wskazał jednak miejsc, gdziebyśmy ją znaleźć mogli. Rozczytując się w powyższéj, pilnieśmy śledzili za zapiskami, rzucającemi jakiegokolwiek światło na owo pytanie. Ale zbieranka onych dość szczupło wypadła; bo téż księdze beneficjalnéj chodziło przedewszystkiém o fundusze kościelne, a nie będąc księgą wizytacyjną, obojętném okiem na wewnętrzne parafii spoglądała sprawy i stosunki i to téż tylko mimochodem potrąca o stosunek dworu do plebanii, co zresztą tylko w tym czyni zamiarze, by świadczyć o krzywdach plebanowi przez dziedziców wyrządzanych, a ztąd wynikających niesnaskach i zatargach pomiędzy nimi. Prawda, żeśmy tak drastycznego, ale i charakterystycznego nie znaleźli zapisku, jak w wizytacyi kamieńskiejk z r. 1744, gdzie Edmund Kühn, proboszcz lichnowski, z zadowoleniem podnosi, że w parafii jego procesów wcale niéma, gdyż żaden tam nie mieszka szlachcie ⁶⁾; ale jednakowoż niemała ona liczbę procesów i przypadków nagabywań, prześladowań księży zapisała, których butna przemocą ⁷⁾ szlachta się dopuściła. Kilka tylko przykładów: Dziedzic wsi Pilczycy obciąża bezprawnie robocizną kmieci archidyakona kurzelowskiego, przeciw opierającym się gwałtu i przymusu używając ⁸⁾. W Chrzastowie przemocą opanował dziedzic i patron Stanisław Koniecpolski grunt, na którym stała łaźnia i browar proboszcza, jako téż dziesięcinę przez kmieci płaconą i czynsz młynarza nowopolskiego, także beczkę miodu, którą dzierżawca Ka-

1) Lib. benef., I, 94.

2) Tamże, I, 222.

3) Tamże, I, 102, 103.

4) Tamże, I, 102 i nast.

5) Tamże, II, str. XXX.

6) „Processus cum nemine, quia nullus Parochianus Nobilis.”

7) „potentia heredis.” Liber Beneficiorum Łaskiego, I, 637.

8) Tamże, I, 550.

szewic dawał, sam zabierał ¹⁾). Mansyonarzom w Seceminie zabrakł patron Stanisław Szafraniec wieś ich Zawadów ²⁾). W Czarncy wziął dziedzic kawał roli plebanowi, urządziwszy tam sadzawkę dla siebie ³⁾). W Białobrzegach szlachta podorywając rok rocznie role plebańskie, w takowe się wdzierają ⁴⁾). W Zdunach dziedziczka Jutrowska, z powodu, że młyn plebana sobie przywłaszczyła, nie chce wydać dokumentu erekcyjnego ⁵⁾). Proboszcz w Krzyworzece, Jakób, zwany Kiernożek, zmuszony był wskutek prześladowań i krzywd, wyrządzanych mu przez wojewodzinę i tenentaryuszkę wieluńską, z parafii się swojej wynosić ⁶⁾). Szczególniejsza, że księga w wielu przypadkach owych opresyi i nagabywań zaznacza, iż pleban, obojętny na takowe, nic nie czyni, by prawa swego bronić. Wskazuje to na teroryzm, jaki dwór na plebanią wywierał.

Co do stosunków pomiędzy duchowieństwem a kmieciami, znajdujemy w księdze ślady, świadczące o tém, iż jak w ogóle zawsze, tak i za czasów Łaskiego, duchowieństwo kmiecia opieką swoją otaczało, przed uciemżeniem szlachty zastaniało i ludzkością a życzliwością, o ile stosunki ich pozwalały, byt jego polepszać się starało. Tak prymas Łaski, widząc, iż szlachcic Borsza z Chróslina, trzymający w zastaw wieś stołu arcybiskupiego Mysłaków, kmieci robocznymi i wyszukanemi ciężarami gnębić nie przestawał, w tym celu, by ich zmusić do opuszczenia wsi tej, „jak to o tém krzyk mieszkańców, o uszy jego się objajający,” przyzwolił, by ich przed taką uchronić krzywdą, żeby wieś owa dla kolegiaty łowickiej wykupioną została ⁷⁾).

Obok dodatnich stron duchowieństwa, odzwierciedlają się także w księdze ujemne jego w owych czasach strony. Ks. Łukowski dwie tylko z takowych zaznacza ⁸⁾): kumalacę beneficjów na jednego beneficjata i tegoż nierezydowanie przy swoim beneficjum, podnosząc, że działa się to wbrew dawniejszym konstytucyom synodalnym polskim, jak np. arcybiskupa Jarosława z r. 1248 i wskazując zarazem na biskupów, ubiegających się w Rzymie o odnośne dyspensy. Z pewnością zgóry idzie przykład. Ale przypomniał szanowny autor, że przyczyna niepokiesznego tego pojawu polegała na tém, iż oni będąc senatorami, dzierżąc urzędy państwowe, jak kanclerstwo, podkanclerstwo i t. p., przez to samo wstrzymywani byli od stałej rezydencyi w stolicy bi-

1) Lib. benef., I, 558—560.

2) Tamże, I, 564.

3) Tamże, I, 566.

4) Tamże, I, 631.

5) Tamże, I, 20.

6) Tamże, II, 126. Por. tamże, I, 617, 619, 637, 641, 663, 675, 696, 702, 706, 712; II, 29, 33, 34, 45, 64, 69, 79, 95, 125, 141, 174, 377.

7) Tamże, II, 450.

8) Tamże, II, str. XXIX squ.

skupstwa swego ¹⁾. Ze się tak działo, iż dostojnicy kościelni, mimoto, że nie jest rzeczą kościoła mieszać się w sprawy polityczne, w takowe grubo się mieszały, to wypływało z średniowiecznych stosunków, gdzie duchowieństwo, przeważnie reprezentujące inteligencją i posiadające język łaciński, głównie się kwalifikowało do piastowania urzędów krajowych. Szan. autor na zdrożność zwyczaju powyższego spoglądał się tylko ze stanowiska kościelno-prawnego; ale i ekonomiczne względy niefortunność zwyczaju tego okazują. Księga dość liczne stawia dowody, stwierdzające, ile przez absencją beneficjanta beneficjum cierpiało. Tak uskarża się on, że w Tuszynie przez niedbałość nie rezydujących na miejscu plebanów, probostwo młyn utraciło, a łąki borami porośły ²⁾. Podobnie skarży się też na plebana w Gowarczowie ³⁾.

Krom powyższych wadliwości razi, gdy w księdze czytamy, że pożądlivość opata Jędrzejewskiego, nie życząca plebanowi złotnickiemu dziesięciny, którą z Wygnanowa pobierał, do tyła uczucie sprawiedliwości jego zaciemniła, iż nie wahał się dziedziców wsi namawiać, by dziesięcinę tę klasztorowi dali, za co im też przyrzeka, że oni i ich rodzina chowani być mają w klasztorze opata ⁴⁾. Razi też, że klasztor sulejowski zagrabił plebanowi w Wójcinie karczmgę ⁵⁾; że jakiś kanonik krakowski przywłaszczył sobie dziesięcinę w Sobieniu, należącą się plebanowi w Białaczowie ⁶⁾; że kmiecie żdżarscy skarżą się na swego proboszcza w Wójcinie, iż mimo ich prośb i nalegań, nie chce w ich kościele, będącym filią Wójcina, nabożeństwa odprawiać ⁷⁾.

Wiadomo, że duchowieństwu polskiemu co do gospodarstwa i zarządu dóbr na przynależnej staranności, rzadności i przynależnym nie zbywało porządku. Mimo to w księdze naszej dużo znachodzimy skarg na niedbałość, nierządność i niegospodarstwo plebanów. W Dąbiu, mówi księga ⁸⁾, była niegdyś wyborna łąka, ale przez niedbałość zarosła chwastem i chróstem; w Rzujowicach opieszłość plebana dokonała, iż stawy przepadły ⁹⁾, a w Słupi błotem się przepełniły ¹⁰⁾;

¹⁾ O Piotrze Siennowskim, chociaż nie biskupie, ale tylko kanoniku i proboszczu w Drzewcu, zapisuje księga (I, 650): *nec agens residentiam propter obsequia regiae majestatis.*

²⁾ *Molendinum per tenutarium occupatum... negligentia plebanorum circa ipsam ecclesiam non residentium... Et non residentia plebanorum... ipsa prata nemoribus silvarum excreverunt.* Lib. Benef. Łaskiego, II, 164, 165.

³⁾ „...negligentia et absentia plebani.” Tamże, I, 696.

⁴⁾ Tamże, I, 579.

⁵⁾ Tamże, I, 626.

⁶⁾ Tamże, I, 708.

⁷⁾ Tamże, II, 144.

⁸⁾ Tamże, I, 549.

⁹⁾ Tamże, II, 215.

¹⁰⁾ Tamże, II, 336.

niedbalstwo plebana w Nowemieście sprawiło, że kościołowi trzeci grosz od ceł przypadł ¹⁾; że w Kozłowie pleban przez zagubę dokumentów fundacyjnych, prawo do dwóch karczem stracił ²⁾; że dziedzic w Przedborzu młyn plebański zburzył ³⁾; wojewoda zaś, Zaremba, widząc, że niegospodarstwo i niedbałość zakonników miechowskich, wieś ich Garbów do spustoszenia i upadku przyprowadziły, zagarnął ją na własność swoją ⁴⁾.

Ks. Łukowski, wskazując na plon, jaki i lingwistyka z księgi Łaskiego zbierać może, zapisuje ⁵⁾ pewną liczbę wyrazów przestarzałych i technicznych, podnosząc, że w wykazie na końcu dzieła wszystkie owe w księdze zachodzące wyrazy podanemi zostały.

Zaznaczając, że znaleźliśmy co do tego pewne niedokładności w wykazie, nie możemy w tej potocznej relacji o trudach i zasługach uczonych wydawców zapuszczać się tu w rozbiór tak przeróżnych szczegółów, chociaż nadzwyczaj ważnych dla poznania wewnętrznych stosunków ekonomiczno-społecznych; ale dajemy chętnie zasłużone obydwom uczonym kapłanom świadectwo, że przez sumienne opracowanie „Libri Beneficiorum” Łaskiego przyczynili się znakomicie do z bogacenia naszych wiadomości historycznych o wewnętrznych stosunkach Rzeczypospolitej polskiej w wieku XVI. Do historyków należą teraz korzystać ze źródła tak obfitego i w tak umiejętny sposób oświetlonego.

St. Maroński.

„Niedole dziecięce” wydane staraniem miłośników dziecięcego wieku. Warszawa, 1882 str. 273.

Czuwanie nad tysiącami dzieci, pozbawionych opieki rodzicielskiej, zwróciło na siebie pilniejszą uwagę dopiero w dwóch ostatnich stuleciach a inicjatywę w tym kierunku, jak i w wielu innych kwestjach społecznych XVIII-go wieku, trzeba przyznać Francji. We Francji bowiem otworzono najwcześniej domy przytułku i „żłobki” dla dzieci (Ś-ty Wincenty à Paulo), we Francji wywalczono dla tych instytucji opiekę prawa po ożywionej dyskusji nad tym przedmiotem w izbach sejmowych (Thiers 1850 r.), gdy w tym samym czasie, w parlamencie angielskim, podnosił lord Brougham zupełnie przeciwną chorągiew.

¹⁾ Lib. Bon., II, 308.

²⁾ Tamże, I, 606.

³⁾ Tamże, I, 619.

⁴⁾ Tamże, I, 435.

⁵⁾ Tamże, II, str. XXXIII.

Mimo tak wielostronnego zainteresowania się tą kwestyą dwóch najoświecześniejszych społeczeństw, pozostała sprawa opieki nad nieletnimi, pozbawionemi jęj zupełnie, pod wielu względami nierozstrzygnięta, bo niedokładnie jeszcze zbadana. Badacze nauk społecznych nie przestają zajmować się tym przedmiotem, obchodzącym tak żywo ludzkość całą, troszczącą się o moralne wychowanie przyszłych pokoleń. Pierwszorzędne umysły pracowały i pracują nad gruntowném rozwiązaniem sprawy tak żywotnej. Znane są powszechnie obszerne i wyczerpujące prace p. Maxime Du Camp, opisujące (w *Revue des deux mondes*) zakłady dobroczynne, opiekujące się dziećmi, lub kreślące w wymowny sposób nędzę i niedolę biędnych dziatek Paryża. I u nas nie brakło nigdy serc zacnych i głęboko czujących nietylko stratę, ale i krzywdę dla społeczności polskiej w zbyt głośniej niedoli dziecięcej, od czasów Baudouena aż do chwili obecnej. Mamy właśnie przed sobą świeże dzieło p. t. „Niedole dziecięce,“ wydane przez miłośników dziecięcego wieku. Jest to zbiorowa praca organizatorów, projektowanego Towarzystwa przyjaciół dzieci: pp. Adama Goltza, Moldenhawera, dr. Markiewicza, Jeleńskiego, Kosmowskiego, Wierzchlejskiego, Eryka Jachowicza i E. Stummera.

Zbiorowe to dzieło będzie stanowić początek Roczników Towarzystwa, jeśli władza instytucyą tę zatwierdzi; tymczasem zaś jest ono chlubnym świadectwem tego, iż w społeczeństwie naszym znalazło się wśród burzliwych prądów materializmu, kółko obywateli pragnących nieść pomoc i opiekę licznej gromadzie ubogiej dziatwy, wystawionej na tyle nędzy i na tyle niebezpieczeństw, które zamiast użytecznych obywateli mogłyby z niej uczynić niebezpiecznych wrogów społeczeństwa.

Rzecz cała dzieli się na trzy części: I-a, opracowana p. A. Goltza, zawiera ogólny pogląd na kwestyą opieki nad dziećmi, II-a opisuje różne zagraniczne stowarzyszenia tenże sam cel mające, III-a podaje projekt ustawy Towarzystwa przyjaciół dzieci. Osnowa całego dzieła przedstawia dokładny pogląd historyczny na rezultaty, jakie na tém polu osiągnięto. Środków zaradczych na zapobieżenie wielu nędzom w naszym kraju, nie można w chwili powstającej dopiero instytucyi stanowczo żądać, jakby się to z tytułu dzieła zdawać mogło. Autorowie nie kuszą się o tworzenie projektów, mniemając bardzo słusznie, że są kwestye, których jedna osobistość choćby najgenialniejsza i najlepszymi ożywiona intencyami, zaspokoić nie jest w stanie: potrzebne tu działanie zbiorowe, poparte doświadczeniem nabytym w praktyce. To też całą dążnością książki jest obznajmić ogół z tem, co dotąd zagranicą i u nas w sprawie opieki nad nieletnimi uczyniono, oraz wykazać te palące potrzeby, które społeczeństwo nasze zaspokoić winno; ludziom zaś dobrej woli przedstawia ona projekt ustawy Tow. Przyj. dzieci, która to instytucya dalszą działalność filantropijną i obywatelską postara się rozszerzyć.

Należy się wszelkie uznanie inicjatorom projektu wyżej wzmiankowanego Towarzystwa i autorom informacyjnego dzieła o „niedolach dziecięcych”, które oby późnym wiekom przypominać mogło słowa poety:

„Bajeczna starożytność niech rycerzów głosi;
Nędzna sława, co światu nieszczęście przynosi:
Nie ten godzien pamięci, kto gnębił, kto zdzierał,
Nie ten, co łzy wyciskał; lecz kto je ocierał.“

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Październik 1882 r.— Od dnia 1 lipca 1882 r. wydaje Towarzystwo archeologiczne we Lwowie „Przegląd archeologiczny,“ który, będąc zarazem organem C. K. konserwatora pomników, będzie mieć dla dziejów kultury sztuki w Polsce ważne nader znaczenie. Dla bliższego obznajomienia czytelników „Bibl. Warsz.“ z pracami Tow. archeologicznego we Lwowie, umieszczamy jego odezwę do wszystkich miłośników i znawców pomników przeszłości, aby o każdym zabytku Towarzystwu donosili. Odezwa brzmi w tych słowach:

„Towarzystwo archeologiczne we Lwowie, założone już przed laty, pracowało przez czas jakiś sprężyste, ale od lat kilku z rozmaitych powodów nie dawało znaku życia; dziś obudziła się uzasadniona nadzieja, że będzie miała środki materyalne, niezbędnie potrzebne do podjęcia pracy naukowej, że będzie mogło rozpoznać i opisać zabytki sztuki, rozrzucone po naszym kraju, i będzie mogło miłośników sztuki lub starożytności zaznajomić z postępami, które archeologia w najnowszych poczyniła czasach. Roztacza się przed nami obszerne pole działania i naszym zadaniem będzie zbliżyć do siebie minione pokolenia, które zamieszkiwały ziemię tę, naszym zadaniem poznać obyczaje ich, a częstokroć ich zabobony i pojęcia. Przeglądając zabytki, które pozostawiły po sobie, zdołamy może odgadnąć stopień cywilizacyi, do którego doszły, dowiemy się, z jakimi narodami pozostawały w bliższych lub dalszych stosunkach; z kąd przyszły, dokąd dążyły, czego się spodziewały? Dobrze pokierowane prace nasze mogą nawet zachować, jakby przy życiu, pośród nas i pośród dzieci naszych, umarłe, szczęśliwsze i sławniejsze od nas, a tak drogie dla nas pokolenia, przechowując starannie ich sprzęty i ich dzieła. Przedsiębrane w tym kierunku gruntowne studia, mogą zatem wlać gorętsze życie w historią pełnej chwały przeszłości naszej.

Każdy u siebie, w swoim powiecie, w swoim mieście, w swojej wsi rodzinnój, może się przyczynić do postępu nauki i rozjaśnienia dziejów. Po polach i wzgórzach wznoszą się wszędzie mnożące kurha-

ny; podanie przeżywa je jednostajnie prawie tatarskimi mogiłami; są to jednak naprawdę świadki daleko dawniejszej przeszłości; usnęły pod nimi narody, których imienia nie dowiemy się nigdy—i później puspiali tu Cymeryjczycy bajeczni, Newrowie, o których Herodot pawi, że się przemieniali w wilkołaków; owi Scyci, koczownicy królewscy, którzy podbili na lat kilkadziesiąt Azyą i odparli najazd króla Persów Daryusza; następcy ich Sarmaci, których nazwiskiem szczylicili się później i Polacy za Rzeczypospolitą; Goci, których państwo rozłożyło się po obydwu stokach Karpat aż do chwili, w której Atyla, bicz Boży, pchnął ich na Rzym; a wreszcie Awarowie i pierwotni Słowianie. Najczęściej nie znajdziemy nic w rozkopanej mogile; bywa ona ołtarzem pogańskim tylko albo strażnicą; znajdujemy jednak w mogiłach rozmaite narzędzia i kości, poczęści podobne do tych, które się zachodzą w zachodniej Europie, poczęści zupełnie różne i posiadające charakter raczej azyatycki lub południowy; oprócz garnków i krzemków znajdują się także zbroje: wyroby złotnicze, a monety greckie, rzymskie i bizantyńskie, a czasem, lubo bardzo rzadko, perskie mogą nieraz posłużyć do oznaczenia epoki tych zabytków. Rozpoznanie, spisanie tych zabytków, będzie pierwszym naszym, a niematem zadaniem; drugim zadaniem będzie ochrona mogił przed pługiem i rydlem; a wielką będzie zasługą tego, co ze starożytnymi pisarzami w rękę odgadnie co jest scytyjskim, a co gotyckim, co jest dziełem złotników Agatyrów, a co zrobili Słowianie gęślarze; co jest wyrobem tutejszym, a co przybyło z za gór i z za morza.

Po czasach przedhistorycznych następują czasy średniowieczne, które, jak wiadomo, zaczynają się u nas o wiele później, jak na Zachodzie: bo dopiero w X-tym wieku, z chwilą nawrócenia Rusi na Chrześcijaństwo. Chrześcijaństwo przybyło do nas z Bizancyum i najdawniejsze roboty, które się u nas zachodzą po cerkwiach, albo czasem po kościołach, już od dawien dawna przeniesione z cerkwi, pochodzą z Bizancyum; wpływ bizantyński nie panował jednak wyłącznie, nie panował przeważnie nawet na Rusi Halickiej—znamy w stylu bizantyńskim cerkiew Narodzenia Pańskiego w Haliczu, ale z Węgier i z księstwa Krakowskiego wsiąkały do nas zawczasu pojęcia i obyczaje zachodnie, i ztąd to pochodzi, że najdawniejsze murowane zabytki, które się u nas zachodzą, mają podobnie jak na Zachodzie pomniki współczesne lub nieco wcześniejsze, charakter romański. Znany w tym stylu kościół świętego Stanisława, niegdyś cerkiew świętego Pantalemona pod Haliczem i jeden mur w zamku Oleskim; znajdziemy niezawodnie więcej pomników takich na Rusi, a rozpoznawszy je uważnie, będziemy mogli wiedzieć, z kąd styl romański przyszedł do nas, kiedy sięgały aż w te okolice wpływy zachodnie, i kiedy późniejszy gotycyzm wyrugował styl romański? A stało się to u nas niezawodnie później jak w Niemczech, później nawet jak w nadwiślańskiej Polsce. Jeżeli w XIII-tym, a może już i w XII-tym wieku murowano u nas gdzieś gdzie okrągłe łuki i sklepienia romańskie, gmachy takie ciosowe lub

cegłane były u nas zawsze rzadkimi wyjątkami. I książę i bojar i kupiec mieszkali w drewnianym dworze, otoczonym wałem ziemnym, a liczne, rozrzucone po Rusi horodyszcza, są po największej części zabytkami z czasów książąt dzielnicowych. Wielkąby miał zasługę, kto by odnalazł i odkopał dawne książęce dwory w Haliczu, Przemyślu i Trembowli, położone w nizinach, a wcale różne od późniejszych zamków z czasów Rzeczypospolitej.

Dopiero za czasów Władysława Jagiełły, nastąpiło u nas więcej nieco gmachów murowanych i odtąd cegła zastąpiła cios, którym się posługiwali książęta halicko-włodzimirszy, przy nadzwyczaj rzadkich murowanych budynkach swoich; odtąd dźwigały się po wzgórzach zamki wielkie i obronne, a kościoły budowane, podobnie jak w Krakowie gotykiem nadwiślańskim, z czerwonej cegły, stanęły po niektórych miastach. Nie możemy tuić, że gotyckie zamki i gotyckie kościoły należą u nas do wielkich rzadkości; zaprzeczyć jednak nie można, że one istnieją; należałoby się tylko dowiedzieć, gdzie są, o ile je za późniejszych czasów zeszpecono, o ile zostało śladów gotycyzmu, gdzie widać wśród jezuickich budowli.

Gotyizm miał w Polsce charakter własny, rodzimy, poważny i organiczny; odrodzenie gotowe, przywiezione z Włoch za czasów Bony, i przywiózł je znakomity budowniczy, który pracował niegdyś około pałacu dożów w Wenecyi, Bartolomeo da Firenze. Ztądto dźwignęły się zrazu w różnych miejscach Polski wspaniałe i estetycznie wykonane dzieła, jako to: u nas, na Rusi groby Sieniawskich w Brzeżanach i cerkiew wołoska we Lwowie. Ztądto jednak poszło w dalszym ciągu, że rozwiłmożnił się u nas bezmyślny barok, tak zwany styl jezuicki, i że ogromna przewaga kościołów murowanych na Rusi, nie odpowiada wymaganiom czystego gustu; czasem jednak, jak np. w Bołszowcu, kościół i klasztor Karmelitów, odznaczy się i późniejszy budynek wytworniejszym gustem, a zawsze fundacye znakomitych mężów za dawniej Rzeczypospolitej godne przechowania, tém bardziej, że można po nich znaleźć ciekawe grobowce i konterfekta, a czasem wytworne, czasem nawet znakomite obrazy włoskiego, albo flamandzkiego pędzla, albo wyszłe z pracowni Leksyckiego, Kupeckiego i Czechowicza.

Obok tego cudzoziemskiego stylu i obok mnogich pańskich i kasztelańskich zamków, których gruzy możemy znaleźć na każdym niemal kroku, istniały dalej budynki drewniane, budowano dalej dwory, cerkwie i kościoły o swoistych i wielce malowniczych formach; mnóstwo takich drewnianych budynków, z trzech ostatnich wieków, zachowało się do dni naszych i one to nadają pewien malowniczy i artystyczny charakter naszym wiejskim krajobrazom. Zadaniem Towarzystwa naszego będzie zbadać charakter tego stylu drewnianego i zachować od zagłady pozostałe pomniki lepszej przeszłości.

Cerkwie same są najczęściej arcyciekawym zabytkiem własnej sztuki; jeszcze ciekawsze może zabytki kryją w swém łonie; nie mówimy już o kapach, makatach i pasach litych, znachodzących się nietylko

po cerkwiach, ale także czasem po bożnicach; zwracamy także uwagę na stare rzezaniny i stare obrazy, a głównie na ikonostasy.

Bizantyńskie tradycję bratały się u nas z zachodniami i to z włoskimi przeważnie wpływami; ztąd to powstała arcymisterna snycerska sztuka, z którą wyrabiano ikonostasy i ramy do obrazów, zazwyczaj o szerokich formach, ale czasem doskonale piękne; obrazy zaś, objęte w tych ramach, dają wymowne świadectwo rozmaitym wpływom, którym ulegała Rzeczpospolita pod względem artystycznym; najdawniejsze, malowane al tempera, na misternie złożoném tle, przypominają surową energią rysunku pierwotne włoskie obrazy. Dzieła te przechowały na sobie niejedyn ślad obyczajów średniowiecznych; późniejsze zyskały więcej swobody i pewną harmonią linii, nie pozbywszy się jednak nigdy pewnej bizantyńskiej powagi; najwięcej ich pochodzi z XVII-go wieku, kiedy malowano starannie i z włoską techniką głowy, nie dbając o resztę postaci. Obrazy te posiadają bądźco bądź prawdziwą artystyczną i pamiątkową wartość, choć nie znajdziesz między nimi pierwszorzędnych arcydzieł. Grzechem jest, gdy takie obrazy przemalowują, a zadaniem naszym będzie odszukać i ochronić je od zagłady, od przemalowania i od złotej lub srebrnej koszulki.

Malarstwo to przestało być sztuką w XVIII-tym wieku; odtąd tworzone po cerkwiach same tylko bohomazy, albo kopie. Przechowały się do dziś dnia, wśród ludu naszego, wspomnienia starych tradycji artystycznych u niektórych snycerzy i haftarzy, tudzież garncarzy i pośród haftów niewieści. Ciężko grzeszą ci, którzy, chcąc podnieść nasz przemysł domowy, oduczą lud własnych tradycji i nauczą go bezmyślnych procedur cywilizacji współczesnej. Naszym zadaniem będzie stać i tutaj na straży dobrego smaku i starodawniej tradycji.

Czyż potrzebujemy przypominać, jak ważną rzeczą zbieranie starych dokumentów, mszałów i rękopismów? starych monet, naczyń i zbroi? Wszystkie przypominają nam dawne czasy i ojców umarłych, co bywali u siebie jeszcze gospodarzami. A choć rzecz nie będzie zbyt dawną, a choć ją zrobiono w roku 1800-tym którymś, będzie obowiązkiem każdego z członków naszych opisać ją i ochronić, jeśli tylko należała do jednego z tych, którzy nie zwątpiwszy o lepszej przyszłości, nie szczerdzili trudu życia, nie wahali się poświęcić szczęście swe i mienie, albo dać krew. Przechowując pamiątki po nich i po dawniejszych pokoleniach, które żyły za lepszych jeszcze czasów, przechowamy u siebie tę wiarę i te nadzieje, które nigdy nie zawiodą, jeśli tylko są naprawdę żywe w narodzie. Kiedyś może będziemy mogli marzyć o tém, że wybudujemy tu we Lwowie przybytek dla pamiątek narodowych. Teraz stoi przed nami bezpośrednio inne zadanie. Za pomocą pisma peryodycznego, spiszemy wszystkie pomniki, które posiadamy w kraju, rozpowszechnimy podobizny ciekawszych, zbadamy ich charakter, ich epokę, ich znaczenie, i dodamy przeto kilka nowych kart do historii sztuki i do archeologii. A wiedząc, co posiadamy, będziemy się starać wspólnymi siłami o to, by to nie przepadało, by nieumieję-

tna ręka tego nie psuła i by rodzinne tradycje odżyły w budownictwie, w snyderstwie i w przemyśle domowym, w których je teraz zastępują tuzinkowym, bezmyślnym, modnym wyrobem.

Byłoby rzeczą wielce pożądaną, gdyby członkowie Towarzystwa, mieszkający na prowincyi, potworzyli kółka, któreby korespondowały z wydziałem centralnym, przesyłając mu opisy i rysunki, oraz donosząc o niebezpieczeństwach, które gdzieś tam zagrażają dziełom sztuki, albo pamiątkom historycznym; byłoby rzeczą pożądaną, gdyby wkładki członków, wsparte, jak się należy spodziewać datkiem z funduszów krajowych, mogły wystarczyć na wydawnictwo czasopisma naukowego. Rzeczą konserwatora starożytności będzie zapobiegać niszczeniu pomników, jego rzeczą będzie restaurować pomniki, w miarę tego, jak na to wystarczą fundusze, które kraj na to przeznaczy. Rzeczą wydziału Towarzystwa wreszcie będzie zużytkowanie należycie korespondencyi, w celu przeprowadzenia wydawnictw naukowych i posunięcia naprzód umiejętności.

Wzywamy tedy niniejszém wszystkim ludzi dobrej woli, aby nam donosili o tém:

a) Czy niema w ich okolicy jakich okopów, mogił, albo innych dawnych robót ziemnych?

b) Czy niema jaskiń, w którychby znachodzono narzędzia kamienne, kości skamieniałe, albo jakie ślady dawnego mieszkania ludzkiego?

c) Czy niema wałów, które lud nazywa horodyszczami, albo uroczyska (cmentarza starożytnego)?

d) Czy niema, czyto domu Bożego, czyto innego budynku (resztek ruin), którego początki sięgają przeszłego wieku, albo wieków dawniejszych?

e) Czy niema budowy drewnianej, nieco misterniejszej, o której niewiadomo dokładnie, kiedy została zbudowaną?

f) Czy niema ikonostasów, malowideł świętych, nagrobków, portretów, albo w ogóle sprzętów starożytnych?

g) Czy niema mszałów, starych ksiąg, dokumentów lub metryk, a mianowicie takich aktów, z którychby się można dowiedzieć o fundatorach i dobrodziejach miejsc świętych?

h) Czy niema starożytnych medalów, pieniędzy (na wotach)?

i) Czy nieznanne są w okolicy jakieś podania, odnoszące się do robót ziemnych, albo do gmachów starożytnych? Jaka bywa ludowa nazwa tych zabytków?

k) Czy wreszcie niema jakich pamiątek po ludziach znakomitych, choćby byli żyli w naszym już stuleciu?

Z notycyi tak otrzymanych, będzie Towarzystwo archeologiczne układać, w organie swym urzędowym, spis pomników historycznych, znachodzących się w kraju naszym. Żeby spis ten mógł posiadać zupełną naukową i urzędową wartość, będzie rzeczą konieczną, ażeby korespondenci zechcieli dawać dokładniejsze opisy, a gdzie to tylko będzie możliwém i rysunki albo fotografie ciekawszych zabytków. Po-

mniki, opisane w urzędowej publikacji Towarzystwa, otrzymają tém samém prawo do opieki publicznej, i wyłączne prawo do restauracyi z fundusów krajowych, których nie wolno, według istniejących przepisów, obracać na przedmioty, nie objęte katalogiem dzieł sztuki i pomników historycznych, tam, gdzie tylko wydawnictwo takiego katalogu rozpoczęto.”

We Lwowie, dnia 1 czerwca 1882 r.

Wojciech Dzieduszycki

c. k. konserwator pomników i prezes kraj.
Towarzystwa Archeologicznego.

Karol Widmann

sekretarz Kraj. Tow. Archeologicznego.

W ślad za tą odezwą, możemy już wskazać czytelnikom „Biblioteki“ treść 1-szego zeszytu „Przeglądu archeologicznego“ z r. 1882, str. 120. Zeszyt rozpoczynają dwie rozprawy Wojciecha hr. Dzieduszyckiego: 1) „Budowle drewniane na Rusi;” 2) „Obraz Ś go Jana Chrzciciela, znaleziony w cerkwi ś. Mikołaja w Buczaczu (z ryciną). Dalej czytamy 3) ks. A. S. Petruszewicza: „Wiadomość o dyaryuszu, czyli dzienniku księdza Porfirego Ważyńskiego“ (od r. 1780—1804), zawierającą ciekawe fakta historyczne z wspomnionój, tak ważnej w naszym życiu narodowém epoki. 4) Karola Widmanna: „Wiadomość o archiwum miasta Lwowa.“ 5) „Materyały historyczne ziem polskich i ruskich dotyczące, z lat 1381, 1387, 14??, 1411, 1596, 1613, 1643, 1762, podane przez J. Detmarskiego, ks. A. Petruszewicza i d-ra Szaraniewicza.“ 6) Ks. A. Petruszewicza: „Archeologiczno-lingwistyczne zapiski:“ 1) O znaczeniu i pochodzeniu słowa „Rokosz.“ Co do pierwszego, rejestruje autor poglądy naszych prawników i historyków, nie przyczyniając nic nowego. Co zaś do drugiego, zasługują studia jego na uwagę. Wiadomo, że powszechnie odnoszono wyraz ten do źródła madziarskiego. Zdanie to podzielał jeszcze Fr. Miklosich w roku 1867 (D. Fremdwoerter in d. slav. Sprachen. Wien, 1867, str. 50); lecz w r. 1875-tym (Vergl. Stammbildungslehre d. slav. Spr. Wien, 1875, str. 344) odnosi to słowo do słowiańskiego pierwiastku rok: „Kl. russ. rokoš laerm; russ. rokošъ seditvo; alt. ubijstva ili kromoly i rokoša na carja ne dovedut, daher rokošnik: Wurzel ist wohl rok in rokot Laern. alt. Autor dowodzi dalej (str. 99, 100, 101), że słowo rokoš przeszło z zachodnio-słowiańskich języków (a mianowicie ze Słowackiego) do cudzych, t. j. madziarskiego i rumuńskiego i że dostało się w swój czesko-polskiej formie do wielkoruskiego książkowego języka, chociaż to samo słowo w czysto ruskiej formie ra ho za było wiadomém na zachodnio-południowej Rusi. Wyraz ten znany jest także w topograficznych nazwiskach w zakarpackich stronach. Dalej czytamy: „Sprawozdanie o Towarzystwie archeologiczném we Lwowie!“ „Z literatury archeologicznój,“ „Rozmaitości“ i „Kronikę bibliograficzną.“

— Posiedzenie sejmu lwowskiego z d. 7-go października r. b. uświetnił czyn nietylko wspaniały, ale iście obywatelski. O godz. 1 min. 5 po południu oznał M. Zyblikiewicz, marszałek, że Jan Matejko ofiarował arcydzieło swoje „Hołd pruski“ na własność kraju, do umieszczenia w jednej z sal zamku na Wawelu po jego odrestaurowaniu.—Po jedno-myślnym grzmiącym oklasku całej izby sejmowej, wśród ogólnego wrażenia wywołanego tym wspaniałym darem, poseł Grocholski, prezes koła polskiego w Radzie państwa, uczynił bezzwłocznie wniosek w tych słowach: „Byłoby to ubliżeniem téj ofierze, chcieć wykazywać i podnosić jój wartość, to jednak pewna, że gdy ją czyni człowiek mający liczną rodzinę, ofiara taka na tém większe zasługuje uznanie. Wnoszę, ażeby Izba upoważniła Marszałka do wyrażenia szlachetnemu dawcy wdzięczności w imieniu kraju.“ Wśród hucznego oklasku posłów i publiczności, wniosek przez aklamacyą jednomyślnie przyjęto. Akt ten krakowskiego mistrza, który daje miarę jego duszy, jak jego „Hołd pruski“ dał nam wybitną miarę jego geniuszu, jest faktem wielkiego dla naszego społeczeństwa znaczenia. Akt taki ocenia się w pierwszej chwili tylko potężnym wrażeniem, tylko echem uwielbienia i wdzięczności, jakie w sercach wywołuje. Dziś brakuje jeszcze temu aktowi, jak słusznie zauważyła „Gazeta Lwowska“ perspektywy, aby go nietylko czuć, ale i wynownie ocenić można; — ale dla tych, co mówiąc z wielkim poetą włoskim *questo tempo chiamerranno antiquo*, jakże wspaniale zarysuje się ta postać krakowskiego mistrza, co umiał taki obraz namalować — i co umiał go chwale swego kraju darować! W dalszym następstwie sejm ustanowił z funduszów krajowych stypendyum imienia Matejki dla kształcącego się w malarstwie ucznia szkoły sztuk pięknych w Krakowie.

— Literatura polska w Czechach. Znany i wielce nam życzliwy literat czeski, p. Edward Jelinek zamieścił w feuilletonie „Czasu“ następujący szkic literacki:

Wymownym i ogólniej uwagi godnym faktem jest interes, z jakim się Czesi oddawna zajmują literaturę polską. Świadczy to nietylko o wewnętrznej wartości bardzo rozwiniętego piśmiennictwa polskiego, o jego moraluém stanowisku, ale i o widocznej chęci pomiędzy Czechami poznania tego, co pobratymczy naród polski na polu pracy duchowej produkował i ku ogólnej korzyści wydał. Nie jeden z pisarzy polskich stał się w Czechach popularnym, utwory nie jednego z nich przenikają do wszystkich warstw społeczeństwa czeskiego, i do miast i do nadobnych wiosek naszych!

Przeglądając materiały bibliograficzne, zdumiewamy się mimo-woli nad ogromną stosunkowo liczbą przekładów, która od roku do roku znacznie rośnie. Dziś już niema czeskiego czasopisma lub pisma zbiorowego, w którémby brakowało przekładów z języka polskiego. Jeżeli zważymy, że 1815 roku pokazał się w ponownie się rozwijającym piśmiennictwie czeskim pierwszy przekład z polskiego („Myszeis“ Krasieckiego), to tembardziej zastanowić nas musi liczba przekładów, któ-

ra dochodzi prawie już do 1,000. Przeglądając jednak tytuły owych 1,000 czeskich przekładów, nasuwa się mimowoli pytanie, dlaczego z niektórych pisarzy tłómaczono ciągle i często, podczas gdy z innych pisarzy mało, lub prawie nic. Posiadamy nawet i po kilka przekładów tych samych utworów (głównie Mickiewicza i Czajkowskiego).

Przyczyny tego były rozmaite; najważniejszą z nich zdaje się jednak być ta, że nie wszyscy polscy autorowie, t. j. ich dzieła, były czeskim tłómaczom dosyć przystępne.

Mimo to jest dziś przynajmniej większa część wybitnych literatów polskich czeskiej publiczności z dobrych przekładów znaną. W dowód tego nie wahać się poniżej podać spis wszystkich pisarzy polskich, których prace tłómaczono na język czeski. Spis ten jest z niejednego względu bardzo ciekawy.

Alkar, Antonowicz, Asnyk, Anczyc, Baliński K., Bałucki, Bejt J., Bełdowski, Betza W., Berlicz Sas, Bielowski, Bliziński, Bodzantowicz, Bolesławita, Borkowski hr. Dunin, Brodziński, Bronikowski, Brosna L., Brzozowski, Budziński, Cesta, Cieszkowski, Czajkowski, Czaplicki, Czerwiński, Dembowski, Deotyma, Dobrzański, Družbacka, Dzierzkowski, Dulski, Ed., Dzierżon, Dzikowski, Ehrenberg, Feliński, hr. Fredro Aleksander, hr. Fredro Jan, Garczyński, Goszczyński, Gordon, Górecki, Gośtawski, Grabowski Bron., Grochowski, Groza Al., Grudziński Stanisław, Hofmanowa-Tańska, ks. Hołowiński J., Chęciński J., Chłędowski W., Chodźko Al., Chojecki E., Choroszniczi, Ilnicka, Jadam, Jadwiga, Jachowicz, Januszewska, Jełowicki, Jeź, T. T., Kamińska B., Karpiński, Karpowicz M. Kawczyński M., Kleczyński J., Klonowicz S.; Książnin, Kochowski, Kondratowicz, Konopnicka, Kopeć generał, Korzeniowski, Kossakowski Jan, Kosiński T., Kosiński Ad. A., Kowalski S., hr. Koziębrodzki, Koźmian Kaj., Koźmian Stanisław, Kraków Paulina, Krasiński, Kraszewski J. I., Kraszewski Kajetan, Lam, Lelewel, Lenartowicz, Lubowski Ed., Łuniewski, Maciejowski W. A., Magnuszewski, Malczewski, Miaskowski K., Mickiewicz, Morawski, Naruszewicz Ad., Niemcewicz, Noskowski, Odyniec, Ogiński M., Opaliński, Ordon, Orzeszkowa, hr. Ossoliński St., Paszliński Karol, Plewińska, Pług Adam, Podoliński, Pol, Potocki L., Potocki W., Prus Bol., Pruszkowa, Przybylski, Raczyński Ed., Rej z Nagłowic, Romanowski M., Romański M., Rościszewski Adam, Roskowska M., hr. Rzewuski, Sarbiewski, Sarnecki, Szczygielski, Sęp B., Sewer, Siemieński L., Sienkiewicz H., Sina-kiewicz, Skarga P., Skiba, Syrokomla, Stowacki, Sójkowski Feliks, Sowiński, Starkel, Stachurski Paulin, Starczyński Stanisław, Surzycki, Szajnocha, Szarzyński, Szedler Al., Szymanowicz S., Szymanowski Wacław, hr. Tarnowski W., Tarsza Ed., Trentowski, Trembecki, Turski, Ujejski, Urbański, Wasilewski Ed., Wujek z Wągrowca, Węgierski T. K., Węzyk Fr., Wilczyński A., Wilkoński August, Wilkońska Paulina, Wiśniowski M., Wysocki, Witwicki, Włoski W., Wójcicki K. W., Wolski W., Woronicz, Zacharyasiewicz, Zakrzewski Jak., Zaleski Bo-

hdan, Zalewski Kazimierz, Zan T., Zaremba, Zawadzki W., Zeiszner L., Zieliński G., Zieliński L., Zieliński K. W., Zimowicz S.

Już powyższy prosty spis objaśnia wymownie, w jakiej mierze zwracali Czesi uwagę na piśmiennictwo polskie.

Mimoходом notujemy jeszcze liczbę przekładów kilku pojedynczych literatów.

Nazwisko	Liczba przetłómaczonych utworów do 1881 r.	Rok w którym się pokazał pierwszy przekład.
Asnyk Adam	18	1876
Czajkowski Michał	25	1851
Dzierzkowski Józef	13	1846
Fredro Aleks. hr.	5 (komedye)	1851
Fredro Jan hr.	8	1870
Goszczyński	13	1854
Grudziński Stan.	12	1879
Korzeniowski J.	26	1850
Kraśniński Z.	16	1835
Kraszewski J. I.	56	1840
Mickiewicz Adam	56	1828
Pol W.	41	1852
Siemieński Lucyan	14	1846
Słowacki J.	26	1863
Wilkoński A.	15	1843
Wilkońska Paulina	10	1852
Wójcicki K. W.	15	1839
Zacharyasiewicz Jan	7	1857
Zaleski Bohdan	38	1844
i t. d.		

Liczba czeskich tłumaczy wynosi według naszych notatek bibliograficznych 152, przypada więc średnio na jednego tłumacza 7 przekładów. Nawiasem wypada też nadmienić, że pomiędzy tłumaczami znajdują się tacy mężowie, jak: Fr. L. Czelakowski, Hanka W., Hawliczek Karol, Rieger Fr. L., Szafarzyk P. J. Sztulc W. i t. d.

Zbyteczne byłyby, wobec tak wymownych notatek bibliograficznych, osobne komentarze.

Że w czasach najnowszych chęć obznajmienia się z literaturą polską w Czechach nie jest mniejszą, lecz że ciągle rośnie, tego znów najlepszym dowodem jest bibliografia. Mamy pod ręką cały stos świeżo wydanych czeskich przekładów z literatury polskiej, z których niejedyn zasługuje na ogólną uwagę. Wymieniamy tutaj tylko niektóre: np. Kraszewskiego powieść „Bracia Zmartwychwstańcy,“ tegoż jednoaktówkę „Słomiana wdowa,“ Pługa Adama „Srocza“ (wydanie ilustrowane), Sienkiewicza Henryka „Hania“ Lenartowicza „Dzwonek,“ Koźmiana Stanisława z Krakowa „Kuzynka bez posagu,“ Syrokomli Wład. „Margier“ i t. d. i t. d.

Największej zaś uwagi godnym jest sławny „Pan Tadeusz“ nieśmiertelnego Mickiewicza, którego znakomity pod każdym względem przekład czeski, pochodzący od utalentowanej poetki Eliszki Krasnohorskiej, w tych właśnie dniach opuścił prasę. Czeski „Pan Tadeusz“ wart osobnych uwag, których też uczynić nie zaniedbamy.

— Na uroczystości inauguracyjnej, która się odbyła dnia 16 października r. b. w auli wszechnicy lwowskiej, miał profesor dr. Leon Biliński zajmujący odczyt o socyalizmie i socyalistach, w którym wyomownie zbijał zgubne anarchiczne zasady i dążności socyalistyczne. Przytaczamy z tego obszernego odczytu, podług „Gazety lwowskiej” ustęp końcowy, który najlepiej scharakteryzuje tendencją szanownego profesora. „Społeczeństwo polskie, mówił prof. Biliński, jest w ogólności zupełnie niemal nieprzystępne dla socyalizmu, który się nie zgadza ani z jego usposobieniem narodowem i religijnem, ani z jego tradycjami dziejowemi, z tą mianowicie miłością ojczyzny, równą chyba tylko przywiązaniu do Kościoła, jak niemniej z owemi walkami wiekowemi, staczanemi w obronie zagrożonych ciągle ognisk rodzinnych i dobytków. Nawet pobudki polityczne nie zdołają skłęcić sojuszu między socyalizmem a Polakami, jak świadczy stanowisko odporne polskiego społeczeństwa wobec nihilizmu. Wprawdzie po dwakroć próbowali socyalisci wyzyskać nasze hasła patryotyczne i narodowe dla swoich celów egoistycznych: raz w dniu 15 maja r. 1848, gdy zapowiedzianego przez Wołowskiego wniosku o kwestyi polskiej użyli z samowiedzą do wywołania burd ulicznych komunistycznych; drugi raz, gdy pod pozorem wielkich celów narodowych założyli Internacyonak. Na szczęście jednak ogół naszego społeczeństwa przyjął chłodno te pokusy; a o ile na ten lep poszły niektóre jednostki, o tyle źle się przysłużyły sprawie ojczystej. Toż Jarosław Dąbrowski, dobry żołnierz, ale lichy polityk, ściągnął jako wódz komuny na cały naród posądzenie o konspiracye socyalistyczne; zaś owi niby „socyalisci polscy,” którzy mają sumienie wzywać z Paryża i Brukseli w programach i odezwach do „rewolucyi społecznej międzynarodowej” w celu osiągnięcia „wspólnej własności ziemi, fabryk i narzędzi,” nie chcą zapewne wiedzieć, iż podnoszone przez nich rzekome interesa „ludu polskiego” nie dadzą się odłączyć ani od interesów wszystkich innych warstw społecznych, ani też od tego, co, jak ojczyzna, religia, rodzina, własność, należy do najszacowniejszych skarbów ludzkości. Nie wątpię, przyjaciele młodzi, że gdyby kiedykolwiek doszły do oczu waszych podobne pisma, lub do uszu waszych podobne podszepty, potraficie zwycięzko stawić im czoło. Nie zapomnicie wówczas niezawodnie, że interesa nasze, tak narodowe, jak społeczne, mają sumiennych ordędowników w osobach owych współobywateli naszych, których czy to łaska monarchyi, czy wola wyborców powołała do sterowania nawą kraju i monarchii; nie zapomnicie o tém, iż oddając się naukom gorliwie, a w spokoju ducha, gotujecie w swoich znowu osobach krajowi i jego warstwom, najbogatszym zarówno, jak najbiedniejszym, lepszych w przyszłości ordędowników nad importo-

wanych zżądokolwiek opiekunów ludu; nie zapomnicie zwłaszcza o tém, że młodzież polska nie może nieść w darze sympatyi kusicielom, którzy pragną wykreślić ze słownika naszego i z serc naszych dwa najdroższe nam słowa: „Bóg i Ojczyzna.”

— Obok zabiegliwych i czynnych księgarń nakładowych pp. Gebethnera i Wolffa w Warszawie, K. Żupańskiego w Poznaniu, stanął w ostatnich latach z uznania godną ruchliwością nakładca H. Altenberg, z księgarnią F. H. Richtera we Lwowie. Po wydaniu bardzo ozdobnym, starannie ułożonem przez p. Bełzę: „Antologii polskiej,” o której wzmiankowaliśmy w zeszycie za miesiąc marzec 1882 r. (str. 478), obdarzył nas p. H. Altenberg „Antologią poetów obcych,” w równie wytwornem wydaniu, podającym w systematycznym, a nader pracowicie przez p. Bełzę dokonany układzie, wybór z najcelniejszych poetów europejskich XIX wieku, we wzorowych polskich przekładach Adama Mickiewicza, Odyńca, Bohdana Zaleskiego, Syrokomli, Fr. Morawskiego, Adama Pługa (Antoniego Pietkiewicza), Kraszewskiego, Gomulickiego, Orzona, Sienkiewicza, Kraushara i w. i. Trudność wyboru wśród tak ogromnego materiału, jaki przedstawia poezya wszystkich narodów europejskich, romańskich, germańskich i słowiańskich, powiększa jeszcze ta okoliczność, że nie ze wszystkich posiadamy dostateczny zapas równie dobrych przekładów. Z tego powodu możnaby różnić się z p. Bełzą co do trafności wyboru niektórych utworów; ale do zasadniczych zarzutów nie przedstawia pracowite to przepyszne dzieło żadnych uzasadnionych powodów. Wprowadzenie atoli Karola XV-go do téj wyborowej plejady poetów europejskich otwierało jeszcze i innym nowszym poetom angielskim i włoskim bramy tego parnasu. Bądź cobądź, „Antologia poetów obcych” jest pięknem dopełnieniem „Antologii polskiej,” tak, że z prawdziwem uznaniem możemy polecić obydwa te wydawnictwa miłośnikom poezyi, nadające się bardzo dobrze na podarki w różnych okolicznościach i mogące być prawdziwą ozdobą polskich salonów, pyszniących się zwykle obcemi przepysznemi edycjami.

Większą nierównie zasługę zdobywa sobie p. H. Altenberg przez wydawaną od lipca r. b. we Lwowie „Bibliotekę klasyków polskich” w oddzielnych tomach, w pięknej i trwałej oprawie płóciennój, w formacie ósemkowym, na białym dobrym papierze. Każdy tom zosobna, wychodzący co miesiąc, kosztuje 1 rs. 20 kop., a w całym zbiorze 1 rs. Skład główny dla Warszawy i Królestwa w księgarni Gebethnera i Wolffa. Po wyczerpaniu „Biblioteki klasyków polskich” J. N. Bobrowicza w Lipsku (1834—1837), tudzież „Biblioteki polskiej” Kazimierza Turowskiego (Sanok, a potem Przemyśl i Kraków, 1855—1862), dał się uczuwać pewien brak takiego podręcznego zbioru; dlatego należy się wdzięczność p. Altenbergowi za podjęcie tak pożytecznego wydawnictwa. Zwracaliśmy atoli już dawniej uwagę na niechwalebłą konkurencyą co do wydania dzieł J. Kochanowskiego wobec przygotowującego się wydania jubileuszowego w Warszawie (zob. „Bibl. Warsz.,”

sierpień r. b., str. 259, przy relacji o wydaniu K. Bartoszewicza) i zarzut tam uczyniony podtrzymujemy tém silniej, że p. Altenberg rzuciwszy na rynek księgarski piękne wydanie pism Kochanowskiego w 2-eh tomach, przeskoczył resztę wieku XVI i cały XVII, a stosując się do życzeń publiczności, od której poparcia zależy powodzenie tego chlubnego przedsięwzięcia, ogranicza się tymczasem na autorach klasycznych wieku XVIII, których drukować zamierza w celniejszych wyjątkach. Z téj I-szej seryi mamy przed sobą już wydane: tom I do II Kochanowski Jan: „Wszystkie dzieła polskie,“ t. III do V Krasicki Ign.: „Wybór dzieł.” (Dotychczas mamy dwa tomy, w których znajduje się rzadki utwór Krasickiego: „Organy,“ zawierający dowcipne spostrzeżenia z epoki Czteroletniego sejmu). Dalsze tomy mają zawierać: t. VI Trembecki Stanisław: „Poezye oryginalne,“ dopełnione pośmiertnymi rękopismami z biblioteki Ossolińskich we Lwowie; t. VII Węgierski Kajetan: „Poezye,“ t. VIII do IX Karpiński Franciszek: „Wybór dzieł,“ t. X Książnia Fr. Dyonizy: „Liryki i ody,“ t. XI do XII Naruszewicz Adam: „Wybór dzieł.” Z wskazanej co tylko treści widzimy ważność przedsięwzięcia, które pod każdym względem zasługuje na szczere i wytrwałe poparcie publiczności polskiej.

— W drukarni J. Ungra w Warszawie, wydaje p. Stanisław Ptaszycki dzieło Mikołaja Reja z Nagłowic: „Wizerunek własny żywota Człowiekà pocziwego, w którym iáko we zwierciadle, snádnie káždy swe spráwy ogládać moze: zebrány y s Philosophow, y z róžnych oby-
czáiów swiátá tego,“ według wydania z r. 1560, zeszyt 1, Warszawa, 1881; zeszyt 2 i 3, Warszawa, 1882. Zapowiedziane jeszcze trzy zeszyty, z których dwa wyjdą w roku bieżącym, a ostatni w pierwszej połowie 1883 r. Pan Ptaszycki trzyma się ściśle edycji drugiej tego dzieła Rejowego z r. 1560, zachowując jak najskrupulatniej wszystkie właściwości ortografii druków XVI w., jak np. odróżnianie *á* (pochylonego) od *a* otwartego, pisanie przedimka *z* literą *s* przed spółgłoskami twarde mi i t. p. Taki wierny przedruk dzieła, znanego, jak słusznie uważa p. Ptaszycki, więcej z tytułu aniżeli z samej osnowy w tekście, ułatwi szerszej publiczności poznanie autora, przez jednych przecenianego co do trwałego wpływu na rozwój literatury polskiej, a lekceważonego co przez innych zbyt pochopnie i niesprawiedliwie, jako „gburà i żarłoka.” Oddając wszelką sprawiedliwość skrupulatności, z jaką p. Ptaszycki kolacyonuje dawniejszy druk z nowszą swoją edycją, do której „wprowadził tylko od siebie (!) numerowanie wierszy,“ przestraszyliśmy się okrutną, prawie zdziczałą polszczyzną sz. wydawcy, jaką spotykamy na karcie pierwszej, objaśniającej zamierzone wydanie, a datowaną z Petersburga w listopadzie 1880 r. Al. Tyszyński wykazał dowodnie, że Rej napisał swój „Wizerunek“ podług wzoru, jaki mamy w dziele humanisty włoskiego Palingena p. n.: „Zodiak.“ Rej dodał jednak do wzoru Palingena wiele spostrzeżeń zupełnie swojskich, które należy dokładnie oddzielić od materyalu, znajdującego się w „Zodiaku,“ jeżeli chcemy korzystać z „Wizerunku,“ jako ze źródła do cha-

rakterystyki obyczajów polskich w wieku XVI, gdyż bez tego (pisze p. Ptaszycki) „korzystanie z niego musi powlec (?) za sobą wiele błędów“ i t. d. „Podział na 12 rozdziałów powstał (?) pod wpływem Zodiaka;“ „W części pierwszej Rej przytrzymuje się (?) ściślej kierownika swego;“ „tuszmy przytém siebie nadzieją“ (?) i t. p. Oburzające usterki przeciwko czystości języka, mnożą się pod wpływem różnych potężnych przyczyn w tak zatrważający sposób w literaturze polskiej, nie wyłączając i prasy warszawskiej, że konsekwentne ich wykazywanie i głośnie karcenie, mogłoby na siebie ściągnąć zarzut pedantyzmu szkolnego i zachowawczości zbyt jaskrawej; lecz w obec coraz groźniejszych i coraz jaskrawszych skutków tych „kulturowych wpływów,“ wolimy się narazić na ten zarzut, aniżeli patrzeć obojętnym okiem na to lekkomyślne i zarozumiiałe publiczne zgorszenie, zgorzenie, którego nieświadomość i upór nicomal za pożądany postęp głosić się nie waha.

— „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiej,“ wydawanéj nakładem S. Lewentala, wyszedł utwór J. P. Moliéra p. n.: „Mizantrop,“ komedia w pięciu aktach wierszem (1666) w udatnym przekładzie Wacława Szymanowskiego, na który zwracamy uwagę czytelników naszych, jako na pracę odróżniającą się bardzo korzystnie od dawniejszego tłómaczenia téj komedyi przez Franciszka Kowalskiego, w IV tomie tłómaczonych dzieł Moliéra, wydanego w Wilnie u Glücksberga od 1847—1850 r.

— Staraniem Zarządu Osad rolnych wyszedł „Rocznik Tow. Osad Rolnych i Przytułków rzemieślniczych za rok 1881,“ Warsz., 1882. Książka ta, przedstawiając dokładny obraz wielostronnej działalności Towarzystwa Osad rolnych, zawiera obszerną wiadomość o stanie zapisu ś. p. hr. Kickiego, określając stosunek tego zapisu do funduszów Towarzystwa. Społeczeństwo nasze, biorąc dosłownie wyraz: „Zapis,“ mogłoby popaść w błędne mniemanie, jakoby zapis ten uwalniał je od dalszej ofiarności na utrzymanie Osad rolnych. Położenie rzeczy jest atoli zupełnie inne, bo zapis ś. p. Kickiego ma swoje specjalne filantropijne cele, które Towarzystwo Osad rolnych pragnęłoby siłami legatu ś. p. hr. Kickiego w życie wprowadzić; ale Osady rolne nie ciągną jeszcze z tego źródła żadnej korzyści.

— „Słownika geograficznego polskiego“ wyszedł z druku zeszyt XXXIV (X tomu III) i obejmuje opisy miejscowości od Kałusz do Kampinos. Z artykułów obszerniej opracowanych, zeszyt ten zawiera: Kamień, Kamieńczyk, Kamienica, Kamieniec, Kamienna, Kamienopol, Kamieński, Kamionka, Kampinos. Zeszyt XXXV wyjdzie około 10 listopada r. b.

— Z powodu zajmującej w wysokim stopniu uwagę publiczności kwestyi egipskiej, wskazujemy poniżej kilka dzieł z literatury niemieckiej, mogących interesować tych, co się głębiej tą sprawą zajmują: 1) Braun J. „Gemaelde der mohamedanischen Welt. Lipsk, 1870; 2) A. von Kremer: „Geschichte der herrschenden Ideen des Islams,“ „Der Gottesbegriff, die Prophetie u. Staatsidee,“ Lipsk, 1868; 3) A. von Kre-

mer: „Aegypten. Forschungen ueber Land u. Volk während eines zehnjährigen Aufenthalts.“ 2 tomy, Lipsk, 1863; 4) Lüttke M.: „Aegyptens neue Zeit. Ein Beitrag zur Culturgeschichte des gegenwaertigen Jahrhunderts sowie zur Charakterisirung des Orients u. Islams,“ Lipsk, 1873, t. 2; 5) Pischon C. N., „Der Einfluss des Islam auf das haecussliche, sociale u. politische Leben seiner Bekenner. Eine culturgeschichtliche Studie,“ Lipsk, 1881. Dziełko gruntowne i nadzwyczaj instrukcyjne. 6) Prokesch-Osten: „Nilfahrt bis zu den zweiten Katarakten,“ Lipsk, 1874; 7) Vambéry H., „Der Islam im XIX-ten Jahrh.,“ Lipsk, 1875. (Posiadamy tego dzieła tłumaczenie polskie p. Bogusławskiego); 8) Wurm C. F.: „Diplomatische Gesch. der orientalischen Frage,“ Lipsk, 1858.

— Ważne dzieło dla chronologii ludów semickich od najdawniejszych czasów do zwycięstw Aryjczyków, Cyrusa i Daryusza, wydał dr. Victor Floigl p. n.: „Geschichte des semitischen Altherthums,“ Lipsk, 1882, str. 96.

N e k r o l o g i a.

— † Dnia 26 września 1882 r. zmarł w Łowiczu *Teofil Sikorski*, nauczyciel tamtejszej szkoły realnej. Ś. p. Teofil urodził się w Bruszewie, w W. Ks. Poznańskim, w 1827 r. Po ukończeniu gimnazjum w Trzemesznie i pozyskaniu świadectwa dojrzałości, udał się na uniwersytet wrocławski, gdzie poświęcał się przez trzy lata nauce prawa. Po upływie triennium złożył egzamin na auskultatora i rozpoczął pracę praktyczną przy sądzie powiatowym. Atoli karyera czciciela Themidy w W. Ks. Poznańsk. była i jest zawsze dla Polaka zagrodzona tyłu przeszkodami, że tylko człowiek do pewnego stopnia zamożny potrafi dobić się nader skromnego kawałka chleba. Ztąd to poszło, że bardzo wielu kandydatów nauk prawnych w W. Ks. Poznańskim musiało w innych zawodach szukać środków zapewnienia sobie bytu. Ś. p. Teofil obrał sobie zawód nauczycielski, do którego się systematycznie nie sposobił i w tym celu przybył do Królestwa Polskiego w r. 1860. Przy nastąpieńej w owym czasie reorganizacji zakładów naukowych znalazł pomieszczenie w gronie nauczycielskiem, jako posiadający dokładnie język niemiecki i dostateczną znajomość języka łacińskiego. Wśród różnych kolei szkół w Królestwie Polskiem uczył ś. p. Teofil języka niemieckiego w szkołach prywatnych, w gimnazjum realném, szkole handlowej, wreszcie w gimnazjum realném w Łowiczu, gdzie pożyteczny swój żywot zakończył, żałowany przez kolegów i uczniów swoich. Oprócz pedagogiki praktycznej uprawiał ś. p. Teofil także i pole systematycznej nauki. Ś. p. Teofil ogłosił drukiem: 1) Dokładna gramatyka języka niemieckiego, według nowego systemu ułożona dla szkół i prywatnego użytku. Warsz., 1868, str. 139. (Tłómaczona na język rosyjski). 2) Katechismus d. d. Prosa, 1869. Jest to podręcznik dla młodzieży gimnazjalnej do poznania literatury niemieckiej. 3) Gramatyka niemiecka porównawcza, 1879. Oprócz okolicznościowych artykułów treści pedagogicznej w „Gazecie handlowej,” po r. 1876 drukował ś. p. Teofil, w „Conversations-Lexikon” Brockhousa kilka artykułów. Ciężka praca zrujnowała przedwcześnie zdrowie człowieka, poważnie dla społeczeństwa pracującego. Cześć jego pamięci!

— † Dnia 19 października umarł w Wrocławiu ksiądz Wincenty Kraiński Urodził się 17 kwietnia r. 1786 w Mierzęcicach koło

Częstochowy. Nauki pobierał w szkole normalnej niemieckiej w Krakowie od r. 1796 przez 2 lata, a następnie aż do r. 1809 z przerwą trzyletnią w gimnazyum, które z odznaczeniem opuścił. Na uniwersytecie w Krakowie, do którego wstąpił r. 1810, poświęcał się naukom przyrodzonym, potem krótki czas medycynie a nareszcie prawu. W czasie nauk praktykował przy trybunale krakowskim, wreszcie został sekretarzem. Wypadki polityczne wytrąciły go z kolei życia: w Wiedniu i Paryżu szukał nauki i systemu zbawczego dla ludzkości. W stolicy Francji zajęła go metoda nauczania Lankastra, której poświęcając się z zapałem, szukał napróżno w Paryżu i Niemczech pola działania i uznania. Powróciwszy w roku 1817 z Paryża do Warszawy, po wielu zawodach wrócił do prawa, zdał egzamina na doktora obojga praw i praktykował jako mecenas, walcząc z trudnościami. W r. 1831 wyjechał do Paryża, ztamtąd udał się do Rzymu roku 1843 i poświęcał się przez 3 lata w kolegium Romanum teologii. Wyświęcony na kapłana, zwiedziwszy Neapol, udał się do Londynu i tu pełnił jako ksiądz misyonarz w kościele św. Bonifacego obowiązki kapłańskie, miewając kazania w angielskim, polskim i niemieckim języku. Od roku 1848 przeniósł się do Wrocławia, wezwany przez kardynała Diepenbrocka, który mianował go penitencjarzem katedralnym i wyrobił mu lektorat honorowy języka polskiego w uniwersytecie, głównie dla wygody i pożytku studentów teologii. Był przytém tłumaczem języka rosyjskiego w sądzie miejskim, tłumaczem języków słowiańskich w konsystorzu i nauczycielem języka polskiego w konwiktach alumnów duchownych.

Idąc za wrodzoną do pióra skłonnością pisał wiele, po większej części wierszem: pisma jego bez donioślejszego znaczenia pod względem naukowym i literackim wynoszą 12 tomów. (Zob. K. Estrachera Bibliogr. XIX. w. T. 2. str. 461, 462). Pomiędzy niemi jest autobiografia p. t. Książd Wincenty.

Po licznych niepokojach i zawodach życia znalazł śp. ks. dr. Krański w Wrocławiu skromną i bezpieczną przystań i pędził życie ciche, pełne pracy i wszechstronnego zatrudnienia literackiego z niezwykle skromnością przestając na małym. W uniwersytecie utworzył dwa stypendya po 25 tal. rocznie dla studentów Polaków, odznaczających się w literaturze polskiej. Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Poznaniu ofiarował fundusz kilka tysięcy talarów. Cześć pamięci zacnego kapłana i obywatela!

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca *Józef Berger.*